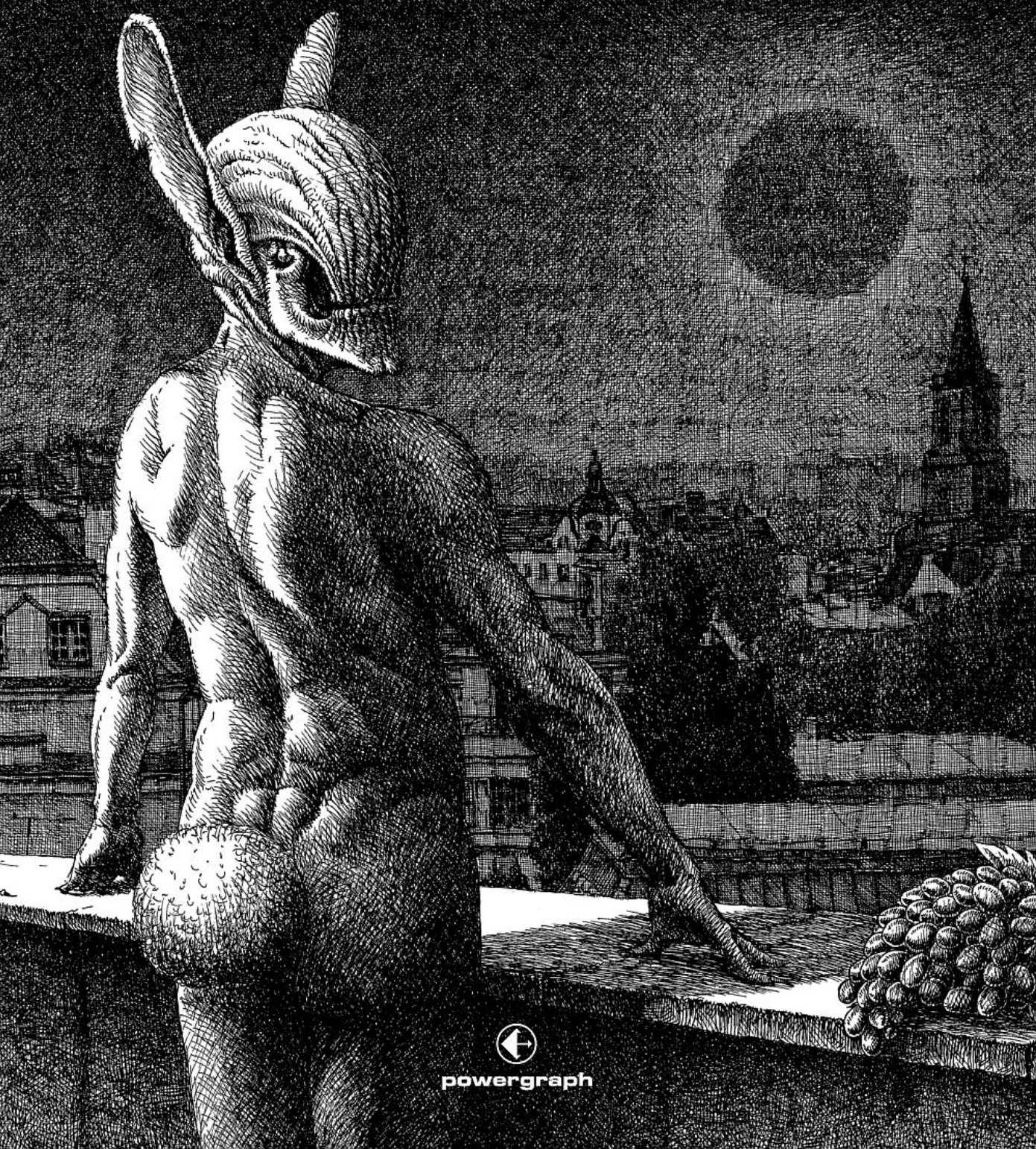


KONTRAPUNKTY

MICHAŁ

CETNAROWSKI

BESTIA NAJGORSZA



powergraph

MICHAŁ
CETNAROWSKI
BESTIA NAJGORSZA
I INNE SNY O WOLNOŚCI I MIŁOŚCI

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2017

Michał Cetnarowski
Bestia najgorsza

ISBN: 978-83-64384-60-8

Wydawca:
Powergraph
ul. Ceglowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2017 by Michał Cetnarowski
Copyright © 2017 by Powergraph
Copyright © 2017 for the cover by Rafał Kosik
Copyright © 2017 for the cover illustration by Igor Myszkiewicz
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na I okładce: Igor Myszkiewicz
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączna dystrybucja:



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

Bestia najgorsza

Pustynia rośnie

Kwantowi kochankowie

RP Productions

Strach. Historia rodzinna

Żadna na ziemi rzecz

Wydaje mi się, że nigdy jeszcze nie chciałem tak bardzo być gliniarzem jak wtedy, kiedy siedziałem przy niej na taborecie i trzymałem ją za rękę, taki się czułem słaby. Potem poprosiła o różowy szlafrok, ale nie można jej było wcisnąć do środka, bo to był szlafrok z jej kurewskich czasów, a przez piętnaście lat narosło za dużo tłuszczu. Ja to myślę, że powinno się szanować stare kurwy, zamiast prześladować je, jak są młode. Jak bym miał możliwości, zajmowałbym się wyłącznie starymi kurwami, bo młode mają sutenerów, a stare nie mają nikogo. Brałbym tylko te stare, brzydkie i które już do niczego nie służą, byłbym ich sutenerem, zajmowałbym się nimi i zaprowadziłbym sprawiedliwość. Byłbym największym na świecie gliniarzem i sutenerem i za moich rządów już nigdy więcej stara opuszczona kurwa nie płakałaby na szóstym piętrze bez windy.

Emil Ajar (Romain Gary), *Życie przed sobą*,
tłum. M. Braunstein, A. Daniłowicz

Bestia najgorsza

PIERWSZY GRABARZ:

Co to za rzemieślnik, co trwalej buduje niż murarz, cieśla i majster okrętowy?

Kiedy walił się Pałac Kultury – powiedzą później sklepikarki, taksówkarze, fryzjerki, gońcy rowerowi, wizażystki, prawnicy, notariusze, wojskowi, żule, studenci, kontrolerzy biletów, portierzy, pisarze, dziennikarze, dekarze, budowlańcy, kierowcy ciężarówek, kucharze, kelnerki, modelki, aktorzy z głupią czapką i pięćdziesięcioletnim stażem, menedżerowie, analitycy, uliczni grajkowie i te kurwy, które w pewnych kręgach zwą politykami – właśnie wykladałam towar, zmieniałam falę stacji radiowej, przycinałam baczka, modliłam się, ziewałam, liczyłam forszę, liczyłam grubą forszę, kimałam, ćwiczyłam ćmagę ze studentami, gadałam z jakimś żulem, udawałam, że mnie to nie rusza, skakałam po sieci, hejtowałam, robiłam fotki, może na jednej pokaże się twarz umierającego i zgarnę ładną kasę, czekałam na Młodego z flachą, pracowałam, myślałam o lodach, piłam kawę, niosłam kawę, myślałam o kawie, zaplatałam szal, liczyłam zyski, liczyłam straty, kaszlałam od pyłu, pewno znów kłamałam.

Jan Korwin Maria Pałuba stał na ostatnim piętrze Marriotta, ssał na palcach ślad od lontu i patrzył.

Z perspektywy czterdziestej trzeciej kondygnacji, stu czterdziestu metrów i apartamentu prezydenckiego wszystko wygląda inaczej, bardziej malowniczo. A więc: ludzie jak kijanki, młóćą ogonkami na strumykach jezdni; samochody – klocki, samochody – rozrzucone książki, opadłe grzbietem do góry, trzepoczące nerwowymi kartkami; tramwaje jak kiełbasa śląska, dobra, tłusta, gorąca, właśnie ugotowana, zatrzymane na skrzyżowaniach jak w pół drogi od zębów do przełyku, żeby oddać się pieszczocie musztardy i chrzanu, pszenicznej bułki i piwa, które spłukuje brud i grzechy spod ziemi, po całym dniu pracy. A więc: błyski sygnałów policyjnych i straży pożarnej, ruchome święto, lunapark światła; reklamy na wieżowcach jak bita śmietana na torcie, słodka i różnokolorowa niczym dziecięca piżama lub gejowska flaga. Odległe twarze, których zdumienie zobaczy jutro

w gazecie. I kłęby dymu, kurz po walącym się molochu, jakby opustoszały plac Defilad ogarniała chmura burzy z filmu przyrodniczego, macka budzącego się krakena albo kolorowe pierdnięcie bohatera kreskówki.

Pałuba sycił wzrok, uśmiechał się w oczekiwaniu, w odruchu numer jeden, jego ulubionym, przyczesał wąsa dwoma palcami. Do apartamentu prezydenckiego (fortepian i schody o złotych poręczach) przeszedł niezauważony z klubu Panorama, kiedy już wybuchły bomby i panika. Nalał sobie wody mineralnej, przygotował fotele i łoże, sprawdził łazienkę. I stanął przy oknie, wielkim i wyglądającym jak postawiona na sztorc tafla jeziora albo: portal do świata faunów i krasnali, plazma w willi rapera minus willa i raper, sny na łodzi podwodnej, rok w pokoju bez klamek.

Wielkie żebra budowli naprzeciwko jeszcze się chwiały, zapadłe w połowie, jakby zastanawiały się, czy dopełnić dzieła. Wreszcie i one runęły z westchnieniem odczuwalnym przez szybę; pełen ulgi betonowy orgazm. Pan Jan odliczał dziewięćset sekund w tył.

Do nauczania użył tym razem dwudziestu ośmiu ładunków rozmieszczonych przemyślnie w strategicznych punktach budowli. Robota nad nimi samymi zajęła mu dwa tygodnie, dość długo, nawet jeśli wziąć pod uwagę wzmożoną czujność – panikarze nazywali ją paniką – strażników, służb mundurowych i tak zwanych obywateli po wcześniejszych lekcjach. Do przygotowania ładunków użył: sznurowadeł o łącznej długości dwóch młodych sekwoi albo ogonka kolejki w przychodni podczas normalnego dnia pracy, kilkudziesięciu kilogramów mąki, kilkuset opakowań węgla leczniczego, dwóch worów sody oczyszczonej, dwudziestu trzech ładowarek do telefonu komórkowego, naręcza świec, szesnastu wielkich emaliowanych mis, czterech farelek, trzech butli gazowych, trzech wiatraków, siedmiu kanistrów benzyny (z przepisu wynikało, że wystarczy sześć, ale siedem to szczęśliwa liczba), wielkiej beli papieru pakowego, kostki masła, dwóch chlebów krojonych, sześciu konserw tyrolskich, dwóch plastikowych baniek mleka (fak pokazywany ekologom to też była lekcja), dwunastu opakowań prażynek cebulowych, trzech kilo parówek (najtańszych) i bliżej nieokreślonej ilości kefiru (część plastikowych kubeczków upchał w przepastnych kieszeniach wojskowego płaszcza i za nie nie zapłacił, ale w sklepowej lodówce zostawił sugestię, że to może być prowokacja właścicielki sklepu, i w ten sposób zasiał ziarno, które, miał nadzieję – nie, wiedział, przecież miał do tego szczęście – zakiełkuje w ekspedientkach przy układaniu towaru).

Węgiel oraz sodę rozpuścił w wannie z wodą. Pieniło się jak sam skurwysyn, ale w końcu sobie poradził. Nie bez znaczenia była w tym pomoc półtoralitrowej

butelki sarmackiego, których kilka nabył także podczas strategicznych zakupów, wykazując się przenikliwością i niemal legendarną już zaradnością, z których – mimo wielkich przymiotów ducha: skromności, która zawstydziłaby świętych Pańskich, opanowania wzbudzającego szloch mnichów buddyjskich po pół wieku ćwiczeń, skłonności do ascezy większej niż ci, którzy wszystko stracili, wytrzymałości zawodowych nianiek, odporności na ból niemieckich pływaków, siły woli odchudzających się pracowników McDonalda – był niezmiernie zadowolony.

Do tak przygotowanego roztworu włożył kabelki wszystkich ładowarek, podpiętych pod sieć przedłużaczy, które przyciągnął tu z każdego wolnego gniazdka w wynajmowanej kawalerce. Instynktownie skulił się, czekając, aż coś strzeli w instalacji, nie miał bowiem zapasowych bezpieczników, zawsze wierzył w swoje szczęście. Kiedy nie strzeliło, napoczął kolejną butelkę sarmackiego, zgarnął dużą paczkę prażynek cebulowych i zasiadł przed telewizorem – jak pogański bóg na kamiennym ołtarzu, król na tronie, profesor na biurku, dżokej na koniu, żołnierz na czołgu – żeby oddać się ulubionej czynności oglądania programów przyrodniczych. Roztwór musiał wzbogacić się w jony.

Energetyzował go przez dobę. Gdyby w tym czasie nawiedził go ktoś z administracji albo policja, albo antyterrorysty, albo tłum pragnący linczu, oczywiście wiedziałby, co odpowiedzieć. Otóż niech się wszyscy odpierdolą, bo właśnie przygotowuje nawóz do kwiatów.

Gdy roztwór nabrał mocy, porozlewał go do żelaznych misek, jak matka rozdzielająca miłość, ptak karmiący młode, a potem porozstawiał pełne naczynia we wszystkich kątach mieszkania. Włączył farelki, otworzył okna, rozebrał się do slipów i podkoszulka, uruchomił kolejną butelkę sarmackiego (smutek: przedostatnią) i uwalił się przed ekranem. Właśnie nadawali program o sekretnym życiu owadów. Pan Jan chodził tymczasem na palcach i nie drapał się za głosem po karku: roztwór powinien odparowywać w spokoju i ciszy. Posiłał się parówkami i chlebem, tyrolską i kefirem. O dziwo, nie cierpiał. Czasem patrzył na ekran kupionego od złodziei smartfona i na swoje starzejące się ciało.

Jeśli cała woda nie odparuje, nie przejmuj się, powtarzał sobie. I tak wystarczy. Wreszcie maź, która osadziła się w miskach, przelał starannie do wytaszczonej na środek łazienki wanny. Była stara, żeliwna, na wysokich nóżkach, mocna jak miłość polsko-niemiecka, widziała więcej niż stary kochanek. To właśnie dla tej wanny się tutaj wprowadził. Dodał benzyny, odpowiednio, proporcjonalnie, i pierwszą porcję rozmięczonych świec. Czuł się, jakby przygotowywał tort urodzinowy i choć spociał się niemiłosiernie, jak masażysta w tureckiej łaźni,

szczyrzył się szeroko i pracował wytrwale. Pod wanną rozpałił trzy palniki gazowe. Trochę kopcilo, ale eskadra wiatraków była już na pozycjach; podjęły się misji i wykonały zadanie. Korwin gotował na małym ogniu, mieszał melasę drewnianą chochlą, jak włochaty troll-karzeł, gdyby trolle-karły pojawiały się w bajkach, i myślał o tropikalnych lasach.

Kiedy wszystko zamieniło się w jednolitą masę, dodał tyle mąki, ile uznał za stosowne i zaczął rzeźbić. Łapami jak u mały wyjmował to bezbarwne błocko, wykładał na papier do pakowania i umieszczał w środku lont z nawoskowanej sznurówki, długi, taki jaki lubił. Potem splecie je razem w pajęczynę ognia. Tymczasem zagniatał walce i kule, duże walce i ciężkie kule, w czasie przerw popalał w oknie papierosa, żeby oddalić duszący zapach, i zastanawiał się, co by się stało, gdyby opary jednak zapłonęły od żaru. Wzmocniony duchowo wracał do pracy. Kiedy ładunki były już gotowe, przeszedł do drugiego etapu: zajął się ich rozmieszczaniem tak, żeby nie zostały dostrzeżone. Te akurat zamaskował nisko, żeby zrobiły dużo huk i dymu; niech później nie mówią, że Jan Korwin Maria Pałuba nie ma zmysłu scenicznego i wyczucia dramatu.

... pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... jeden... jeden... Skończył odliczanie, piętnaście minut minęło i właśnie wtedy ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Pan Jan oderwał się od widoku z za okna (pył z budynku i zła polska jesień za szybą), podszedł do wejścia. Gdyby to była policja, już leżałby na podłodze i próbował nie zadławić się krwią.

Otworzył drzwi, wpuścił ją do środka. Oprócz niej nikogo na korytarzu nie dostrzegł; jeszcze nie. Dziennikarka była speszona i rozglądała się niepewnie. Szara bluza, dzinsy, sportowe buty, tak jak zasugerował w przekazie. Do piersi przyciskała sportową torbę. Ciekawe, czy ma tam pistolet? Chciał, żeby miała, ale nie przywiązywał się do tej myśli.

— Pan... — odchrząknęła. — Pan Pałuba, jak sądzę?

Wyszczyrzył się szeroko, uśmiechem numer trzy: jak uczeń, co właśnie spłatał figla, lecz nikt go nie ukarze.

— Proszę, złotko, ależ proszę. — Ukłon, szczodry gest ręką, firmowy błysk oka. — Właśnie na ciebie czekałem.

* * *

A było to tak.

Korwin nauczał kiedyś na czwartoligowym meczu w południowej Polsce. Płomień Łękawka podejmował Spartiatów z Rychwałdu. Specjalnie w tym celu wybrał się na boisko Płomienia, cztery godziny w pociągu, dwie w pekaesie, potem

jeszcze trzy kilometry pieszo, kiedy to spożył dwie butelki winiaka z miejscowymi hoolsami, które bez bólu postawił – nikt nie powiedział, że nauczanie może się odbywać bez kosztów własnych.

Stadionu wśród dojrzewających kłosów pszenicznych – – rozkołysanych, jędrnych, kłosów-gigantów, herosów chleba, kłosów jak pierś matczyzna i pulchna ręka młynarki – nie można było oskarżyć o ostentacyjny przepych, ale też i nikt godny nie odmówiłby mu surowego, męskiego piękna. Płyta boiska pobrużdżona jak pola pod Stalingradem, ale trawa wimbledońska, szmaragd butelki przedniego piwa albo mrocznych spojrzeń nimfy. Trzy szeregi ławek dla kibiców, siedzisk wciąż drewnianych, przerzedzonych tu i tam niby szczęka boksera na rencie, ale jak staniesz w młynie i zrobisz syrenę, to słyhać, jakby po okolicznych wzgórzach przeszedł tajfun albo partyzanci znów wyszli z ukrycia. Baraki szatni gospodarzy: mury Jerycha, minarety Mekki, ciepła karczma w czas zimy. Baraki przyjezdnych: siódmy krąg piekieł, moczary w noc nowiu, rzeźnia bez unijnych certyfikatów, zaułek pod monopolem, kiedy nie masz drobnych. I wreszcie oni: synowie bogów i ludzi, trenerów i czartów. Zawodnicy.

Najpierw takie syny z Rychwałdu. Pokraczne karły, gnomy o krzywych nogach, koboldy z krzywymi zębiskami; ciule, matoły, hołota i kurze pały. A niewydarzone toto, w koszulkach ciemnych, czarnych, jakie noszą tylko prawiczki i metale. Abstynenci, sodomicy z PZPN-u, damy do towarzystwa działaczy związkowych. Biega taki, jakby kij połknął, nogę skreślił, kwaśnicę zimną spożył i zagryzł kaszanką. A sam sędzia brzydki niczym dupa diabła.

Lecz obok – chłopcy nasi. Kwiat ziemi łękawskiej, mężni, dziarscy, kryształowi, biali jak pierś pasierbicy piekarza, w aureolach chwały, z profilem szlachetnym i wąsem jasnym, szczupli, łydki jak krzemienie, spojrzenia krzyżowców; włosy na piersiach kołyszą się w podmuchach wiatru bujnym płowym dywanem, kiedy pociągają ukradkiem piwo podawane przez ultrasów z miejscowej żylety.

Pałuba też tam zasiadł, poczęstował papierosem czterdziestoletnich wiarusów, upił winka z podanej mu butelki, rzeczowo ocenił zawartość cukru w cukrze, przeklął dla nabrania oddechu, co też zostało przyjęte ze zrozumieniem. I przesiadł się do młodziaków: łby jak bycze jaja, karki jak pasy startowe, w kłacie dwa na dwa i bliżej nie podchodź. Nogi jak beczki albo słupy, albo pieńki, albo słupki od bramki, które jakiś pólanioł, dziecko Kazimierza Deyny i podkręconej piłki, ściał na wysokości kolan jednym atom-strzałem. Jeśli Korwin miał nauczać, powinien zacząć jeszcze przed pierwszym gwizdkiem. Z dziennika wojennego pana Jana nauka numer cztery: nigdy nie wkraczaj na pole, na którym nie zrobiłeś rozeznania,

ale jeśli wkroczyłeś bez niego, zawsze trzymaj fason, a jeśli nie da się go trzymać, to przynajmniej spieprzaj z gracją, a kiedy i to nie wypali, to choć pokaż pościgowi środkowy palec. I na początku przypierdol zawsze najsilniejszym – samce alfa nie samce alfa, przynajmniej masz wtedy wciąż najwięcej pary.

— No i chuj, w kurwę, w piźdriet, i jeszcze kurwa wasza mać. A tego sędziego to bym... Sędziego: nienawidzę! — ze znanstwem zagaił stadionowego młynarza.

Byczek wyciął karczycho klubowej jākale, ten się szczerze zdumiał („Ccc-co, n-no co?”, jak zacięty sztucer, sztacheta ciągnięta po więziennej kracie, szczęk butelek w skrzynce, kiedy przyszła wypłata), ale ustąpił miejsca. Szal na szyi Korwina, łysa czacha, misio wydziarany na małym przedramieniu, jakby spędził w więzieniu kilka wiosen albo pływał przez Pacyfik z ładunkiem kokosów i wody, oraz wąs, wąs jak dzwon, ma się rozumieć, który oczywiście zostawił, niezmiennie robiły wrażenie.

Gwizdnęło, huknęło, zatrzęsała się ziemia. Zaczęli.

Pałuba pierwszy ryknął, żeby się cwele pałowali. Nasi zaraz odebrali piłkę, ultrasi z Rychwałdu zafalowali, zamruczeli jak burza. Wszyscy się ucieszyli, zapowiadała się przednia zabawa.

Wraże zastępy hoolsów Sparty po drugiej stronie boiska podjęły wątek. Zaraz w górę poszły przygotowane na spotkanie fany: flaga z napisem „Wasza nienawiść czyni nas silniejszymi”, „Łękawka to kurwy, kurwy bić trzeba, kto kurwy bije, idzie do nieba” i – jak kropka nad i – „Bracie mój, ty zawsze przy mnie stój, czy w drodze na melanz, czy w drodze na bój”. Młynarz koło Korwina aż zatarł ręce i zatrzęsł się: ze złości i z radości. Zapowiadał się przedni mecz, a hoolsi z Rychwałdu okazywali się wymagającymi gośćmi. Na boisku ktoś kopał piłkę.

Dowodzący dopingiem w młynku Płomienia ryknął co sił w piersiach i w górę poszły fany Łękawki. „Kto Sparty nie szanuje, ten ma rację, bo to chuje” i duża flaga z długąsmym: „Nie jesteś jednym z nas, choć bardzo chcesz być zły, lecz chęci to nie wszystko, to trzeba mieć we krwi”. Żeby krótkowidze-onaniści z Rychwałdu nie mieli problemów z odczytaniem napisu na żółto-czerwonej fladze, młynarz zaintonował hasło w formie przyśpiewki. Jodły na okolicznych wzgórzach wyprężyły się na bacność, kiedy ponad stokami poszło: „... we krwi, we krwi, we krwi!”.

Pikniki wokół żłopali piwsko i próbowali obrazić matkę sędziego, ale ogólnie nieśmiało i bez przekonania. Odsuwali się w ogóle od młynka i wydawali się lekko zniesmaczeni, kiedy Spartiaci nieco się napięli i w eter poszło: „Jesteśmy chuj wie gdzie! Dobrze bawimy się! Aeaooo! Rychwałd gol!”. Tymczasem po jakości tekstów łękawski młynarz wyczuł, że morale przeciwników słabnie. Wyszczrzył

się i dał znak, żeby wykonać *coup de grâce*. Przed młynek, na prowizoryczną balustradę przed ławkami, poszła długa fana z wyhaftowanymi płomieniami i kolczastym jak drut, jak rozbite szkło, jak poduszka na igły, napisem: „Lasciate tutta la speranza”. Ktoś z tajniaka odpalił racę, a potem zaraz puścił się w długą, kiedy spróbowało mu ją zgasić kilku panów z ochrony, w tym też prezes Płomienia.

Gdy pan Jan zobaczył napis, urosło mu serce i łaza zakręciła się w oku. Po hoolsach gości przeszedł pomruk. Płomień rąbnął gola. Młynek triumfował. Spartiaci podjęli jeszcze desperacko, na oślep: „Deszcze niespokojne, potargały sad, a my na tej wojnie, ładnych parę lat...”, ale zabrzmiało to ponuro jak skowyt zamkniętego w czołgu Szarika.

Do przerwy Płomień Łękawka prowadził 1:0, miejscowi ultrasi z uczuciem triumfu i dobrze spełnionego obowiązku odbijali kolejne winiaki. A przecież po meczu czekało ich jeszcze grillowanie ze Spariatami. Co bardziej niecierpliwi młodziacy już rozgrzewali mięśnie. Pan Jan uznał, że nadszedł czas.

Przysiadł się na powrót do młynarza.

— A Trylogię czytałeś? — zaczął z wysokiego C.

Kibic zrobił wielkie oczy.

— Że *Władcę pierścieni* znaczy, w kinie? No co ty, Pałuba, przecież to pedalskie.

— Jakich pierścieni, co ci się na mózg rzuciło? Nie pierścieni, tylko, kurwa, Trylogię, przecież mówię.

Młynarz dopiero zaskoczył.

— „Czytałeś”...?

— No co się dziwisz? Przekozacka rzecz. A daj, daj, no, teraz ja pociągnę. — Po tęgim łyku węgrzyna Korwin wyciągnął papierosy, poczęstował młynarza, który nie wiedział – łać czy spierdalać, koledzy z boku przysłuchiwali się rozmowie z niepewnym zdumieniem. Pan Jan pociągnął soczyście, spalając peta do połowy, i kontynuował — no to, rozumiesz, jest sobie Kmicic. I on się buja w tej Oleńce.

— Takiej dziuni jego? Niezła choć była?

— No dziuni, otóż to! — ucieszył się Korwin.

— Ech... Nie mam więcej pytań. — Młynarz wyszczerzył się do kumpli.

— No i on się w niej zabujał, ale jest przeskurwiel, znaczy się hulaka. I ona mu mówi: słuchaj, kurwa, nie chcę cię, jakżeś taki rubaszny. No i on tam w sumie sam się wkurwia na siebie, i robi swoje, i idzie do Radziwiłła, takiego bossa, przechuja zresztą, i się z nim brata. Melanżują, grillują z krajanami, no, takie tam. Ale się dowiaduje, że Bogumił, ziomuś tego Radziwiłła...

— Bogumił? Już widzę, że ciotecznik jakiś.

— No a jak, wiadomo. Więc ten cały pozał się Boże Bogumił parol zagiął na Oleńkę. No to jak Kmicurkę chuj jasny nie strzeli. Zwłaszcza jak odkrywa jeszcze, że Radziwiłł, rudy pacior, chce do Polski wpuścić Szweda. No to, kurwa, jak nim nie zatrząsiesz. Pokazuje Radziwiłłowi faka i wraca do króla. No i po drodze przybiera nową ksywkę, bodajże Babinicz, robi wielką przemianę wewnętrzną, jakby się skuna opalił, kmini, że dał dupala. Jedzie do Częstochowy, jak przed maturą, tam jest ta cała obrona, więc rozpierała jakieś mega działo. No to wszyscy są hepi, a więc dalejże, Kmicic wali znów do króla, ale król jest tak w sumie średnio przekonany, jak na niego patrzy. Ale potem się okazuje, że w tej drodze do króla to go w zasadzie Babinicz uratował, bo go jakieś psiechuje próbowały po królewsku wydymać na Śląsku. No i jest msza, i Kmicic już nie musi się kryć pod ksywką, i wraca. I jakiś biskup czyta jego zasługi na tej całej mszy, i Oleńka też tam jest, i się okazuje, że ten Kmicic to w sumie spoko kolo i nie żaden miętus czy wesolek, tylko regularny madafaka. No to mu lasia mówi, że go też kocha, i że w sumie luz i nie ma między nimi zadziora.

— A Bogumił?

— Aaa, Bogumił. No zwyczajnie, przypierdalał się do Oleńki, przypierdalał, to w końcu se nagraził i mu Kmicic ukręcił wora.

— No! To rozumiem!

Młynarz z uśmiechem rozejrzał się po kolegach. Stali, zasłuchani.

Pan Jan odwrócił się w stronę boiska. Odruch numer jeden, przeczesał wąsą dwoma palcami. Pod wąsem konspiracyjny uśmiech (uśmiech numer cztery). Sędzia gwizdnął i zaczęła się druga połowa meczu.

Tym razem hoolsi Łękawki dopingowali jeszcze mocniej, choć gdy Pałuba zerkał na twarz młynarza i chłopaków w kotle, coś mu mówiło, że nie bawią się już tak dobrze. Że myśl ich wiedzie ku odległym łądom i niezgłębionym dalom.

Zniknął, kiedy sędzia odgwizdał koniec i zabarykadował się w szatni. Ziarno zostało zasiane. Ultrasi rychwaldzcy nie czekali na umówionego grilla. Rozpoczęła się nabojka na boisku, prezesi, ochroniarze i trenerzy skryli się w klubowych nyskach. Płomień, niestety, przegrał u siebie ze Spartą Rychwałd 1:2.

Innym razem miał wykład na mieście.

Jechał tramwajem, wielkim i czerwonym jak pyta tego kobolda, który na zimę reklamuje odrdzewiacz do rur albo złoty strzał cukrzyków. Rozpalone lipcowe niebo było białe, pulsowało. Ludzie prażyli się na chodnikach jak węgiel drzewny, w tramwaju panował zaduch, jakby santaklaus w swoim czerwonym kubraczku rozegrał z reniferami morderczy sześciogodzinny mecz w zbijaka, a potem,

zapocony, zwał się z nimi na kanapę przed telewizorem w swoim mikrym, parnym, lodowym M. Pałuba wdychał powietrze pełną piersią i wyobrażał sobie, że zamiast płuc ma kowalskie miechy, nawykłe do żaru, karmiące się ogniem, dyszące światłem.

Ludzie w tramwaju kłębili się, ocierali o siebie, balansowali na zakrętach, jakby dusza surfowała na falach innych światów, pan Jan zatem kłębził się, ocierał i surfował na zakrętach wraz z nimi. Włosy przyciął krótko, ale nie zgolił ich na zero, co by nie mówić, znał umiar. Pod wcale nie obcisłą, ale i tak jakby za małą koszulką przeżyły się górotwory mięśni, wielkie przedramię jak szyja paleozaura węzowo wystająca nad wodę; od karku po koniuszki lewej ręki, tej nieczystej, biegł wściekle pomarańczowy płomień plemiennego tatuazu. Z niechętną dumą Korwin przyznawał sam przed sobą, że trochę się napracował przy tym kamuflażu. Wielkie łapska trzymał w luźnych sportowych dresach, nieco za ciepłych jak na czas, kiedy z kanistra nieba wylewa się na ulice benzyna lata, czekając tylko na iskrę, która podpali miasto. Ale pasowały mu do butów.

Cudna blond-płatyna z odsłoniętym wysoko, opalonym pępuszkiem popatrywała na niego spod figlarnie opuszczonych powiek.

Popatrywał oczywiście i on. (Wyglądał młodziej, niż powinien, ale i tak starzej, niż się czuł, więc uznał, że może sobie pozwolić). Na kolejnym przystanku liczba pasażerów zmniejszyła się, dziewczyna usiadła na zwolnionym miejscu. Usiadł i pan Jan. Na kolejnym przystanku weszły nowe osoby, grupka gimnazjalistów i kilka starszych pań; na nich Pałuba czekał. Wstał, na przypadkowo zrobione miejsce usiadła jedna ze starszych kobiet. Różowe złotko spojrzało na niego niepewnie, jakby też miało wstawać, ale złowił jej spojrzenie i łypnął tak szelmowsko i uspokajająco, jak tylko potrafił; o dziwo, swoich spojrzeń nigdy nie ćwiczył, musiał się z nimi urodzić. Oczywiście wyszło mu. Gimnazjaliści na końcu wagonika odpalili komórkę i puszczały głośno jakieś krzykliwe umpa-pa. Tramwaj wirował, wchodził w zakręty jak pilot kamikadze po sake, przechylał się żwawo na łukach ulic, błyszcząc w słońcu niczym świeżo wyświęcony alumn albo cewka, przez którą przepuszczono 220 voltów. Pan Jan łypał i promieniał.

Na kolejnym łuku jedna ze staruszek wreszcie nie wytrzymała.

— Przepraszam, czy moglibyście ściszyć? Inni ludzie też tu jadą, własnych myśli nie słyszą — zwróciła się do gimnazjalistów-melomanów.

Dzika horda – jeden z włosami jak perkoz, drugi gruby, z pyskiem jak pancernik, i trzeci ponury jak pingwin, który cierpi na katar – tylko wyszczerzyła się radośnie. Pierdol, pierdol, no jasne, babciu. Dali nawet jeszcze jakby głośniej i odwrócili się plecami.

Pan Jan spokojnie przepchał się przez pasażerów; w zasadzie nie musiał wiele robić, wszyscy w tłoku znajdowali dość miejsca, żeby przed jego aparycją mordercy z osiedlowej siłowni rozstępować się jak fala przed Mojżeszem. Dzieciaki nie widziały go. Wyjął spokojnie telefon z rąk jednego z nich. Wyrzucił aparat przez okno.

— No, kurwa, chujki — warknął. — Który następny?

Tramwaj zatrzymał się na przystanku.

— Dalej — wskazał podbródkiem drzwi — wypierdalać. Czy wami też mam się zająć?

Sól ziemi wyprysła na przystanek, we wrogi świat, jak orle piskłeta wylatujące z gniazda. Tramwaj znowu ruszył, zakołysało. Pałuba, opromieniony blaskiem ludzkich spojrzeń, przepchał się na dawne miejsce.

— Wkurwiają mnie takie ciule — zwrócił się grzecznie do staruszki, której nerwowo skoczyła powieka, ale poza tym zachowała zimną krew.

— Nno... mnie też...

Pan Jan patrzył zachęcająco, jak nauczycielka, czekająca, aż niezbyt rozgarnięty uczeń wpadnie w końcu na myśl, na którą czekał przez całe życie.

— ... mnie też... wkur... wkurwiają — dokończyła staruszka.

Korwin wyszczerzył się szeroko. Kobieta pięknie pokraśniała.

— No widzi pani. Przecież ja też mam babcię.

Wysiadł z platyną na następnym przystanku. Dużo później, wieczorem, kiedy już ochłonęli, powiedziała mu z uroczym chichotem, że przez niego przesiedziała w tramwaju cztery przystanki, czekając, aż wreszcie do niej zagada. Pan Jan uśmiechnął się i nie zdradził, że zobaczył ją jeszcze na ulicy, do wagoniku wszedł tylko dla niej, a w ogóle to nie jeździ tramwajami, dla zasady, której nigdy nie łamie.

Innym razem złapał patrol policji.

Wtedy poszukiwała go już cała Polska, ale gdyby ich nie namierzył, cóż to byłoby za nauczanie? Dlatego przycesał zapuszczoną grzywkę, wciągnął pulower, stare wełniane spodnie i schodzone kozaki, ten sam model, w którym umarł Breżniew. Z sercem rozdieranym bólem, sercem jak świeża rana – jak licealna zdrada, niezdany egzamin na harcerską sprawność, przebrzmiały szlagier, zwietrzały proch, towarzyska plama – przyciął nawet wąsa. Nie do końca – mój Boże, nie – tak na trzy czwarte. Ale jednak. Niech nikt potem nie mówi, że pan Jan nie wie, co to poświęcenie ciała. Następnie znalazł przydrożny patrol i nocą, jak złodziej, jak zbój, jak terrorysta, a nie wykładowca, przekroczył dopuszczalną prędkość.

Oczywiście go zatrzymali. Policjantów było dwóch, chudy i chudy, tego samego wzrostu. Nawet nie kryli, że głupio wyglądają. W swoim dzienniku wojennym Korwin później zanotuje, że dla ułatwienia nazywał ich Funkcjonariuszem X i Funkcjonariuszem Najsroźszym.

Kontrola trwała już od jakiegoś czasu. Po zadzierzgnięciu pierwszej znajomości Pałuba pieczętował przyjaźń soczystymi wersami pieprznego dowcipu.

— Ale uważajcie, to naprawdę hardkor — ostrzegł jeszcze, poprawiając pożyczoną policyjną czapkę, kiedy siedzieli na pace suki i grzali się herbatą, przywiezioną w termosie przez pana Jana.

Policjanci, już tłumiąc śmiech, pokiwali gorliwie głowami.

— No więc w kolejce stoi mama z dzieckiem. Dzieciak co chwilę marudzi. „Mamo, a kupisz mi to? A kupisz mi tamto?”. W końcu się zmęczył. „Mamo, głodny jestem. Kup mi coś do jedzenia. Mamo, pić mi się chce. Kup mi coś do picia”. Kobieta, niewzruszenie, przesuwała się dalej. Wreszcie stojący za nią facet nie wytrzymał. „Przepraszam, wie pani co? Mam pomysł”. Mrugnął znacząco do dzieciaka. Mały się ucieszył, bo znał swoją matkę i wiedział, że szykuje się draka. Ale nie dał po sobie nic poznać, patrzył tylko dalej maślanymi oczami. „Więc wie pani co, a może by tak kupiła pani małemu arbuza? Wtedy, za jednym zamachem, dzieciak i poje, i popije?”. Plan wydawał się bezbłędny. — Pałuba zawiesił głos.

Policjanci chichrali.

— Kobieta na to odwróciła się, zmierzyła faceta od góry do dołu. „A wie pan co, może by pan tak zmasturbował się nogami? Wtedy, za jednym zamachem, pan i porucha, i potańczy”.

Funkcjonariusz Najsroźszy ryknął śmiechem i skropił swą czarną policyjną bluzę czystymi, dziecięcymi łzami.

— No, ale dość już tego gadu-gadu. — Korwin porechotał przez chwilę i przeszedł do meritum. — Społeczeństwo się dławi. Społeczeństwo ledwo dyszy. I my musimy wyciągnąć mu z gardła tę ość. Wpompować w zapadłe płuca ożywczy tlen.

Funkcjonariusz X i Funkcjonariusz Najsroźszy, z twarzami podświetlanymi fosforyzującym światłem z deski rozdzielczej, zamiast wlepić mu mandat (na to zawsze będzie czas), pokiwali mechanicznie głowami.

— Społeczeństwo, drodzy panowie, zachorowało na duchowy odpowiednik sepsy, SIRS-u, zespołu ogólnoustrojowej reakcji zapalnej — Korwin plótł dalej te swoje farmazony, w które mogły uwierzyć tylko takie ofermi, jak ta dwójka tutaj. No cóż, pan Jan wzruszył ramionami. Nie zawsze można pracować z samymi sokołami. Rytm i brzmienie zdań były zresztą starannie opracowane, żeby fale

mózgowe weszły w odpowiedni rezonans, umysł otworzył się na jasność. Więc perorował dalej.

Policjanci nie rozumieli ni w ząb, słuchali jednak, urzeczeni, tak pięknie Pałuba prawił. Korwin musiał przyznać, że pomogła też herbata, *Podręcznik Młodego Zielarza* i małe co nieco, którym ją osłodził.

— Tylko że tym razem choruje duch, nie ciało. Teraz to *Soul Inflammatory Response Syndrome*. Objawy są początkowo nieszkodliwe i wydają się błahe, pojawiając się zresztą pojedynczo, wszystkie są do wyleczenia. Ale — w geście numer cztery dobitnie zetknął ze sobą uniesiony palec wskazujący i kciuk: jakby łąpał komara za jaja albo komarzystę za dupę, wersja z błyskiem w oku — kiedy pojawia się jednocześnie, dusza zaczyna obumierać, człowieka, społeczności, narodu, świata. I nie mówię tu o jakimś religijnym mambo-dżambo — akcentował głoski zwartoszczelinowe, które jak się wielokrotnie przekonał, miały najlepsze efekty, jeśli chodzi o przekaz podprogowy — tylko o duszy: zespole cech psychofizycznych, pakiecie przekonań, zbiorze niekwestionowanych aksjomatów, serwerze ducha, na których stoi system ciała. Nie wiesz skąd i kiedy, nie wiesz, co cię zaraziło, jaki mem zniszczył immunologię *psyche*, rozhartował system odpornościowy ducha, i nagle jesteś umierający, robisz bokami i ledwo zipiesz. A teraz, skoro lekarstwa nie ma, jak można temu przeciwdziałać?

Korwin potoczył wzrokiem po kiwających się rytmicznie policjantach (obaj rozchylali nieestetycznie usta, a Funkcjonariuszowi X jakby rozjeżdżały się źrenice).

— Otóż przeciwdziałać można w jedyny możliwy sposób: uodparniając na degenerację. I tu pojawiacie się wy, dzieci moje. — W jego oczach zabłyszczały szczere łzy. — Samozwańcze wirusy immunologii, szczepionki na cywilizację, wzbudzające niezbędną gorączkę, żeby wzmocnić, oczyścić organizm. Dlatego posyłam was w świat.

Pałuba wyciągnął zza pazuchy własnoręcznie zrobiony nóż.

— Patrzcie, tak to się robi w Czikago. — Z dumą podetknął im pod nos ostrze z połamanej płyty kompaktowej, ostrymi złomkami wsunięte między dwie mocne listwy ciasno owinięte taśmą izolacyjną. Takie ostrze jest kruche i nie nadaje się do niczego, oprócz ranienia ciała, ale przy odrobinie wprawy może je wykonać każdy, jest poręczne i nie namierzą go wykrywacze metalu na żadnym z lotnisk świata. — A teraz pamiętajcie: nafta pali się długo, daje dużo tłustego dymu, ale trudno ją odpalić; benzyna z kolei – krótko, w obsłudze trzeba uważać, zapalić ją łatwo, a jak jest jej dużo, pierdolnie aż miło. Olej napędowy – samego nie stosuje się. Najlepiej mieszać z benzyną lub acetonem. Sam aceton zaś to zwierz nieokiełznany: zajmuje

się błyskawicznie, ach, i jakże się spala. Łatwiej wysadzić siebie niż podkłady kolejowe. A teraz pamiętajcie: amonity to mieszaniny azotanu amonu z nitroestrem i paliwem. Na przykład: pył aluminiowy, mączka drzewna, ziemia okrzemkowa. Ich prędkość detonacji waha się w granicach od czterech do sześciu tysięcy metrów na sekundę. Należy uważać, ale jakże inaczej się bawić – bez odrobiny zabawy? Dynamonami nazywamy mechaniczne mieszaniny saletry amonowej z łatwo utleniającymi się substancjami palnymi: mączką roślinną, mączką z kory sosnowej i torfem. Są one odporne na wilgoć i detonują z przytupem, gwałtownie, odradza się je więc wkurwionym wiedźmom i nałogowym palaczom. Temperatura wybuchu sięga od tysiąca dziewięciuset do dwóch tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu stopni Celsjusza.

Kiedy pan Jan skończył, grzecznie się pożegnał, uregulował mandat i odjechał, machając jeszcze policjantom z samochodu. Funkcjonariusze X i Najsroższy zdawali się go nie dostrzegać i stali, trzeba to przyznać, jakby nieco skołowani.

— Nie bójcie się, nic nie powiem komendantowi — ryknął Pałuba na odjeźdźnym i zabuksował na poboczu kołami.

Po tygodniu na murach pobliskiego komisariatu zaczęły pojawiać się obsceniczne napisy, ktoś zapchał toaletę płatkami kwiatów, podpiłował deskę na kiblu, zmieszał zmieloną kawę z cukrem, tak że nie można było już zrobić sobie parzuchy gorzkiej jak pot skazańca, co wszystkich doprowadzało do szału, i przestał podlewać kwiaty.

Że zaś pan Jan robił w oświacie, innym z kolei razem przyszło mu nauczać w przedszkolu.

Korwin przygotowywał się długo. Najpierw oczywiście chciał się przebrać za wychowanka, ale zdał sobie sprawę, że to niemożliwe, kiedy uświadomił sobie, że musiałby co najmniej ufarbować wąsy. A że wąs farbowany to, jak to się mówi, chuj nie wąs – jak farbowany lis, zderzak, włos, sweter w serek – pan Jan od razu zmodyfikował plan. Poćwiczył, zdobył odpowiednie uprawnienia, popracował nad słynną perswazją i, dzięki swojemu szczęściu, uzyskał stanowisko nauczyciela w przedszkolu. „Pana przedszkolanka”, jak podśmiechiwały się przedszkolanki, kiedy już podbił ich serca.

Wcześniej nie wyglądało to tak lukrowo. Gdy starał się o posadę, trudno było ukryć wiele rzeczy, ale jednej nie dało się przeskoczyć w ogóle, przynajmniej nie tym razem: tego, że pan Jan był mężczyzną. A jak mężczyzna, co chce uczyć dzieci, to wiadomo: na pewno zboczeniec i pederasta. Pałuba musiał zbałamucić dyrektorkę, a potem porządnie jej dogodzić, żeby wyjaśnić parę spraw, lecz wątpliwości i tak pozostały. Przez kilka tygodni reszta nauczycielek nigdy nie

zostawiała go samego z wychowankami i zawsze przynajmniej jedna kręciła się w pobliżu. Jakby naprawdę zamierzał bezcześcić ich ciała, a nie gwałcić dusze.

Wreszcie przyszła jesień: czas żołnierzyków z żołędzi, jeży z kasztanów, ciepłych rajtuzów, zasmarkanych chustek, soków malinowych w herbacie, herbat w kubkach, kubków w dłoniach. I spacerów po parku, i przeziębień pęcherzy. Kiedy jeden z nich, z lekką pomocą Korwina, odmówił posłuszeństwa pani przedszkolance, niejakej Madzi o jasnych włosach, pięknych zębach i piskliwym śmiechu, Pałuba zaaranżował wyjście na podwórko z grupą podopiecznych. Puszczono go samego. W tej godzinie rozpoczął nauczanie.

Krótkie dni były zdecydowanie za krótkie. Szybko robiło się ciemno, rodzice przychodzili, odbierali swoje pociechy, na drugi dzień ochoczo przyprowadzali je z powrotem. Po kilku tygodniach pozostałe nauczycielki zauważyły, że dzieciaki coraz rzadziej grymaszą przy drugim śniadaniu, nie płaczą, nie krzyczą i nie rozrabiają, czasem tylko gromadzą się w kącie sali z zabawkami, jak najdalej od przedszkolanki, i szepczą coś popiskującymi głosikami. A przynajmniej tak to wyglądało, śmiały się nauczycielki, przecież wiadomo, że przedszkolaki nie szepczą, że nie ma żadnej konspiracji. Najgłośniej, kręcąc wąsa i drapiąc się pod pachą, śmiał się oczywiście Korwin; może dlatego, że śmiał się jak najbardziej szczerze. Widząc tę zmianę zachowania podopiecznych, tym chętniej zostawiano dzieci z panem Janem.

Młode umysły uczyły się szybko, mózgi chłoneły słowa, a dusze myśli, jak zziajane ochlapusy ciągną piwsko po górskim triathlonie. I tak już wkrótce młode głosiki na przedszkolnych apelach – piękne, kryształowe głosiki, którymi rusałki nawoływały bogów, głosiki różowych kucyków o grzywach w kolorze tęczy albo podmorskiej rafy, głosiki uczciwych sierot z powieści Dickensa, czyste jak bankowe konto ułana – powtarzały z niebiańską intonacją, której nie powstydziłby się Szekspir w najlepszych latach, kanoniczne: „Mam trzy latka, trzy i pół, brodą sięgam ponad stół. Do przedszkola chodzę z workiem i mam znaczek z muchomorkiem” albo „Matołek raz zwiedzał zoo, i wołał co chwila: O-o! Jaka brzydka papuga! Żyrafa jest za długa! Słoń za wysoki! A po co komu te foki?”.

Ale kiedy już zeszyły ze sceny, mamrotały między sobą tajne hasła biboszków i włóczykijów, karczemne zaśpiewy birbantów różnych czasów i epok, recytowane we wszystkich językach świata, obelgi zdradzonych kochanek i krwawe przysięgi trzeźwiejących kochanków. I tak, kiedy tylko wybrzmiały ostatnie, ugrzecznione wersy *Lokomotywy*, a wszystkie grubasy zjadły kiełbasy, w szatniach obok worków z muchomorkiem, poważnym, wysokim głosem, czasem jeszcze sepleniąc, nie rozumiejąc znaczenia słów, powtarzając je tylko jak egipską inkantację czarnych

magów albo mężowską odzywkę na pytanie: „Kto dziś pozmywa?”, deklamowano: „Daj mi pochodnię; nie dbam o zabawę. Duszę mam w mroku, więc będę niósł światło”, „Idźmy i szydźmy z świata z jasnym czołem: fałsz serca i fałsz lic muszą iść tu społem” i – z teatralnym półcieniem na twarzach – „Wiemy, czym jesteśmy, lecz nie wiemy, czym być możemy”. *Koziołek Matołek* miał interludium w postaci limeryków o Grubej Kaście.

Wreszcie Korwina namierzono. Na trop odkrywanego później ze zgrozą oceanu deprawacji wpadła rzeczona pani Madzia, kiedy po przedłużającej się nieobecności weszła do łazienki za jedną z dziewczynek. Gdy otworzyła drzwi, pulchny blond-amorek z różowymi kokardkami wydrapywał właśnie rączką wyłamana Barbie, na całej szerokości ściany, niekończące się zdanie, wciąż i wciąż na nowo, choć dziewczynka nie potrafiła jeszcze czytać i nie rozumiała znaczenia powielanych znaków. „Bestia najgorsza zna trochę litości, ja nie jestem bestią, więc jej nie znam wcale. Bestia najgorsza zna trochę litości, ja nie jestem bestią, więc jej nie znam wcale”.

Pani Madzia pisnęła wysoko, jak gumowa kaczką, i zemdląca. Ale już była wiosna i pan Jan chciał, żeby go zdemaskowano; inaczej jakże to mogłaby być owocna lekcja? Kiedy pani Madzia mdlała, a blond-komandos chaosu stawiał ostatnią kropkę nad „i” w odrobinie „litości”, Pałuba właśnie zniknął z przedszkola, unosząc w kieszeni małego żółdziowego neandertalczyka.

Innym razem, żeby odetchnąć, przebrał się za studenta. Środek sesji: apogeum intelektualnego nierzędu, pandemonium nieposegregowanych notatek, monsun zwątpienia i strachu, a potem lawiny ulgi, rzeki alkoholu wzbierające po egzaminach w porze zniw nabytej wiedzy. Oko tego cyklonu, punkt sterowania wszechświatem, znajdowało się oczywiście w akademikach.

Egzamin był nazajutrz, a więc studenciaki piły już od rana. Pan Jan – w rozciągniętym swetrze, z brodą (i wąsem), w spodniach sztruksowych, w których się kulom nie kłaniał (brakowało mu tylko gitary) – dokonał krótkiego rekonesansu. Zapis z dziennika wojennego pana Jana: rozpoznanie – poloniści, cel – nauczanie.

Kiedy z meliny doniósł plastikową litrową butlę z rozrobionym naprędce spirytusem, jeszcze ciepłym i delikatnym jak wiosenny lekki wiatr, oraz przyprowadził Enocha Okoro – błyszczącego niby obsydian stażystę z Nigru, którego dzikiego spojrzenia, kiedy go wywabiał z zacisza pokoiku, gdzie właśnie wkuwał wyjątki i zawiłości sarmackiej gramatyki, nie powstydzilyby się założyciel Czarnych Panter – Korwin wkupił się w łaski urzędującej żakerii bez pytań i wątpliwości. A bawiono się po pańsku: pokój cztery na trzy metry, gołe ściany,

gołe okna, podłoga jakby już na niej kogoś zabito, dwa złączone biurka z płyty pilśniowej, na blatach kubki po kawie (poznać po wyszminkowanych zapiekłym osadem krawędziach), w kubkach ciepłuchna wódka, w rękach parujące miski z wietnamskimi zupkami. Wokół stolików sześciu studenciaków, chłopów na schwał, studentów trzeciego roku, którym niestraszne burze powtórek i zawieruchy dodatkowych prac zaliczeniowych, którzy przeżyli już swój Wietnam w dżunglach pierwszego i piekle drugiego roku, którzy plują na terminy i kolokwium patrzą w twarz, którzy przetrwali nawet raz o wodzie i piwie cały tydzień, byleby dociągnąć do świąt i wyjazdu do domów, i którzy nigdy nie płacą za akademik o czasie.

Wiarusom sesji ze złotym meszkiem na twarzy tylko zaświeciły się oczy, kiedy wszedł Okoro, ciskający wzrokiem pioruny Dzeus Czarnego Łądu. Mawiano, że poczciwy chłopaczyna przejmował się zanadto swoim stypendium, rzadko wychodził z pokoju, nie wagarował, dużo wkuwał, trochę podrywał, ale bez przesady, za to nie pił wcale. Bali się, że zmarnuje się do szczytu, magister filologii na wewnętrznym wygnaniu. Dlatego nie pytali, jakich plemiennych czarów użył pan Jan, tylko od razu im polali.

Kiedy już kończyli następną doniesioną litrówkę z mętną ambrozją, Pałuba przystąpił do sprawy. Enoch siedział nieco z boku, umiał już mówić „kujwa” i „kuj”, to co bardziej rozochocona studencka brać dawała mu spokój, śmiał się z dowcipów i chwiał się nieco, najwyraźniej rozluźniony. Wspomagana etanolem socjotechnika Pałuby okazała się widać skuteczna, bo póki co nie chciał wracać do swojej wymuskannej pustelni i nieznoszącym sprzeciwu głosem sam dopominał się coraz częściej, żeby podgonić z kolejkami. Pan Jan zagaił, jak tam nauka do egzaminów.

Studenciaki ryknęły śmiechem, bezbłędnie rozpoznając witzę, ale Enoch Okoro jakby przycichł i nieco się zmieszał.

— Siadaj chłopie, gdzie idziesz? — Pan Jan po koleżeńsku położył mu rękę na ramieniu. Zakrzyknął o trunek, chłopaki polali. — No jak to tak, my ci nie pomożemy? — zadeklarował poważnym głosem, żeby nikt nie pomyślał, że ktoś robi sobie żarty z Murzyna. I zaczął pomagać.

Z przekonaniem Okoro, że wymowa jest najważniejsza, nie było problemu. I zaczęli ćwiczyć. Na rozgrzewkę delikatnie: pan Jan poprosił, żeby Enoch powtórzył „Spadł bąk na strąk, a strąk na pąk. Pękł pąk, pękł strąk, a bąk się zląkł”. Okoro patrzył wielkimi, błyszczącymi oczami. Jeszcze nic nie mówił, ale usta już układały mu się na kształt słów, nie wiadomo tylko – przekleństw czy wierszyka. Na twarzy w tiku zadrżał skryty mięsień.

— No, śmiało — Korwin zachęcał z matczynym uśmiechem. — Bez obawy.

Na drugi ogień poszedł „Dziki dzięcioł z chęcią pień ciął”, „Bzyczy bóbr znad Bzury zbzikowane bzdury, bzyczy bzdury, bzdurstwa bzdurzy i nad Bzurą w bzach bajdurzy” i „Czesał czyżyk czarny koczek, czyszcząc w koczku każdy loczek, po czym przykrył koczek toczkiem, lecz część loczków wyszła boczkciem”. Enoch próbował powtarzać, z wyrazem prawdziwego skupienia na twarzy, łamiąc język i kalecząc myśli. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, nie wiadomo, od ciepłej wódki, wietnamskiej zupki, którą ochoczo uraczyli go gospodarze, czy intelektualnej męki. Mięśnie twarzy układały mu się w fantazyjne kształty, jakby był pilotem oblatywaczem i robił właśnie podwójnego Immelmana przy przeciążeniu 4G. Ale się nie poddawał. Studenciaki przerywały po kolei rozmowy i przysłuchiwały się, urzeczone, zahipnotyzowane. Nauczanie brzmiało tak, jakby w głębi nocy ktoś zbudził czarne bogi dżungli i w ich tajemnej mowie prosił o deszcz i bogactwo, nieprzeliczone stada krów i słodkie proso, odwagę dla męczyzn i płodność dla kobiet, i szybką śmierć dla wrogów. Pan Jan recytował dalej.

— Trzódka wieprzy drży na wietrze — rytmicznie tętniła nienaganna, lordowska polszczyzna — chrzęszczą w zbożu skrzydła chrząszczy, wrzeszczy w deszczu cietrzew w swetrze, drepcząc w kółko pośród gąszczy.

Gwardia umierała, ale się nie poddawała. Enoch słabł. Wchłonął dwa karniaki, kolejki nadprogramowe, rzecz niebywała, kiedy widać już dno i spirytus trzeba wykręcać z plastikowych ścianek, wyłom w rutynie. Korwin uśmiechał się pod wąsem (uśmiech numer sześć: uprzejme zainteresowanie sceptyka, kiedy jogin wpycha podmieniony miecz do gardła) i patrzył życzliwie na twarz wykrzywianą przez katusze.

Okoro pękł wreszcie po kombosie lekko prowokacyjnego „Mała muszka spod Łopuszki chciała mieć różowe nóżki – różdżką niby czarowała, lecz wciąż nóżki czarne miała. Po cóż czary, moja muszko? Ruszże mózdzkiem, a nie różdżką. Wyrzuć wreszcie różdżkę wróżki i unurzaj w różu nóżki” i wyrecytowanego zaraz potem na pełnej prędkości, bez jednego zajknięcia „W gąszczy szczawiu we Wrzeszczu klaszczą kleszcze na deszczu, szepcze szczygieł w szczelinie, szczeka szczeniak w Szczuczynie, piszczy pszczoła pod Pszczyną, świszczy świerszcz pod leszczyną, a trzy pliszki i liszka taszczą płaszcz w Góraźdze”.

— Ti... ti racicsto! — ryknął, robiąc się na twarzy najpierw blady z wysiłku, potem czerwony z niedotlenienia, wreszcie na powrót czarny, hebanowym kolorem burzy, kiedy pomiędzy wersami alkoholu zaczęło mu świtać, że padł ofiarą happeningu, performance’u lub żartu. A trzeba wiedzieć, że bardziej od

jedwabnych rasistów nie znosił tylko sztuki nowoczesnej, instalacji audiowizualnych i street artu. Kiedy zaś poprawny politycznie okrzyk nie odniósł pożądanego efektu, zaraz dodał przytomnie — ti kuju jebani! Kujwa macsi... — Szukał słów, znalazł, rozpromienił się. — Ssij mi jaja! — I zabrzmiało to dokładnie tak jak miało.

Po czym Enoch Okoro, dumny potomek pokoleń szamanów rozmawiających z lwami i łowców, zdolnych wytropić w dżungli ślad oddechu i trop co sprośniejszych myśli, zerwał z siebie koszulkę, obnażył pięknie wyrzeźbione ciało i rzucił się rozpromieniony w wir walki, już niczym nieskrępowany.

Korwin odpowiedział unikiem i kontrolnym ciosem, bitym tak, żeby usadzić, ale nie rozłożyć, po czym wymknął się, kiedy brać studencka ruszyła z odsieczą jednemu ze swoich. Tak ich zostawił: skłębionych w radosnym, pijanym wirze, rozkrzyczanych, zjednoczonych międzyrasową przemocą, bijących na prawo i lewo bez baczenia na cel i kolor skóry.

Pod wieczór doszły go wieści, że fala wylatujących z ostatnich pięter akademików telewizorów i zamieszek przelała się poza kampus i studenci z roziskrzonymi oczami ruszyli szturmem zdobywać puby i podbijać głodem i ogniem osiedlowe bary. Sesja trwała w najlepsze.

I tak to leciało.

Pan Jan wiedział, że jest okrutny, ale nie zwykł brać jeńców w dziele nauczania.

* * *

— Widzę, że bezbłędnie odczytała pani wskazówki?

Pałuba nalał dziennikarce do wysokiego kieliszka *szampanskoje* z apartamentowej lodówki. W głównej części swojego rebusu umieścił kowboja palącego papierosa w łóżku, Penelopę z kilimem (ikona w stylu czarnofigurowym) i stare uśmiechnięte zdjęcie Baracka Obamy z pierwszej wizyty w mateczniku czikagowskich polonusów. Zakładał, że przekaz będzie oczywisty dla kogoś, kto wie co nieco o ciemnej stronie mężczyzn i zawodowo śledzi portale plotkarskie. „Po wybuchu czekam w apartamencie w Marriotcie”.

Teraz specjalnie odwrócił się do niej plecami, żeby poczuła się swojsko i mogła się swobodnie rozejrzeć po pomieszczeniu, rozpoznać jego słabe punkty, zaułki bez wyjścia, drogi ucieczki. Sam przynajmniej by tak zrobił. Na ostatniej kondygnacji Marriotta nie musieli się przynajmniej obawiać snajperów, jeśli już poinformowała policję. Ale wtedy nie pozwolono by jej wejść tutaj samej. I jedyny taki wywiad w Polsce trafiłby szlag albo jasny piorun.

Odwrócił się powoli, rozkoszując bąbelkami, które w erupcji szampańskiej radości pryskały ponad szkło i osiadały mu na dłoni jak pocałunki srebrnoskrzydłych elfów. (Albo kichnięcia podchmielonych wrózek).

— Specjalnie tak dobrałem wskazówki, żeby miejsce spotkania mogła odgadnąć tylko kobieta — pochwalił się, dając upust tej swojej słabostce, jaką jest bezkrytyczna próżność, przejawiana tylko przez ludzi wielkich lub skończonych kretynów. — A propos, z jakiej redakcji pani jest, pani...?

— Ewelina Mucha. — Kobieta przestała wreszcie nerwowo rozglądać się po pokoju, odeszła od okna, przejechała dłonią po (fałszywych) złoceniach mebli, podeszła do stolika, przy którym umościł się już w wielkim skórzanym fotelu pan Jan. Naprzeciw niego na stole stał przeznaczony dla niej kieliszek i wazon świeżych żonkili (na wyposażeniu hotelu).

Pałuba popijał małego żywca z butelki, zwiniętego z tej samej lodóweczki. Napój spłynął mu w głąb przełyku jak gorzko musujący pocałunek smoka, arabski eliksir odwagi, rozmrożone łyzy tytanów, ambrozja dla dorosłych, aaaach...! Pierwszy łyk jak pierwszy pocałunek.

— No, siadajmy, siadajmy, proszę siadać, Ewelino. Jedno zastrzeżenie: rozmawiamy o wszystkim, ale bez nagrywania.

Dziennikarka Mucha wreszcie siadła, jakby zapadała się w skórzanym oceanie, na fotelu obok złożyła plecak trekkingowy. Ubrana była tak, żeby nie mieli problemów, gdyby trzeba było spieprzać. Zasada numer pięć z dziennika wojennego pana Jana: twój największy przyjaciel na nauczycielskim szlaku to klej do charakteryzacji, termonuklearne *cojones* i buty do biegania.

— Więc... panie Pałuba — odezwała się wreszcie, zakłopotana. I zaraz uśmiechnęła się odpowiednio: przygryzająca wargę uczennica, którą przystojny praktykant przyłapał na papierosie w krzakach. Co najprzyjemniejsze, pan Jan był przekonany, że uśmiech pojawił się spontanicznie, niezaplanowany.

Pan Jan wiedział, że dobrze trafił.

— Pałuba. Wystarczy Pałuba.

— Wie pan — dostrzegła jego uprzejmie zdziwione spojrzenie — wiesz... Pałuba, to trochę dziwne. Ja tu z tobą urządzam wywiad, rozmawiam — zagajała; jeszcze nie rozmawiali — a tam... — Nie odwracając się, machnęła dłonią, za oknem wciąż były w niebo kłęby pyłu, kurz ożył i teraz mglistymi mackami będzie próbował sięgnąć po słońce, odbić ludziom świat, wymusić ofiarę.

— Przecież ja nie jestem święty. Taki jest program nauczania.

Pili swoje napoje w milczeniu (pan Jan milczał bardziej satysfakcjonująco; rozpuszczony cukierek chmielu zadomowił się na dobre na podniebieniu).

— A, cholera jasna... Dobra, zaczynamy. — Mucha jakby wreszcie odpowiedziała sobie na mamrotane w myślach pytania. Ściągnęła gwałtownym ruchem bluzę, poprawiła włosy. — Nie masz tu czegoś innego niż ten szajs? — Wskazała na bąbelki. — Po szampanie pierdę i mam zgage.

— Ba. — Korwin próbował zachować fason, ale naprawdę był zachwycony. Znów musiało mu pomóc szczęście, jasna sprawa. — Ja też. Więc co, wolisz, tego, wodę?

— Dziwnie wymawiasz słowo piwo.

— No racja... — Najlepsze w nosach było to, że można pod nimi nosić wąsy, a pod nimi skrywać uśmiechy; tak jak teraz. — Widziałaś, gdzie jest lodówka, częstuj się.

Po chwili Ewelina wróciła do stolika, już z butelką i pytaniami.

— Wołają na ciebie...

— Jan Maria Korwin Pałuba. Tak się nazywam.

— Tak. Ale jeszcze, wynotowałam sobie: Wierny Syn Ludów, Natchnienie Miliardów, Mistrz Sztuk Walki, Genialny Strateg, Budowniczy Świata, Lokomotywa Historii, Anarchista z Granitu, Spiżowy Nauczyciel, Pierwszy i Ostatni Sarmata, Kongenialny Językoznawca...

— No tak, ale zauważ, niektórzy się nie naśmiewają... — Nie przejmował się tymi obelgami.

Kontynuowała:

— Inni mówią o bramińskim Niszczycielu i Odrodzicielu Światów, Ciemności Zagłady, Ciszy i Mroku Snu, Bezgranicznej Pustce, której atrybutem jest trójząb, topór i pętla.

Tu już pokraśniał.

— No tak, słyszałem...

— A za kogo masz się ty sam? Kim jesteś? I co w ogóle chcesz osiągnąć? Jakie są twoje postulaty, jakie cele, jakie żądania?

— Spokojnie, złotko, nie wszystko naraz.

— Daj spokój, Pałuba, nie po to mnie tu ściągnąłeś, żebyśmy się teraz grzecznościowo po cyckach miziali.

Korwin wszelako nie miałby nic przeciwko, gdyby jednak, azaliż.

— Czego chcesz, Pałuba? Do czego dążysz?

— Czego pragniesz?

— Tak, Pałuba. Czego pragniesz.

* * *

Chciał być ptakiem, żeby móc spoglądać na Polskę z góry, jak na mapę, na której przesuwiają się strefy frontu, pulsującym wiśniowo kolorem ognia rozkwitają miasta już zaatakowane, naznaczone nauką, widać strzałki z jego domniemaną marszrutą i chorągiewki w miejscach, gdzie był widziany. Ptakiem jednak nie był, więc pozostawały mu internetowe symulacje.

Zaczynał od partyzantki miejskiej: Mickiewicza w Krakowie wymalował w tęczowe barwy (czerwona toga, zielone botki, fioletowy postument, żółte blond włosy, jakie poeta chciał mieć przez całe życie, i czarny wąs na akrylowo rumianej twarzy, też wymarzony, tyle że przez Pałubę); Zygmunтови Wazie, w rewanżu za Piekarskiego, przyozdobił portki różowym futerkiem i nadział na pałasz wielką gumową lalę; Syrenka po nocnej wizycie pożądliwie rozchyłała mocno wysprejowane usta, po nagiej, różowej jak u świnki piersi spływał pot ostro pachnący olejną farbą. We Wrocławiu wysmarował dżemem Pręgierz (mocny hardkor: morelowym, z kardamonem i lawendą). W Łodzi spiżowemu Tuwimowi domalował, no cóż, pałę. Gdański Neptun po jego wizycie dzierżył w dłoni dwustronny miecz świetlny o szkarłatnych ostrzach, kamienną ropuchę na skwerze w Skaryszewie podmienił na roznegliżowaną pierwszą damę.

Media, rzecz jasna, zawrzały w gniewie, historycy sztuki publicznie ciskali najgrubsze przekleństwa i dotleniaли się XVIII-wiecznymi wachlarzami z Nowego Orleanu, tymi o ażurowych skrzydłach z błyszczących ptasich piór, internety puchły od pełnych podziwu komentarzy. Ale to oczywiście było tylko interludium nauczania. Uzbrojony w nóż do winorośli, łopatę i konewkę, z czołem przepasanym wycinkiem agrowłókniny, twarzą wysmarowaną kompostem w surowe geometryczne szlaczki, pan Jan podjął krucjatę przeciwko zbyt małej ilości zieleni w polskiej przestrzeni miejskiej.

Nocą zakradał się na zapuszczone skwery i stare składowiska, ohydne osiedlowe placyki i wyjąłowione klomby w centrum miasta: tak go poznano, zobaczono po raz pierwszy – rozmazana, niewyraźna plama czerni w miejskim monitoringu, komandos rzeżuchy i bratka. I sadził (wolał tę dosadność niż mdlawe „obsadzał”): krnąbrne kalarepy, jędrne ogórki, tylko wyprężone, sztywne, sterczące mięścisie pod cienkim namiotem ziemi; perwersyjną miętę, wystawiającą sprośnie zielony jęczyczek pąków spomiędzy miętowo pachnących warg listków, twarde, obłe ziemniaki, doskonale leżące w dłoni, zadziwiająco gładkie, które pieścił ostrzem łopatki rozsadowej, i dojrzałą sałatę o rozchylonych już, mięsistych liściach, ciepłych, wilgotnych, pięknie pofałdowanych. Dźgał ziemię w rytmicznym tempie, raz-raz-raz-raz, pot spływał mu środkiem pleców, szybkoschnąca mandala ekstazy, jęczał gardłowo, jak bezświadome zwierzę, ronił

na glebę nasiona słonecznika, i rozsadzał dalej. W kilkanaście nocy zazielenił pół Polski, żubry z Białowieży z uznaniem kiwały brodatymi łbami. Potem wziął się do wysadzania.

Kiedy czerwony kur rozgdakał się na Barbakanie, wszyscy mieli jeszcze nadzieję, że to był przypadek. Kiedy zapłonęły Sukiennice, gruchnęło wschodnie skrzydło Wawelu, na Jasnej Górze detonowano dymowe fugasy, padł gdański Żuraw (po prawdzie to było łatwe), zatrzęsł się katowicki Spodek, Hala Stulecia przeżyła ostrzał, jaki nie zdarzył się Wrocławowi od czasu Festungu, po pół tysiącu lat z okładem od pierwszego oblężenia padł wreszcie Malbork, spłonął Monciak (pan Jan lał paliwo z najczystsza rozkoszą) i obrzucono koktajlami Mołotowa Cytadelę w Poznaniu, kiedy to wszystko się dokonało, fala paniki szła już przez całą Polskę, jak powódź krzyku, płomień lamentu, wkurw oburzonych kustoszy i pań recepcjonistek. Korwin, umorusany, umęczony, potrzebujący regeneracji, zjadał się już wtedy cebulowymi preclami.

W tamtych chwilach znał go już cały kraj. Skołowana policja, nie mogąc wpaść na choćby najmniejszy ślad – choć przecież dysponowali nocnymi nagraniami wideo, mieli cały plik z internetowymi IP, spod których dokonywano obscenicznych, podejrzanych wpisów – w akcie desperacji zaczęła nawet walczyć z przestępczością i wzięła się za biznesmenów-lobbystów. A pan Jan nauczał dalej. Panny stare, ale jeszcze nie tak stare, rumieniły się, znajdując ulotki z jego heretycką deklinacją (łapownik – komu? ile?; intymnik – z kim? dlaczego?), a potem, nie wiedzieć czemu, chowały je głęboko na piersiach, wyciągały dopiero w domu, późną nocą, i gładziły się szorstkim papierem po brzuchu i udach, piersiach i ramionach, i ponownie czytały niezrozumiałe do końca słowa, jakby odprawiały jakiś tajemny rytuał pamięci i ciała. Stało na tym, że list otwarty, opublikowany lub odczytany w najważniejszych mediach, wystosowali do niego prezydent, premier, przywódcy opozycji i prymas. To Pałuba odpowiedział, oczywiście, a jakże.

Jan Maria Korwin Pałuba do tych kurew, które w pewnych kręgach zwą politykami

Wy diabły wyleniałe, przekłęci czarta bracia i towarzysze, samego Lucypera sekretarze. Jacy z was do diabła politycy, jeśli nie umiecie gołą dupą jeża zabić? Wasz elektorat zjada czarcie gówno. Nie będziecie wy, sukiny wy syny, dzieci tej krainy mieć pod sobą, bo walczyć z wami będę ziemią i wodą, powietrzem i neostradą, kurwa wasza mać.

Kucharze wy babilońscy, kołodzieje macedońscy, piwowarzy jerozolimscy; grabarze aleksandryjscy, świńskie pastuchy Wielkiego i Małego Egiptu, podlaskie złodziejaszki; kołczany tatarskie, błazny dla wszystkiego, co żyje, szatańskiego węża potomki i chuje zgięte. Wy czarcie ryje, kobyle zady, psy rzeźnika, niechrzczone łby, i zwykłe ciule, kurważ wasza mać.

O tak wam Pałuba odpowiada, kurwiszony. Nie będziecie wy nawet świń moich wypasać (gdybym takowe posiadał). A teraz kończę, daty nie znam, bo kalendarza nie noszę, miesiąc na niebie, rok w sercu zapisany, a dzień u mnie taki jak i u was, za co możecie mnie całować prosto w dupę.

kreśli się

pan Jan Maria Korwin Pałuba

Po liście oficjalnie awansował na wroga publicznego numer jeden. Po Europie rozpuszczono listy gończe, na świecie, za pieniądze z tajnych kont BOR-u, wynajmowano brazylijskich nożowników, tureckich dusicieli, pigmejskich tropicieli i lapońskich harpunników; poszła fama, że za głowę pana Jana rząd RP płaci każde pieniądze. Na ulicach pojawiły się koszulki z symbolicznym odwzorowaniem domniemanego portretu Pałuby. W całym kraju wprowadzono stan wyjątkowy; fakt, że na krótko. W popegeerowskich wsiach ludzie wracali do dawnych pogańskich obrządków, składali ofiary z krwi i wyschniętych kolb kukurydzy, tatuowali ciała we wzór radła i sochy, polowali na przyjezdnych. W miastach zapanował chaos. Na murach i kamienicach, dawniej wyznaczających zasięg rewirów kibiców wrogich klubów, pojawiły się wymalowane białą farbą pałuby – „P” wyglądające jak symbol Polski Walczącej, tylko zamiast kotwicy mające podczepione wąsy – i limeryki, smarowane kredą przez młodzież:

Pan Jan Pałubą zwany

Ruszył był raz w miejskie tany.

Tak harcował,

Tak tańcował,

Aż ich potem wywozili taczkami.

Nikt nie czuł się bezpieczny, kustosze podwoili strażę i pili jak saperzy po akcji, media zacierały ręce, dawno się tyle nie działo, na forach tworzone grupy przeciwko panu Janowi i za nim. Chłopaki tatuowały sobie falujące linie na bokach palców wskazujących, kreski jak hiszpański wąsik, tak że całość na co dzień

pozostawała w ukryciu – jak myśli, żądze, forsa w skarpecie, dzikie sny o gniewie – i ujawniała się tylko w tajnym pozdrowieniu, kiedy w ciemnościach ulicznych bram przykładano sobie te palce pod nosy. Niegasnące flejmy były pod niebiosą jasnym żarem.

Korwin tymczasem śledził te doniesienia na bieżąco, wynajmował kolejne meliny, na lewe papiery i łut szczęścia, ćwiczył się w sztuce kamuflażu i dalej podróżował po Polsce. Kontynuował niekończący się proces nauczania.

* * *

Jeśli zapach roślin to ich reakcja na cierpienie i ból, okrzyk trwogi i przerażenia w olfaktorycznym języku liści i jarzyn, to na żonkilach w apartamencie ktoś musiał dokonać makabrycznej zbrodni, przerażających tortur z hakami i kneblami w tle, ponieważ w pomieszczeniu pachniało przepięknie.

— I co ty na to?

— Na ten list?

— No, chyba. Na wszystko.

— Mogę się pod tym tylko podpisać.

Pałuba też rozebrał się do podkoszulka, pod szyją wychyły gęste kłaki. Czuł się swobodnie, dziennikarka Mucha też jakby się rozluźniła. Zza oknem wciąż pulsowały ledwie słyszalne syreny strażackie. Ewelina przewiesiła nogę przez oparcie fotela i kończyła trzecie piwo.

Korwin tymczasem niepostrzeżenie stanął przed poważnym wyzwaniem, którego rozwiązanie w każdym czasie i miejscu definiuje, czy masz do czynienia z mężczyzną, czy napuchłym na siłowni, rozmiękłym chłoptasiem: co będą pili, kiedy w prezydenckiej lodówce skończą się już browary?

Stuknął pustą butelką o blat stołu, który pierwszy raz spotkał się z takim barbarzyństwem i z ekscytującym zdziwieniem odkrył, że jest mahoniowym masochistą, od teraz czekał na każdą podobną bolesną pieszczotę, naznaczony mokrymi, okrągłymi śladami po flaszki. Korwin poderwał się energicznie, Mucha spojrzała zdziwiona i przestała machać nogą. Wzdrygnęła się, jakby zobaczyła siebie z boku i dopiero zdała sobie sprawę: z nogi przewieszanej przez oparcie, kiwającej się jak do rytmu polki, T-shirtu wyłożonego z portek białymi, pomiętymi jęzorami, z przymkniętych leniwie powiek, warg opinających się na szyjce butelki z brązowego szkła, takiego, w jakim przechowywano oryginalne koktajle Mołotowa. Jakby się z Korwinem znali od lat. Coś dziwnego działo się z powietrzem. Pałuba stał i się gapił. A przecież mógł zabić.

Gdyby jej skóra była z waty, a rumieniec z papierosowego żaru, ktoś potrzebowałby tu zastępu strażaków. Gwałtownie wciągnęła powietrze, obracając się na fotelu.

— Spokojnie, co się tak zrywasz? Piwko się skończyło, ale sytuacja jest opanowana.

Pan Jan podreptał do lodówki i zaczął przeglądać jej zawartość, na wpół zanurzony w chłodzie, jakby dokonywał obscenicznej wiwisekcji obłego robota. Ale warto było. Wyszedł z naręczem małych plastikowych buteleczek i kilkoma puszkami gazowanych napoi, gdyby okazało się, że w pokoju są dzieci. Ale nie było, nikt nie potrzebował nic do popijania.

Dziennikarka Mucha przypomniała sobie, co na nią czeka w domu. Poprawiła włosy, opanowała się, po chwili znowu zaczęły jej mrowieć palce i uda, ale już się przed tym nie broniła. Z wahaniem przyjęła podsuniętą małą Jacka Danielsa.

— No... dobrze — odezwała się. — To porozmawiajmy, ale szczerze.

Korwin zrobił uprzejmą minę z repertuaru na imprezy rodzinne: mów, dziecko, wuj słucha.

— Przecież rozmawiamy.

— Po internecie krążą twoje różne łże-charakterystyki. Ktoś cię ponoć widział, ktoś z tobą rozmawiał, z jednym wódkę piłeś, innemu się zwierzałeś. Ale kim jesteś naprawdę? Która z tych opowieści, z tych postaci, jest prawdziwa? Pan Jan Niezłomny, Korwin nad Korwinami, Sarmacki Oswobodziciel? Ostatni Powstaniec? Szalony terrorysta, talib, który zamiast turbanu nosi osełdec? Czy może Pałuba-machismo, szowinistyczne bydlę tworzące kolejne „dekalogi mężczyzny”, w których chodzi tylko o zimny browar i kopulowanie?

— Potrzeba ludzi pcha do zbrodni, a głód wywabia wilki z boru.

— Daj spokój. I nie pieprz mi tu jakimiś cytatami. Rozmawiamy szczerze, tak? Inaczej po co mnie tu w ogóle ściągałeś?

— Jeżeli w książkach czyta się tylko to, co zostało napisane, to całe czytanie na nic.

— Powiedziałam, daj spokój. Co ty mi tu bajki opowiadasz?

— Rozumiem furię w twoich słowach, ale nie rozumiem słów.

Pan Jan dalej nauczał, ale Ewelina już nie zwracała na to uwagi. Kontynuowała:

— ... i w ogóle mam wrażenie, jakbyś ty sam był jednym wielkim cytatem, plagiatem cudzych słów i pragnień. Takich ludzi po prostu nie ma. Choćby to: jak to możliwe, że nie złapała cię jeszcze policja, no, ci wszyscy dziennikarze, fani, cholera jasna, te wszystkie media?

Pan Jan przypomniał sobie, jak kiedyś, jeszcze zanim zaczął nauczać, zadzwonił do niego rektor z oskarżeniem o plagiat. Oburzył się wtedy strasznie, uniósł w słusznym gniewie. Ale, gdy już odłożył słuchawkę, dla spokoju, profilaktycznie, się wie, oczyścił partycje i zaordynował format C na dysku.

Teraz tylko spuścił z rewerencją oczy w odruchu numer siedem.

— Puste naczynia robią najwięcej hałasu. Po prostu miałem szczęście.

Ewelina fuknęła.

— Szczęście, akurat. Jak jakiś komandos w starych filmach.

— Chcąc być łagodnym, okrutnym być muszę.

Wypili.

— Daj spokój, Ewelina, co się wkurzasz? Chcesz rozmawiać, rozmawiajmy. Tylko co ja ci mam na to wszystko odpowiedzieć?

— No dobrze. Więc prościej. Dla kogo pracujesz? W czyje imię walczysz? Tych z prawej, czy tych z lewej strony?

Dziennikarka Mucha weszła na znany grunt i życie od razu stało się prostsze. Pan Jan skrzywił się, jakby połknął pestkę od mango albo gruby włos łonowy.

— No tak, w Polsce wszystko musi mieć polityczną dystynkcję, etykietkę prawactwa bądź lewactwa, żeby łatwiej można było temu przypierdolić. Ale co to znaczy: lewicowy, prawicowy? Cofnijmy się o krok dalej. Mam taką swoją teorię. — Popatrzył chytrze jak kiełb ciułacz lub cnotliwy nosorożec, który właśnie powziął decyzję o zejściu na złą drogę; zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu: dźwięku nadlatującego pocisku, miłosnych jęków pszczoł, wibrującego dildo krasnali. — Otóż zadajmy sobie pytanie, co jest fundamentem „prawicowości” i „lewicowości”, co leży pod tą całą dialektyką, obrazem świata, przekonaniem kreślonymi grubą kreską aksjomatów? Otóż dla prawicy będzie to „wierność”, trupom i ideom, jako fundament najniższy, zasada prymarna. A dla lewicy – „wolność”, od ludzi i bogów, od idei i zasad. To jeszcze byłoby dobre, tak bym mógł wybierać: co jest ważniejsze, absolutna wierność czy absolutna wolność? Tylko że na końcu, uważasz, na końcu zawsze jest tu pogarda, do ludzi, do świata. Odraza, nienawiść do człowieka, wstręt do tych wszystkich, którzy są mniejsi niż idee lub mniejsi niż „ja”. Dania jest więzieniem. Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj.

Korwin się otrząsnął. Rozpogodził, ożywił. Perorował dalej:

— Ale przyłóżmy to do codziennego życia, dlaczego nie. Jeśli zatem chodzi o miłość, to będę oczywiście prawakiem, do grobowej deski. Ale pochędożyć to już lubię tego, po lewacku. Kierowcą jestem raczej lewicowym, podobnie jak turystą. Kucharzem zaś odwrotnie, podobnie filmy oglądam tylko te, które już widziałem.

I tak dalej. Natomiast jeśli chodzi o te kurwy, które w pewnych kręgach zwa-
żają politykami, to można powiedzieć, że zasadniczo jestem jarozsem.

— Chrzanisz, Pałuba. A przecież ja... ja wiem, co naprawdę cię do tego
skłoniło. — Po raz pierwszy głos jej zmiękł nie z zakłopotania czy strachu, tylko
szczerze, po kobiecemu. Jakby nauczycielka rozmawiała z dorastającym
nastolatkiem i tłumaczyła, że to miłe, że się w niej zakochał, ale niestety nie
przewiduje dla nich wspólnej przyszłości, lepiej, żeby się zabrał do odrabiania
zadania.

Pan Jan czekał na to, co nieuniknione.

Ewelina spuściła w końcu oczy, poczuła się nieswojo.

— Widziałam... No nie patrz tak... Ten filmik widziałam. Wiesz przecież,
musisz wiedzieć.

A czy serafiny mają oczy, żyrafy ciapki, słonie chandrę, a pisarze kaca?

Musiał. Oczywiście, że musiał.

* * *

Pan Jan tańczy tango, trenuje boks, dla relaksu jeździ na motocyklu (dużym,
tłustym sportowym poganiaczu), uwielbia czerwone mięso i słodczyce, nigdy nie
pije. Nie ma zaufania do książek, ceni komiksy, ale tylko te superbohaterskie, grał
na perkusji w zespole folkowym. Jest wielkim smakoszem kawy, czego nieco się
wstydy (a nie wstydy się niczego). Uprawiał szermierkę, wspinał się sportowo,
malował ceramikę w małej manufakturze, pokrywając spieczoną glinę kubków,
miseczek, talerzyków i podkładek barwną siecią esów-floresów, których wzór
przemycił z kontrastowego schematu aksonów i dendrytów. Zna się na fizyce, ale
się tym nie chwali. Jest niski, włochaty, z wystającym brzuchem jak oglądany
z nocnej plaży księżyc w pełni, szamański bębenek, schowana pod koszulą
ukradziona paczka cebulowych prażynek, kangur-sierota, który właśnie znalazł
schronienie przed złem tego świata. W szkole wołali na niego gibbon, orangutan,
goryl, szympan, pawian, w zależności od klasy; zawsze był z tego dumny. Nie ma
słabości, do których by się przyznawał, ale czasem kłamie.

Lubi te leniwe chwile, raz na trzy, cztery tygodnie, kiedy robi sobie przerwę
i w mieście, w którym właśnie naucza, wybiera się na milongę. Oczywiście dalej
smaruje czekoladą klamki w toaletach (nie wygląda to dobrze na pierwszy rzut
oka), zatyka kible tomami klasyków, zaciska na sztywno kurki z ciepłą wodą
i poluzowuje haczyki w drzwiach, które stróżują bladym łydkom i smutnym
pośladkom. Ale w chwili, kiedy stoi na parkiecie, muzyka już ich kołysze, ta sama,
przy której nienawidzono do krwi i walczono na noże, a anonimowa partnerka

zamyka oczy i pozwala mu, żeby zgrał ich oddechy i rytm ciał, kiedy w dzielącej z nim tajemnicę ciemności łazienki przez krawędź zatkanego pisuaru przelewa się zadziwiająco krystaliczna woda, a hiszpański baryton zaczyna śpiewać o miłości i dymie z *cigarillos* snującym się nad samotnymi kochankami – wtedy zaczyna płynąć, spokojnie, w swoim tempie, miękko, i odczuwa pełnię. Ćwiczy boks, ale nigdy nie ogląda go w telewizji: brzydzi się przemocą zgwałconą, walką kieszonkową, w kondomie ringu. Choć rzadko wygrywa, w zasadzie wcale, sparingpartnerzy nie lubią z nim ćwiczyć, bo nigdy się nie boi i zawsze prze do przodu, bombardowany po szczęce i tętnicy szyjnej, aż grzechoczą otolity w uchu wewnętrznym, jądro nerwu błędnego ma mdłości i wariuje jak kawaler pijący na krzywy ryj, a mózg zaczyna się gotować pod zmniejszonym ciśnieniem krwi, ciosy prawie odrywają mu czerwony, zadymiony łeb, ale on tylko dalej brnie w grad dynamitowych petard, z zamglonym wzrokiem, dopóki nie padnie.

Posiadał tajemnicę udanego związku: po kłótni nie podlewać urazy, nie peklować gniewu; żadna duma nie byłaby dumna, gdyby dowiedziała się, że ktoś wyciera sobie nią gębę w imię zasuszanej miłości. Kochankiem jest niezłym, co przyznaje ze skromnością (fallus klasyczny, o profilu rzymskim, jak to się mówi: chuj precudnej urody; nieduży, ale kozak). Ludzie, którym przeszkadza jego wulgarność, dziwią się, że można być tak pełnym sprzeczności. Wzrusza wtedy ramionami i robi śmieszne miny. Jego oddech pachnie goździkami i dziczyzną, bigosem i mamałygą.

Ma kilka zasad, których nigdy nie łamie:

- Prawo Pascala: Kto kopie, ten zapierdala;
- Prawo Daltona: Wyciągaj pytona;
- Prawo Archimedesza: Tanie laski lecą na mamonę, małego i mercedesa;
- Prawo Faradaya: Głupi faceci to śwynie i mają małe jaja;
- Trzy zasady dynamiki Pałuby-Newtona: a) jeżeli na ciało nie działają żadne siły, to dusza słabnie lub porusza się ruchem jednostajnym prostoliniowym; b) jeżeli na ciało działa siła, boli to bardziej ciało niż siłę; c) jeżeli ciało A działa na ciało B, to wytwarza się tarcie i nawet komety zaburzają lot na niebie.

Chciałby:

- stać się bohaterem komiksu;
- puścić w obieg kilka powiedzonek, którymi zacznie mówić cała Polska;
- wynaleźć przepis na myśl-bombę doskonałą;
- uratować choć jedną gwiazdę porno;
- żeby się nie wydarzyło;
- nie zapominać swoich snów;

– być wolnym jak ptak na drucie, pijak w nocnym chórze, martwy bohater, bestia z czarnym rogiem;

– i zdemaskować wszystkie kłamstwa tych kurew, które w pewnych kręgach zwą politykami.

Niektóre swoje pomysły wkleja na Kwejka, JoeMonstera i inne głupie strony, żeby memy krążyły nisko, zapładniały sny. Udziela się też na forum chemików, w dziale z materiałami wybuchowymi własnej roboty. Średnio co dwa, trzy przepisy miesza proporcje, podmienia składniki, żeby fugas lub flara wybuchły już w czasie produkcji. Nie jest przecież szaleńcem. Nie chciałby, żeby ktoś go naśladował. Najbardziej lubi nauczać. Co niniejszym czyni.

Ludziom mówi, że został wychowany przez małpy.

* * *

Albo taka lekcja.

Sobota wieczór, lato, upał, powietrze można kroić na bloki albo wypychać nim kołdry na zimę. Pan Jan zapoznał kobietę pod oddziałem, z którego wychodzili tylko pacjenci bez nadziei, sami w terminalnym stanie. Zagadnął ją, zbajerował, zaprosił na herbatę. Sam wziął małe piwo, potem drugie, a kiedy już się rozluźnili, bez ceregieli zaprosił ją do siebie. Patrzyła na niego długo, jakby chciała przeniknąć, co kryje się za tymi słowami – co naprawdę się za nimi skrywa – aż wreszcie się zgodziła, czemu nie, Pałuba, może powiesz mi wreszcie coś, czego jeszcze nie wiem o życiu. Nazywała się Ewa, jak pramatka, imię dającej życie, i Pałuba ucieszył się, choć mózg znów zmrożony; lubił taką utajoną symbolikę, która ma znaczenie tylko dla tego, kto potrafi czytać. Poszli do niego na aktualną melinę: kawalerka, trzydzieści metrów kwadratowych, urządzona skromnie, ale bez chlewu.

Potem leżeli obok siebie. Ona, naga pięćdziesięciolatka, już brzydka, wyniszczona, przeraźliwie chuda, zawstydzona swoją bladą, kanciastą nagością, tajemnicą tak długo skrywaną przed światem. Pałuba – przeciwnie: mały włochaty małpi król, nieskrępowanie nagi, z długim ciemnym fajfusem majtającym się między udami, kiedy już wstał i zaczął krążyć po pokoiku, z włochatym brzuchem odstającym jak skorupa orzecha kokosowego, z hobbicio owłosionymi stopami i wąsem rudym jak płomień, bezwstydnie obnażony; jakby brak ubrania był u niego także rodzajem odzienia, garniturem szytym na miarę. Było w niej coś niezwykle tkliwego, kiedy tak leżała, naprawdę naga, rozebrana nawet z póz i sztucznych filmowych gestów, próbując zasłonić płaskie blade piersi o ciemnych sutkach w taki sposób, jakby naprawdę nie chciała osłonić nic, nic ocalić, jakby nie miała

się czego wstydzic i co zakrywać, na litość Boską, miała już przecież pięćdziesiąt lat i umierała. A jednak, a jednak.

Patrząc na nią, Pałuba pomyślał po raz kolejny, że jej piękno jest aż boleśnie namacalne; jakbyś się cofnął w czasie albo dotknął anioła. Esencja kobiecości pod kamuflażem wielkich oczu i chudych ramion; Wenus z Milo, której zamiast ramion odrąbano ciało.

— Wiesz, dlaczego cię poderwałem?

Udała zdziwienie: usta rozchylone i dłoń przy ustach, jak przerysowane zaskoczenie nastolatki.

— Ojej. Bo jestem chora i wiedziałeś, że ci nie odmówię? Jezu, nie wiem, skąd się to bierze, że wszyscy tacy jak ty myślą, że jak umierasz, to musisz być od razu łatwa.

Wyszczrzył się, niezawstydzony. Otworzył zębami wyciągnięte z lodówki piwo.

— Nie ma takich jak ja. A ty się mylisz, złotko. Zrobiłem to, bo wy wiecie, że miłości nie trzeba się wstydzic.

Roztropnie nie zapytała, co miała znaczyć ta liczba mnoga. Mimowolnie się uśmiechnęła, widząc, jak pan Jan staje w progu i łapczywie pije, grdyka chodzi jak robak na haczyku, piwna piana przecieka w kąciku ust i rozlewa się na krępe ciało. Świat, życie, było gdzieś daleko, zepchnięte przez absurdalność tego wieczoru, jakby nigdy nie istniało.

— U-uch, ale kurewsko pyszne. Poza tym wszyscy umieramy. A ty jesteś piękna. Ładniejszej jeszcze nigdy nie spotkałem.

Ewa zaśmiała się głośno, szczerze, całym zdradzającym ją ciałem.

— Ale z ciebie pierdolony kłamca.

— ... no i — pan Jan uniósł w górę palec, kciukiem dłoni z butelką podrapał się po brzuchu — statystycznie jest szansa, że jak wam zaproponuję to, nie dostanę od razu po pysku.

— „To”...? — Podciągnęła się na łokciach. Naprawdę się zainteresowała. — No nie wiem, nie wystarczy ci, że uwiodłeś niewinną, wykorzystałeś sytuację...?

Korwin pociągnął jeszcze raz z butelki, ale tym razem nie spuszczał jej z oka. Poczula, jak się mimowolnie rumieni.

— Czekaj. — Zaśmiała się gardłowo, naprawdę rozluźniona. — Czekaj, Pałuba, czekaj. Teraz to ja już nie wiem, czy naprawdę chcę, żebyś mnie wtajemniczał.

Pan Jan odłożył butelkę na parapet szeroko otwartego okna. Nie przestawał się szelmowsko szczerzyć (uśmiech numer trzy, z uczniakiem i figlem,

i elektryzującym brakiem kary).

Nachylił się, szepnął jej kilka słów do ucha, tak, żeby oddech zapłonął na karku.

— I mówisz...?

Kiwnął głową, dalej z miną, za którą ktoś mógł go zabić.

— A, niech tam. Jak to było, że raz się żyje przecież...?

— Raz nie raz — zafilozofował pan Jan, ale już czuł, jak kozacka jazda przypuszcza radosny szturm od lędźwi.

Ewa ułożyła się, jak kotka, zgodnie z jego wskazówkami, odchyliła i spojrzała na niego takim wzrokiem, że aż przeszły mu ciarki.

Po wszystkim pan Jan skręcił tłustego lolka, zapach cannabisu rozszedł się w pomieszczeniu. Przyłgnął do niej szorstkowłochatym cielskiem, jak utopiony kret, co zdążył już wyschnąć na słońcu, i wydychał dym w skórę karku. Podał maczugę, wzięła leniwym ruchem, zmęczona, po chwili pociągnęła bucha, głęboko, profesjonalnie.

— Mmmm... khhhh... khhhh... o kurwa, ale moc. Drapie... Uwierzysz, że nigdy nie paliłam? — wymruczała.

— Uwierzę, złotko, uwierzę. Dlaczego miałbym nie uwierzyć? Też wiele rzeczy robię po raz pierwszy.

— Mmmm, jasne, jasne. Gadasz normalnie jak dzieciak.

Pałuba wzruszył ramionami.

— Masz jeszcze jakieś marzenia? Powiedz, czego byś chciała.

Czuł, jak zeszywniała. Gęsty, słodki dym pulsował we krwi, ciemno, ciemno, ciemniej, w członkach rozlewał się ciepły ołów. A on, niewidoczny za jej plecami, w mroku, zredukowany do oddechu i głosu, rozgrzany gorączką jej ciała: szeptał dalej.

O rozmowach z przyjaciółmi w szkole średniej, dyskusjach na śmierć i życie na tematy tak błahe, że po latach pamiętasz tylko radość i złość, tembr głosu, wymachy ramion, uderzenia krwi, żar na twarzy. O tym, jak to jest znaleźć po latach taśmę lub płytę z ulubioną piosenką, zetrzeć z niej kurz, odsłuchać, przypomnieć sobie, jak kochałaś się przy niej pierwszy raz, z chłopakiem o szczupłym ciele i oczach tak samo niewinnych i przestraszonych jak twoje. O smaku czekolady, którą próbujesz pierwszy raz po miesiącu odchudzania. O tym, jak spoglądałaś na tamtego faceta, ukradkiem, wieczorem pod parasolkami w plażowym barze, i nagle zdałaś sobie sprawę, że od dłuższego czasu on także na ciebie patrzy. I o tym, jak to jest spotkać kogoś, kto widząc cię, uśmiecha się z prawdziwym szczęściem. O pierwszych chwilach, w zimie, po wskoczeniu pod

kołdrę, albo zapachu skoszonej trawy, albo długiej gorącej kąpieli po szarym dniu. O tym, jak pachną stare książki. I że coś, na co straciłaś już nadzieję, nagle się udaje. Że żarna świata stają w niepokromionym pędzie, z wielkim wysiłkiem, tylko po to, żeby cię nie zmiażdżyć, w cudownym odroczeniu, na przekór prawu, na przekór materii, wbrew słabemu ciału.

— Jezu, Pałuba — uśmiechnęła się przez łzy, nie wiedzieć co bardziej: zawstydzona tym uśmiechem czy bezgłośnym płaczem — myślałam, że chcesz się po prostu pieprzyć.

Odwzajemnił uśmiech uśmiechem numer pięć, tym prawdziwym.

— Nigdy nie interesowały mnie wasze ciała.

I szeptał dalej.

Była taka piękna, że tej nocy, choć Pałuba nie należał już do trampkarzy, zrobili to jeszcze dwa razy.

Potem nie spotkali się już nigdy, ale pan Jan pilnował jej do samego końca i wiedział, kiedy umarła. Jak przy nich wszystkich.

Nie płakał.

* * *

— Jesteś okrutny, szalony.

— Prawda?

Pałuba wyszczerzył się. Znowu. Zauważył kiedyś, że tylko się uśmiecha, szczerzy, chichra, rechocze, podśmichuje (podśmichujkiwać to nie to samo, co podśmiechiwać, co zresztą Pałuba także czynił), rzy, krzywi w setce grymasów. Żeby ułatwić robotę biografom, ponumerował i opisał te uśmiechy, niech potem nie mówią, że pan Jan nie był łaskawy.

— Nie... nie rozumiem tego.

Ewelina zgarbiła się na swoim fotelu, jakby zapadła w sobie, połknęła światło. Za oknem kurz zasłonił wreszcie całe niebo, nadchodziła noc, wczesna, zimna, jesienna, w tym cieniu i chłodzie dalej pulsowały odległe dźwięki i poświaty. Pan Jan wiedział, że to już niedługo.

Wzruszył ramionami, jakby miał skrzydła anioła albo trzymał na barkach topielca. Wstał, przeszedł się po pomieszczeniu, przysiadł na oparciu jej fotela.

— A co tu do rozumienia? Życ, tworzyć, to znaczy uczestniczyć w procesie stwarzania świata. Ile byś chciała pojąć? Co zrozumieć?

Podciągnęła kolana i objęła je ramionami, spuściła głowę, włosy, uciekinierzy z więzienia gumki, rozsypały się po twarzy. Byłe nie spojrzeć mu w oczy. Mała dziewczynka w wielkim lesie, ikona zagubienia i strachu.

— Nie wiem. Ciebie? Siebie?

— Mnie? Siebie? Ale patrz, uwiodły cię przemówienia innych, oglądasz cudze filmy, słuchasz obcych kłamstw i się nimi upajasz. Z każdym słowem wypinasz tyłek duszy i pozwalasz się gwałcić. Z każdą zasianą w tobie myślą ochoczo łykasz spermę cudzych marzeń. Nigdy nie staniesz się prawdziwie wolna, jeśli będziesz kogoś tak bezgranicznie podziwiała.

Spuszczony wzrok, szeptał:

— Ale jak stworzyć świt, wykreować burzę?

— Każdy musi znaleźć swój sposób na bezradność wobec świata. Inaczej tylko rozpacz.

Dotknął jej ramienia, zaskakująco delikatnie. Dziennikarka Mucha zastanowiła się, czy to już, czy właśnie teraz będzie próbował ją uwieść, i jak to się stanie. Czy w milczeniu odchylił ją gwałtownie, zwierzęco, dłoń we włosach i na karku, a ona rozchyliła lekko wargi, taka mała? Czy będzie raczej mówił niskim głosem, hipnotyzował dźwiękiem jak psa albo niemowlaka, żeby wreszcie zrobić to jak na filmach, z rozmachem i romantycznym oddaniem; czy w ten sposób ją okłamał? Pomyślała o mężu czekającym w cichym domu, długich godzinach w milczeniu, i była gotowa. Ale nie podniosła głowy.

— Odcyfrowałam i inne twoje wskazówki — powiedziała w ciemność między nogami. — Poszukałam i znalazłam. Widziałam... widziałam ten filmik na YouTube. Z tym, jak ją... no, w szkole. Twoją córkę. Nie udawaj.

Pan Jan nie udawał. Przecież wiedział, jak to się skończy. Sam wszystko tak przygotował.

Nachylił się nad nią, jakby przewycięzał niewidzialny ciężar, odgarnął włosy, lekcja musiała przecież zostać poprowadzona do ostatniego dzwonka. Dlatego szeptał dalej:

— Nie poddawaj się pustce. Życie nie jest lepsze ani gorsze od naszych marzeń. Jest tylko zupełnie inne. Nie poddawaj się, nie szlochaj, kiedy upadniesz. Nigdy nie zazdrość cudzego życia.

Spojrzała mu w końcu w oczy.

— Czekaj, złotko, nigdzie nie odchodź. — Pan Jan uśmiechnął się nagle, przebił balon atmosfery spiskowców, mędrców Syjonu, którzy radzą w gotyckich kazamatkach nad dopustami tego świata. — Muszę się odlać. Zaraz wracam.

Wymknął się do łazienki, stanął nad toaletą i zaczął luzować pęcherz, zostawiając ją skołowaną ze swoimi myślami. Wiedział zresztą, co to za myśli. O tym, że już zdradziła. Że chciała zdradzić. I że tak naprawdę nic się tutaj nie stało, że ma dokąd iść i gdzie wracać. Wiedział też, co robi, o czym pomyśli za

chwile: kiedy zda sobie sprawę, że lekcja właśnie dobiegła końca. Nie sądził, żeby poinformowała policjantów przed swoim przyjściem, wtedy nikt by jej tu nie wpuścił, a jeśli wpuścił, nie pozwoliliby siedzieć tak długo. Ale teraz wyciągnie telefon, wybierze numer, poinformuje ich, gdzie go znalazła; tłumaczyć będzie się potem, a jeśli go złapią, może wcale nie będzie musiała. Oddział niebieskich będzie tu za kilka minut, obstawi drzwi i wszystkie wyjścia. A ona już się postara, żeby apartamentów prezydenckich nie opuścił za szybko. Oczywiście nie miał jej tego za złe. Tylko głupiec nie skorzystałby, gdyby zwabił Pałubę w pułapkę. Pan Jan otrząsnął jaszczura, zapiął rozporek, opłukał ręce, higiena pracy to rzecz święta. Zgasił światło.

Wyciągnął jeszcze lewego smartfona, wszedł na fałszywy profil na tubce, usunął umieszczony tam filmik. Nie pamiętał już, czy był prawdziwy, czy sam go zmontował. Ale gdy patrzył na twarz dziewczynki, miał wrażenie, że kogoś mu przypomina, że odzywa się w nim coś odległego, coś się rodzi, przyzywa.

— Więdną, gdyż nazbyt szybko rozkwitają — powtórzył szeptem.

Spuścił wodę, przeczesał wąsa i zniknął za przepierzeniem z gipsu, którym profesjonalnie załatał dziurę w ścianie, drążoną przez kilka tygodni w przebraniu arabskiej sprzątaczkii (gruz pod czadorem, wąsy pod czarczafem).

Wymknął się do składziku na detergenty, a potem na korytarz, wciąż pusty. Przypomniawszy sobie, że na małym gazie w aktualnej melinie zostawił dwa wielkie gary, jeden z domowym semteksem, drugi z pulpetami w sosie pomidorowym (w semteksie było tylko mniej nadmanganianu sodu). Zaczął schodzić po schodach, zniknąć w szybko zapadającym zmierzchu. I tak został zapamiętany: wyglądający jak widmo, zarysowany mocnym konturem, prawdziwszy niż świat, który go otacza.

Nauczający i nauczany.

Pustynia rośnie

Pustynia rośnie – biada temu, kto kryje pustynię
Fryderyk Nietzsche

tak

Tak odklejają się warstwy świata: najpierw rwą się więzi społeczne, tkane od czasów, kiedy przyjaciele nie musieli jeszcze pożyczać pieniędzy, potem znikają odruchy kulturowe, do których sam się wytresowałeś, wreszcie znika wstyd ciała; za rzeką fizjologii już jesteś sam.

Liczył oddechy; kiedy nie liczył, nie oddychał; więc liczył.

Zaczął się od rzeczy małych. Dokumentacja, którą już zatwierdzono w pracy, na kolejnym biurokratycznym szczeblu okazała się niewystarczająca. Uzpełnił podpisy, doniósł wyliczenia, przedstawił deklaracje. Zajęło mu to tydzień, kosztowało pulsujący ból głowy i spóźnienie się do szkoły, by odebrać córkę po próbnym sprawdzianie szóstoklasisty i zabrać ją w nagrodę do ciastkarni.

Robiło się już ciepło, ale nie odwiesił jeszcze płaszcza do szafy; w jednej z kolejek do rektora, w której miał spędzić parę chwil, a w miękkim skórzanym fotelu na korytarzu dziekanatu czekał pół dnia, spociał się, jakby kopał rowy. Wychodząc, wreszcie rozebrał się, wystawił na chłodny, przyjemny wiatr, odetchnął. Przeziębził się. Pokłócił z Magdą, która wypomniała mu lekkomyślność.

Zepsuł im się samochód; drobna sprawa, mechanik wymienił uszczelkę od ręki. Wyjechał z warsztatu, po kilku kilometrach silnik zepsuł się ponownie; auto zatrzymało się na środku skrzyżowania. Kiedy wreszcie wrócił do domu, kilka godzin później, pamiętał tylko jazgot klaksonów i wstyd, kiedy samotnie próbował zepchnąć pojazd do zatoczki przystanku autobusowego.

Podczas zakupów zablokowała mu się karta płatnicza. Potem działała normalnie. Potem czytnik znów oznajmiał, że transakcja nie może zostać zrealizowana. Zadzwoił do banku, chciał w żołnierskich słowach postawić ich do

pionu i dowiedzieć się, co jest tego przyczyną. Młoda telefonistka nie pozwoliła mu dojść do słowa, przeprosiła, obiecała wyjaśnić sprawę, przesłać nową kartę, zaproponowała zmianę konta na nowocześniejsze, bardziej funkcjonalne. Słuchał; nie miał siły jej przerwać. Po telefonie karta działała jak należy; później znów nie mógł nią zapłacić, a później wszystko było w porządku. Wymienił ją wreszcie na nową. Było jak ze starą. Już nie zadzwonił.

Zatkał im się odpływ wanny, wodę wylało na całą łazienkę, cuchnęło zgnilizną i starą flegmą. Z odpływu wyciągnął wreszcie wielki kłęb zlepionych włosów i trzymając go w ręku, walcząc z torsjami, czując ten straszny fetor, wyobraził sobie, jakby to było wepchnąć go sobie powoli do gardła, szorstki wilgotny splot za splotem, pokonując odruch wymiotny, połknąć go, wypełnić żołądek okropną, martwą tkanką. Woda na kafelkach wyglądała jak zimne, roztopione lustro.

Był zmęczony. Nie przygotował się na zajęcia, wyszedł ze studentami do knajpy. Ktoś mu zrobił zdjęcie, powiesił w sieci, musiał się tłumaczyć przed promotorem. Nie przygotował się na kolejne zajęcia; studentom kazał pracować nad długą partią tekstu, a sam siedział i tępo wpatrywał się w białą, niedawno odmalowaną ścianę. Magda przestała się do niego odzywać. Nie odzywał się do niej i on, nie pamiętał, o co im poszło. Wziął dzień wolnego; potem następny, ale tym razem już nie zadzwonił na uczelnię, żeby się usprawiedliwić. Potem kolejny.

Czasem Magda patrzyła na niego jak na obcego mężczyznę, takim wzrokiem. Bał się tych spojrzeń, zamykał w łazience i przynajmniej się golił. Podczas kolacji ze znajomymi z jej firmy wstał nagle, przeprosił, wyszedł do toalety; kiedy z niej wychodził, nie wrócił już do stolika. Saszetkę z telefonem zostawił na krześle, Magda nie mogła się do niego dodzwonić. Nie zwrócił uwagi, gdzie wtedy wędrował, pamiętał tylko nocne światła miasta i czarne korony dopiero zieleniejących się drzew.

Z pracy wydzwaniali coraz częściej; najpierw przestał odbierać telefony, potem przestał na nie nawet oddzwaniać. Poszedł do lekarza i dostał witaminy; łykał je, liczył pastylki, które wrzucał do ust jak zimne kamyki: trzynasta, czternasta, piętnasta (oddech).

Potem były rzeczy większe. Patrzył czasem w oblicze Ani, kiedy córka wracała do domu, ciesząc się coraz bardziej nadchodzącymi wakacjami i długimi, ciepłymi popołudniami bez szkoły, i przez długą chwilę jej nie poznawał. Pytała go o coś, odpowiadał; pytała go o coś, milczał; Magda krzyczała, nie odpowiadał. Na krótko wrócił do pracy; na urlop czekał jak na lekarstwo na raka; potem przestał czekać. Ustawiona na koncie opcja regularnie odprowadzała wszystkie opłaty za dom i media z grantowych pieniędzy. A on golił się, przykładając nożyk Gillette do

grdyki, i zastanawiał, jak to było, kiedy mężczyźni golili się brzytwą, cienka jak włos krawędź stali kilka centymetrów od aort, taka ciepła i sztywna, na granicy tkanek. Potem przestał się golić, ale o brzytwie myślał dalej; potem zaprzestał i tego. Liczył oddechy; kiedy nie liczył, nie oddychał; więc liczył.

Magda milczała już prawie cały czas, patrzyła tylko tym swoim wzrokiem na jego twarz, blade ręce, koszulkę niezmienną kolejny dzień. Przestał się bać jej spojrzenia.

Zdał sobie sprawę, że wszedł na drogę, z której nie umie zawrócić. Nic się nie zmieniło, chociaż zmieniło się wszystko. Wiedział.

Oddech, oddech.

chmary owocowych muszek

Początkowo próbował się przed tym bronić, walczył z entropią duszy. Postanowił o siebie zadbać. Zmienił koszule na ciut droższe, pilnował, by zmieniać marynarki, dokupił dwie pary włoskich butów. Wyciągnął z biurka zegarek za dwa tysiące, który dostał od ojca, kiedy urodziła się Anna.

Częściej chodził do fryzjera, każąc sobie długo myć włosy i masować skórę głowy, nacierać czaszkę wonnościami i za każdym razem układać nieco inną fryzurę. Wypolerowane paznokcie wydawały się mocne i lśniły jak brylant na czarnym aksamicie. Zapisał się na siłownię; poszedł dwa razy, potem przerwał treningi, ale karnet przedłużał regularnie. Zapisał się na solarium. Leżał na przymykany łóżku z czarnymi krążkami na powiekach, jak okulary ślepeca, w tle leciały najnowsze hity Radia Zet, blisko, prawie niesłyszalnie, buczały lampy UV, i myślał nad tym, jak w rozgrzewających się coraz bardziej komórkach skóry właściwej promieniowanie powoli szatkuje nici DNA, jak mutacje nabrzmiewają, ciepło przenika głębiej w kolejne warstwy ciała, komórki pęcznieją i pękają, tworząc czarne, rakowate narośle na twarzy. Na solarium uczęszczał regularnie, dociągnął do dziesięciu minut w świetlistej trumnie, potem zapomniał, gdzie podziła mu się karta wstępu i nowej już nie kupił.

Sprezentował Magdzie chromowany ekspres ciśnieniowy i pił z niego coraz droższe kawy. Kupował oryginalne pralinki z Belgii i wpychał do ust po trzy, mieszając różne smaki. Zwoził do domu koszyczki owoców liczi i chińskich gruszek, a potem patrzył, jak gniją na chromowanej paterze, nietknięte, coraz bardziej miękkie, chmary owocowych muszek kłębią się nad stalą.

Zaczął się stołować w restauracjach. Najpierw z Magdą; potem sam, wychodząc pod pretekstem spotkań z promotorem i współpracownikami z uczelni; dwa razy z luksusowymi call girl, które wypierdolił beznamiętnie na szerokim łóżku w apartamencie małżeńskim Novotelu; potem z pijanymi dziwkami z dworca, które ruchał w krzakach. Wybierał coraz wymyślniejsze dania, eksperymentował z winami, choć nie czuł różnicy w smaku między jednym kieliszkiem a drugim. Najpierw jadał obficie, dziczyzna w gęstych sosach z endywią i ziemniakami zasmażanymi z czosnkiem. Potem były ryby, sandacz na warzywnym tagliatelle, stek z tuńczyka obtaczany w grubej morskiej soli, podawany na liściach pietruszki i z małymi kuleczkami czerwonego, ostrego ryżu. Potem owoce morza, których zapach go dławiał, potem sałatki, z truskawek, wołowiny i wędzonego sera, i z rzeżuchy i brazylijskich orzechów, skropione octem winnym i podawane na zmrożonych lodowych talerzach, żeby potrawa jak najdłużej była chrupka; na wysokiej szklance wody dodawanej do zamówienia zbierały się drobne krople. Później zamawiał już tylko najdelikatniejsze przystawki, carpaccio z łososia z miękkimi kulkami świeżego pieprzu i kleks *foie gras* na wielkim talerzu otoczony spiralą zielonego sosu chrzanowego; płacił po dwieście złotych za rachunek, dwa razy skubnął coś widelcem i pił drinki w szerokich koktajlowych kieliszkach. Upijał się. Rzygał. Wkrótce nie umiał się nawet upić. Ubrany w garnitur za trzy tysiące, składał zamówienie i patrzył na talerze, nie rozumiejąc, co widzi przed sobą. Jakby jadł papier.

Kupił przez internet dopalacze; aplikował sobie całe opakowanie, a potem budził się po południu, stojąc w kuchni nad kubkiem zimnej, brunatnej lury, albo przytomność wracała w środku nocy, kiedy wchodził do domu, albo w trakcie kolejnej żmudnej kłótni z Magdą. Wkrótce nie pamiętał już, czy zażył narkotyk, czy nie, a zaćmienia umysłu i tak się zdarzały, nie umiał się skoncentrować, budził się na ulicy, daleko na peryferiach miasta, spocony pod gorącym letnim słońcem, i nie potrafił sobie przypomnieć, jak się tam znalazł.

Obserwował swoje ciało. Kiedy nikogo nie było w domu – – najpierw przy takiej myśli chciał dodać „oprócz niego”, ale potem oczywiście dał spokój – wchodził do internetu i oglądał krótkie pornograficzne filmiki, jeden, dziesięć, setka w godzinę, wreszcie przewijał nawet trzyminutowe scenki, byle do orgazmu, nasienie na skórze, oczy z rozmazanym tuszem skierowane prosto w obiektyw, rozchylone, wilgotne usta, jak rana. Szukał scenek kręconych przez amatorów; na ziarnistych pauzach wpatrywał się w twarze wykrzywione prawdziwym szczytowaniem, jakby chciał w nich wyczytać coś, czego już nie wiedział, co zostało mu odebrane. Onanizował się do znudzenia, jak w liceum, kilka razy trafił

na filmiki z czerwonymi plastikowymi kneblami i mechanicznymi urządzeniami rytmicznie sztancującymi skrępowane kobiety, którym z kącików zakneblowanych ust ciekła rzadka ślina; chciał je wyłączyć, nie potrafił. Nie umiał potem wyrzucić tego obrazu spod powiek i przynajmniej obrzydzenie było jego małym sukcesem. Potem znieczulił się i na to, dusza odrętwiała.

Zdradził znów Magdę, raz, potem drugi; za pierwszym razem było to ekscytujące, poczuł dreszcz podniecenia – nie kobiecym ciałem, ale tym, co robi – i pogardy względem siebie; to było dobre. Potem i to minęło; pierdolił dziwki jak na rozkaz, rozrzucał im szeroko nogi, aż do bólu, wkładał palce tak głęboko, jak mógł, jeden, dwa, trzy, próbował całą rękę, obracał je na brzuch i owijał włosy na dłoni, i ciągnął, aż słyszał zduszony charkot, kiedy już nie wytrzymały. Coraz trudniej mu było utrzymać erekcję, ale i to odnotował raczej jak obserwator, jakby widział na ekranie cudze życie, przez mikroskop przyglądał się nieruchomym i sztywnym związkom wodoru i węgla.

Kochał się z Magdą, przypominał sobie filmy, na których bohaterowie byli względem siebie czuli i delikatni, i starał się odgrywać te sceny. Ale zapominał coraz więcej. Patrzył na Anię i zastanawiał się, czy zetknęła się już z narkotykami i jak będzie wyglądał jej pierwszy raz (oddech). Oglądał filmiki z dziewczynami niedużo starszymi niż ona, dziesięć, dwadzieścia, sto przez godzinę, i myślał o ich ojcach. Wyobrażał sobie, że to ona jest na nowym, płaskim ekranie monitora; nie podniecał się, nie czuł złości – sprawdzał, czy poczuje cokolwiek – nie czuł nic. Potem zapominał, że o tym w ogóle myślał i zaczynał wszystko od nowa.

Skoro rozkosz okazała się jałowa, spróbował dotrzeć do siebie przez ból; najpierw swój. Smutek zawsze wydaje się bardziej dojmujący niż radość, jakby był prawdziwszy; narkotykami oszukasz receptory szczęścia, ale to rozpacz informuje cię, że powróciłeś do prawdy. Zaczął się okaleczać.

Nigdy nie palił papierosów; zaczął palić. Świat skurczył mu się do najmniejszego możliwego promienia; gdyby istniała fizyka duszy, na tych wielkościach opierałyby się wszystkie jej podstawowe wzory. Solipsyzm jak czarna dziura, z wnętrza której możesz dostrzec tylko to, co znalazło się już pod horyzontem zdarzeń. Tymczasem papieros tlił się na brzegu kuchennego stołu, dym w powietrzu, popiół na podłodze, mocny, czerwony żar w ciemności, jak jedyne źródło życia w martwym pomieszczeniu, a on zastanawiał się, kiedy się jeszcze zastanawiał, w którym miejscu blizn nie zobaczy żona. Nie było takich miejsc; przestał o tym myśleć. Przypalił się na przedramieniu, wysoko, tak żeby schować ślad pod koszulę; potem na brzuchu, z boku, oparzelina szybko nabrzmiała płynem surowicznym, zrobiły się bąble, po których zostawały brzydkie, sine blizny. Już

wkrótce miał takie po wewnętrznej stronie ud, na łydkach, na piersi; stygmaty ognia. Skóra między palcami wydawała się najdelikatniejsza, bolało najdłużej. Spróbował z genitaliami. Pilnował się, żeby z tym nie przesadzać, w końcu mogli go zamknąć w zakładzie specjalnym. Najpierw bolało i było dobrze; potem przestało. Łykał witaminy. Próbował zapamiętać, co przydarzyło mu się poprzedniego dnia. Ból, ten swój, przestał wystarczać.

W łóżku po stronie Magdy wysypał kilka okruchów sucharów; niezbyt dużo, żeby nie zorientowała się za szybko. Specjalnie wybrał dzień, po którym musiała iść do pracy. Tej nocy położył się obok niej, wcześniej, nie tak jak zazwyczaj. Czekał, aż zaśnie, aż zacznie się wiercić przez sen, aż wstanie, zacznie otrzepywać pościel, aż się położy, znów wierząc się, nie mogąc zasnąć; doczekał się. Rano Magda wyglądała gorzej niż zwykle w ostatnim czasie, miała szare, podkrążone oczy i suchą, napiętą chorobliwie skórę. Spoglądał na nią beznamiętnie, bez cienia uczuć, nic w nim nie drgnęło. Kiedy złowiła jego wzrok, przez chwilę wpatrywała się w niego uważnie, ale nic nie powiedziała.

Z tubki pasty, której używała jego córka, wycisnął pasek białej mazi, wymieszał go z własnoręcznie utłuczonym szkłem, jak żelazisty puder, drobne opiłki wciąż pulsowały pod opuszkami, wepchnął go z powrotem do tubki, nakładając małe porcje patyczkiem higienicznym. Następnego ranka wstał bardzo wcześnie i siedząc w kuchni, nasłuchiwał odgłosów z łazienki, kiedy Anna już do niej weszła. Nie usłyszał nic, oczywiście, ale nie musiał, wiedział. Wyobrażał sobie krwawiące, jątrzące się przez długie tygodnie dziąsła.

O trzeciej nad ranem dzwonił domofonem, długo, do wszystkich mieszkań z ich klatki; szukał zebrzących pod marketami starych Cyganek, a potem lżył je po cichu, kiedy nikt nie patrzył, podchodził blisko i wyzywał zimnym głosem, wróżył im śmierć nad stojącymi obok w długich wężach pustymi wózkami na zakupy, wielkimi jak metalowe, nieruchome zwierzęta, i patrzył, jak szybko zaczynają przeklinać, bluzgać roztrzęsionym głosem, a w końcu wrzucał do kratek ściekowych garści monet, dziesiątki jedno- i dwuzłotówek, które specjalnie rozmienił w tym celu, i kazał im się rozbierać, jeśli chcą choć jedną, wsadzać je sobie w różne otwory ciała. Żadna się nie zgodziła i żadna się nie rozpląkała. Największym żulom kupował butelki z nalewkami, a potem denaturatem, i kiedy prawie całowali go po rękach, zaślinionymi, trzęsącymi się ustami, kazał im wypijać je na raz, tu, przy nim, bez oddechu, a potem patrzył, jak skręcali się pod żywopłotem, jak puszczały im zwieracze i jak wymiotowali.

Wreszcie zabił. Spokojnie, metodycznie, na zimno, wolno prowadząc rękę i ważąc każde pociągnięcie ostrza, małego chirurgicznego skalpela. Była noc,

ciemne pola wokół, specjalnie tu przyjechał, krew była czarna, cuchnęły treści jelitowe, gałka oczna wydawała się twarda i pękła dopiero, kiedy ją porządnie naciął, umierające ciało pulsowało. Kot miauczał jak zarzynane niemowlę, ból musiał być potworny; dachowiec podrapał mu strasznie dłonie, prawie się wyrwał, ale wreszcie stracił siły, nie umiał już nawet gardłowo, jękliwie miauczeć. Ten dźwięk, tak nieludzki, został z nim na długo, ale to też nic nie dało. Bałby się siebie, gdyby potrafił się jeszcze siebie bać.

Następnego dnia odeszła od niego żona i zabrała dziecko. Potem dostał informację, że uczelnia ostatecznie wypowiedziała mu umowę. Od dawna już był sam; teraz wreszcie także sam został. Nie odetchnął, nic się nie zmieniło, choć zmieniło się wszystko.

Kiedy skończyły się witaminy, nie kupił już nowego opakowania, przestał je łykać. Liczył oddechy; kiedy nie liczył, nie oddychał. Czasem, nocą, przestawał liczyć i leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w nieprzeniknioną, gęstą jak woda ciemność.

on natomiast naprawdę wiedział, kiedy to się stało

Niektórzy mówią, że wiedzą, kiedy ich życie zaczęło się łamać, zapytani, potrafią przypomnieć sobie kolor koszuli, którą wtedy mieli na sobie, natarczywy dźwięk dzwonka tramwaju na przejściu dla pieszych, zwiastujący plagę, twarze przechodniów, smak smogu. Po czasie, wiele lat po klęsce, jak na cofającym się filmie w skupieniu rekonstruuja wydarzenia do momentu zero, śledzą ślady pęknięć do samego epicentrum, w którym tąpnęło życie. Ci kłamią; stawiają wiotkie konstrukcje, obudowywane przez lata setkami żali, żeby łatwiej było im przełknąć groźę przemijania, bezwzględność życia, zimny majestat świata.

Inni budzą się wiele lat po wszystkim, skazani na zagładę, po tym jak egzekucja losu już się dokonała, i nie mogą się nadziwić, kiedy tak się stało, jak dożyli ranka, gdy już są przegrani. Ci też kłamią; przekonują samych siebie, że nigdy nie stanęli na rozdrożach, gdzie splatają się życia, nigdy się nie zatrzymali, nigdy nie wybrali.

On natomiast naprawdę wiedział, kiedy to się stało; przed sobą nie kłamał.

Wieczór, koniec zimy; w powietrzu już czuć zmianę. Kolacja z okazji domykania kolejnego grantu; koszula ze spinkami, drogi krawat, dużo wina; jej uśmiech, jej suknia, czerwona jak rana. Apogeum na wykresie życia. Kiedy wychodzą z restauracji, jest już ciemno, jest późno, powietrze jest zimne, powietrze

jest dobre, całą drogę powrotną usłano światłami. Już w domu szklanka wody, Magda pod prysznicem, rozluźniony krawat.

Stał przed balkonem, przed ciemnym lustrem szyby, w którym widział swoje widmowe odbicie, i popijając drobnymi łykami, myślał o tym, jak będą się zaraz kochać, wolno, gryząc się w ramiona, z oddechami pachnącymi winem, mocno ugniatając piersi, z twardą wolą życia, z wielką mocą życia, jak będzie jeździł językiem po wnętrzu jej dłoni i mówił ciepłym szeptem, żeby się uniosła na kolanach.

Z łazienki słyszał szum puszczonej wody, potem stłumiony odgłos kosmetyków opadających na nieckę prysznic, ciche przekleństwo, brzydkie, z prawdziwą złością, i wreszcie wybuch śmiechu; strumień wody nieustannie spływał śliskimi od mydła zagłębieniami ciała. Woda w szklance była zimna, trzeźwiąca, taka, jaką lubił aż do tego wieczoru. Patrzył na nieruchome osiedle, ciche, nocne bloki. Wyszeptał imię demona. Nic się nie stało. Wyszeptał po raz drugi, choć już nie musiał, wyszeptał po raz trzeci, jak na filmie, patrząc w przezroczyste oczy odbicia, przez które widział martwe, ciemne miasto. Nic się nie zmieniło, zmieniło się wszystko; potem w to uwierzył.

Kiedy myślał o tej nocy – a zapominał coraz więcej – ciągle czuł strach i smak jej ciała.

Oddech.

nocami śnił

Nocami śnił sny niewolników.

Tysiącletnie królestwa, tysiącletnie dynastie, zastępy wasali. Długi wąż poddanych ciągnie się po horyzont, maszerując w łachmanach, znosząc wciąż nowe dary. Tron; on na tronie; pod tronem branki. Nałożnice w zwiewnych, przezroczystych szatach, sutki ciemne i małe, ale też jasne i różowe, jak skóra dziecka, rozlane wielką plamą. Ciała śniade i twarde, i pulchne, i białe; pierścienie na palcach dłoni i stóp. Zastępy wojowników zakutych w brąz; hełmy z czerwonymi grzebieniami zasłaniają twarze. Skinie ręką, mężczyźni korzą się przed nim, oddają mu swe dusze; skinie głową, kobiety łaszą się do stóp, oddają swoje ciała. Na policzkach każe nakłuwać im ciemne tatuaże.

Gdy nie ma buntowników, jest zły; szuka ich; oczywiście znajduje. Lubi gest sprzeciwu, wtedy może karać. Wybacza całym wioskom; całe wioski pali. Wszystkim mężczyznom z rodu każe odjąć ramię; dzieci rzuca psom; kobiety

zniewala. Przychodzą do niego delegacje starców; patrzy na załzawione oczy, plamy wątrobowe, brzydką, wiotką skórę; on nigdy nie będzie taki stary. Słucha ich z wysokości i przychyła się do próśb; każe rozkuwać całe galery, cofa wojska spod chylących się do upadku miast. Lubi złoto; ma złoto. Kocha władzę; ma władzę. Cieszą go ludzkie zwierzęta; ma ich całe stada. Twardy, ogromny, mógłby spółkować całą noc; spółkuje; kobiety krzyczą w ekstazie, płaczą, kiedy je odprawia.

Poluje z oszczepem na lwy; wilki podchodzą pod wysokie bramy jego miast; zakazał do nich strzelać, chce, żeby widzieli, co się z nimi stanie, jeśli zburzą mury, otworzą wierzeje, przestaną mu się kłaniać.

Jest panem ich życia i śmierci, kańczuga i strawy; na oficjalnych wizerunkach, jak bóg, w jednej ręce trzyma knut, w drugiej bochen chleba, złoty, promienisty, jak słońce, świeżo wypiekany.

Kapłani mówią mu, kiedy w środku dnia zaćmi się słońce; zbiera lud na polach, każde mu na to patrzeć. Mówi, że to tylko ruch gwiazd po nieboskłonie, prosta ludzka sztuczka, żeby ich omamić. Klękają, strwożeni, bijąc mu pokłony.

Każe ich łaskawie, nagradza hojnie, nad zasługi, w gniewie jest wytrwały. Czasem ich zabija, bez przyczyny, bez widzów, przed nikim nie musząc grać i niczego udawać; nie sprawia mu to przyjemności i nie sprawia żalu; nie potrzebuje tego, ale tak czyni, nawet nie dla cudzego strachu. Bo ma taką władzę.

Poddani nie mogą bez niego żyć, więc zaczynają go kochać; zna każdy ich oddech i wszystkie obawy. Nad wszystkim sprawuje pieczę. Zakazał składania sobie ofiar całopalnych. Gwiazdy i planety krążą po orbitach, które im ustalił.

Budzi się, sam, daleko, spocony i taki mały.

początkowo szło mu bardzo opornie

Kiedy przestał żyć normalnie, zaczął swoje życie opisywać. Nie tłumaczył sobie, że pomoże mu to wszystko zrozumieć – rozumiał wszystko, a przynajmniej tak mu się wydawało – że w ten sposób coś sobie wyjaśni, jakoś wytłumaczy. Ale był humanistą z wykształcenia, czytał dużo książek, na studiach i przed ślubem nawet trochę pisał, w większości do szuflady, więc teraz takie działanie wydało mu się naturalne. A zatem wstawał – o świcie, w południe, o trzeciej nad ranem – i pokrywał maczką pisma kolejne kartki do drukarki wyciągnięte ze świeżo rozerwanej ryzy, której pryzma piętrzyła się w schowku na korytarzu.

Nie planował prowadzić dziennika, ale też nie potrafił o tym myśleć jak o opowiadaniach. Nie miał wątpliwości, to były teksty złe; za dużo miał w nich epitetów i kwiecistych porównań, za mało bohaterów i ważnych wydarzeń; nie przykładał wagi do fabuły, dialogi prowadził tylko sam ze sobą; ale pisał.

Początkowo szło mu bardzo opornie, jakby wkraczał na zupełnie nowy teren, musiał uczyć ciało fizyki nieznanymi krainami. Jakby mógł tym kogoś okaleczyć, zmienić coś, przekształcić, bez możliwości odwołania. Ten ciężar nie przeminął, wkrótce jednak, pisząc, zaczął odczuwać perwersyjną przyjemność, zapełniał kolejne strony, nie mógł już się uwolnić od notowania.

Pisał tylko o sobie, ale w osobie trzeciej, jakby pisał o kimś obcym; wymyślanie fikcyjnych przygód fikcyjnych bohaterów w nieprawdziwych światach uważał jednak za czynność dziecięcą i niepoważną, nawet teraz, kiedy nie mógł narzekać na brak czasu. Ale choć pisał o sobie, zaczął od opisu wyglądu bohatera. To był opis długi, nieciekawym, taki, w którym zawsze na początku grzęzną słabi pisarze, niemający nic do powiedzenia o sobie i o innych; oczywiście o tym wiedział, ale mu to nie przeszkadzało. Najpierw wygląd zewnętrzny: przerzedzone, dawno niestrzyżone włosy, okrągła twarz, teraz poszarzała; zapadnięta klatka piersiowa, na niej kilka kępek brzydkich siwych włosów; brzuch biały, napięty jak u ryby, jak balon lub piłka; krótkie nogi, mocne łydki, poznaczone bliznami; stopy nieproporcjonalnie małe, z wielkimi, nieobcinanymi paznokciami. Potem charakter, portret psychologiczny bohatera; z tym było trudniej. Ale jak z opisem wyglądu, i tu znalazł sposób: opisywał siebie takim, jakim był, ale też trochę gorszym niż w życiu, mniejszym niż naprawdę. Był brzydszy, ale nie za brzydki; słabszy, ale nie za słaby. Mniej cierpliwy, mniej zdolny, bardziej chorowity, nieco zbyt otwarcie pielęgnujący swoje wady. Nie chciał przesadzić – nie mógł przesadzić, sobie już nie kłamał – ale taka zemsta ręki śmiertelnej wychodziła mu coraz lepiej, w obnażaniu swojej ohydy znalazł szybko upodobanie.

Kusił los. Opisywał swój dzień jak najbardziej realistycznie, a potem dodawał element obcy, jak cień, jak plama pleśni na powierzchni owocu, coraz większe nieszczęścia, które mu się przydarzały. Ponieważ odkąd zaczął pisać, zaprzestał wieczornych szaleństw, po prawdzie niewiele miał do relacjonowania; nie przeszkadzało mu to. Opisywał wyjście z domu, spacer do sklepu, wypadek samochodowy na pasach, krew na asfalcie zmieszaną z rozsypanymi monetami.

Opisywał siebie, jeszcze dokładniej, całe swoje życie, to, co w nim zapamiętał, tylko teraz wzbogacone o nieszczęście, jeśli mógł sobie pozwolić na taki oksymoron (mógł; oddech), całe swoje życie, w którym teraz umierał na śmiertelną chorobę; w którym umierała Magda; w którym chorowała Anna; w którym

zostawał bezdomnym, okaleczał cudze dzieci, wszystko się rozsypywało. Testował świat. Opisywał swój dzień, potem pożar w mieszkaniu; kładł się do łóżka, kiedy odłożył już papier, i czekał na płomienie; zasypiał, nic się nie działo. Jego bohater przeżywał zatrucia pokarmowe, miał czyraki w pachwinach, wypadały mu zęby, pił wódkę – on nie pił – i krwawił wszystkimi otworami ciała.

Żeby jakoś sobie z tym poradzić, on bis, on z tekstów, on dwa, też zaczął pisać swoje opowiadania; też pełne chorób i niegodziwości, jeszcze gorszych; bez dialogów, bez puent, bez nagłych zwrotów akcji. Umierali teraz obaj pomiędzy słowami, katowali się i umartwiali, pokutowali i buntowali wobec świata, jedynym ostatecznym buntem, który pozostaje, kiedy odebrana zostanie już wszystka moc działania.

Nic się nie działo, nie zmieniło się nic, kiedy zmieniło się wszystko. Uśmiercał się na dziesiątki sposobów, wyszukiwał najróżniejsze choroby i kazał sobie z tekstów, sobie dwa, przeżywać ich trwogę i bezradność; próbował przesunąć granicę światów, zasypiał i budził się z niepokojem, obmacując węzły chłonne, sprawdzając barwę białek oczu, nasłuchując szumu tętna, z którym nic się nie działo. Czekał, aż zachoruje także w życiu, aż los nie wytrzyma, a świat stanie w miejscu, zlituje się nad zdetronizowanym panem. Napisał o tym, że wygrał wielką sumę w totolotka, że Magda do niego wróciła, że odzyskał życie. Wysłał pięć kuponów; znów nic się nie stało.

Beznamiętnie wymyślał kolejne tortury, które mogły mu się przytrafić, ale już się nie bał; i to było najstraszniejsze. Zamykał oczy, liczył oddechy, pisał; kiedy nie liczył, nie oddychał; ale pisał i liczył, już się przyzwyczaił.

znów zasypiał

Zasypiał, budził się, znów zasypiał; miewał sny ofiary.

O upokorzeniu i wstydzie, o niszczeniu woli. Zamknięte pokoiki bez okien i rozległe place apelowe (głowy jak oddechy; liczy), szkolne ławki i boksy w pracy. Krzyk; ale też cisza. Ból; ale też brak bólu, oczekiwanie na ból. Głód; o braku głodu nie śnił. Resztki wygrzebywane ze śmietnika, walka kobiet przy baniakach z wodą, razy drewnianych pałek spadające na głowę jak grad albo okaleczone, ślepe ptaki. Klamry pasków czerwonych od wódki mężczyzn; słowa słabości sączone przez kobiety, które zawsze chcą więcej, niż dostają; strach przed podległością u mężczyzn; strach przed samotnością, choć to i tak już się dokonało.

Rozpalone żelazka, długie igły, krótkie noże, czerń lufy nagana; sportowe buty na gumowej podeszwie wieczorem, w cieniu bramy. Wstyd, wstyd, poczucie wstydu, które aż dławi (budził się pomiędzy snem a snem i nie mógł liczyć); słabość; chęć zmiany i zadowolenie z siebie z powodu tej decyzji, i strach przed tą zmianą. Kłamstwa o własnej potędze, dla siebie i dla innych, ale przede wszystkim dla siebie. Myśli o braku wstydu, myśli o braku lęku, a przynajmniej o pełnym trzosie, który pozwala opłacić celników na rogatkach zadżumionego miasta i lekarzy na oddziale onkologicznym, ślepych hegemonów losu; myśli o mocnych ramionach, które będą umiały odbić cios, i o łączących słowach, które będą umiały odpowiedzieć na obelgę, zadać taki sam ból. Myśli o zemście.

O wąskich ostrzach rysujących wolno cienkie jak włos wzory na skórze katów; o czarnych od sadzy piętnach, znakujących znienawidzone twarze, wypalające oczy. Żeby już nikt nigdy z nikim ich nie pomylił. O ciężkich kamieniach rozbijających głowy w chwilach czerwonego szaleństwa, obłąkanych oczach, wyszczerzonych zębach (to uśmiech triumfu, choć nie wyzwolenia). Długopisach do parafowania umów, wbijanych w dłoń na biurku; szkolnych krzesłach unoszonych nad głowy, zatraskiwanych na palcach drzwiach od szatni, a czasem o rodzicach z zimnymi oczami mścicieli, którzy biją szkolnych prześladowców, ich rodziców, rzadko nauczycieli, zawsze wygrywają. O odcinanych członkach; o odcinanych rękach, które obmacywały ciebie i twoje dziecko; o dożywociu w więzieniu i gwałtach w kłębach pary.

O czułych mężczyznach, jeśli w śnie był kobietą tak, jak ją sobie wyobrażał, którzy pozwolą zapomnieć i nigdy już nie dadzą jej skrzywdzić. I o czułych kobietach, jeśli był sobą, które pozwolą udawać, że znów stał się mężczyzną i panem.

Budził się przerażony, zdławiony wstydem, spocony, sparaliżowany niemocą, ogromem świata, który nie pomaga; taki bezradny i mały.

za oknem było ciemno

Pisał o sobie bis, o sobie dwa, tym z papieru, który pisze o swoich najdawniejszych lękach, prawdziwych i wyimaginowanych; spróbował cofnąć się jak najdalej.

Miał może trzy, może cztery lata, kiedy po raz pierwszy spotkał się z nieznanym. Kiedy był niegrzeczny, rodzice czasem straszili go Czarną Łapą, która pojawia się nocą, na oknie, po drugiej stronie nieprzeniknionej szyby,

i zaczyna w nią skrobać grubymi, połamanymi paznokciami. Czasem żartowali o Dziadzie, jeżdżącym cygańskim wozem wypełnionym workami, w których wiązuje niedobre dzieci. Później, kiedy sobie przypominał te historie, śmiał się, lubił ten dreszcz bezpiecznego przestachu i fascynacji, który pojawił się po latach, ale i tak wciąż wyobrażał sobie parciane worki wypełnione nieruchomymi, zimnymi ciałkami. Straszili go Skórkarzem; kiedy słyszał tę nazwę, nie musiał nawet sobie wyobrażać, co się za nią kryło – nawet gdyby musiał, nie umiałby tego zrobić – tylko z bijącym sercem zjadał mleczną zupę i bez sprzeciwu dzielił się z innymi dziećmi zabawkami.

Kiedyś obudził się w środku nocy, u siebie, na piętrze; w domu panowała obezwładniająca cisza. Po latach zastanawiał się, czy to nie był sen; wtedy się nie zastanawiał. Wstał z łóżka, włożył kaptcie, stanął przed przymkniętymi drzwiami. Pomyślał, że musi do toalety. Musiał, to prawda, ale kiedy chciał, wytrzymał już większy ból pęcherza; nie to go wzywało. Za drzwiami czaiło się złe, złe, złe się czaiło za drzwiami.

Podciągnął spodnie, wąskie nogawki w księżyce ponad drobnymi kostkami, włożył za gumkę górę od piżamy. Nie słyszał ani dźwięku telewizora na parterze, ani chrapliwych oddechów z sypialni rodziców, znaku, że już śpią. Za oknem było ciemno; martwa, ciężka cisza. Wiedział, kto na niego czeka, czai się za drzwiami.

Zrobił krok; ciało niosło go samo; chciał krzyknąć, nie mógł; przerażenie w gardle i ciepła plama, taki wstyd, rozlewająca się pomiędzy nogami. Krok do drzwi, ręka na klamce; chciał wrzeszczeć, wydusić z siebie choć szept, obudzić się, zawołać mamę; na twarzy pojawił się tylko krzywy uśmiech, wąski, złośliwy, okrutny, jakby zrodzony na obcej twarzy.

Nacisnął klamkę, bezgłośnie szczęknął zamek. Huk tętna w uszach, zdławione gardło, największe przerażenie świata, największe zło i okrucieństwo; wiedział, co zastanie za drzwiami. Ramię szarpnęło. Korytarz; pusty. Cisza. Kolejne drzwi na końcu korytarza. To tam czekał Kapelusznik, z tą swoją okaleczoną dłonią i twarzą.

Nie wytrzymał. Wskoczył do łóżka, zamotał się w kołdrę jak w kokon, zamknął oczy, zwinął w kłębek, brudny, z zimną plamą na spodenkach, cały rozedrgany.

On z papieru, on w jego opowiadaniach, on dwa opisywał dalej.

Trzecia klasa liceum; wakacje, staw za miastem; samotne eskapady. Jeździł tam rowerem, za dnia z kolegami. Te wyprawy zapomniał; zapamiętał te nocne. Wchodził wtedy do wody, sam, pod niebem czarnym, z Księżycem w nowiu, z pustką nieskosszonego pola i odległą linią lasu za plecami. Wybierał takie zejścia, przy których starsi uczniowie albo bezdomni nie palili ognisk; wokół panowała

cisza. Bał się. Gęsia skórka na przedramionach i na karku, drobne fale liżą stopy na zimnym, brudnym piasku.

Wchodził w toń wolno, rozcinał ciemność, zanurzał się po cichu, prawie nie chlapiąc; wypływał daleko, rozpychając wodę równymi, mocnymi pociągnięciami. Ciemności wokół gęstniały. Był sam, sam jak nigdy. Rozglądał się; nie widział brzegu; unosił głowę; nie widział nieba; zawisał w wodzie, utrzymywał się na powierzchni, rozgarniając fale dłońmi, zataczając kręgi; kilkanaście metrów zimnej głębi pod stopami. Nabierał wtedy powietrza i nurkował, jak najniżej, jak najdalej.

Ciało przecinało kolejne warstwy wody; ciepłą przy powierzchni, ta kończyła się szybko; potem nieco chłodniejszą, przemieszaną za dnia; wreszcie najzimniejszą, jednolitą, która już go nie opuszczała; czuł uderzenia krwi, w uszach pulsowało. Wtedy otaczała go największa z ciemności, zimno grobu, cisza śmierci. Wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby jednak otworzył powieki, co by zobaczył. To była stara poniemiecka glinianka, w najgłębszym miejscu mająca ponoć trzydzieści metrów; mówiono, że kiedyś zatopiono tu czołg, kolumnę radzieckich jeńców, zamordowaną przez ojca córkę partyjniaka. Czy w nieprzeniknionej czerni zobaczyłby zagrzebany w mule wrak ciężarówki, przegniły od rdzy, rozpadający się pod palcami? Ludzkie kości? Obgryzione przez ryby, obłazące z mięsa twarze, fosforyzujące białe, przepływające w zimnej toni tak blisko, usta w usta, na odległość pergaminowej skóry powiek? Wielkie cielska prehistorycznych istot z łbami osłoniętymi jeszcze kostnym pancerzem, kłębiące się w wodorostach wielkich jak drzewa, podwodne lasy?

Nurkował, do granic wytrzymałości, aż pęka głowa i płuca, i wyciągał ręce, po omacku, przed siebie; zastanawiał się z przerażeniem, czego zaraz dotknie, w czym zatopi dłonie, co muśnie mu skórę i zniknie, i czy rzeczywiście jest tam sam, w tej czerni najgłębszej, chłodzie aż do granic. Jak śmierć; jak umieranie.

On z papieru, on w jego opowiadaniach, on dwa, opisywał dalej.

Powoli kończył studia. Praca nad magisterką szła mu tak żmudnie, jakby przetaczał lodowiec, poznał już Magdę, zbliżała się wiosna i zajmował się wtedy innymi sprawami. Trochę pisał; zastanawiał się nawet, czy mógłby z tego uczynić sposób na życie. Trochę pił; wychodził wieczorami pod akademiki, po napisaniu trzech akapitów dysertacji na brudno, ręcznie, w czasach sprzed komputerów osobistych i sieci, w której takie prace jak jego mógł teraz kopiować gigabajtami; zawsze spotykał kilku takich jak on. Rozpijali wtedy butelkę, kupioną późno, o drugiej w nocy, rozpijali szybko, na trzech, z plastikowych kubeczków, zagryzając wódkę słonymi paluszkami, i rozmawiali. Wracał potem do łóżka we wspólnym pokoju, kładł się w ciuchach i tak budził, dopiero nad ranem mając

wrażenie, jakby nocą powiedział za dużo, wypreparował duszę do najbardziej osobistego nerwu, rozebrał się z ciała. Było mu głupio i czuł wstyd, przynajmniej do wieczora i kolejnej fałszywie radosnej butelki pod akademikami. Nie opuszczało go wrażenie, jakby dotarł do krawędzi, punktu granicznego, miejsca, za którym czeka go zmiana; nie wiedział tylko, na co się zdecydować, którą alternatywną przyszłość wybrać.

To było nocą, wracał na uczelnię od rodziców po przerwie wielkanocnej; jechał przez las samochodem sprezentowanym mu przez dziadków, ciemne drzewa, kamienny szpaler, ciągnęły się przez długie kilometry, droga prawie nie zakręcała. Bolała go głowa, bolały oczy, zmęczone od ciągłego wpatrywania się w ciemność; przez całe święta nie mógł się dodzwonić do Magdy, to było jeszcze przed epoką telefonów komórkowych i komunikatorów gg. Nie wiedział, czego chce, i nie umiał się do tego przed sobą przyznać. Nawet hamować zaczął za późno, już widząc zbity kształt na drodze, wyławiany z cieni słabymi reflektorami. Zatrzymał się kilka metrów przed zwierzęciem; kiedy o tym później myślał, wiedział, oczywiście, że nie mogło być inaczej.

Ptaka stał na drodze; duży, ogromny, potężny; czarny. Śliskie pióra mieniły się najgłębszym granatem, jak chitynowe pancerzyki owadów. Spróbował uspokoić oddech, opanować nerwy; zatrąbił raz, drugi, pospiesznie, jakby nie chciał prowokować czegoś, co mogło im się przypatrywać spomiędzy drzew; zwierzę ani drgnęło. Wielki, masywny dziób; obła głowa; długa szyja; mocny korpus z malutkimi, przylegającymi do tułowia skrzydłami. Nogi były wysokie, bezpióre, pokryte łuską; szpony jak noże, zakrzywione, wczepione pewnie w rysy w spękany asfalcie. Nigdy nie widział takiego stworzenia.

Zatrąbił raz jeszcze, podjechał, zrywając na biegu, żeby je przestraszyć. Ani drgnęło. Poczul się nieswojo. Ptak patrzył wytrwale, pomiędzy światłami, oczy jak guziki, płaskie w mocnym świetle. Pierwsze skojarzenie było absurdalne, ale nie umiał przed nim uciec: patrzył prosto na niego. Przestraszył się. Zastanowił, czy w schowku nie znajdzie czegoś, czym mógłby zwierzę przegonić. Kiedy tam sięgał, nie umiał oderwać wzroku od lśniącej, nieruchomej plamy.

Nacisnął klakson jeszcze raz, bez przekonania; wzdrygnął się; dźwięk był nieprzyjemny, jakby płakało dziecko, wykrzykiwało skargę wśród lasów. Nie chciał wyjść; wyszedł. Chciał przegonić ptaszysko, przyglądające mu się beznamiętnie, teraz już bez żadnych wątpliwości śledzące każdy jego krok; nie udało mu się, choć pohukiwał niepewnie przez zduszone gardło, zamachał rękami. Wokół noc, zimne światło reflektorów, silnik buczący na jałowym biegu, nieruchomy opar pomiędzy drzewami. Przestraszył się, irracjonalnie, uczuciem dusznym i w jednej chwili

oblewającym gorącą falą całe ciało; wrażenie było coraz mocniejsze, przerażenie narastało. Ale wiedział, że nie mógłby już wrócić do samochodu. Czekał.

Zwierzę wyprostowało wygiętą esowato szyję; było duże jak na ptaka, za duże; teraz sięgało mu prawie do piersi. Odwróciło się, przeszło kilka kroków, wysoko unosząc nogi, jak wytrawny biegacz po sawannie, znów się odwróciło, spojrzało w jego stronę.

Po wszystkim przekartkował lokalne atlasy ornitologiczne, sprawdził wizerunki każdego z ptaków występujących w Polsce, wreszcie przez wiele tygodni przeglądał wszystkie zdobyte albumy z ptactwem świata; na żadnym go nie znalazł. Bał się tylko zaglądać na ryciny ze zwierzętami wymarłymi, pogrzebanymi w popiele i lodzie, tymi sprzed setek tysięcy lat, sprzed milionów dekad, kiedy czas był jeszcze młody; nie dlatego, że i tam mógł go nie odszukać, ale właśnie z powodu tego, co mógł na nich znaleźć.

Zwierzę otworzyło dziób do głuchego skrzeku, a on w tej chwili przestraszył się jeszcze bardziej, reakcją czysto zwierzęcą, odwrócone białka chroniące źrenice i adrenalina raz za razem wytryskiwana w żyły, orgazm strachu. Nie mógł usłyszeć tego dźwięku, wiedział o tym, nie mógł w żadnym wypadku, tak brzmi dźwięk zapowiedzianej śmierci albo nieodwołalnej zmiany, ale też pragnął go usłyszeć za wszelką cenę, chciał pójść za totemicznym przewodnikiem, zniknąć w czeluściach lasu.

Zamknął kurczowo powieki, przycisnął pięści do uszu; silnik burczał jałowo. Otworzył wreszcie oczy; wokół nie było nikogo. Wsiadł do auta, nie wiedząc, czy powinien czuć wstyd, czy ulgę (wiedział co, skoro zadawał sobie to pytanie). Odjechał; nic się nie stało. Po miesiącu Magda, bardzo odważnie jak na tamte czasy, zaproponowała mu wspólne zamieszkanie. Zgodził się, oczywiście; ale wciąż zastanawiał się, co by się wydarzyło, gdyby jednak tamtej nocy porzucił utartą ścieżkę, zszedł w niepewność cienia, podążył za leśnym ptakiem.

On bis, on dwa, on z papieru, opisywał dalej.

długie igły, krótkie noże

Miewał sny katów.

O upokorzeniu i wstydzie, o niszczeniu woli. Zamknięte pokoiki bez okien i rozległe place apelowe, szkolne ławki i boksy w pracy. Krzyk; ale też cisza (ta boli najbardziej). Ból; ale też brak bólu, obietnica zabawy.

Resztki wyrzucane do śmietnika, walka czarnych kobiet przy baniakach z wodą, gładki dotyk drewnianych kijów w dłoni, razy zsyłane na głowy jak grad albo okaleczone, ślepe ptaki. Klamry od pasków, przyjemnie ciężkie; słowa pogardy, dokarmianie strachu. Rozpalone żelazka, długie igły, krótkie noże, czerń lufy nagana; sportowe buty na gumowej podeszwie, wieczorem, w cieniu bramy. Uczucie obrzydzenia, kiedy taki wielki, taki silny, krąży z chrzęstem rozdeptywanych ciał pomiędzy ludzkimi robakami. Myśli o braku wstydu – nikt na jego widok nie podniesie oczu, żeby mógł się w nich przejrzeć; o braku lęku – to on wzbudza lęk (strach jest tylko przed zwierzchnikami); o pełnym trzosie, za który dziwki pozwalają mu się bić i jeszcze obsypują go pełnymi uwielbienia zapewnieniami. Myśli o mocnych ramionach i o lżących słowach. Myśli o uderzeniach, które zawsze trzeba zadać jako pierwszy, żeby już nikt nie podniósł ramion.

O wąskich ostrzach rysujących wolno cienkie jak włos wzory na skórze ofiar; o czarnych od sadzy piętnach, znakujących znienawidzone twarze najsłabszych, wypalające oczy. Żeby już nikt nigdy nie mógł na niego tak patrzeć. O odcinanych członkach; o odcinanych rękach. O rampach, korowodach słabych, odprowadzanych ku śmierci; o kilku srebrnych monetach więcej, nagich piersiach obłapianych za wagonem, w zamian za obietnicę ocalenia, która nigdy się nie spełni. O dniu wolnym od bólu, zadawanego przez oprawców, którzy zawsze stoją nad oprawcami; o strachu przed nożami w rękach ofiar. O kobietach, które mu się oddają, żeby ich dziecko nie czuło bólu; o pełnym brzuchu, rozgotowanych, dobrych kartoflach, aż lśniących od tłuszczu, złotych, pięknych jak Bóg; o dodatkowej porcji mięsa i kaszy.

Budził się podniecony, z bolesną erekcją, a czasem tuż po orgazmie, ze stygnącym nasieniem na udach i slipach, spocony, uświadamiając sobie dopiero po chwili, gdzie jest, a raczej gdzie go nie ma; bez możliwości odwołania wracając do świata, w którym był taki bezradny i mały.

już prawie zapomniał

Z odrętwienia wybudził go dźwięk przychodzącego SMS-a. Już prawie zapomniał, że takie coś w ogóle istnieje. Odczytał wiadomość. To Magda; napisała mu, że ich dziecko zmarło. Odłożył telefon; zastanowił się, jaka właściwie jest pora roku. Wrócił do pisania.

w drodze na haki

Nocą wydawało mu się, że trafił do piekła. Próbował liczyć oddechy; nic nie pomagało.

Zobaczył świat w jego prawdziwym kształcie, bez żadnych filtrów, bez zasłon, uspokajających uproszczeń; więzienie materii, rzeźnię entropii, świat jako Holokaust. Śmierć jednej osoby to tragedia; setki – wielki dramat; miliona – statystyka. A nieustająca zagłada miliardów wszechświatów? Bilionów gwiazd, z biliardami planet, w miliardach galaktyk, żarzących się w pustce; biliardów uniwersów, pączkujących jak pleśń, wszechświatów umierających masowo, bez chwili przerwy napędzanych przez śmierć; z zastępami ludzi w niekończących się kolejkach, okratowanych, ślizgających się we krwi na gumowanym linoleum, nieprzerwanie posuwających się do przodu, w drodze na haki.

Hale śmierci jak mgławice, z topografią jak rozkład materii w strukturze wszechświata, skąpane w zimnym, termonuklearnym świetle białych karłów. Ciały powieszane za nogi, głowami w dół, oszołomione prądem, ale wciąż świadome, bezgłośnie, sparaliżowane, z rozszerzonymi oczami; wszyscy z ludzi, którzy byli, którzy są i którzy będą, kiedykolwiek, gdziekolwiek, w jakimkolwiek czasie i miejscu, wszyscy, wszystko zamknięte w czarnym kręgu. Oprawcy w skórzanych fartuchach, zbryzganych lepką mazią, zmęczeni, znużeni, którzy zabijają i są zabijani.

Nagie korpusy nieustannie krążą, przesuwane na taśmie, trzeba się spieszyć, urobek jest duży i nigdy nie ma czasu na przerwę. Z poderżniętych gardeł spływa krew na gumową rynnę, mięso, materia, czasem drga jeszcze, jak zwierzęta w ubojni, dzieci bez głowy, kiedy jest porcjowane. Całe tusze, pozbawiane kolejnych członków, czasem jeszcze niewykrwawione do końca, z łbami ledwo trzymającymi się na skórze, wędrują do oparzelnika z gotującą się wodą, dym pary nad kotłami jak dyski planetarne, z których, w krwi, zlepiają się kolejne kalekie układy słoneczne, nieprzychylne i jałowe, omiatane twardym promieniowaniem jednookiej gwiazdy. Wokół milczenie, czasem wizg, kiedy do ukropu trafia żywe bydło, noworodki i starcy, ale zawsze cisza, tylko z mechanicznym dźwiękiem porusza się taśma; muzyka sfer rzeźni. I tak znów, całe życie, bez końca, przez kolejną zmianę. Jakbyś brodził w lodzie; małpoludy pożerają małpoludy, zwierzęta żrą padlinę ze swoich młodych, dzieci podrzynają gardła matkom; cykl wcieleń do mordowania. Świat jako horror, niekończące się Auschwitz, kiedy z psiego pyska historii zsunęła się maska, pokazując na chwilę martwą, trupa czaszkę. Świat jako

piekło, infernum multiświatów, miejsce nieustającej kaźni, przestrzeń umierania; dominium podległe śmierci, nawet jeśli na co dzień nie ćwiartują cię maczetami.

Leżał z oczami otwartymi na ciemność; był sam, czuł tę samotność, jak esencję życia; przed sobą, jak ziemskie królestwa, widział wszystkie zło świata, całą sumę strachu. Świat jako więzienie; każdy człowiek katem. Widział całą sumę zła, urobek gnoju, odkładany w każdej sekundzie przemijania wszechrzeczy, przesypany jak piach w klepsydrze, która nie odmierza czasu; każde zaniechanie, brak decyzji, spóźniony wybór, życie bez odwagi.

Nie potrafił się ruszyć, nie umiał nic zmienić; nie było nic do zmiany, już się dokonało. Próbował liczyć oddechy; jeden; jeden; jeden. Nic nie pomagało.

przymarznęty do chodnika blok martwych tkanek

Kiedy spojrzął za okno, okazało się, że jest zima. Poznał po nagich drzewach, pokrytych ciężką popielatą warstwą, brudnym śniegu odgarniętym z chodników pod niskie żywopłoty między blokami. Stał przed oknem z kubkiem o dnie pokrytym zaschniętymi fusami. Kaloryfery były zakręcone, nie miał skarpetek, stał w samej bieliźnie i podkoszulku. Zastanawiał się, czy jest mu tak zimno jak bezdomnemu, który umierał przed bramą.

Świateł w oknach na ścianie przeciwległego budynku ubywało; gasły powoli, bez wyraźnego wzorca, jakby żarówki przepalały się od wibrującego dźwięku. Pies siedział przy mężczyźnie – to chyba był mężczyzna – i wył, jakby to on zamarzał.

Kiedyś myślał, że w takie noce widać migoczące gwiazdy; ale nic nie widział; niebo było ciemne, jednolite w barwie, granatowoczarne, jakby zamarzał kamień. Musiało być mroźno. Stał w przeciągu od okna, nie wiedział ile czasu, nie zapalał światła. Patrzył, jak jedyny człowiek w zasięgu jego wzroku przestawał być człowiekiem.

Pies przypałętał się niepostrzeżenie. Najpierw obwąchał bezdomnego, zwałonego pod ławką, jakby go tam ktoś porzucił z transportu umarłych. Potem usiadł tuż przy głowie, zarośniętej jak u neandertalczyka, otępiały z zimna; drżał, drobny kundel z krótką, liniejącą sierścią. Wreszcie zaczął wyć, głucho, niskim głosem; tak jak płaczą ludzie pozbawieni sensu życia, kobiety bez złudzeń, mężczyźni przegrani.

Zrobiło się ciemniej, zrobiło się zimniej; kolejne światła mieszkań gasły jak świece na cmentarzu; pies wył, cicho, monotonnie, jakby już na nic nie czekał i na nic nie liczył. A on patrzył, w ciemności, którą upodobał i przez którą został

wybrany; fałszywy pan na wyżynie tronu, trzy piętra nad ziemią, samozwańczy bóg w niebie z wyłączonym ogrzewaniem. Jakby obserwował odległy przelot ptaków, nagie zbrocze góry, nocny pożar puszczy, czarne, morskie fale.

Pies, niewysłuchany, złożył wreszcie łeb na łapach, ale nie przestawał skomleć; wydawał się jeszcze mniejszy, jakby nikł z wyczerpania. Ale nie ustawał. Jakby modlił się tylko do niego, w ciemnym oknie, mówił tylko do niego, w swym bydlęcym języku; bez słów, bez łez, bez podziękowań i prośb. Jakby byli tu tylko we dwóch, zawsze tylko we dwóch; on i parchaty kundel, otumaniony przez samotność, oszukany przez instynkt, zwierzęcy poza zdolność ich wspólnego pojmowania.

Wreszcie odszedł od okna, odprowadzany tym wyciem. Położył się na łóżku, na zimnej pościeli; nie zapalił światła. Leżał z otwartymi oczami; nie mógł zasnąć, ale nie przeszkadzało mu to; przekroczył już rytm biologiczny nocy i dni, spał, kiedy zasypiał, i budził się, kiedy tak mu się wydawało.

W końcu przyjechali. Poznał po rytmicznych, zimnych smugach światła, które omiatały ściany jak monotonny sygnał nieznanego kodu, powtarzany bez przerwy, jakby tylko dla niego, jakby mógł się go nauczyć tylko od tego beznamiętnego uporu maszyny, rytuału powtarzania. Błękit pulsował.

Potem zgasł, kiedy odjechali; znów bez dźwięku, bez włączania sygnału; może go uratowali. Pies ucichł.

Nie wstał z łóżka, nie sprawdził, czy zwierzę zostało tam, gdzie leżało; zbrylona rzeźba z lodu, przymarznięty do chodnika blok martwych tkanek.

w astrofizyce duszy

Wciąż pisał o sobie, piszącym o sobie, który – na ile to mógł stwierdzić – też pisał o sobie; tworzył siebie dwa, siebie trzy, siebie cztery, i tak w nieskończoność. Jakby patrzył w ustawione naprzeciw onyksowe zwierciadła, odbijające go pochylonego nad biurkiem, piszącego o sobie pochylonym nad biurkiem; obrazy coraz mniejsze i coraz odleglejsze, w perspektywie tunelu, utworzonego przez dwa lustra i moc sofizmu. Gdyby chciał, mógłby nawet napisać wzór, który to objaśnia; językiem matematyki zobrazować proces zstępowania w sfery coraz dalsze od światła.

Pisał o sobie, który pisze o sobie, tworząc kolejne własne inkarnacje do zła; powoływał do istnienia siebie o stopień gorszego, tworzącego światy zawsze podlejsze, w których ciężiej się żyje i łatwiej umiera. Kolejne emanacje gnostyckich

demiurgów, coraz bardziej kalekich i coraz mocniej przekonanych o własnej potędze; bękarty kabalistycznych sefir w apokryficznych hierarchiach, oddalające się z każdym poziomem coraz dalej od blasku.

Zastanawiał się, do czego by się dopisał, do jakiego kresu doszedł, gdyby ten łańcuch antywcieleń mógł mieć jakiś koniec; kto czekał na spodzie, w świecie n minus wieczność. Kogo by zobaczył, gdyby mógł przeczytać teksty swoich kolejnych papierowych wcieleń; czego by się dowiedział, o nich i o sobie.

Nie myślał tylko o sobie zero; o sobie ze świata nad, o sferze n plus 1. Łatwiej było zstępować; zsuwał się do wnętrza. Łatwiej było dzielić; dzielił, co zostało. Odejmował od zera, odbierał z próżnego. W astrofizyce duszy nie interesowało go już nic, co nie skolapsowało.

martwe, zimne ciało

Nocą, jedną z wielu, nic mu się nie śniło, nawet na chwilę nie zmrużył oka, a nad ranem, w szarym bezruchu, wydało mu się, że już nie żyje, że umarł, ktoś go podmienił między jednym a drugim uderzeniem zegara.

Przymknął oczy, żeby posłuchać bicia serca; usłyszał pęcherzyki gazów, nabrzmiewające w tkankach ciała, namnażanie bakterii, przygotowujących się do tego, by zacząć go trawić. Krew zatrzymała się w żyłach, osiadła w organach; miał świadomość martwego mięsa, które zalega w otrzewnej, martwych płuc zapadających się pod swoim ciężarem, czarnej wątroby, wora żołądka fermentującego od środka, węzłów jelita, które puchną, nadymają się, wzbierają gazem. Świadomość zgniłej tkanki, którą nosił w sobie, była obrzydliwa, przytłaczała, powinna go przerazić; ale nie przerażała; dusza obumarła, teraz tylko zaczęło rozkładać się ciało.

Opadła mu żuchwa; chciał ją unieść na dawne miejsce, podeprzeć poduszką; nie mógł ruszyć ręką. Gałki oczne zmętniały, zapadały się w siebie. Spróbował zamknąć oczy, nie dał rady; powieki się rozjechały. Leżał na pościeli, było mu coraz chłodniej. Wytężył się, skupił tylko na jednej części martwego ciała; palce drgnęły. Przesunęły się o kilka milimetrów, potem jeszcze kilka, dotknęły lodowatej skóry. Wielka czarna mucha, która jakimś cudem przetrwała zimę, weszła mu na policzek, już nie mogła latać, wlaźła do rozwartych ust, czuł jej drobne włoski, nie chciała zejść z twarzy. Próbował mrugnąć, żeby ją odgonić; przysiadła na oku, w resztkach szybko schnącej wilgoci. Przestał zwracać na nią uwagę, teraz tylko czekał, kiedy złoży jaja.

Zesztywniał, ciężki jak kamień; miał erekcję; potem mięśnie ogarnęło chorobliwe rozluźnienie. Wyciekło mu kilka kropel nasienia, pobrudził się kałem. Zastanawiał się, jak długo to potrwa. Martwy, szary świat, bezruch całkowity, cisza grobu i śmierci, jak scena namalowana lodem na szybie. Pod prawym żebrem pokazała mu się miękka, ciemna plama. Słyszał, jak paznokcie rosnąc, szorują po prześcieradle. Zgnilizna, od serca, przenosiła się na inne organy. Cały brzuch miał już czarny, miękki, jakby się zapadał. A potem wolno zaczął rosnąć, nabrzmiwać gnilnymi gazami.

Czuł, jak bakterie beztlenowe pożerają go kolejnymi partiami, jak zajmują i rozpuszczają kolejne warstwy tkanek. Niech już dojdzie do mózgu, żeby choć nie myśleć. Neurony dopalały się leniwie, organiczny popiół. Nic nie bolało; tylko ten zapach.

Próbował skupić się na sercu, zmusić je, żeby ożyło, podjęło pracę; bez skutku. Przestał więc próbować, to umarłym przychodzi najłatwiej. Leżał i w znużeniu czekał, aż nadejdzie świt, aż będzie mógł zwlec z łóżka martwe, zimne ciało.

życie jak

Życie jak szereg pojedynczych, niezależnych obrazów. Widok z okna na nieruchomy krajobraz osiedla; rozcięta dłoń przed oczami, poszarpana włóczka starej rękawiczki, para oddechu wokół głowy; przewrócony karmnik dla ptaków; chmury gawronów wirujące jak śmieci na niskim, zachmurzonym niebie, bez jednego dźwięku; twarz w lustrze, jego twarz; twarz w lustrze, której nie poznaje; dziecko żebrzące pod sklepem. Przesypiał po kilkanaście godzin na dobę, czasem w ogóle nie wstawał. Czasem krótsze okresy świadomości; czasem dłuższe okresy świadomości. Wspomnienia zapominane; wspomnienia, które towarzyszyły mu zawsze. Życie. Jak.

pokryty lodem nurt

Zaczął chodzić na długie włóczęgi. Jak dziad śmietnikowy, zarośnięty, okutany w dziesiątki swetrów, płaszczy, getrów, z czapeczką z włóczki, którą zdarł z głowy biedaka szukającego puszek pod kontenerami. Czuł, że koniec jest bliski. Bez spektakularnego zakończenia, bez splatania wątków, epifanii sensu. On dwa, on

z papieru, też borykał się z tym samym problemem w swoich opowiadaniach; to go mobilizowało.

Jakby coś go gonilo, nie pozwalało usiedzieć w domu; godzinami snuł się po zaułkach, brodził w rozrzuconych śmieciach, człapiąc w wielkich gumowcach znalezionych przy kuble, z rozrzuconym śmierdzącym pledem zwisającym z ramion. Zaczepiał ludzi, szczerząc do nich swoją okrutną, przerażającą twarz; odpychali go z obrzydzeniem, czasem po kilku krokach zawracali i z pogardą wciskali mu w dłoń metalowe krążki. Początkowo nie umiał ich rozpoznać, ale potem zaczął zbierać te monety, wypychał nimi kieszenie, a później nad rzeką wrzucał je garściami w czarny, pokryty lodem nurt.

Wędrował. Jadł śnieg. Pomiędzy zębami chrzęściły kamienie i piasek ze słonej, roztapiającej się brei. Nie wiedział, jak to się działo, ale pod koniec swej wędrówki najczęściej zachodził na dworzec. Ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali, wchodzili i wychodzili z wagonów, przemieszczali się po peronach, taszczyli walizki i odbierali je od przyjezdnych, mężczyźni od kobiet, ojcowie od córek, synowie od matek. A on stał i patrzył. Nie rozumiał tego widoku, tego nagle wyhamowanego ruchu, przerwy w podróży, praw obszaru pomiędzy, na mocy których następuje przerwa w życiorysie, chwila, kiedy wszystkie uczucia cofają się na moment, wyparte przez radość przywitania lub smutek rozstania. Stał i patrzył. Potem pociąg odjeżdżał, uczucie pustki narastało, ale wkrótce na stacji zatrzymywał się nowy skład, cały rytuał się powtarzał; niekończący się cykl peronowstąpień, dworcowa samsara.

Stojąc tak, patrząc i nie rozumiejąc, jakby podglądał życie owadów, przypomniał sobie, że kiedyś, jako dziecko, miał zwyczaj się modlić. Chciał spróbować tego i teraz, czemu nie, skoro i tak cofał się coraz dalej, ale już sama myśl o tym wydała mu się obsceniczna, nie do wyartykułowania. Jakby miał włożyć fiuta w tyłek dziecku, wylizać cipę starej babie. Zaskoczyły go te myśli, ten cień ohydy i wstydu, wydawało mu się, że już jest poza tym. Przestraszył się, a potem ucieszył, także tym strachem.

A potem myśli odeszły, a on stał i patrzył, wędrował, dawał się wyprowadzać sokistom, a potem wracał, jakby coś go tam wzywało, i znowu stał i patrzył.

bardzo szczęśliwy

Obudził się u siebie na łóżku, cały mokry i bardzo szczęśliwy, jak nigdy w życiu, szczęśliwy do granic, jakby go miało rozsadzić. Nie bardzo wiedział skąd

ta radość i wilgoć, ale potem pomyślał, że to musi być krew, wreszcie poprzegryzał sobie żyły. Ucieszył się. A potem sobie przypomniał. Nie sen, snu nie mógł pamiętać; ale wspomnienie snu, echo rogu, cień postaci, światło.

Podniósł dłonie do oczu, dotknął zarośniętych szorstką szczecina policzków. To były jego łzy. Płakał przez sen. Musiał szlochać; to go obudziło. Świadomość jak uderzenie żeliwną rurą w wyszczerzone zęby. Pustka, jakby ktoś strzelił w głowę z przyłożenia, wyrwał serce.

Spróbował się ogrzać, cały drżał, tak zimno; skulił się w kłębek, zakopał w kołdrę. Dygotał, jakby miał się rozpaść; łzy zamarzały na skórze. Wrócić w sen, wrócić w sen; wrócić. Ale nie umiał już zasnąć.

to go odnalazło

Krążył wokół niego, jak pył wokół czarnej dziury, krążył, w końcu musiał tam trafić. Koniec był blisko; czuł go, czuł coś, a więc wiedział, że się zbliża. Dotarł na cmentarz.

To był dzień, który kiedyś znał, prawie go rozpoznał. Ludzie wchodzili i wychodzili falami z pobliskiego kościoła widocznego za siatką ogrodzenia. Nieśli koszyki, śmiali się, rozmawiali ze znajomymi, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje wokół nich; nie słyszał ich głosów.

Stał przy płocie, sam, krążył wśród nagrobków i osmalonych, wypalonych zniczy. Śnieg już stopniał. Nie wiedział, czego szuka. Od czasu tamtego snu nie mógł zasnąć, choć bardzo chciał, kotłował się tylko długo w brudnej pościeli; prześladował go obraz pustki. Dziś, tutaj, tego dnia, był on szczególnie dojmujący, teraz dopiero zrozumiał. Coś w środku, ta dziura, rosło, potężniało, przeżerało go całe.

Próbował sobie wyobrazić, jakie sny mogą śnić władcy. Nie umiał, teraz, kiedy przestał spać, nie umiał tym bardziej; ale nie ustawał, to go nie powstrzymywało. Sny władców, o życiach, w dostatku i biedzie, które ich nie pokonały. O chorobach, walce z nimi, wyleczeniu się bądź umieraniu. O konieczności wyboru; lęku przed konsekwencjami; wyborze; radzeniu sobie z jego skutkami. O cierpieniu najbliższych, które nie łamie karku. O cierpieniu swoim, które boli mniej, ale człowiek, jak zwierzę, boi się go najbardziej; o pokonywaniu tego strachu. O wszystkich życiach na świecie, każdej niegodziwości, która im się przytrafia i która nie ustaje, tak jak nie ustaje ruch gwiazd i planet. O wszystkim tym, na co

ludzie nie mają wpływu i co może ich powalić. I o wyleczeniu się z bezradności; braku lęku, który stracił swą moc i panowanie.

Nie wiedział, na co czeka, ale koniec był blisko. Włóczył się, jak w malignie, a wieczorem, po zmroku, wreszcie znalazł to, czego szukał; to go odnalazło.

Otoczyli go w bramie. Razem ze zmierzchem powrócił chłód zimy. Tuż pod jego blokiem, niedaleko sklepu, w miejscu, które wcześniej wielokrotnie mijał. Pomyślał, czy nie dać im pieniędzy, które nazbierał w ciągu dnia; dał; przyjęli, schowali po kieszeniach; ale nie tego pożąдали. Wyrostki albo żule, nie umiał rozróżnić twarzy. Coś mówili, ale nie słyszał dźwięków, już czekał na co innego. Że w ogóle czekał. Był zmęczony. Niech się już skończy.

Pierwsze ciosy spadły na niego jak na szmacianą lalkę, tylko głowa skakała; potem też nic nie czuł. Bili coraz zacieklej. Po głowie, po korpusie, trzymali za łańchmany, kiedy nie mógł już ustać i tylko się słaniał, z krwawym śluzem ściekającym ze zgniecionej nosa, jak pusta skorupka jajka. Dalej nic nie czuł. Wreszcie puścili; padł na kolana, podparł się ręką i siedział na piętach, jak zmęczony muezzin, kiedy za horyzontem zgasły już resztki światła. Zwiesił głowę, łapał płytki oddech, nie mógł wziąć głębszego, nawet gdyby chciał (ale nie chciał), choć nic w piersi nie bolało.

Wreszcie jeden z napastników przytaszczył ciężki, kanciasty kosz na śmieci, zielony kolorem nadziei, taki, który stawia się przy ławkach. Gruba blacha, tworząca czworobok dna, była niedbale pospawana i tworzyła ostre ranty. Unieśli śmietnik nad głowy, ostrą krawędzią w dół, jak miecz. Niech już, oddech, oddech, no niech.

Wtedy się przypałętał; ten pies, kundel parszywy. Kulał na jedną łapę, jakby tańczył, kiedy do niego podchodził. Przysiadł we krwi, dotknął go nosem. Musieli się zdziwić, bo śmietnik nie spadł.

Odgonił psa ręką. No, idź stąd. Idź. Jeszcze ciebie tu brakowało. Jeden z oprawców odgonił zwierzę butem. Pies wrócił, powoli, jakby już sam kaleki taniec sprawiał mu ból, obnażał całą jego niemoc i śmieszność. Sunął w ludzkiej krwi, z bezmyślnym uporem, jakby nie liczył się świat, nic wokół nie istniało. Przycupnął w lepkiej kałuży, już krzepnącej w chłodzie, szykował się do warowania.

Odgonili go znów kopniakiem; zaskomlił. Wrócił; zaczął wyć, skowyczeć cicho, głosem przerażającym, którego nie wydają zwierzęta ani ludzie. Nie mogli znieść tego dźwięku; on też nie mógł, ale nic nie zrobił. Ktoś chwycił psa za kark, przygniół go do ziemi; skomlenie ucichło, a potem rozpoczęło się na nowo, z bezmyślną monotonią. Ktoś zaraz ich zobaczy.

Jeden z obcych rozbił butelkę, kazał, żeby przytrzymano zwierzę. Chcesz się zabawić? Śpiewasz, kurwo? To nam jeszcze zatańczysz. Kazał przytrzymać kundla, rozciągnąć go na ziemi. Wiosna idzie, ścierwo, już dłużej nie będzie ci potrzebne to futro zaropiałe. Zaczął kroić. Jedno, drugie cięcie, ostrze z zielonej butelki, jak ofiarny nóż ciemnych ludów ze szkła stopionego w ogniu świata. Najpierw płytkie rany, żeby zobaczyć, co się stanie.

I dopiero wtedy coś w nim pękło, nie wytrzymał, jakby pod prasą miażdżono mu czaszkę. Zaczął wyć, jeszcze straszniej niż zwierzę, szarpać się, czołgać na czworakach, próbując ich odgonić, choć przecież nic nie potrafił zrobić, mógł się tylko kulić pod razami. Wyjąc i łkając, parskając śliną zmieszaną z krwią, rycząc nieludzko, nieludzko. Jakby to on był tym parszywym kundlem, bezrozumnym psem, jakby to on czołgał się w ziemi i krwi, w całym błocie świata, z jakimś nieugiętym uporem, dążeniem, które jest poza wolą, jak zasada życia. I jakby mógł tylko wyć, skamleć przez noc; wieczne, wściekłe łkanie. Jakby siedział przy stygnącym trupie, wszystkich martwych ciałach, i cała jego obrona przeciwko wszystkim cieniom życia to był tylko ten skowyt, beznadziejna skarga. Przeciwno światu, przeciwko śmierci, przeciwko życiu w upodleniu, przeciwko wszystkim chorobom światła; tylko on i ten kundel, i całe zło świata.

Ocknął się sam, ich już nie było. Z trudem się podniósł; ale żył. Ledwo mógł ustać, w piersi kłuło. Jakby połknął ogień. Musieli mu złamać zebra.

Rozejrzał się; wokół pusto. Ale nie szukał psiego ścierwa; ten jeden raz chciał, żeby to naprawdę okazał się Bóg, kaleki pasterz, którego można odgonić, ale nie można zabić. Pierwszy raz od dawna powlókł się z ulgą do mieszkania.

tak

Później, tego dnia.

Wiedział, że umiera. Stał przed lustrem. Biały maż umywalki spryskany był krwią, jak ofiara. Powoli badał swoją twarz. Próbował rozchylić opuchnięte oko, ale obrzęk był twardy, jeszcze się nie dało. Siniaki na całym ciele szybko ciemniały. Odpluwał krew. Powoli wyciągał kolejne zęby, potrzaskane trzonki i twarde korzenie, kształty w krwawej ślinie, jak dawne rzeźby pogańskich łowców, zbieraczy fulgurytów i dzikich malin. Przypomniął sobie, że takie sny zwiastują śmierć. Ucieszył się. Wreszcie, wreszcie. Coś w środku tarło, poruszało się z mozołem, płyty kontynentalne duszy, procesy tektoniczne marzeń, pęknięcia z krwawą lawą. Jakby wracał z podróży do lądów zapomnianych, kontynentów

trwogi, wysp niezmapowanych. Złapał się na tym, że oddycha, z chrapliwym świstem. Spróbował odkręcić wodę, żeby zmyć krew, ale poobijane palce nie chciały go słuchać, przez długą chwilę nie mógł wystarczająco mocno złapać kurka od kranu.

Pod zlewem w kuchni znalazł kilka ocalałych worków na śmieci. Chodził po mieszkaniu, w ciemności, poruszając się z trudem i nie zapalając światła, i wrzucał tam wszystko jak leci, ubrania, stare prześcieradła, resztki jedzenia, niezapisane kartki. Swoje rękopisy zebrał i upchał w dwa pudełka po butach. Przecież nawet teraz nie umiał ich spalić.

Kiedy skończył, zaczął szukać telefonu. Był wyłączony. Długo nie mógł znaleźć ładowarki. Zasilił konto przez internet, a kiedy znów wchodził w ten sposób w świat, wykonywał drobne rytuały, zapamiętane przez ciało, czuł się, jakby stąpał po żyletkach, przeciskał przez ostre skały. Ale nie zawrócił, choć cały się spocił. Próbował nie myśleć – jeszcze nie dziś – co go czeka, kiedy będzie musiał zrobić to samo z kolejnymi wierzycielami.

Było już dobrze po północy, ale i tak wybrał numer Magdy. (Żeby nie odebrała, żeby nie odebrała). Nie odebrała, telefon był wyłączony. Odetchnął. Nagrał się na sekretarce. Powiedział, że jest chory, że już dłużej nie może. Żeby przyjechała, zabrała go do szpitala. Że potrzebuje pomocy, sam sobie nie poradzi.

Skłamał, ale gdyby nie skłamał, już nigdy nie umiałaby zostać z nim sama, bałaby się nawet porozmawiać. Oczywiście wiedział, że nigdy do siebie nie wrócą, nigdy nie będą razem. Ale i tak nie umiał jej stracić, oddał już za dużo.

— A co z...?

Nie potrafił wykrztusić jej imienia.

— Ja... Magda... A co z...?

Rozłączył się. Wreszcie wszedł w telefonie do folderu ze starymi SMS-ami. Podeptane palce opuchły mu już tak bardzo, że wyglądał, jakby zamiast dłoni miał rybią płetwę. Ale musiał sprawdzić. Jednak nic nie znalazł, skrzynka była pusta, zawsze taka była albo została dokładnie wykasowana. Musiał czekać, w niewiedzy, i to też była jego nagroda i kara.

Stanął przed ciemną szybą. Osiedle w dole było puste. Widział swoje widmowe, opuchnięte oblicze. Pociętymi wargami wymówił kilka imion, na próbę, żeby sprawdzić, żeby wiedzieć. Ale nie miały już mocy, nic się nie stało. Nie zmieniło się nic, zmieniło się wszystko. Stał, czekał, był tak zmęczony, ale nawet gdyby się położył, nie umiałby zasnąć. Bał się, ale też nie bał się już tego strachu. Złapał się na tym, że oddycha. Przycisnął czoło do chłodnej szyby. Wiedział, że to

nieprawda, ale w tej chwili miał wrażenie, jakby tej nocy tylko on został na świecie, nie było nikogo innego. Czekał do rana. Zdrowiał.

Tak bolało.

Kwantowi kochankowie

$$e^{i\pi} + 1 = 0$$

Nazywał się – nazywa – Jacek Wójcik, znali się – myślała, że znali – od dwudziestu ośmiu lat, mieli jedno dziecko – nie mieli – i kiedyś Kinga mogłaby przysiąc – choć od czasu ślubu przysięgać nie musiała – że nie będzie umiała bez niego przeżyć ani jednego dnia. Ale żyła.

W ciemności pokoju srebrna poświata monitora tętniła jasnym blaskiem. Zapatrzona w ekran twarz, jakby Kinga wpatrywała się w pulsujący promieniowaniem gamma rozżarzony dysk akrecyjny, i zyciorysy rozwijające się pod palcami niczym wykresy animacji zderzających się protonów. Niektóre z nich już znała, ale nie obawiała się, że zabraknie jej możliwości. Pół miliona rekordów w wyszukiwarce. Czytała – przeżywała – nie spała.

Mieszkaniec Warszawy: studiował na politechnice, ale rzucił naukę, dziś zajmuje się sprzedażą rolet, miłośnik PeZeTa, Linkin Park i Legii Warszawa. Dalej. Copywriter w dużej gdańskiej firmie: rozwiedziony, miłośnik gór i piwa (to było obiecujące), ogląda Discovery, obecnie czyta *Mistrza i Małgorzatę*, gra w Mahjonga, ostatni urlop spędził w rumuńskich Karpatach. Osiemnastoletni skateboardzista: na urodziny oddał szpik i zachęca innych, żeby się choć przebadali. Miłośnik samolotów i morskich głębin: kolekcjoner sklepanych dwupłatowców, przedstawiciel handlowy chemii gospodarstwa domowego, który rozwiódł się z żoną, kiedy odkrył, że opisuje jego życie na szyderczym blogu; miesięcznie zarabiała na nim kilka tysięcy złotych za reklamy, więcej niż jego wypłata. Pedagog z Pułtusza: kocha Sophie Marceau, ogląda *Szklaną pułapkę*, filmy Kieślowskiego i TVN. Absolwent technikum samochodowego w Nowym Sączu: zawodnik MMA, opiekuje się chorą matką i młodszą siostrą, w weekendy jeździ w miejskich wyścigach samochodowych, linkuje strony z czeskimi dopalaczami i uważa, że wszystkie psy to kurwy. Hipster z Mokotowa. Kapitan żeglugi morskiej: gej, kolekcjoner broni białej z całego świata. Te same nazwiska,

inne twarze, kolejne profile opowiadające życia, które nie były – nie były? – jej życiorysami.

Zdjęcia z wakacji, zdjęcia z wyjazdów, zdjęcia z pracy, filmiki z imprez, linki do restauracji, w których jadają. Tak myślą, tak nienawidzą, tego się boją, za tym tęsknią, z tego się cieszą. Tak żyją.

Przeciągając się nad ranem, zastanawiała się, czy w ten sposób poznaje tych ludzi. Co to znaczy, że wie, z kim spędzają wolny czas, jakie żarty lubią, czy dużo piją, co myślą o księżkach, gdzie chcieliby pojechać na urlop, czy tęsknią za wnukami. Kogo lubią i komu zapalili wirtualną świeczkę, gdy odszedł z tego świata. Czy o człowieku można dowiedzieć się więcej po trzydziestu latach wspólnego życia pod jednym dachem? Oglądała fotografie, próbowała w nie uwierzyć, wyobrażała sobie, jak ci ludzie – jak on – wyglądają z innymi ludźmi, kiedy biorą na ręce czerwone pomarszczone noworodki, grają w piłkę halową, poca się na orbitrekach, kupują duże paczki tanich chipsów w promocji weekendowej, stoją w poirytowanym tłumie na przedłużającym się pogrzebie sąsiada, masturbują się, udają ekscytację w łóżku – nie udają ekscytacji w łóżku – rozbierają się przed kochankami.

Wyłączyła komputer, wylewała wystygłe fusy do toalety, brała prysznic i zjadała dwie kromki pszenicznego chleba z białym serem, nakładała makijaż, swoją twarz dzienną, gdy za oknem wstawał świt.

Ubierała się w popielaty żakiet i prostą spódnicę w takim samym kolorze – albo granatowy żakiet i prostą spódnicę, albo lawendową garsonkę, albo turkusowy kostium, radosny, jasny – po czym wychodziła na zewnątrz, gdzie mogła żyć normalnie. Gdzie nikt nie kazał jej wybierać – kazał, ale w sprawach, w których wszystko już się dokonało – zredukować funkcji nieskończonych możliwości do jednego prostego nie albo tak.

* * *

Dni upływały spokojnie pomiędzy uczelnią, zakupami, odwiedzinami u rodziców i wieczorami w domu. Dużo czasu zajmowała jej praca naukowa, którą zaniedbała przez długie lata małżeństwa, a teraz na powrót odkrywała, jakie to dobre, uczyć się, szukać, modelować, znajdować ukryte interakcje. Podczas wieczornego prysznica pod zamkniętymi powiekami przewijały jej się piękne rozety długich wzorów, fraktale z liczb, przesyłane z CERN-u listy z wynikami doświadczeń. Nawet biurokracja nie przeszkadzała. Do tego zorganizowała sobie na uczelni więcej godzin pedagogicznych, młodzi ludzie – już nie tacy młodzi –

urealniali dla niej świat smartfonów i memów, rzeczywistość wirtualnego snu odwiedzaną nocą.

Wysprzątała dokładnie dom, okap nad kuchenką, górne krawędzie szafek, z których kurz był jak skamienieliny z dawnych epok, pamiętał jeszcze dzieje przeprowadzki do nowego domu i późnych kolacji gotowanych przez Jacka. Poukładała rzeczy w jego – już nie jego – pokoju, posegregowała papiery, książki, zdjęcia skał i nieba z górskich wycieczek, skromną kolekcję tandetnych masek, zwożonych mu przez kolegów z zagranicznych grantów. Samochodu nie sprzedała, kupiła za to rower, modną damkę stylizowaną na holenderski rower miejski, drogi, ale śliczny, którym jeździła na zakupy, do kina na nocne seanse – nigdy nie trwały całą noc – do pracy.

Zadbała o ogródek, z trawnika wydzieliła dużą część, którą przekopała. Nigdy wcześniej nie miała grządek z warzywami, przypomniała sobie – zdecydowała – że zawsze je chciała. Teraz przy drewnianym płocie, ciemnym od pokostu i deszczu, rosły wysokie liliowce i fioletowe irysy syberyjskie, żurawki o różowych dzwoneczkach sąsiadowały z płożącą zielono bakopą, funkcie o obramowanych srebrną bielą liściach wylewały się na pokruszoną ozdobną korę jak żywy dywan. A obok nich, w tłustej i wilgotnej ziemi, w równych rzędkach wspinały się na wąskie tyczki krzaki pomidorów, spomiędzy grud wystawały pędy czosnku, obok wily się liście ogórków kłujących w dłonie, fasolka szparagowa i marchewka. Na wydzielonym brązowymi deskami zielniku rozmaryn sąsiadował z miętą pieprzową, tymiankiem i szałwią. Tylko nocami nie nauczyła się jeszcze spać. Włączała komputer. I myślała. Nie rozpoznawała siebie w tych myślach, a więc z ciekawością przyglądała się sobie, analizowała, badała.

Sprzątając garaż, ze zdziwieniem odkryła kilka zakurzonych butelek wina. Po Jacku czy nie po Jacku? Urządzali przecież grille dla znajomych, ktoś mógł je przynieść, schować, zapomnieć – nie można zapomnieć o takich rzeczach – zostawić na później i już nie wrócić w trakcie wieczoru, wreszcie podarować je jej mężowi, choć Kinga pamiętała, że w nich nie gustował. Sprawdziła w internecie. Butelki za sto, sto pięćdziesiąt, dwieście złotych, włoskie nebbiolo, bordosy z Saint Emilion, sprowadzana z Madrytu oryginalna hiszpańska Reserva Roja; pierwszy raz czytała te nazwy. Jakby natrafiła na ślad z innego życia, przebitkę z drugiej Ziemi, rzeczywistości, w której Jacek zamiast puszkowych pilsów z dyskontów raz na dwa–trzy tygodnie – nigdy nie miał mocnej głowy – pijał ciężkie, wytrawne burgundy, od pierwszej kropli na języku rozpoznawał szczepy, roczniki słoneczne i deszczowe, najstarsze apelacje.

Kilka nocy z rzędu odkorkowywała później te butelki i piła ze szklanki duże, głębokie łyki cierpkiego, szorstkiego napoju, którego smak nie kojarzył jej się z niczym wytrawnym, po trzy, cztery szklanki na raz, byleby szybciej, a potem długo leżała w ciemności, na dokładnie zasłanym łóżku, odkryta, walcząc z chłodem i wirowaniem ścian, i czasem miała wrażenie, że już, prawie, zrozumiała. W mroku jak w jaskini, zastanawiała się, czy on naprawdę odszedł. Było tak, jakby drzwi do łazienki miały się zaraz uchylić – były uchylone, nigdy ich nie zamykała – w powietrzu cichł dźwięk zakręcanej wody, a po chwili Jacek wślizgiwał się pod ich wspólną narzutę letnią, dotykał przez przypadek uda Kingi i momentalnie zasypiał. Jak tyle razy wcześniej. Czy coś takiego jeszcze jej się przydarzy?

Nawiedzały ją myśli, których nigdy nie miała. Skąd biorą się takie rzeczy. Jakby śniła cudze sny, wędrowała przez obce wspomnienia. Wstawała od komputera przekonana, że nic się jej nie śniło – przecież nie spała – a potem, podczas śniadania, w ciągu dnia, wieczorem nad kubkiem jogurtu, przypominała sobie nieznane krajobrazy. Myśli o labiryntach o kamiennych ścianach, w ciemności i ciepłe, w których nie ma początku i końca, tylko aksamitny mrok, niezgłębiona pajęczyna wąskich przejść, kuszących pustych komnat, tajemnych zaułków. Kiedy kończyła pielic rabatkę, uświadamiała sobie, że dla tych kwiatów śmierć będzie miała zawsze zapach jej rąk. Czy można oślepnąć, przeglądając się w błękitnej źrenicy nieba? Skąd krew z rozciętej dłoni wie, która ryna na skórze to linia śmierci i życia?

Kiedy rozrywała kolejny worek mrożonki na obiad, ze środka wysypywały się zmrożone brokuły i marchewki, jak owadzie embriony elfów i nimf leśnych, które zerują na wodnych kwiatkach. Ugotowane warzywa były słodkie i rozpadały się na podniebieniu, rozcierane językiem na gładką masę. Jak w nagłym olśnieniu zdała sobie sprawę, że ze wszystkich stworzeń najbardziej ukochała płazy: wilgotne życie dopiero co uformowane w kształt, mięsień opięty w skórę, serce skaczące na dłoni. Po jakich trajektorjach krążą nocne ptaki? Jak Bóg mógł umrzeć od gwoździ, bicia i włóczni, a nie w starciu z wrogiem, z maczugą w ręku, od ostrza miecza? Ile w psim brzuchu zmieściłoby się światła?

Nie była smutna – nie była – te myśli jej nie niepokoiły. Dziwiła się tylko, przecież wcześniej nigdy tak nie miała.

Przypinała rower do stojaka przed uczelnią i łapała się na tym, że szuka wzrokiem kogoś, kto mógłby go oporządzić, wyszczotkować spoconą sierść, zaprowadzić do stajni. Wyłączała telewizor z wiadomościami ze świata – wojna, morderstwa noworodków, polityka, piłka – i nasłuchiwała wojennych bębnow,

niskich grzmotów kotłów obciążniętych wołową skórą, rytmicznego dudnienia nawołującego przed walką. Szczyrzyła zęby do mijanych kundli, strasząc wyprowadzających je uczniów i starsze panie, jakby ustalała hierarchę łowów w biegnącym przez wysokie trawy stadzie. Przez chwilę było jej głupio – nie, nigdy nie było – ale potem przypominała sobie, jakie to dobre, gdy sierść jeży się na karku.

W kolejce przed kasą w supermarkecie zwróciła uwagę na mężczyznę, wielkiego neandertalskiego robotnika; w ogrodniczkach wymazanych farbą do ścian kupował dwie półtoralitrowe butelki piwa w plastiku, paczkę chrupek i dwa opakowania prezerwatyw. Nigdy nie pociągały jej takie zwierzęta, zwaliste niedźwiedzie pod metr dziewięćdziesiąt, stukilogramowi niewolnicy testosteronu i telewizyjnych programów sportowych, cuchnący potem i smarem, żywiący się wieprzowiną i smalcem. Nieogolona twarz i szorstki wiecheć wąsów, ciemne oczy i podkoszulek niezmienny po pracy. Wyobraziła sobie, jak by to było, gdyby zrobił to z nią tutaj, przy ludziach, pieprząc ją od tyłu, opierając w milczeniu o przesuwającą towary gumową ladę. Pot zlizywany z brudnych dłoni, włochaty brzuch na plecach, ugryzienia w łopatkę, jakby próbował z niej zedrzeć skórę, niczym ze zdobyczy zarżniętej w głębi lasu.

Zacisnęła nogi, zaczęła szybciej oddychać. Oblała się rumieńcem, nie, nie ze wstydu, tylko dlatego, że tak bardzo tego chciała.

A potem, w domu, za każdym razem próbowała sobie przypomnieć, jak życie – jej życie, ich życie – mogło kiedyś wyglądać naprawdę.

* * *

Zadzwonili do niej z informacją, że coś mają. Słuchała słów i równomiernego, powolnego bicia serca. Czy przyjedzie?

* * *

Dobrze pamiętała – przypominała sobie, rekonstruowała – moment, kiedy się spotkali.

Była od Jacka starsza o rok, w liceum nigdy nie rozmawiali. On mignął jej czasem na korytarzu, zawsze spóźniony, w podciągniętych wysoko spranych dżinsach i katanie z lumpeksu w Berlinie Zachodnim. Chudy wysoki dzieciak cuchnący klubowymi wypalanymi w szkolnej toalecie, słuchający taśm Armii, Dezertera czy Defektu Muzgó na kasprzakach wyciąganych przez podobnych mu punków za szkołą, podczas długiej przerwy. Kinga nie zwracała na nich uwagi.

Czytała Cortazara, Stachurę i Kosińskiego, ubierała się na czarno, w ulubionej samotności zadbanego pokoju słuchała kaset CC Catch i Culture Club na oryginalnym amerykańskim boom boxie, przywiezionym przez tatę z zagranicznych delegacji.

Była jedynaczką, nie miała koleżanek, nie ciągnęło jej do innych uczniów, z ich dyskusjami o Solidarności, Pomarańczowej Alternatywie, znieprawdzonego czynu społecznym, apelach pierwszomajowych i najnowszej płycie Obywatela G.C. Przygotowując się do matury, w biblioteczce ojca inżyniera znalazła pięć części *Wykładów z fizyki* Feynmana, trochę na przekór samej sobie zaczęła je przeglądać – tak rekonstruowała po latach – okazało się, że wsiąkła. Matura, zarówno z polskiego, jak i matematyki, poszła jej dobrze, na czwórkę i piątkę; najslabiej wypadła z rosyjskiego. Postanowiła, że pójdzie na fizykę albo matkę na uniwersytecie, choć ojciec zachęcał do politechniki. Ale nie protestował, gdy zdecydowała inaczej, miał wtedy inne sprawy na głowie; to wówczas – rekonstruowała – musiała – chciała – zdradzić go matka. Jadwiga, weterynarz z powołania, pragnęła, żeby córka poszła na medycynę. Kinga później wielokrotnie zastanawiała się, czy wybór fizyki, niespodziewany nawet dla niej, nie był wyrazem sprzeciwu, gestem solidarności z ojcem – ale przecież nie mogła wtedy wiedzieć o zdradzie.

Po ogłoszeniu wyników jej rocznik zorganizował ognisko w parku, tam gdzie zawsze organizowało się podobne imprezy, odkąd ludzkość zaczęła zdawać maturę. Kinga nigdy wcześniej tam nie chodziła.

Parna majowa noc. Ziemia ciepła, wilgotna od deszczu, który padał dzień wcześniej. Światłocien ognia na twarzach i ludzie otaczający ten płomień. Siedzieli, stali, leżeli w grupkach, na przyciągniętych kłodach drewna, rozłożonych paltach, kocach przyniesionych z domów w harcerskich plecakach kostkach, na plastikowych skrzynkach z wodą mineralną, butelka za dwieście pięćdziesiąt złotych plus kaucja. Ktoś wspomniał, że ponoć w Gdańsku zaczął się kolejny strajk – albo nie wspomniał, wydawało jej się, że wspomniał, rekonstruowała – Kinga nie zwróciła na to uwagi. Bardziej interesowało ją, że od początku tego roku nie zagłuszają już Wolnej Europy.

Mówiono o ściągach w bułce, harmonijkach wiedzy pod podwiązkami i zrolowanych papirusach powtykanych we wszystkie kieszenie marynarki, o tym, kto prawie zesrał się na ustnym i komu w kiblu na pisemnej matmie pomógł dyro. Palono niepotrzebne już, znieprawdzone zeszyty do polaka. Ktoś się śmiał, dwie dziewczyny, wyraźnie już pijane, obejmowały się i płakały, jakby naprawdę musiały się zaraz rozstać, nie miały się już nigdy zobaczyć, ich życie zmieniało

bieg i kończyło się to, co rozpoznane. Z czarnego kasprzaka leciało nagrane na taśmę ostatnie piątkowe notowanie listy z Trójki.

Ktoś śpiewał *She's Like the Wind* razem ze Swayze'em, trzysta dwudzieste piąte notowanie, trzy oczka do góry, dziesiąte miejsce na liście, sześć tygodni w zestawieniu. Dwie pary przytulały się mocno i kołysały na granicy światła i cienia. Park poza obrębem poblasku płomieni wydawał się ciemny, nieprzenikniony, pradawny. Wciąż pachniało przekwitającymi kasztanami.

Kindze podano ciemną butelkę taniego wina. Patrzyła na płyn przelewający się pod żółtą etykietą, naczynie było prawie pełne. Przytknęła szyjkę do ust, pierwszy raz w życiu – nie pierwszy, aż do końca szóstej klasy ojciec dawał jej skosztować na sylwestra tanią podróbkę ruskiego szampana – alkohol był bardzo słodki i ciągnął drożdżami. Upiła mały łyżeczek, oddała dalej. Jacek.

Jacek wziął butelkę, zapytał Kingę, jak ma na imię. Odpowiedziała. Krępujące milczenie, kiedy przechylił wino i pił je długimi łykami, wyraźne ruchy ostrej, młodzieńczej grdyki. Miała czas, żeby mu się przyjrzeć. Te same sprane dzinsy, pasek z ćwiekami, szmaciane trampki z zawiązanymi na supeł sznurówkami. Szara – kiedyś czarna – koszulka, w której oderwano rękawy, z ledwie widoczną kalkomanią Joy Division. Bardzo chude ramiona, opalona skóra, jasne przebarwienia na ramieniu falujące w świetle ogniska, ślad po wycinanych żyłką bliznach. Czyjeś imię, ale nie potrafiła go odszyfrować. Jasne włosy z przyciętą grzywką, spływające na kark, śmieszny młodzieńczy wąsik.

Ktoś wrzucił do ognia wielką belę drewna, śmiech, sypnęło w niebo rubinowymi iskrami. Kinga odczytała nazwę płyty z koszulki. „Transmission”. Nie знаła. Zagadnęła, co dostał z matmy. Zaśmiał się szczerze. Nic, ma dopiero siedemnaście lat, ale już czuje, że dobrze mu pójdzie za rok, dlatego przyszedł z kumplami poświętować. Wiedziała, że się z niej nabija, ale nic nie umiała z tym zrobić. Rozglądnęła się za tymi kumplami. Natapirowane włosy, obcisłe spodnie w czarno-białe paski, ciężkie ramoneski przewieszane przez ramię. Strasznie najebani.

Wino krążyło między maturzystami. Ktoś wyciągnął gitarę, ale zaraz go uciszono, tańczące pary wołały posłuchać jeszcze raz *Stay on these Roads* A-Ha, ktoś przewinął taśmę. Jeden z panczurów objął się kościstymi rękami, odwrócił w stronę parku i udał, że też z kimś tańczy. Obmacywał się obleśnie i wydawał odgłosy całowania. Podano mu butelkę, zatoczył się, prawie ją rozlał, zaśmiał się. Jakaś dziewczyna podeszła do niego i zaczęła go opieprzać. Kinga widziała potem, jak ze sobą tańczą. Zrobiło się chłodno.

Pachniało wilgotnymi liśćmi, starą ściółką, pyłącymi lipami. Uświadomiła sobie, że już nigdy to się nie powtórzy. Tamte dziewczyny były mądrzejsze, wiedziały, czemu płaczą. Ktoś przy ogniu parodiował psora od techniki, siwiutkiego staruszka z lwowskim akcentem, belfra starej daty. Kinga zorientowała się, że jest pijana.

Nie pamięta – nie umiała zrekonstruować – jak znaleźli się między drzewami.

Piżmowy zapach wiosny i rozkładu był tu jeszcze mocniejszy. Jakby ktoś umierał i rodził się w tym samym czasie. Ciemność, zapłakane, szczęśliwe postacie migające w dali między drzewami, wiatr rozganiający chmury na dopiero teraz widocznym niebie. W kaseciaku wyczerpały się nawet zapasowe erdwudziestki, w końcu wyłączono przeciągający słowa, obniżający dźwięki sprzęt i na tle płomieni radosny chór zaczął zawodzić *Nie płacz, Ewka*.

Kinga leżała na mokrej od nocnej rosy trawie. Było zimno, gęsia skórka na całym – nie na całym – ciele. Jacek podwinął jej gruby popielaty sweter z angory i patrzył na niewielkie piersi skryte w bawełnianym staniku. Nie pozwoliła mu rozpuścić sobie włosów. Zastygł, porażony pięknem. Jakby w twarz wybuchła mu butelka z benzyną.

Pijana, obserwowała te obnażone do nagich emocji rysy, jak gdyby oglądała Teatr Telewizji, spektakl z życia dzikich. Czuła landrynkowy zapach ohydneho wina, który wydychał, za każdym razem napełniając na powrót płuca wonią mokrej ziemi.

Ekipa przy ognisku pozostała w repertuarze, Kinga usłyszała znany rif. „Nad fioletowo-słoną rzeką rozpinam purpurowy most, powietrze eksploduje tęczą i dźwięczą ostrza srebrnych kos”. Próbowwała sobie przypomnieć, co o takich chwilach pisał Stachura albo śpiewała Kora. Chłopak rozpiął jej spodnie, ściągnął je, pod głowę wsunął zrolowaną katanę. Zamaszyste, nieczułe ruchy pijaka.

Zaczął się niewprawnie poruszać, ostrożnie, żeby nie zrobić jej krzywdy – jakby uważał, że robi jej krzywdę – w końcu złapał rytm. A ona szeptała jedną zwrotkę, wciąż i wciąż na nowo, każde słowo jak żywcem wyciągnięte z pamiętników z podstawówki, w których razem z koleżankami zapisywały fonetycznie zagraniczne szlagiery. Słowa wgryzione w pamięć, już na zawsze miały się kojarzyć.

„Fil jor bret on maj fejs, jor body klołs to mi, kant luk in jor ajs, juar aut of maj lig”. Sylaby – ruchy bioder – rytmiczne jak krok na defiladzie. „Dzast e ful to biliw aj hew anyfing szy nids”.

„Szis lajk e kind”.

Po wszystkim stracili ze sobą kontakt – nie szukali kontaktu – Kinga zaraz po egzaminach na studia wyjechała na wakacje na dwa tygodnie do dziadków pod Przasnyszem, Jacek – ponoć – pojechał na stopa w Bieszczady – grał nad morzem na molo, zbierając pieniądze i pijąc na plaży – dotarł na Jarocin – włóczył się jak dotychczas po wrocławskich parkach. Kiedy wróciła z wakacji, odetchnęła, gdy okazało się, że nie jest w ciąży. Zaczęła się przygotowywać do wyjazdu na uczelnię. Przeczytała wypożyczonych z biblioteki Salingera, Hemingwaya, podobało jej się tylko *Komu bije dzwon*, Vonneguta. Powoli zapominała.

Kiedy matka dowiedziała się, że Kinga rzeczywiście złożyła papiery na fizykę, nie spanikowała. W domu nie było scen, krzyków, płaczu, zadawanych grobowym głosem pytań maskujących oskarżenie. Kingę powinno to zaalarmować, ale wtedy cieszyła się, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Tłumaczyła to tym, że może mama pomyślała, że córka wybrała kierunek po to, żeby zostać nauczycielką; być może sama tak myślała? Po latach zastanawiała się, czy już wtedy coś podejrzewała, czy nie wybrała studiów tylko po to, żeby zrobić matce na złość. Wówczas większym problem pozostawało to, że skoro miała studiować we Wrocławiu, musiała dalej mieszkać z wapiakami.

Kiedy po latach myślała o Jacku – przypominała sobie – rekonstruowała – tworzyła ich wspólną historię – okres studiów był jak trójwymiarowa bryła sprasowana do dwuwymiarowej płaszczyzny, kilka scen i obrazów przewiniętych na fast forwardzie. Integracja na pierwszym roku – imprezy w Ołówku i Kredce – pierwsze prace na temat nieliniowej mechaniki kwantowej odrzucone przez „Physics Letters” – korepetycje maturzystów – juwenalia zlewające się w jedno pijane święto – Wojtuś, Karol, Jerzyk o długich rzęsach, Philippe, z którym spędziła wakacje we Włoszech, tłuściutki Kudłaty, co ruchał jak Redford, Kuba, który miał motor – załatwione z trudem przez rodzinę na Śląsku trzy miesiące zbierania tytoniu w Niemczech – artykuł pokazujący, w jaki sposób dynamika nieliniowa jednego z dwóch wzajemnie nieoddziałujących układów, znajdujących się początkowo w stanie splątanym, wpływa równocześnie na oba te układy, tekst ukazał się w „Journal of Mathematical Psychology” – stypendium w Arnold Sommerfeld Institute for Mathematical Physics w Clausthal – wymiana semestralna na antwerpskim UIA – praca magisterska o hamiltonowskich równaniach falowych obroniona na piątkę – bal absolwencki, na którym znów się spotkali.

Promotor właśnie załatwił jej posadę asystenta technicznego, dostała się na studia doktoranckie – temat pracy: „Badania nad sposobami uogólnień równań von Neumanna” – miała zaczynać od przyszłego semestru. Na bal szła już bez Kuby, rozstali się bez żalu. Na imprezie zaczepił ją Jacek, ona go nie poznała.

Dalej był wysoki, ale już nie taki szczupły. Krótkie włosy zaczesywał na bok, niezbyt starannie, bo ich końcówki zaczynały się kręcić, buntowały się przed redukcją do porządku nożyczek i grzebienia. Jasną brodę strzygł krótko, nosił wytartą marynarkę, szkoda, że nie w kolorze butelkowej zieleni, który tak podobał się Kindze, na stopach wytarte mokasy. Węzeł krawata zacisnął tak mocno, jakby nie zamierzał go rozwiązywać przez całe życie. Przywitał się, przedstawił; potem przyglądali się sobie w milczeniu, nie zwracając uwagi na odbłyśki różnokolorowych świateł odbijających się w dyskotekowej kuli wirującej wolno nad wciąż jeszcze pustym parkietem. Kinga dopasowywała jego twarz, proporcje ciała, kształt dłoni, do twarzy, ciała i dłoni, które zapamiętała – które wydawało jej się, że zapamiętała. Ciekawe, czy jeszcze miał tę bliznę na ramieniu – czy wciąż potrafił tak patrzeć.

Okazało się – opowiadał – że studiuje na politechnice chemię nieorganiczną, specjalność inżynieria materiałowa, czwarty rok, została mu tylko magisterka o syntetycznych polimerach rozgałęzionych. Nie przerywała, to było ciekawe słuchać go, jak mówi o strukturach krystalicznych, liczbach wiązań, syntezie macierzy polimerowo-peptydowych. Na parkiecie pojawiły się pierwsze kółeczka tańczących – wygłupiających się – z głośników leciał Michael Jackson. Ktoś przy stoliku wznosił toast za ich rocznik. Kinga dopiła swoją wódkę z colą i poprosiła, żeby Jacek przygotował jej następnego drinka.

Chłopak wrócił, umoczył usta w wysokiej szklance z wygazowanym piwem. Na półprzezroczystej serwetce naszkicował wykałaczką, którą co chwila moczył w wodzie od ogórków konserwowych – odciętych palców topielca – wykres zależności stopnia polimeryzacji od konwersji dla przemiany stopniowej styrenu. Kinga wyjęła mu z dłoni drewniany rysik, pośliniła go, długo, uważnie, i napisała prostą całkę, którą można by obliczyć zmienność tego procesu w czasie. Z zakłopotaniem ją poprawił. Później przyznał, że był już wtedy bardzo pijany.

Kinga zapytała go, z kim przyszedł; wzruszył ramionami i wskazał ładną dziewczynę z trwałą – fryzurą bardzo podobną do tej, jaką miała Kinga – w spódniczce przed kolana, ciemnych lycrowych rajstopach i koszulce z poduszkami na ramionach. Nie kocham jej, powiedział – i rzeczywiście jej nie kochał. Z głośników leciała Shazza.

Jacek w końcu zaproponował, żeby zatańczyli. Dobrze, zgodziła się, ale nie tutaj. Wzięła torebkę i zabrała go do swojej kawalerki, którą wynajmowała z koleżanką od trzeciego roku. Mieszkanie było puste, Magda została w restauracji.

Już za drzwiami Kinga otworzyła Sophie, z której nie wypili nawet łyka, sprawdziła, czy ma jeszcze unimile, kilka zostało jej po Kubie. Przespali się ze

sobą, po trzech miesiącach, kiedy współlokatorka Kingi wyjechała z powrotem do Sanoka, Jacek wprowadził się na jej miejsce, po roku się pobrali.

Nigdy, powiedział jej tamtego wieczoru, kiedy już zasypiała – spała – nigdy żadnej tak nie kochałem.

* * *

Pamiętała – nie pamiętała, próbowała sobie przypomnieć – rekonstruowała – jak wtedy rozmawiali.

— Myślisz, że jestem ładna?

— No nie wiem.

— Jaaacek!

— No co?

— Nie wygłupiaj się.

— No przecież się nie wygłupiam.

— To powiedz.

— Boże, Kinguś, piękna jesteś, zjadłbym cię na śniadanie. Khym, popatrz... widziałaś, co ten facet napisał? Skąd tam wzór Eulera? Dlaczego tożsamość?

— A zostaw już ten artykuł! Ja tu próbuję z tobą porozmawiać na poważne tematy. Matko, co za człowiek, takiemu to już nie wystarczy cycki pokazać...

— O, przepraszam. Mamusi w to nie mieszajmy. Aaa... mmm... nie, nie gaś światła.

Najczęściej byli wtedy nadzy – czasem jeszcze w piżamach – leżeli w łóżku, już po wszystkim – albo dopiero zaczynali. W ciemnościach nie widziała jego twarzy – czasem widziała, wciąż paliła się nocna lampka – ale wtedy też nie umiała odgadnąć, czy żartuje, czy mówi poważnie, całkiem szczerze, wraz z kolejnymi słowami redukując się z warstw oszustw i kreacji dziennych do nagiej kości prawdy. (Co to jest prawda).

— Przed tobą z nikim wcześniej...

— Poważnie?

— Jasne, że poważnie.

— No wiesz, myślałam, że ty i ci twoi koleżkowie, jeszcze wtedy, w liceum...

— Nie, ani razu. Potem też nie bardzo.

— Pierdolisz.

— Wyrażaj się, słońce ty moje.

— Nie, Jacek, poważnie, mmm, przestań, głupku, próbuję porozmawiać...

— Mhm.

— Ej! Gdzie się pchasz z tym... Wariat!

— Mów dalej.

— No, wiesz, mmm, że ty byłeś, och, czekaj, podłożę coś, mmh... taki osiedlowy jebaka.

— Byłem, nie byłem. Odwróć się. Unieś ręce. Ściągnij to. Teraz nadrabiam. Rozmawiali.

— Skąd wiesz, że mnie kochasz?

— A skąd wiesz, że cię dotykam?

— Czuję to.

— No właśnie.

— Oszukujesz!

Nigdy nie wiedziała, kiedy kłamał.

— Chciałeś się kiedyś zabić?

— Nie.

— Naprawdę? Chrzanisz. Wszyscy chcieli się kiedyś zabić.

— Czasem myślę, że nigdy nie żyłem. Że nie ma nas, nigdy nie było i nie będzie, że to wszystko nigdy tak naprawdę nie mogłoby się wydarzyć. Nie ma takiego prawdopodobieństwa, według którego redukowałaby się ta funkcja falowa.

— A ten znowu zaczyna...

— Że nic nie możesz zrobić, o niczym zdecydować, ktoś zaplanował już twoje choroby, zwolnienia z pracy, wygrane na loterii i wakacje z dziećmi. Jak operacja na układzie równań, w którym jedyna niewiadoma wyróżnia się tym, że tylko ty nie zdajesz sobie sprawy, co masz pod nią podstawić. Dziś się śmiejesz na grillu, a nie wiesz, że za dwa dni przejedzie cię na przejściu dla pieszych jakiś cieć wąsaty.

— A właśnie, zaprosimy na weekend Grześkowiaków?

— Czemu nie. Wiesz, jak bardzo ich lubię.

— Kłamczuch.

— Zawsze mówię prawdę. Nawet kiedy kłamię.

Rekonstruowała.

— Wiesz, to dziwne. Przecież ja naprawdę to lubię raczej mężczyzn dobrze zbudowanych. Takich trochę macho, klata, kaloryferek, te sprawy.

— Davidów Hasselhoffów?

— Proszę cię. Najpierw musiałby zgolić ten dywan z klaty.

— Świetnie. To o której jutro wracasz z pracy? Zanim przyjdiesz, zdążę zrobić kilka przysiadów.

Zdziwiło ją, jaki był nieśmiały. Zmienił się, dopiero kiedy wypracowali własny słownik nocny, erotyczną gramatykę, teorię intymnej względności, prywatną

frazologię fizjologii i pożądania. Na początku strasznie krępowały go te wszystkie myszki i muszelki, kotki i kwiatuszki, ślimaczki, króliczki, kutasiki, torpedy i wacki, pawiany-tarany, dziobaki, pytony i *messieurs* jebalscy. Inni uciekali w zdrobnienia, wulgaryzmy soft porno i cały erotyczny zwierzyńiec – oni nauczyli się mówić o sobie w słowniku fizyki teoretycznej, kosmologii i matematycznych zagadek.

Ratunkiem okazała się zimna fuzja, rozbitcie atomu i promieniowanie wysokoenergetyczne. Odwrócona topologia ciał, supersymetria pożądania. Odtąd nie było już pana pierdolczuka i pani rypalskiej, tylko rosnące twardo funkcje monotoniczne, ciąg Cauchy’ego, kiedy czuli, że kanapa jest blisko, a wieczór nabrzmiwa pragnieniami, wzbierająca krwią przestrzeń Banacha, splątana, słona topologia Calabiego–Yau, w ciemnościach pokoju, pod językiem i pod palcami.

Niedawno spróbowała uporządkować te wszystkie szczegóły, spisała je na kartce. Kiedy parę dni później przeczytała te kilka stron drobnego pisma, zdziwiła się. Wydawało jej się – miała pewność – że to wszystko wyglądało nieco inaczej, różniło się detalami. Ale ucieszyła się. Gdy czytała te zapiski, nie rozpoznając w kroju liter swojej ręki, a w zdaniach wydarzeń ze swojego życia, czuła się tak, jakby to wszystko przeżywali jeszcze raz. Naprawdę.

* * *

Jacek znalazł pracę zaraz po magisterce, jeszcze przed ślubem. Na samej uroczystości jej rodzice już ze sobą rozmawiali; wkrótce zresztą na powrót się zeszli, ale Kinga miała wrażenie, jakby byli ze sobą i nie byli w tym samym czasie. Tyle się wydarzyło – i okazało się, że nie wydarzyło się nic.

Zapytała o to ojca, raz, kiedy na chwilę zostali sami, w kuchni, gdy goście już wyszli, po urodzinach matki. Musiała zapytać, nawet jeśli naprawdę chciała – chciała – żeby rodzice byli szczęśliwi.

— Życie powtarza się bez konsekwencji — wymruczał w odpowiedzi, nad talerzami, z których zgarniał do kosza resztki jedzenia. — Życie, Kinguś (weź, przesun tamte szklanki), przeżywa się może i w schematach, ale też poza fabułami. — Długo płukał dłonie pod strumieniem zimnej wody. A potem nalał sobie soku pomarańczowego i szeptał dalej, jakby mówił już nie tylko do córki, ale kontynuował pradawny rytuał nad dopiero co złożoną ofiarą — ten sam czyn może oznaczać to i to, i nie ma w tym żadnej sprzeczności. Paradoks jest przywilejem żywych. Interpretacja to dar obserwatora. Natura świata jest...

Ostatnie słowo wypowiedział bezgłośnie, już samymi ustami, jakby przekraczał uświęcone tabu. Dlatego nie miała pewności, czy powiedział „racjonalna” czy

„irracjonalna”. Chciała zapytać, co to znaczy, ale akurat weszła mama. Potem do tego już nie wracali. Wtedy Kingę przeraziła ta przemowa ojca; dopiero dużo później zrozumiała.

Rodzice Jacka trochę się jej bali. Nie rozmawiali o tym wiele. Matka gospodyni domowa, ojciec kolejarz, całe życie przeżyte w dwóch pokojach: w jednym oni, w drugim gnieździł się Jacek z dwiema siostrami. Kiedy jako nastolatek uciekał z domu, nie układało im się najlepiej – w ogóle im się nie układało. Kiedy poszedł na studia, zamieszkał z Kingą, ożenił się, rodzice jakby mu nie dowierzali.

Dziś teściowie już nie żyli, a jedna z siostr, starsza, mieszkała z rodziną w Kanadzie, wyjechała jeszcze w latach dziewięćdziesiątych; druga, stara panna, dalej uczyła polskiego we wrocławskim gimnazjum. Kiedy Kinga zadzwoniła do nich, po tym, jak Jacek odszedł – nie odszedł – i jedna, i druga bardzo długo płakały.

Krótkie miesiące przed ślubem i długie po nim uczyli się siebie nawzajem. Wiedzieli, że nie mogą się znać – kiedy mieli się poznać? – a jednak rozdźwięk między tym, co rzeczywiste – nie rzeczywiste, ale – a tym, co oczekiwane, zdumiewał ich nieustannie. Kinga uważała potem, że właśnie to ich do siebie zbliżało.

Wydawało jej się: że Jacek prześlizgnął się przez studia ledwo, ledwo. I rzeczywiście, oceny miał raczej słabe. Ale o chemii nieorganicznej, wciąż świeżej idei komputerów kwantowych i informatyce potrafił rozmawiać godzinami. Wydawało jej się: że do momentu spotkania się na studiach zawsze wspominała go – tak, choć rzadko – jako podwórkowego chlora-opoja, chuligana balansującego na granicy prawa. Tymczasem po ślubie prawie nigdzie nie wychodził, jeśli już, to razem z nią, w pracy przesiadywał długo, ale po wyjściu z laboratorium zaraz wracał do domu. Przynajmniej tak mówił – tak jej się wydawało – a Kinga nie miała powodów, żeby mu nie wierzyć; potem zaczęła się oczywiście zastanawiać. Zwyczajny laborant od inżynierii materiałowej, wzmacnianego poszycia samolotów pasażerskich, ogniów paliwowych i nadprzewodników.

Czasem milczał całe wieczory, spokojnie dopijał herbatę przed telewizorem, a kiedy go pytała, wracając z łazienki, co się wydarzyło w filmie, mówił, że nic specjalnego, nawet jeśli przyjaciele w technicolorze zmieniali w tym czasie sojuszników, wrogowie ginęli, kochankowie wybierali innych partnerów, niż się zapowiadało. Jakby wracał z dalekiej wyprawy, opuszczał ciemne jaskinie, pełne skarbów i horrorów, zawijał do portu z dłońmi pełnymi nowych słonych blizn. Kiedy pytała go wtedy, o czym myśli, odpowiadał z błahym uśmiechem, że:

o życiu; o wszechświecie; o naturze kłamstwa. Przestraszyła się, gdy uświadomiła sobie, że co, jeśli wówczas mówił prawdę?

Kiedy już wydawało jej się – nigdy jej się tak nie wydawało – że sobie wszystko poukładała, w pierwszą rocznicę tego, jak została sama – nie sama, ale – miała sen. Dojadła pizzę i musiała zasnąć przed komputerem, choć obudziła się przecież w łóżku, przez chwilę wydawało jej się nawet: że jego druga połowa wciąż jest ciepła, wygrzana. Była; ciepło pochodziło z jej ciała. W nocy, śniąc, w rozświetlonej ciszy chodziła po absolutnie pustym mieście spełnionej przyszłości, wśród geometrycznych brył z marmuru i szkła, wśród potoków wody i chromowanej stali. Wzdłuż ulic stały rzędy wygaszonych samowystarczalnych lamp z odginanych na wietrze piezoelektrycznych kryształów. I ta jej twarz, zwielokrotniona w blasku, ledwie widoczna na grafenowych fasadach.

Obudziła się i wiedziała, że podróż dopiero się rozpoczęła.

* * *

Wydawało jej się: że mieli dziecko. (Nie mieli).

W dwa lata po ślubie okres spóźnił jej się bardziej niż zazwyczaj. Przez kilka dni się wahała – obawiała – ale w końcu w drodze do domu zatrzymała się w aptece i kupiła test. Wieczorem, w toalecie, czekając na wynik, czuła się, jakby zdradzała komuś najdawniejszą tajemnicę. Ale w końcu czego by się miała wstydzić?

Wyniki wyszły niejednoznaczne. Następnego dnia umówiła termin u ginekologa, akurat za trzy tygodnie, wtedy będzie już coś można powiedzieć. Kiedy Jacek usłyszał o jej podejrzaniach – o tym, że będą mieli dziecko – długo się śmiał, a później powiedział, że prędzej spodziewałby się telefonu ze Sztokholmu albo wzoru na zimną fuzję znalezionej w modnych ostatnio chińskich ciasteczkach z wróżbami.

Wyprowadzili się już wtedy z wynajmowanej przez Kingę kawalerki, pożyczili pieniądze od jej ojca, znaleźli niedrogie mieszkanie w kamienicy, chłopak ze Szczecina sprzedawał trzy wysokie pokoje w poniemieckim budownictwie, po starej samotnej ciotce. Kinga od razu pokochała wielkie, przestronne okna, ale przez pierwsze miesiące nie mogła spać na nowym, wydawało jej się: że zawsze, gdy się uśmiecha, ktoś chciwie na nią patrzy.

Jacek zarabiał więcej niż na początku – więcej pracował – ale nie czekając na wizytę u ginekologa, od razu sam postanowił odmalować najmniejszy pokój w ich nowym mieszkaniu i ruszył w objazd po znajomych i sklepach w poszukiwaniu łóżeczek, wózków, ubranek, poszewek, pieluch, wielkich plastikowych lalek.

Mówiła mu, żeby się nie wygłupiał, żartowała z niego, że to jeszcze nic pewnego. Ale nie protestowała.

Sama pracowała na uczelni. Była w świetnej formie. Do sesji pozostawało jeszcze sporo czasu, rutyna pozwalała zająć myśli, ale też specjalnie jej nie przeciążała, więc nie mogła potem sobie nawet wyrzucać, że coś zaniedbała.

Dwa dni przed terminem badań obudziła się w nocy, półprzytomna poszła do toalety – potem czasem zastanawiała się, czy rzeczywiście nie spała – po wszystkim spuściła wodę i wślizgnęła się szybko na miejsce obok Jacka. Nad ranem znalazła tylko kilka kropli krwi na piżamie, dziwną ledwo widoczną smugę na podłodze obok umywalki, która mogła być tym, czym myślała, ale nie musiała. Niczego nie powiedziała Jackowi, do lekarza także nie doszła, choć nie umiałaby powiedzieć – czego się bała – czemu zatrzymała się przed drzwiami. Kiedy dostała okres, powiedziała Jackowi, że to jednak był fałszywy alarm. Pod ścianą w pustym pokoju, już wymalowanym, stał karton z podwieszanymi na obracającym się krzyżaku plastikowymi konikami i przywiezione z Niemiec używane grzechotki. Zrolowana wykładzina w błękitne chmurki, z łukiem tęczy przecinającym ją od krawędzi do krawędzi, jak wodospad światła. Okno bez zasłon. Pokój z innego świata, alternatywnego życia, które się nie dokonało.

Kazała Jackowi wszystko przemalować i postanowiła, że urządzi tam ich gabinet pracy. Zdziwił się, ale kiedy zapytała go, co wobec tego mogłoby tam być, nie chciał – nie umiał – jej odpowiedzieć.

Zastanawiała się, co im się w ogóle przydarzyło. Przecież w końcu właśnie nic – nic – się nie stało. (Stało się nic). Czy mieli kiedyś jakieś dziecko? Przecież nie: wiedziała. Ale uwierało.

* * *

Na ponowną ciążę – jeśli to była ciąża – już się nie zdecydowali. Szybko dochodzili do siebie – nie, ale – ale i tak całą zimę spędzili razem, pod kolejnymi narzucanymi na kanapę kocami.

Długie, ciemne wieczory pod słabą nocną lampką, kiedy oglądali VHS-y masowo przywożone z wypożyczalni. Razem sprawdzane kolokwia, przy stole w kuchni. Niedzielne obiady u rodziców, podczas których tylko Jacek rozmawiał. Kolejne zwolnienia z rad u dziekana. Sylwester w domu, pierwszy w jej życiu, kiedy oglądali telewizję – przerażająco smutne Polskie Zoo i straszne, powykrzywiane twarze kalekich pacynek – po dwunastej otworzyli butelkę szampana i ledwo z niej upili, a już zasnęli. Jej pierwszy sezon NBA, bardzo kolorowy, dynamiczny, na telewizyjnej dwójce w sobotnie popołudnia, kiedy

Chicago Bulls po raz kolejny sięgało po tytuł mistrza. Wracający do rozgrywek Jordan przekraczał na parkiecie prawa fizyki, a mały Muggsy Bogues pomiędzy wielkimi czarnymi gigantami wyglądał jak mitologiczny trickster wśród spiżowych cyklopów, przedwieczny wędrowiec o twarzy dziecka. Zima w burym śniegu układającym się na poboczach w wielkie, zbrylone hały.

Wiosną Jacek powiedział jej, że dobrze, gdyby gdzieś wyjechali. Zgodziła się bez przekonania. Zabrał ją w góry, do Tajlandii.

Doi Inthanon oszołomiła ją, przeraziła i pokonała. A potem pozwoliła się zdobyć. Na pierwszą wyprawę wybrali się z małżeństwem Amerykanów, znajomych Jacka z pracy. On nosił teksaski kapelusz, a ona na nowiutkim discmanie z wielkimi słuchawkami słuchała Dolly Parton i bluegrassu. To oni załatwili bilety, zarezerwowali noclegi, pomogli Wójcikom skompletować sprzęt trekkingowy; w Polsce można było wtedy dostać tylko grube ciężkie kurtki z futrzanym podbiciem, harcerskie plecaki na kanciastym aluminiowym stelażu, po dziesiątym kilometrze masakrujące ramiona i lędźwie, wełniane getry na buty i namioty ciężkie jak kowadło.

Już na miejscu, pod oslepiająco jasnym niebem, Kinga przypomniała sobie, ile spokoju może przynieść wędrówka do wyplucia płuc, pęcherze na nogach, pękające krwawo niczym dymienice dżumy, zakwasy przeżerające uda i mięśnie zbite w kamień. Wilgotność powietrza przekraczała osiemdziesiąt procent, szlak okalały ciemnoróżowe rododendrony, kasztanowce i przekwitłe magnolie, a wokół wędrowało tylu turystów, że nawet Kinga wiedziała, że to szczyt weekendowy, niedzielne Himalaje do zdobywania między kolejnymi drinkami. Ale to jej nie przeszkadzało.

Kilkusetmetrowe wodospady na wyciągnięcie ręki, kolorowe ptaki i wielkie owady krążące przed twarzami. Wyślizgane oblicza Buddy wyrze w chłodnym kamieniu. Jaskinie zasiedlone przez wielkie nietoperze, białe strumyki niknące we wnętrzu ziemi i gruba warstwa guana leżąca na skałach. Małpio-ludzkie twarze *piton mai* mieszkających w drzewach, wyszczerzonych diablików żywiących się złuszczonego ludzkim naskórkiem, małymi płazami i jajami ptaków.

Kiedy zbliżyli się na trzysta metrów do szczytu, rozpłakała się z bólu – nie z bólu, i nie rozpłakała się – siadła i powiedziała, że dalej nie idzie. Wokół, na stromym podejściu, zawracały Niemki i Amerykanki z kompaktowymi aparatami w opalonych dłoniach. Jacek próbował dodawać jej otuchy, ale mister Boorstein – Daniel – gestem dał mu znać, żeby odpuścić i jej nie przeszkadzał. Wtedy jeszcze nie potrafiła za wiele powiedzieć po angielsku, ale tyle zrozumiała. Zanim zdecydowała się, czy jest na niego wściekła, czy tylko śmiertelnie obrażona,

Teksańczyk przysiadł obok, ściągnął kapelusz i zaczął wachlować swoją nalaną, pogodną, czerwoną twarz Skandynawa, Duńczyka pływającego na wiking z innymi jarłami. Głośno gawędził z Mabel, żartował z przechodzącymi turystami i wyglądało na to, że nic mu nie przeszkadza, z każdym żyje w przyjaźni, w każdej chwili bezrefleksyjnie czyni sobie Ziemię poddaną.

Z Kingi zeszło ciśnienie. Pokonała ze wszystkimi ostatnie podejście, a potem w hotelu spili się, tańczyli na patio wokół basenu, zaczepiali innych wczasowiczów i wciągali ich na jakiś czas do balangi. Na drugi dzień czuła – jakby ktoś rozłupał jej mózg – że jest szczęśliwa. Nie pamiętała, o czym rozmawiali.

Odtąd na podobne – inne – wycieczki wyjeżdżali co rok, góra dwa. Już bez pijaństwa i sami – razem – wybierając trasy w zasięgu ich możliwości, ale już mniej uczęszczane. Choć do himalaistów z prawdziwego zdarzenia było im daleko, czekała na te trzy bądź cztery tygodnie, nawet – zwłaszcza – jeśli mieli wyjechać na popularne Kilimandżaro, na którym prawie potykali się o ludzi.

W Afryce szukała na zboczach zwłok geparda, nie znalazła – znalazła zmrożoną małpią rodzinę, młode wczepione w zbryloną siwą sierść i ojca o pokrytych lodem czarnych, zwierzęcych oczach. Ciałka były wysuszone i bardzo lekkie, i przewodnik nie potrafił im powiedzieć, jakim cudem i po co mogły zawędrować tak wysoko. Śmiał się i kazał sobie robić z nimi zdjęcia. Na Pico de Aneto skrzyła nogę i uparła się, żeby wrócili tam za rok, zaraz po tym, jak zdobyli Rysy i Gerlach. Moldoveanu wzięli z marszu podczas następnej wyprawy, a Kinga, śpiąc w namiocie pod czarnym rumuńskim niebem, zatęskniła za graniami bliżej słońca, na których nigdy nie cichnie wiatr. Weszli na słoweński Triglav i na Korab, podchodząc od bezpieczniejszej – co nie znaczy, że bezpiecznej – macedońskiej strony. W końcu zdobyli nawet Ararat, w specjalnej międzynarodowej grupie; świat widziany z wysokości ponad pięć tysięcy metrów w końcu wydawał się – ogromny i przytłaczający – mały i odległy.

Pieniądze już wtedy nie stanowiły problemu – nigdy nie stanowiły – komercyjne laboratorium zatrudniające Jacka – ogromna firma ze szwajcarskim kapitałem – z roku na rok radziło sobie coraz lepiej, zwłaszcza kiedy, już w nowym tysiącleciu, zamiast na piechotę przeliczać właściwości izotopów, coraz śmielej zaczęto korzystać z technik wyszukiwania nowych tworzyw, opierając się na uproszczonych równaniach mechaniki kwantowej i superkomputerach. Razem z Kingą szybko przenieśli się pod Wrocław, do parterowego domku w stylu kanadyjskim, jednego z pierwszych takich w okolicy, w którym jasne pokoje w czystej bieli nie kojarzyły jej się z niczym.

Jacek coraz częściej wyjeżdżał za granicę, gdzie miał dostęp do niespotykanych wcześniej mocy obliczeniowych. Potrafił o tym mówić długo i z prawdziwą pasją, a Kinga słuchała, oczywiście, choćby przez grzeczność – komu innemu miałby się wygadać tak, żeby zostać zrozumianym – ale ze zdumieniem odkryła, że coraz mniej ją to interesuje. Wymęczyła habilitację, jednak coraz bardziej skupiała się na pracy ze studentami. Parę lat temu spróbowali żeglowania, klasycznie na starcie, u wybrzeży Chorwacji, na wynajętym jachcie w nieznanym wcześniej gronie podobnych turystów; nocowali w marinach wśród białych kamiennych domostw, otoczeni niemilknącym graniem cykad. Ale wkrótce odkryli, że leniwa powtarzalność każdego rozkołysanego dnia szybko ich nuży. Zamiast tego postanowili po raz pierwszy – naprawdę oderwać się od ziemi – spróbować swoich sił na ośmiotysięczniku. Ale już nie zdążyli.

Dwa lata temu Jacek zniknął.

* * *

(Nie) kłócili się. Czasem myślała, że to naprawdę (nie) było dobre małżeństwo. Rekonstruowała. Reżyserowała.

Dzień. Ich podwrocławski dom. Jasne, mlecznie rozemglone słońce przez firanki. Padało? Na stoliku w korytarzu czarny monolit starego modelu telefonu, kanciasty i matowy. Piękny zapach w powietrzu wpadającym przez uchylone okno. Za szybą ciężkie czapy dojrzałych irysów kołyszą się na wietrze. Dwie postaci. Rozmawiają.

— (Nie) kocham cię. Zrozum to. (Nie) tęsknię. (Nie) myślę o tobie.

— Ja też (nie) mogę bez ciebie żyć.

— (Nie) rozumiem. (Nie) mogę z ciebie zrezygnować.

— To (nie) twoja wina.

Innym razem wieczór, przyciemnione światło nocnej lampki. Ciepły poblask, miękkie cienie rozpajęczone na ścianach. Nieruchome, ale jakby żyły. Skołtuniona pościel. Nowoczesne radio w retro obudowie puszcza playlistę z empetrójki. Czarne, głębokie głosy kobiet o krągłych ciałach i wielkich sercach. Szkice w otwartym notesie jak nieudana rekonstrukcja dziecięcej kolorowanki. W pełnej szklance na stoliku bardzo zimna woda, przez którą przebija tęczyowy blask.

— Hej... (Nie) dotykaj mnie...

— (Nie) mów, co mam robić. (Nie) mogę tak dłużej.

— (Nie) czekaj...

— (Nie) pamiętam, jak robiliśmy to po raz pierwszy. A ty?

— No (nie).

Późna noc. Marynarka i krawat przewieszane przez oparcie kuchennego krzesła. Sterta naczyń w kuchni. Ostatni goście w ogródku. Na wkładanych do zmywarki talerzach smugi musztardy i białe spirale śmietany z sałatki pomidorowej. Resztki pszennej bagietki pocięte w koszyku, przysłonięte białą bawełnianą ściereczką. Daleko przytłumione głosy, pijane głośne śmiechy. Puste butelki stojące na blacie stołu w fantazyjnej konfiguracji. Blisko przytłumione szepty.

— To (nie) prawda. (Nie) mylisz się.

— Życie (nie) jest funkcją falową. (Nie) da się zredukować do jednego stanu, wyjaśnienia, które zniweluje wszystkie inne, interpretacji, która przesłoni pozostałe. Po prostu się (nie) da.

— Ale...

— Co się stało?

— Ja...

— Po prostu (nie) przestaliśmy być przyjaciółmi i (nie) zaczęliśmy być normalną parą z kilkunastoletnim stażem.

— Po takim czasie to (nie) jest normalne.

Reżyserowała.

A po wszystkim już wiedziała: (nie) kochali się od zawsze.

* * *

Jacek zniknął.

Początkowo nie mogła – nie chciała – nie umiała – w to uwierzyć. Potem zmieniło się tylko tyle, że się przyzwyczaiła – poczucie surrealizmu sytuacji nie opuszczało jej nigdy. Ale tłumaczyła sobie, że nie mogło być inaczej, skoro moment po momencie, cztery razy, powtórzyła potem ostatnie kroki męża, pilnując tej samej godziny odjazdu pociągu, rozmawiając z ludźmi, z którymi i on mógł porozmawiać w drodze, zastanawiając się, czy Jacek też zatrzymał się, by popatrzeć na ten billboard, na tamtą wystawę, na nowoczesną fontannę, wokół której gromadzą się ptaki. W pewnym momencie czuła się tak, jakby to ona zaginęła.

Mozolnie odtwarzała ciąg zdarzeń.

Był czwartek. Wieczorem Jacek wyjechał na konferencję, ekspresem Wrocław–Szczecin, tak jak zawsze – z samochodu korzystał tylko wtedy, kiedy jechali na zakupy do hipermarketu, nawet do pracy jeździł tramwajem. Całą noc spędził w pociągu – potwierdziły to dwie zmiany załogi konduktorskiej – a rano, na kawie w McDonaldzie, wysłał jej SMS-a.

Nie odpisała mu wtedy, w drodze na uczelnię; ale godzinę jej nadania zapamiętała. 8:59. „U mnie OK, pije kaffke na rozruch”. I już. Wiedziała, że gdyby mu odpisała, nie zmieniłoby to niczego. Ale jednak musiała się pilnować, żeby za bardzo się nad tym nie zastanawiać.

Więcej już do niej nie napisał. Kiedy w końcu Kinga oddzwoniła, nie odebrał; raz ją odrzuciło, potem uznała, że mąż wyłączył aparat na czas referatów. Gdy jednak nie odpowiedział jej nawet w sobotę, zaczęła się niepokoić. Na policję zgłosiła się następnego dnia.

Mimo że była niedziela, potraktowano ją poważnie, przyjęto zgłoszenie i od razu zaczęto poszukiwania – potem nie mogła się skarżyć nawet na to i w tych wyrzutach szukać ukojenia: że gdyby, że jakby. Że wszystko wyglądałoby inaczej – może by wyglądało? – gdyby zareagowała szybciej. Ale świat – pod postacią troskliwego funkcjonariusza: zmęczone oczka, pomarszczona twarz, dokładnie ogolony i niewymuszony uśmiech – nie otworzył przed nią nawet takiej – pułapki – furtki bezpieczeństwa. Jeśli na coś miała wpływ, to dawno, w niepamięci – w tym, czego nie potrafiła zrekonstruować – na długo przed tym, zanim się dokonało.

Tymczasem młyny złudnej nadziei zaczęły mieć od razu. Jacka uznano za zaginionego pierwszej kategorii, którą przyznaje się, gdy ktoś zaginął pierwszy raz, nigdy wcześniej nie uciekał – nigdy tego nie zgłoszono – i istniała uzasadniona obawa o jego życie. Zwłaszcza ta końcówka zabrzmiała upiornie, ale oczywiście ją to uradowało; pocieszała się, że to zwiększa ich szanse. Już po kilku dniach, osobiście na komendzie, dowiedziała się, kto z Jackiem rozmawiał jako ostatni, gdzie widziano jej męża, jakie są możliwe scenariusze wydarzeń.

Na konferencję Jacek nie dotarł, nie zameldował się też w zarezerwowanym hotelu. Tak, dwie osoby ze zmiany w McDonalddie go zapamiętały, pan z punktu z prasą przed dworcem też. Telefonu ani żadnej rzeczy jej męża jednak nie odnaleziono – potem sprawdzono paserów, u nich też cisza. Ciała – ciała... – nie odnaleziono także. Uciekł, czy go skrzywdzono?

Jeśli uciekł, po co jeszcze napisał, przecież wychodząc z domu, musiał wiedzieć, że już więcej się do Kingi nie odezwie, że znika; musiał to planować od dawna. Czyżby chodziło o aż taką mistyfikację, maski na maskach na maskach? Kolejne piętra oszustwa można było mnożyć w nieskończoność, poziom możliwych wariacji – że wiedział, że ona pomyśli, że on wie, że ona wiedziała – rósł wykładniczo. Zero-jedynkowa logika wykolejała się na takich spekulacjach. A może po prostu to było jego pożegnanie? Szczecińskie prostytutki mówiły, że nigdy kogoś takiego nie widziały.

Zastanawiano się nawet – czysto hipotetycznie, no jasne – czy nie mogła go uprowadzić konkurencja. No właśnie – mogła? Czy nie? Ze Szczecina prowadziły szlaki tranzytowe na zachód i na północ, przemycano tędy papierosy, wódkę i sprzęt elektroniczny, na pewno dałoby się też ukryć człowieka – albo ukryć człowiekowi, gdyby tego chciał. Tylko po co porywać Jacka? Dokumenty sprawdzone w jego firmie były jasne i przejrzyste: nic, za co można by zabić.

To jej nie pomagało.

Telefon komórkowy męża wciąż milczał, wysyłane na jego numer SMS-y trafiały w próżnię, telekomunikacyjne limbo, w którym na wieczność krążą nieprzeczytane wiadomości i słowa wykrzywane podczas za szybko przerwanych połączeń; policjanci nie potrafili namierzyć aparatu. Zniszczony, powiedział prowadzący jej sprawę miś-alkoholik, jakby to cokolwiek wyjaśniało (dodatkowo wszystko komplikowało).

Kinga sama obdzwoniła wszystkie hotele, a potem szpitale, noclegownie, schroniska, jadłodajnie, izby wytrzeźwień, a w końcu i parafie w okolicy Szczecina. Przeprowadziła łącznie kilkadziesiąt identycznych rozmów, ostatnie z nich jak robot, mechaniczne nagranie na nieustająco powtarzającej się taśmie, i pod koniec czuła, jakby coś chciało ją rozgryźć od środka, wydostać się na świat. Ale wytrwała. Nic nie znalazła, ale przynajmniej policja była pod wrażeniem.

Potem przyszły chwile trudniejsze. Została sama. To znaczy, wszyscy znajomi od razu zadeklarowali chęć pomocy, Aldona z pracy uparła się nawet, że najbliższe noce prześpi u Kingi w mieszkaniu. Ale w końcu – została sama. Musiała obdzwonić rodzinę. Uporządkować rachunki i opłaty, kiedy po raz pierwszy pomyślała, że może nie dać rady; nie załamała się tylko dlatego, że biurokracja by ją wtedy pogrzebała. Na koniec zostawiła najtrudniejsze.

Intymną archeologię cudzej prywatności zaczęła od gabinetu męża. Od biurka, szafki z dokumentami wypełnionymi technicznym żargonem, przeszła do komputera stacjonarnego – laptopa też nie odnaleziono – z każdym kolejnym otwartym plikiem schodząc na niższą warstwę stratygrafii cudzego życia. Bilingi rozmów telefonicznych, wyciągi z kart bankowych i kredytowych. Stare widokówki z wyjazdów, z czasów, kiedy wysyłano jeszcze widokówki. Segregator z dawno nieaktualnymi wynikami badań lekarskich, słupkami badań krwi, niewykorzystanymi receptami, zaplątało się tam nawet kilka prześwietleń czaszki i płuc wykonanych zgodnie z zaleceniami z pracy. Szafy z ubraniami. Nawet jeśli niczego nie spodziewała się tam znaleźć – jej podejrzliwość rosła, im dłużej niczego podejrzanego nie znajdowała – Kinga czuła się, jakby kogoś gwałciła.

Tabu było zbyt silne, cudza skóra – nie cudza, przecież go kochała – nieprzyjemnie przyjemna, zwłaszcza kiedy zbyt dobrze do niej pasowała. Niczego nie znalazła.

Chodząc po domu, co rusz natykała się na jego ślady: kubek pozostawiony niedbale na parapecie, spinka do krawata nieodłożona na swoje miejsce, pusta kartka wyrwana z notatnika, wypisany do połowy długopis żelowy, zapasowe kluczyki do auta w kieszeni jesiennej kurtki. Śmieci gromadzone przez całe życie, w których odnajdywała tylko to, co знаła. A przecież czuła, że to nie może być prawda.

W końcu telefon wyświetlił zapisany numer, znajomy funkcjonariusz zadzwonił do niej na komórkę z informacją, że coś mają. Słuchała słów i równomiernego, powolnego bicia swojego serca. Czy przyjedzie?

W Warcie pod Poznaniem znaleziono bezgłowe zwłoki. Wszystko się zgadzało: płeć, wiek, czas zaginięcia, nawet szczegóły anatomiczne. Denat nie miał tylko głowy – na jego plecach widniał za to piękny, potężny tatuaż: cieniowany w kilkunastu odcieniach czerni i szarości neogotycki kompleks katedr, pełen przypór, żebrowanych wieżyczek, ornamentowanych arkad, miniaturowych rozet i tympanonów, strzelistych kapliczek, przejść między nimi i dachem. W ostrołukowych oknach, wyraźnie wyeksponowanych, rozpięte zostały miniaturowe witraże: czarno-białe płomienie i nagie skały, aniołowie i grzesznicy ze smutnymi oczami. Każdy przedstawiał kolejną scenę z dantejskiego Piekła i Raju. Czy to naprawdę mógł być Jacek? Takie arcydzieła powstają latami. Czekała trzy tygodnie na efekt badań DNA, Kinga zastanawiała się, jaki ich wynik bardziej by ją przeraził.

Po powrocie z identyfikacji – nic jej nie pozostało – zabrała się do poszukiwań ze zdwojonym zapałem.

Skontaktowała się z redakcjami gazet i stacji telewizyjnych. Opowiedziała im swoją historię, fabularyzując i udramatyczniając, jak tylko się dało. Poprosiła o zamieszczenie komunikatu o zaginięciu Jacka. Zapłaciła. Współczuli jej i powiedzieli, że spróbują pomóc. W tym czasie już drukowała plakaty z ostatnim znalezionym zdjęciem męża, w krótkich zdaniach pojedynczo złożonych opisała, kogo szuka, kiedy zniknął, jak wygląda, w co był ubrany. Na szczecińską pocztę dostarczyła trzy tysiące podobnych ulotek. Nie obyło się bez spięcia z dyrekcją, ale ostatecznie wyrażono zgodę, aby listonosze wkładali je do skrzynek razem z dostarczonymi listami.

W podobny sposób dogadała się z lokalną korporacją taksówkarską. Tu już musiała wyłożyć sporo grosza, ale oczywiście nie żałowała ani złotówki. Zdziwiła się, bo ksiądz z parafii, na której obszarze po raz ostatni widziano Jacka, za darmo

zgodził się nagłośnić sprawę po niedzielnych mszach. Wróciła do Wrocławia z przytłaczającym poczuciem, że cała ta robota musi pójść na marne. Tylko że takie przeczucie to było za mało, żeby się poddała.

Ponieważ wydawało jej się, że w świecie materii zrobiła wszystko, co zrobić się dało, uznała, że najwyższy czas, by podjąć szturm dalej. Najpierw zgłosiła przez internet zaginięcie do ITAKI, potem zaczęła sprawdzać strony o zaginionych.

Poczuła, że wypłynęła na wody, dla których nie istniały żadne mapy.

* * *

Na stronach ITAKI wczytała, żeby w pierwszej kolejności sprawdzić fora, na których udzielał się zaginiony. Być może zapomni się i zaloguje już po ucieczce? Albo któryś z wpisów wskaże, co zamierzał, gdzie się udał; że w ogóle gdzieś się udał i coś zamierzał. Tylko czy Jacek miał jakieś hobby? Czy udzielał się na portalu o muzyce, o samochodach, o sporcie? O fizyce kwantowej? Kinga próbowała sobie przypomnieć, czy w ogóle kiedykolwiek wspominał jej, że udziela się na jakimś forum, portalu innym niż naukowy – te już sprawdziła policja i jego znajomi z pracy – że coś robi po pracy.

Nie przypomniała sobie niczego podobnego, z perwersyjnym uwielbieniem za to, jakby naprawdę miało jej być od tego łatwiej – najpierw było jej łatwiej – zaczęła zgłębiać życiorysy innych zaginionych. Każdy link jak portal do życia, które się nie dokonało; wyblakłe zdjęcia twarzy niczym kartki pocztowe dosyłane z innych wszechświatów. Sposób ten jednak szybko ją wypalił.

Te wszystkie monotonne – tak przerażające, bo tak identyczne – historie i opisy. Wyszedł z domu i nie wrócił. Wyszedł z domu – i nie wrócił. Wyszedł z domu – i nie wrócił – wyszedł domu, zaginął – wyszedł z domu, tylko na chwilę – i nie wrócił – nie wrócił – wyszedł, i nie. Tylko czasem pojawiały się w nich puenty, ale kiedy tak się działo, było jeszcze gorzej. Pod wszystkim krótka informacja, że jednak znaleziono ciało. Nieoznaczoność świata kolapsująca do jednoznacznych faktów, równanie, które znajduje swoje rozwiązanie. Ilość bólu w tych lakonicznych opisach – wszechświaty cierpienia, które rozciągały się za rzeczownikami pozbawionymi przymiotników – okazała się ponad jej wytrzymałość.

Na próbę wpisała w wyszukiwarce imię i nazwisko Jacka.

Przeglądarka wypłula jej ponad pół miliona wyników. Do tego Facebook. Nasza Klasa. Wyłączyła komputer i przez resztę nocy płakała.

Wiedziała, że gdyby uciekł, na pewno nie używałby dalej swoich danych, ale pokusa była zbyt silna. Poza tym szukała nie tylko przyszłości, kopała też

w przeszłości, a ta rozpościerała się przed nią jak szeroka, kamienna równina.

Najpierw wyeliminowała tropy oczywiste: stronę firmy, wpisy na stronach uczelnianych, sprawozdania z konferencji. Następnie po powrocie z pracy wpisywała w wyszukiwarkę jego nazwisko – i błyskawicznie dokonywała selekcji: to nie ten, to nie on, Jacek nigdy nie interesował się jeździectwem, nie zbierał militariów, nie nosił takich ubrań. A potem przyszło olśnienie – przerażenie – gdy uświadomiła sobie, że być może to właśnie on – nie-on – on prawdziwy, ukryty, fazowo rozjechany: nie-Jacek, którego nie-znała (którego nigdy nie-poznała). Pokrętna *fuzzy* logika straty: najbardziej podejrzane wydawały jej się te strony, które najmniej do niego pasowały.

Od tego momentu uważnie wgrzyzała się w każdy link i profil, czytała każdy blog, nawet najdziwniejszy, sumiennie, z archiwami, potem przechodziła na wskazywane w ulubionych stronach portale. Nie ufała tylko zdjęciom profilowym, nieruchomym twarzom, zamrożonym uśmiechom, nieprzekonująco wystylizowanym na ekranie kamiennym maskom, nawet jeśli nie stylizowanym. Cudze wpisy jak listy w butelce z innego życia, relacje z zakupów, wywiadówek i wyjść do kina jak pamiętniki śmiazków odkrywających dzikie oceany.

I tak uczestniczyła w wojnach husyckich na Śląsku, rejzach przez Nyse, Brzeg, Ząbkowice – miasta, które do tej pory dla niej nie istniały; wyznaczała warstwy geologiczne na Wyżynie Sandomierskiej, powstałe w czasie orogenezy kaledońskiej, kiedy miała miejsce kambryjska eksplozja ewolucyjna, a w morzach – w skałach – pojawiły się trylobity, jak mioty Obcych z odległych planet; uczyła się, jak najlepiej zaimpregnować własnoręcznie zbitą działkową pergolę albo za pomocą starej podkoszulki i wstążki przygotować *bandeau bra*, wygodny bandażowy top-stanik; skrupulatnie analizowała, gdzie najlepiej wypierdolić nieletnią dziwkę na wakacjach w Wietnamie. Za każdym razem poznawała życiorysy, które nie były jego – ale mogły być – więc może były. Kiedyś z rozpędu wpisała w wyszukiwarkę także swoje imię, ale nie odważyła się zatwierdzić zapytania, pójść za tropem, zagłębić się w wachlarz życiorysów nieprzeżytych, sprawdzić, co się jej ukaze.

Stała się ekspertem od Jacków Wójcików. Kiedy już ogarnęła najczęściej pojawiające się adresy, przeklikała – przeczytała – kilka tysięcy linków i przecierpiała pierwsze kilkaset profili i wallów na fejsbuku, także tych, które ujawniały jej się tylko połowicznie, w ułamkowym rozbiciu, zablokowane dla nieznanomych, ale i tak zdradzające, które strony i jakie wydarzenia zostały przez właścicieli zalajkowane, zastanowiła się, co teraz zrobiłby Jacek. To było proste.

Mając taką bazę danych, należało uporządkować te wyniki na osi współrzędnych wydarzeń i marzeń.

Pogrupowała dane według wieku, miesiąca urodzenia, grupy zawodowej, zainteresowań, stanu cywilnego. Szukała żonatych czterdziestoparolatków z wykształceniem wyższym, Koziorożców, umysł ścisły, zadbanych, choć trudno powiedzieć, że przesadnie wysportowanych. A potem porównywała to z tym, co wiedziała – wydawało jej się, że wiedziała – o życiorysie Jacka; co sobie rozpisala na dużych, gwiazdzistych diagramach. Że przechodził takie i takie choroby, to jadał, a tego nie, miał podobne bądź różne zainteresowania. Tu kariera zawodowa, tu życie rodzinne, tu dzieci bądź brak dziecka, na marginesie informacja, że jako kierowca miał poważny wypadek. Astrologia jak nauka ścisła, statystyka jak szyfr, którym przemawia do człowieka przypadek.

Jacka Wójcika identycznego z Jackiem Wójcikiem nie znalazła ani razu. Zbieżność życiorysów – ocenianą po najbardziej oczywistych punktach zwrotnych życia, zejść niżej z bardziej dokładną komparatystyką w ogóle się nie dało – odkryła w siedemnastu procentach przypadków. Najpierw się załamała – i dopiero potem przyszło olśnienie. Przecież to jednak był zdumiewająco duży odsetek. Jakby natrafiła na odcisnięty w kenozoicznej skamieniałości ślad papilarny Boga. Drżącymi palcami wklepywała wyniki i porównywała dane.

Jeśli byli w odpowiednim wieku, to pracowali w handlu albo fizycznie, albo w ogóle nie pracowali. Inżynierów znalazła kilkunastu, od telekomunikacji do budowy mostów, żaden jednak nie zajmował się chemią materiałową bądź fizyką teoretyczną, u nikogo w profilu nie znalazła żadnej wzmianki na temat nadprzewodników czy kwantów. Jeden uciekł z domu, kiedy miał piętnaście lat; mocno się potem tym szczycił. Jednemu, już po Euro, żona uciekła z dużo młodszym piłkarzem ligi okręgowej, ale ten Wójcik doskonale wiedział, gdzie się ona znajduje, jak mieszka, jak jej się żyje w nowym życiu uszytym na miarę – po rozwodzie nie wyrzucili się z grona znajomych, jak inaczej mogliby sobie dogryzać, obrażać się, tęsknić – czuć ulgę – na wspomnienie świata, który już się nie wydarzy. Jeden zginął w wypadku paralotniarskim. Dwóch – dziennikarz sportowy w lokalnej gazecie na Pomorzu i pracownik firmy transportowej z okrutną nadwagą – miało zawał; obaj przeżyli. W całym zbiorze żadem nie zginął, nie zostawił swojej żony, a potem się nie odnalazł. Szukała dalej.

W końcu się odważyła. Wytypowała piątkę – żonatych i nie, nigdy nic nie wiadomo – i do nich napisała. Czterech odpowiedziało, trzech się zgodziło. Żaden nie wiedział o innych, z którymi korespondowała. Umawiała się z nimi osobno, miesiąc w miesiąc, na sobotnie kolacje. Opowiedziała wszystko – z każdym

kolejnym razem było już łatwiej – ale niczego się nie dowiedziała. Obce spojrzenia, współczujące – lubieżne – uśmiechy, cudze życiorysy. Z trzecim z nich się przespała, ale więcej się nie spotkali.

I dawno już by się z tym pogodziła – przed twardymi faktami nie powinien bronić się żaden doktor habilitowany – gdyby nie dwie strony, dwa linki, jak żwir i brud w zablizniającej się ranie. Pisała do moderatorów, szukała właścicieli serwerów, zgłosiła sprawę policji. W żadnym z przypadków nic nie zyskała.

Za pierwszym razem było to zdjęcie na studenckim blogu podróżniczym, które jakiś „Jawój” wkleił w komentarzach pod wpisem o wyprawie stopem na Sycylię. Przedstawiało zionący dymem czynny wulkan na Stromboli i grupę ludzi na tle samego krateru, rozpikselowanych, zmęczonych, roześmianych. Wśród tych twarzy Kinga rozpoznała – wydawało jej się, że rozpoznała – twarz Jacka. Dorosłą, taką, jaką znała – jaką pamiętała.

Sprawdziła datę wpisu – rok przed zniknięciem męża. Napisała do prowadzącego blog, ale odpisał, że nie zna człowieka; nie zna nikogo ze zdjęcia. Policja powiedziała, że niestety jakość fotografii jest za słaba, żeby potrafili potwierdzić tożsamość z całą pewnością. A nawet gdyby – Jacek był na wulkanie i on albo ktoś, kto mu towarzyszył, zamieścił potem swoją fotkę w internecie na długo przed tym, zanim zniknął. To nie jest karalne. Sprawy nie polepszało, kiedy tłumaczyła, że mąż nigdy nie wspominał o niczym podobnym, nigdy nie byli na Sycylii, do tej pory Kinga nawet nie wiedziała, że po wulkanach można chodzić w koszulkach z krótkim rękawem. Sprawdziła ten nick, ale więcej żaden Jawój na blogu się nie pojawił.

Drugim z elementów, który nie pasował do układanki mającej jej wytłumaczyć ich życie, był artykuł. Naukowy, z bibliografią i przypisami, na pół arkusza, podpisany „mgr Jacek Wójcik”, bez daty publikacji. Znalazła go jako ciekawostkę na popularnej stronie z wypracowaniami. Autor – Jacek? – na dziesięciu znormalizowanych stronach analizował *Doświadczenie metafizyczne* Adorna w świetle najnowszych ustaleń fizyki kwantowej. Musiała zgugłać tego Adorna. Tekst wypełniały długie rusztowania wzorów, a autor pisał o Bogu: Bogu niebyłym, kwantowym, który jednocześnie jest i w tej samej chwili Go nie ma. Który jest tym bardziej wszechwiedzący, im mniej działa w świecie – i tym bardziej omnipotentny, im mniej wszechobecny, gdy redukuje się z transcendencji do immanentnego punktu tu i teraz na osi czasu.

Przeczytała ten tekst cztery razy. Nie dlatego, żeby był taki skomplikowany – matematyka w nim wykorzystana była na poziomie trzeciego roku studiów – tylko dlatego, bo Jacek nigdy o czymś takim nie wspominał – nie zapamiętała, żeby

wspominał – do tej pory nie sądziła nawet, że w ogóle wierzy w Boga. Była przekonana, że w religię przestał się bawić dawno temu, jeszcze przed studiami.

Zgrała sobie to zdjęcie i ten artykuł na pulpit, gdzie zawsze były pod ręką, mogła je otworzyć, kiedy tylko chciała. Ale ich nie otwierała. Zasypiała i zastanawiała się, czy ją też i do jakiej historii zredukuje kiedyś jakiś obserwator. Zasypiała – nie zasypiała – i zastanawiała się, czego w ogóle szukała.

* * *

Wczoraj telefon wyświetlił znajomy numer. Długo wpatrywała się w wibrujący wyciszony aparat leżący na ciemnym kuchennym stole. Jakby jej życie skupiło się w tej jednej, rozciągniętej na kilkadziesiąt lat superpozycji stanów. Wszystko było możliwe – nic nie było możliwe – telefon dzwonił. Znów przeżywała całe swoje – ich – życie, ściśnięte do początkowej osobliwości, w której nie istnieje czas, a temperatura emocji rośnie ku nieskończoności. Czuła to wzajemne przyciąganie.

(Nie) uśmiechnęła się.

(Nie) wiedziała, co zaraz usłyszy. Ale się (nie) bała.

(Nie) podeszła do telefonu.

I (nie) odebrała.

RP Productions

Mówiono mi – jeszcze nad Renem – znacznie zaś bardziej szczegółowo w lata potem w Krakowie: zdobywca Kijowa, Bolesław, Włodzimierza Bazylego córkę, właśnie Przeclawę, upokorzył, zhańbił, zniewolił, uciekając zaś z Kijowa i ją też z sobą nad Wisłę czy też nad Wartę uprowadził.

Teodor Parnicki, *Robotnicy wezwani o jedenastej*

Cześć gołąbku, jak tam, trzepiesz kapucyna? Ścigał go radosny, donośny śmiech i błysk złotego zęba, nieprzyzwoita Psia Gwiazda w obleśnej gębie mistrzyni seksu oralnego.

Cormac McCarthy, *Sutree*

Miśko, pan na Gnieździe, słynna płowa pyta Polan, nastroszył węża jasnego jak wiecheć słomy i chrobrą ręką, co niejedną rzepę kradła, ścisnął książęcy nabiął.

— Dalejże, piękna suczy, podejdźże no bliżej — sapnął i w bardzo międzynarodowym geście przejechał koniuszkiem języka po skrytych pod wąsiskami, pełnych wargach.

Łykowe kapcie miał rozdeptane, portki przewiązane konopnym sznurkiem, na którym nie powiesiłby się nawet kmieć, któremu margrabia Hodon zrobił wjazd na sioło, ale pod rozchełstaną koszulą z surowego lnu prężyła się muskularna, natłuszczona klata, tatuowana w dobrze widoczne trzy skośnie przycięte pasy, rytualny znak, piramidę nocy, kwadratowa wygolona szczeka prezentowała się jak kowadło, z którego wybrańcy wyciągają dający władzę miecz bogini, kradną żelazo ojcom ognia.

Zamaszystym ruchem odłożył na niewielki bukowy stolik pusty drewniany kubek i jeszcze bardziej poluźnił sznurek w obcisłych spodniach. W komnacie było ciemno, ale nie aż tak ciemno; widział doskonale, kogo przyprowadził żerca. Wielkie łoże w skórach zajęty i lisów stało za nim i już czekało.

— Oto ona, panie. — Kapłan-mag Sieciech, pierwszy tego miana, wysunął przed siebie szczupłą, wysoką piękność o płomiennie rudych włosach i mocno sterczących piersiach o czerwonych sutkach, dobrze widocznych pod

przezroczystym peniuarem. Żyłasty żerca z obwisłym cieniutkim wąsem miał na sobie tylko skórzane, włochate gacie z bobra i Mieszko wiedział, że w innej scenie z chęcią by mu dopomógł, jak zwykł był mawiać: „wzieliby ją we dwa kije”, bez żadnej słowiańskiej lipy i lelum polelum, ale to było jego solo i książę nie zamierzał się nim dzielić. Skinął niedbale głową i pomasował się po jajcach, tak jak to wcześniej ustalili. Żerca dokończył prezentację — córka Przemyślidy, hradecka kniahini, księżna Dobrawa.

Czerwonowłosa zrzuciła podomkę, podeszła do księcia i naga, gładko wygolona, klęknięta poddańczo przed Mieczem na Germanów. Oczywiście patrzyła mu w oczy i rozchyłała usta dobre do szeptania czułych słówek i pieszczot oralnych, bezwstydnym i pogańskim. Miśko Piast zmierzył ją z uznaniem spojrzeniem i nie odrywając wzroku od branki, rzekł sentencjonalnie do maga:

— Gdzie taki włos błogi, tam ogień w rzyci srogi...

— No wa! — zaśmiał się żerca i dał dowód erudycji, w którą trudno byłoby uwierzyć późniejszym kronikarzom — jakie *benedicte*, też *oremus* taki.

— Sami byście ją, świszczypało... Już ja was znam, druidów-lubieżników.

Mieszko kręcił z zadowoleniem wąsa. Sieciech wciąż się śmiał. Wiedział, co się wydarzy, i nie opuszczał go nastrój swawolny. Wszak nie w każde święto paproci dochodziło do książęcych zaślubin.

— Choć u mnie broda siwa, jeschcem niezganiony — zarymował jak filid, których sztuki uczył się na Świętej Górze u jednego z tamtejszych celtyckich plemion, podczas wyprawy do Krain, na tereny Ślązan. — Czosnek ma głowę białą, a ogon zielony. Wszak wiesz, księżycu: im kot starszy, tym, jak to mówią, ogon jego twardszy. A i dąb, choć mieścy przeschnie, choć list na nim płowy, przedsię stoi potężnie, bo ma korzeń zdrowy.

Miśko docenił wica. Ale pora już była po temu, żeby od słów przejść do heroicznych czynów.

— Gdyby się godziło panny jak konia spróbować, nie zawadziłyby sobie kęs podmałżonkować... — zwrócił się do półnagiej bogini. Nie zaskoczył jej. Dobrawa wiedziała, jak się prowadzi taką politykę.

— Daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj... — zaszumiała gardłowo, a potem dokończyła rozwiązywanie książęcych portek. Koszulę Mieszko zdjął już sam i napiął mięśnie. — *Mmm*, o tak... jaki on, *mhmmm*, dostojny, a przaśny...

Chluba Mieszka, Berło Słowian, Oszczep na Dziewice, sama wyskoczyła na główny plan. A rzeczywiście było co podziwiać. Organ pierwszego wśród Piastów jaśniał płowo jak dobrze przesuszona kośba z nostalgicznych równin, prężył się stalowo, włócznia wojów szarżujących do walki, klinga nigdy nietępiącego się

miecza. Tyle tylko że Dobrawa nie na darmo nazywana była – z szacunkiem, wiadomo – czeską-kurewką-nie-do-wyjebania. Nie tylko się nie zlekła, ale ogrom wyzwania dodatkowo zmobilizował ją do działania. Wzięła go do ust, patrząc w błękitne oczy księcia, z rozkoszą, jakby jadła pierwszego w życiu knedla. Legli na łożę, pod powałę poniosły się jęki i postękiwania.

Miśko, spłodzony przez niedźwiedzie, karmiony mlekiem turów, przez wrogów z północy zwany Dagonem, Sinym Smokiem, przez wrogów ze wschodu Czerwonym na Pysku Knurem, a przez Germana skurwysynem, zabrał się z zapalem do dzieła.

Kiedy już nabrzmiał po królewsku, zaprezentował brance żelazny wachlarz słowiańskiej *ars amandi*. Najpierw oralnie, na przystawkę: wąsem w węża; potem na groch z kapustą, klasyczny anilingus. Następnie szybko, patriarchalnie, przeszedł do sedna.

Zrobili to na topielca – głową w dół; na bałagan – po piwku; na bigos – wszędzie po trochu; na cwaniaka – z palcem w tyłku; na żur – z całymi jajcami; po kmiecemu – kłonicę dzierżąc w dłoni; na Teutoński Młot – z analnym impetem; na dzika, na borsuka, na łasicę – ze sprytem, ruszając wąsiskami; na dziada – z brodą między udami; wreszcie na lenia – drapiąc się po brzuchu. Książę umęczył się srodze, ale było to zmęczenie walki, radość zwycięstwa, znój łowów: smak, jaki miewa miód, kiedy pod zimnym niebem, pomiędzy opadłym listowiem, zmywasz ze skóry dotyk żelaza lub krew ubitego zwierza.

Sieciech stał w cieniu, świadcował zaślubinom, strażnik tradycji na straży macierzy; uciskał przez portki nabrzmiały korzeń. Na koniec, na piękne, różowosutkie piersi o idealnym kształcie, Miśko wykonał swoje popisowe miodowe chluśnięcie mocy.

— *Bravo! Bravissimo!* — rozległo się spod ścian komnaty, kiedy władca ocierał spocone czoło, a Dobrawa lubieżnym ruchem rozprawiała szczodry książęcy dar po swojej gładkiej skórze i krągłym, jędrnym wianie. — Genialne! Tak się rodzi historia.

Książę, zmęczony, ale nie pokonany, uśmiechnął się promiennie, szczerze, jak tylko Słowianie potrafią.

— Tylko po co, powiedz mi, proszę — kontynuował głos — był ten *product placement* adidasa na kłacie?

Książę wzruszył ramionami i zszedł z zasłanego skórą łoża. Ktoś podszedł i podał mu plastikowy bidon z rurką, wypełniony napojem izotonicznym. Jednym ruchem odkleił wąsy i okrył się przyniesionym ręcznikiem, grubym, frotowym, jak skóra odyńca.

— Aaa, czytałem gdzieś, że oglądają nas piłkarze na zgrupowaniach.

Zapalono światła, piastowskie pomieszczenie zniknęło w blasku lamp. Na planie *Mieszka I – Księcia jebaków* kończył się kolejny znojny dzień zdjęć.

* * *

Pierwszego grzmota zobaczył, kiedy miał trzynaście lat.

Jak na standardy czasów sieci, byłby już szkolnym emerytem o przyklepanym celibacie, stworzeniem smutnym i godnym pogardy, które nigdy nie zaznało krzepiącego uchwytu dzidy w dłoni, ale te czasy miały dopiero nadejść. Tymczasem zaczynały się ortalionowe lata dziewięćdziesiąte, wąs piął się rażno po ogorzałych twarzach sąsiadów i wujków, ciocie tapirowały włosy na sztywno, na pojedynczych lokach można było ostrzyć żyletki, wystawy sklepów zapłonęły kolorami, jak zorza, jak tęcza, a ojciec Kałamarza, Łukasza Nawojki, grubego ciula i strasznie fajnego kumpla, przywiózł z Niemiec pornosa. Był to włochaty *lesbian fetish MILF production*, o czym Paweł wtedy jeszcze nie wiedział, tak jak nie zdawał sobie sprawy, komu musiał possać kule ojciec Nawojki, za czasów PRL-u pracownik handlu zagranicznego, żeby udało mu się go zdobyć, wyłowić jeszcze zza żelaznej kurtyny; a kiedy dorósł, miał już, by tak rzec, inne kule do possania i meandry kariery ojca Kałamarza niespecjalnie go interesowały. Tymczasem zbliżał się ten dzień, kiedy życie Pawła Łazarczuka, do tej pory pozostające w młodzieńczej, kwantowej superpozycji stanów – mógł być każdym, policjantem i lekarzem, a przynajmniej wciąż umiał o tym marzyć – skonkretyzowało się, obrało cele, jakby uzyskało własną wolę, i zmieniło się nieodwracalnie.

Kałamarz dał wtedy cynk na fizie, że ma cymes towar i jak chcą, to mogą urwać się z wufu i go u niego zobaczyć. Paweł, przez kolegów zwany bez miru Kuleczką, nie trzymał z największymi kozakami z klasy, przez co ominęło go wczesne dorastanie i pokuszenie nałogów, poznawanych od najmłodszych podstawówkowych lat, ale tę informację usłyszał, a, o dziwo, tym razem nikomu nie chciało się pogonić kujona. Może myślano już o labiryntach dojrzałości i słodko-słonnych głębiach, w które kolejny raz – ojciec Nawojki nie zawodził od tej strony nigdy – przeniosą ich obrazy oglądane w opustoszałym domu, tuż przed powrotem rodziców z pracy, z duszą na ramieniu i ciśnieniem w spodniach? Poszedł więc ze wszystkimi.

Kałamarz mieszkał za mostem, już na peryferiach miasta, kiedyś w dzielnicy czerwonych notabli, później na osiedlu błękitnych kołnierzyków; już w podstawówce, żeby się tam dostać, trzeba było nieźle przebierać nogami. Szli więc rażno, w nierównym szyku, pod upalnym słońcem kielkującego lata, nerwowa

gromadka milczących gnomów, którą ktoś wypędził spod ziemi na światło, ikona niewinności i przygody, idealizowana we wspomnieniach i amerykańskich filmach. Marsz młodzieńczy jak metafora życia, dojrzewanie zakłęte w czynność fizyczną, radość, strach, ciekawość i odwaga skupione w jednym popołudniu: uczniowie na wagarach. Powtarzający nieświadomie szlak, jakim setki przeszły przed i tysiące pójdą za nimi.

Jak na doświadczenie graniczne, wydarzenie formujące przystało, Paweł – jeszcze nie zdając sobie w pełni sprawy z rangi zajęć, w których uczestniczył, ale już czując doniosłość chwili, lęk dojrzewający w dole brzucha i podenerwowanie – zapamiętał wszystko: upał, pot pod pachami i na karku, zapach rozgrzanego asfaltu, czarne rośliny widziane z mostu, w głębi brunatnej toni leniwie kotłującej się rzeki. Fizjologiczno-genitalne docinki towarzyszy w występku, które nie w pełni jeszcze rozumiał, nerwowe śmichy, dużo milczenia. Podwórko domu rodziców Kałamarza, wysoki płot obrośnięty bluszczem, szary chropawy tynk na ścianach.

Kiedy już weszli do środka, a Kałamarz upewnił się, że rodzice rzeczywiście, zgodnie z grafiką dnia, są wciąż w pracy, rozsiedli się w pokoju dziennym na sofie, fotelach, dywanie o długim włosie, Kałamarz zasłonił okna ciężkimi bordowymi storami, przyniósł z lodówki oranżadę w dużej plastikowej butelce – to było jego popołudnie i miał chłopak gest – aż wreszcie odpalił czarne, wielkie, wypasione, lśniące jak artefakt od obcych VHS. Z powrotnej drogi do domu Paweł nie zapamiętał nic. Jakość filmu była idealna.

Przejście na stronę fizycznej dojrzałości dokonało się nocą, jak na mitologiczne transformacje przystało, w ciemności pokoju i waginalnej duchocie naciągniętej wysoko kołdry. Paweł był jedynakiem; do tej pory nie umiał się z tym do końca pogodzić, od tego dnia zaczął ten fakt błogosławić. Leżąc w łóżku, samotnie, nienękany niczym towarzystwem, dodał dwa do dwóch, poskładał rzucane coraz śmieiej – w miarę postępu filmowej akcji – uwagi kolegów i przypomniał sobie wstawkę z wąsatym dominatorem, który pojawił się na ekranie i wywarł na nim piorunujące wrażenie, i wiedział już, co robić. Słodko-dotkliwe napięcie, które nie opuszczało go, odkąd rozstali się przed drzwiami Kałamarza, wreszcie podpowiedziało mu, co robić. Gorącą dłonią ujął rozpalone ciało, zamknął oczy, otworzył się na zapamiętane obrazy. Widok nauczycielek już nigdy nie miał być dla niego taki sam jak wcześniej.

Kiedy skończył, w bolesno-ekstacyjnym skurczu, pierwszy raz, ze strachem i dumą odkrył, że dłoń i poszewka kołdry pokryły się ciepłą, lepłą wilgocią. Nie bardzo zdając sobie sprawę, co robi, polizał palce. Płyn smakował przepoconym

podkoszulkiem i dorosłością; uświadomił sobie, że wkracza w wiek męski. Nie wstał, nie wytarł się, nie oczyścił pościeli. Zasnął w młodzieńczych sokach, przez noc wytarzał się w nich jak zwierzę w swym zapachu, nasiąkł nimi. Kiedy zamknął oczy, dziwnie ociężały, wciąż pobudzony, napełniony niedającym się sprecyzować lękiem i wielką ekscytacją, śniły mu się ogromne, obłe oparcia sof o naprężonym obiciu i sterczących, twardych napach, rozchylone miękko drzwi, zapraszające w ciepłą, wilgotną ciemność wijących się za nimi korytarzy, gęste, wełniane dywany o długim włosie, bardzo włochate, zaplatające się między palcami; śnił twarde, potężne butelki z nagazowaną oranżadą, mające zaraz wybuchnąć, i wreszcie wybuchające, kaskady płynu leją się pod ciśnieniem na dłonie i twarze, gazowana ekstaza, i usta, więcej spijających ją, lepkich ust. Obudził się i wiedział, co musi zrobić. Zaczęły się dla niego intensywne lata.

Skromną sztukę dawania rozkoszy manualnej doprowadził wkrótce do perfekcji. Zaczynał od klasycznej domowej partyzantki, kolejne kręgi przyjemności rozkręcały się po coraz szerszych ramionach spirali. A więc najpierw sypialnia i to, co w ciemności nocy; potem łazienka, początkowo w wannie, pod pierzyną pary. Ale szybko zaczął przełamywać najoczywistsze lokalizacje i naturalny dla wszystkich onanistów pasjonatów harmonogram dnia. A więc: już nie tylko wieczorem, nie tylko o zmierzchu, ale też rankiem, przed wyjściem do szkoły, i w południe, przed obiadem, w jasności, w blasku, w mocnym popołudniowym słońcu. Czuł, jakby po latach astmy zaczął wreszcie oddychać pełną pierśią.

Już wkrótce człapał klonem wszędzie, gdzie tylko się dało. Wstawał wcześniej i prężył strunę przed wyjściem z domu, a potem pędził, żeby zdążyć do szkoły przed pierwszym dzwonkiem, gdzie majestatyczne, secesyjne łuki framug i sklepień w męskich toaletach, a był sumienny i przerobił wszystkie na każdym z trzech pięter, wprowadzały go w uniesienie i skłaniały do tym bardziej entuzjastycznego przycinania knota. Jak się okazało, szkolne kotłownie – i poszczególne klasy, i schowek na szczotki, i pachnący męską przygodą kantorek wuefistów, i pokój nauczycielski, w tych rzadkich chwilach, kiedy wabił pustką i nie było w nim nikogo – od tej strony również nie miały się czego wstydić. Przed powrotem do domu zniknął na chwilę za przystankiem autobusowym, by zagiąć rurę, a wiatr czule pieścił rozpaloną głowę i ciało. Już wkrótce poznał smak ryzyka przed zamkniętymi drzwiami sąsiadów, w piwnicy, w windach poszczególnych bloków na osiedlu, w pokoju rodziców, w szafie z zimowymi kurtkami, wdychając dusząco słodką woń kulek na mole, albo nad wielkim błyszczącym zapraszającym kuchennym stołem.

Gdy wychodził w plener, dbał, by robić to z klucza faunistycznego: walił konia, dusił węża, głaskał karpia, patroszył śledzia, rozciągał węgorza, drażnił byka w parku pomiędzy ławkami, poganiał muła, ujeżdżał źrebię, budził smoka na polnych ścieżkach, nad rzeką, za miastem. Gdy był w nastroju refleksyjnym, florystycznie, niespiesznie prostował banana, łupał orzecha, łuskał kaczana, golił ogóra na działkach, patrząc z uznaniem na dojrzewające plony, pompował gruchę, opędzając się od os, gładził grzyba, gdy zażółciły się liście. Przeszedł szczęśliwie etap, gdy po stolarsku heblował belę, rzeźbił strzałę, muskał pieńek, frezował trzonek i szkolił majstra wszędzie, gdzie na dłużej przystanął. Po ślusarsku, dla fanaberii, prostował gwoździa, toczył tuleję pod obwieszonymi zardzewiałymi kłódkami osiedlowymi garażami, studził pręta, przekładał wajchę, a w dni dżdżyste i chłodne, kiedy nie wychodził z domu, niespiesznie, w swoim rytmie brał się do klepania kowadła. Ale nie zawsze było tak sielankowo – w chwilach militarystycznej złości z gniewem i dyscypliną ćwiczył młodego, musztrował jegra, aż furczało, polerował kolbę, smarował lufę, skręcał wyciora, przeładowywał gnata, szorował zbroję i do upadłego, do znoju, do braku tchu gonił kaprała. Gdy wyjeżdżał, zawsze pilnował się, żeby robić to z klucza narodowo-etnicznego: cesał murzyna, łapał tatarzyna, na ścianie wschodniej przepędzał ruska, ale też skalpował wodza, mając w pamięci rozległe niziny śródpolskich równin, w nastroju bezpieczeństwa niańczył smerfa, a w momentach szczególnie przykrych bił Niemca w hełm. To były piękne i groźne chwile, fascynujące pięknem i grozą, jaką mają nieodkryte lądy i nienapisane księgi. Kiedy prawie przyłapano go, gdy zaszyty w zieleni parku próbował trafić łabędzia, myśl o bieli na białym tle wprawiała go w niepokojący, filozoficzny nastrój, zdał sobie w pełni sprawę ze społecznego ostracyzmu towarzyszącego podobnym praktykom. Od tej pory stał się ostrożniejszy, jednak dzieła ejakulicznej partyzantki nie porzucił do końca, nie pozwalała mu duma, poczucie obowiązku i rozpalony wąż wijący się na dłoni.

O dziwo, koleżanki ze szkoły nie interesowały go w ogóle. Albo były za chude, albo za grube, ubrane workowato, obojętne lub opryskliwe, nieuległe, na pewno nie pachnące farbą drukarską, choć kto wie, może wydepilowane? (Ta myśl budziła w nim na krótko głębsze zainteresowanie). Zasmakował za to w magazynach erotycznych, które jak kwiaty wolności zakwitły na półkach uwolnionych ekonomicznie punktów z prasą i licznymi stolikami porzucanych w strategicznych punktach hali targowej. Odtwarzacza wideo się nie dorobił, na wizyty u kolegów wkrótce stał się zbyt blady i za stary. Za to w wieku, w którym rówieśnicy godzinami kopią piłkę, ćwiczą wina na ogniskach i – ci o największym farcie – naprawdę poznają pod namiotami smak dziewczęcego ciała, a zbierają

najwyżej barwne opowieści o kacu i epickim pawiuwaniu na imprezach w parku, z przyjemnością odkrył w sobie żyłkę dojrzałego kolekcjonera. Wyszukiwał ze znanstwem pierwsze numery „Nago”, „Peep Show” i „Seksrety”, śledził perypetie wydawnicze „Foto Sexu”, swojsko-siermiężnego „Wampa” i „Erotykonu”. Znał nazwiska modelek – prawdziwe bądź przybrane – wiedział, która i pod jakim pseudonimem pojawiła się w poszczególnych publikacjach. Doceniał nordycki profesjonalizm „Catsa”, „Raportu”, „High Society” i „Playstara”, zamiast „Brava Sportu” i „Popcornu” podczytywał „Twój Weekend”, rozczulała go stosunkowa niewinność pojawiających się tam zdjęć, zawsze zasłaniających to, co najistotniejsze, z modelkami o rozchylonych ustach zastygających tuż nad kolorowymi gwiazdkami, pod którymi skrywano wyprężone fallusy i otwarte na oścież waginy. Kiedy po dwóch numerach zawieszono wydawanie „Penthouse’a”, naprawdę zapłakał. Pisał listy do redakcji i próbował swoich sił, tworząc pieprzne erotyczne opowiadania słane na konkursy. Raz wygrał, pocztą przesłano mu *Kompleks Portnoya*, ale nie przeczytał książki, uznał ją za hardkor dla dewiantów i dziwaków.

Miłością potężną i prawdziwą, niespodziewanie dla samego siebie, pokochał też komiksy, które razem z pornobiznesem przekroczyły granice uwolnionego z historycznej homeostazy kraju. Już wkrótce, z utęsknieniem nie mniejszym niż to towarzyszące oczekiwaniu na nowego „Wampa”, oczekiwał na następne numery kolejnych -manów. Ileż to stron skleił z płomiennowłosą Mary Jane, dziewczyną Człowieka Pajaka, z Gwen Stacy o wąskiej talii, zawsze nienagannie ubraną... Wyczekiwał nowych odcinków *X-Manów* z czarnoskórą Storm o białych oczach i włosach jak wybuch na Słońcu, piękną w tym swoim wyciętym głęboko w pachwinach, futurystycznym wdzianku, i sam nieudolnie próbował szkicować Jean Grey w niegrzecznych, wyuzdanych pozach. Śnił o lolitce Jubilee i lateksowej Kobiecie Kot, bardzo dojrzałej, dominującej w snach. Obcisły trykot Czarnej Wdowy rozciągającej się w kadrze niczego nie ukrywał, kobiece krągłości, pasma mięśni i sutki były widoczne jak w atlasach anatomicznych; zastanawiał się, jak w stroju pokojówki i z odkrytymi piersiami wyglądałaby Lois Lane. To były jego pierwsze miłości, losy tych kobiet – tak prawdziwych mimo wyimaginowanych przygód oraz niewprawnej kreski ilustratorów, którzy nigdy nie zawahali się, malując na wieczność wydepilowane kobiece pachy i nogi długie jak wymarzone przez mężczyzn fallusy – śledził z prawdziwym zaangażowaniem i emocjami. Bał się o nie, cieszył wraz z nimi, kibicował im i wygrażał tym, którzy je ponizali; cokolwiek by o nim mówić, nad ich podobiznami wytapiał świecę zawsze z czułością i bardzo delikatnie.

Później błogosławił ślepym bogom losu, że były to wciąż czasy, kiedy nie istniał powszechny dostęp do sieci. Gdy nieco dorósł i spojrzał na swoje życie z tej krótkiej perspektywy, jaką daje drugi krzyżyk na karku, ze stoickim spokojem zdał sobie sprawę, że w zalewie dwu-, trzyminutowych filmików zatraciłby się zupełnie, z lubością dałby się pochłonać, strugałby wtedy kloca nawet podczas jazdy autobusem i wspólnych rodzinnych obiadów. Jedno, co może by się nie zmieniło, to matura: nieważne, z siecią czy bez, zdałby ją prawdopodobnie tak samo. Drugim z przełomów w jego życiu, wydarzeniem naznaczonym brzemieniem dotknięciem fatum, stał się bowiem egzamin dojrzałości. Dotknęło go wtedy nienazwane, świat pokazał mu swoją utajoną twarz i bez maski rzekł, co chciałby, żeby czynił dalej. Paweł Łazarczuk wkroczył w wiek dojrzałych cudów.

Początek ostatniej licealnej klasy nie zwiastował jeszcze gromu i lśnienia. Jak miał w zwyczaju, Paweł wciąż często wyginał pałąk, w szkole przebywał tylko tyle, ile było to konieczne, by dyrektorka nie zadzwoniła do rodziców i nie zrobiła dramy, nieśmiało zaczął uczęszczać na siłownię, karmiąc i tam uwielbienie dla ciała, raczej unikał rówieśników i sporo podróżował wewnątrz. Stopnie miał niezłe, to znaczy przeciętne; na tyle przezroczyście, żeby nie rzucać się w oczy ani rodzicom, ani nauczycielom, ani kolegom z klasy. Ale to było względnie łatwe, wystarczyło od czasu do czasu pouczyć się słówek, raz na trzy razy udanie ściągnąć na kartkówce, nie dać się przyłapać na szkolnym obnażaniu. Widząc, że jest smętym melepetą, który nikomu nie zalażł za skórę (gdyby wiedzieli, jak nietrafna to metafora w jego przypadku), nauczyciele przepuszczali go bez bólu serca dalej. Rzecz miała się gorzej z maturą i powtórkami materiału. Tu już nie było przebaczenia i Paweł, w słodko-słonych chwilach samotności, już uspokajając oddech, z rezygnacją przyzwyczajając się do myśli, że nie zda, rodzice go wydupczą z domu i z braku innych perspektyw, biorąc pod uwagę jego predyspozycje, będzie musiał zostać rockmanem. Myśl, która większą część jego rówieśników przyprawiałaby o żywsze bicie tętna, nie wprowadzała go w ekstazę, gdyż podświadomie czuł, że jest stworzony do innych celów i większych dali. Tymczasem ze zdziwieniem dla samego siebie zauważył, że nieproporcjonalnie wiele czasu spędza nad nauką polskiego, i wtedy się przeraził.

Nową nauczycielką polaka, która niespodziewanie i wbrew praktyce przejęła ich w klasie maturalnej, była Natalia Marzec, pani Natalia Marzec: mała, krępa, niewywrotna, z całkiem słusznym wąsem pod czujnymi nozdrzami, którego nie powstydziliby się żaden trzeźwo patrzący na życie Madziar, gdyby za młodu, w ciemno, właśnie takiego mu zaproponowano, głośna, energiczna i ostra jak kurwa na kacu, „pani”, inaczej nigdy o niej nie myślał, pani, szkolna domina

z rozkołysanymi piersiami. Z zaskoczeniem dla samego siebie odkrył, że jej jednej z grona nauczycielskiego się obawia – a przecież to żeńska część ciała pedagogicznego, niezależnie od wieku i kondycji, fetysz władzy i poddawania się tej władzy, była przemożnym afrodyzjakiem, od lat pozwalała mu przetrwać trudne szkolne chwile, pomagała znajdować siły, żeby kontynuować edukację. Z panią Natalią Marzec, o słodkim imieniu niepasującym do nieznoszącego sprzeciwu ciała, było inaczej. Wzbudzała w nim podskórny niepokój; ale nie strach, jaki przywołują obnażone miecze, pałki nabijane szkłem i noże w bramie, ile raczej lęk, którym tchną wielkie kamienne mosty, niedomknięte drzwi, ciemne ekrany i puste krajobrazy. A jednak to właśnie na polski uczył się najwięcej, czytał lektury, wkuwał bryki, nawet, o zgrozo, zmuszał się, by oglądać „Pegaza” i przeróżne inne najnudniejsze programy kulturalne; nie było to łatwe, bo zawsze, bez wyjątku, nadawano je w porze, kiedy uczniowie już śpią, a jeśli nie śpią, to właśnie zaczyna się czas, gdy najlepiej poleruje się kasztany.

Nie opuszczał lekcji, siadał w ostatniej ławce, spuszczał wzrok i wyczekiwał, kiedy padnie jego nazwisko, zostanie wywołany do odpowiedzi; nie myślał wtedy o niczym, oprócz wieszczki i guślarzy, Wokulskich i zapiętych na ostatni guzik Izabel, i to była miara jego desperacji. Do odpowiedzi zresztą wywoływano go nieproporcjonalnie często, dwoił się wtedy i troił, dukał nazwiska i wyczytane w ściągach interpretacje, nie wiedząc, skąd taka nauczycielska perfidia i zajadłość, przecież na polskim u pani Natalii ani razu nie wycisnął cytryny, nie skropił na samotnej przerwie rododendronów w wielkiej ceglanej donicy ani lepkiej od mokrej kredy gąbki do ścierania tablic. Rzecz wyjaśniła się, kiedy umęczony, osaczony, został w końcu zmuszony do przyjścia na odbywające się w godzinach popołudniowych konsultacje; po prawdzie popierdolił wtedy na sprawdzianie Kordiana z Konradem, ale i tak uważał, że kara jest nazbyt sroga. A przecież jeszcze nie wiedział, co na niego czekało.

Klasa była pusta, powietrze pachniało kredą i czymś jeszcze, czego nie umiał nazwać, ale powodowało dziwne drżenie kończyn, a on stał przed tablicą i rozdygotaną ręką, nie widząc pani Natalii, ale czując, że jest gdzieś z boku i za plecami, próbował rozrysować schemat fabularny wszystkich części *Dziadów*. W głowie miał jasność, przykręcone rolety w oknach rzucały poszatkwane cienie, słyszał, jak serce bije mu nieregularnie, pompując krew, rozsadzając żyły.

Wreszcie poczuł za sobą ruch i dotyk, dętka zaczęła mu mimowolnie pęcznieć między nogami. Ktoś włożył mu rękę za spodnie, od tyłu, z dłonią dokładnie między pośladkami, i zjechał nią w dół. Paweł oblał się potem, stracił dech, przed oczami mu pociemniało; momentalnie cały zeszywniał. Pani Natalia pochyliła się

nad jego karkiem, podciągnęła go za pasek, żeby nie upaść, musiał się oprzeć o tablicę rękami, ale i tak spadał, leciał w dół, w słodką otchłań bez dna, a nauczycielka wydyszała mu w skórę, co teraz z nim zrobi i żeby nie zamykał oczu, i zjechała dłonią jeszcze niżej, zaczęła go pieścić palcami.

Obróciła go, kazała rozpiąć spodnie, sama podwinęła tylko spódnicę, pozostając wciąż w skromnym, brunatnym kostiumiku, bardzo roboczym i dobrze tuszującym niedoskonałości kształtów. Kiedy zobaczył, że pod spodem nie ma bielizny, zachwiał się, coś w nim pękło, resztki myśli uleciały z głowy, spodnie zjechały do kolan, a on w przerażeniu bezgłośnie prosił, zarazem wyzwolony i okiełznany, żeby ktoś go wreszcie tam dotknął, że już dłużej nie wytrzyma, za chwilę eksploduje, tym razem cały.

Nauczycielka pchnęła go na niewygodne krzesło i już miała usadowić na nim swoje niezgrabne ciało, gdy niezamknięte drzwi do klasy otworzyły się i z korytarza, który powinien pozostawać o tej porze pusty, do pomieszczenia wkroczył on. Wicedyrektor Józwiak. W rozpiętej koszuli, bez krawata, z szorstkim włosiem prześwitującym na piersi, męski jak *homo erectus* żywiący się krwią i ciepłym mózgiem z rozłupywanych czaszek, spocony pod pachami.

Paweł nigdy się nie dowiedział, czy to był rzeczywiście przypadek, czy może nauczyciele sami to ukartowali. Słowa powitania uwięzły wicedyrektorowi w ustach. Całą scenę ogarnął od pierwszego spojrzenia – panią Natalię z podwinietą spódnicą, której nie opuściła, Pawła sterczącego na krześle z bladziutkimi udami, ogryzek kredy leżący na ziemi pod tablicą – i nic nie mówiąc, tym razem przekręcił w drzwiach zamek. Jednym ruchem zdjął koszulę i pozornie nie zwracając uwagi na ucznia, podszedł do pani Natalii. Posłusznie ściągnęła zgrzebną górę kostiumu, rozpięła koszulę i w białym, bardzo zwyczajnym staniku, jak co dnia obejmującym jej pokaźne i wylewające się poza jego granice piersi, bez słowa, przyłapana albo dająca się przyłapać, ukłękła na dawno niecyklinowanych klepkach przed wicedyrektorem Józwiakiem. On rozpiął spodnie; pani Natalia nie spuszczała z niego wzroku i wiedziała, co robi się w takich chwilach. Dalej radziła już sobie sama.

A Paweł siedział, otumaniony, przerażony, podniecony do granic, nie mogąc wytrzymać wewnętrznego ciśnienia i zewnętrznej presji, nie umiejąc nazwać tego, co właśnie się przed nim działo. Nie potrafił oderwać wzroku od nieruchomych wąsów wicedyrektora Józwiaka, bardzo gęstych, szorstkich, równo przyciętych, bardzo niemieckich. Takich jak na filmie, myślał Paweł, w końcu jedna myśl go odnalazła i nie chciała opuścić, zupełnie takich samych, tylko że to działo się

naprawdę, w klasie, na tle równo ustawionych ławek, pod wygaszonymi jarzeniówkami.

Kiedy wydawało się już, że pani Natalia skończy, rozchylając usta i pomagając sobie ręką, nauczycielka wstała, otarła wargi, swoim mocarnym, wiedzącym czego chce zadem usiadła na chudych udach ucznia, dłonią pomagając mu znaleźć wejście do gorącego i tajemnego wnętrza. Wicedyrektor jedną dłonią złapał ją za pierś wyłuskaną z chłodnego atłasu, a drugą ujął własny sprzęt i zaczął karcic łobuza. Pani Natalia odchyliła głowę i gardłowo wydyszała do Pawła, żeby się postarał, bo będzie mu musiała postawić gałę. Przygryzł wargi, jęknął, jakby wzywał pomocy, ale nie miał czasu zdziwić się tym dźwiękiem.

Doszedł dokładnie w tym momencie, w którym z sapnięciem skończył też Józwiak. Jak przez mgłę zauważył, że wicedyrektor, choć dalej miętosił pierś polonistki, nie patrzy na nią, tylko z uwagą, znad wąsów, zerka właśnie na niego. Od tej pory już nic nie miało być takie samo.

Kiedy opuścili klasę, w milczeniu, spoglądając sobie w oczy, przypieczętowując tym spojrzeniem łączący ich sekret, choć czuli wiele rzeczy – zażenowanie jednak nie było żadną z nich – nigdy nie wrócili do tematu. Czasem tylko, kiedy spotkali się na korytarzu, uśmiechali się do siebie dyskretnie, krótko, i badali swoje ciała niebojącymi się konwenansów spojrzeniami. Paweł zdał maturę, z polskiego na mocną trójkę, w dopuszczających ocenach z innych przedmiotów czuł – a może mu się wydawało? – muskularną, opiekuńczą, owłosioną na przedramieniu rękę wicedyrektora Józwiaka. Po ostatecznym opuszczeniu murów szkoły, idąc na studia polonistyczne, których nigdy nie zamierzał skończyć, Paweł Łazarczuk wiedział już, co mu jest pisane. Wiedział, co powinien w życiu robić.

Postanowił, że zostanie pornogwiazdą.

* * *

Nie mógł się napatrzeć.

Ekipa dokręcała jeszcze ostatnie sceny z Sieciechem, trzema z siedmiu pogańskich nałożnic Mieszka i z Dobrawą, tym razem w ciemnej peruce, owiniętą grubymi rzemieniami, książęcą dominatrix. Paweł nie mógł się nadziwić, w jaki sposób grająca ją Isis potrafi się tak zupełnie przeistoczyć. Po całym dniu pracy tylko ona wydawała się wciąż świeża i gotowa do pracy. Ale światło było idealne, ściany z dykty ustawione tak, by udawały chram wróża, a dzienny terminarz zdjęć rozpisany co do sceny. Jak zaś wiedzieli wszyscy, o grafik Edek dbał jak o własną prostatę.

— No, kochani, to już ostatnie sceny, weźmy się w garść, jeszcze pół godzinki, no proszę ja was uprzejmie. Judyta, Kinga, włożcie w to trochę wigoru. Bierzcie przykład z Isis, no naprawdę zaraz kończymy.

Operator dopił kawę i ustawił się tak, żeby mieć dobry widok, a Kasia, dziewczyna od make-upu, szybko przeleciała po planie i przypudrowała policzki aktorów, piersi dziewczyn i pytonga Sieciecha. Grający go Baruch Benedict przywołał wszystkie umiejętności aktorskie, dokleił mocniej siwego wąsa, przegrywającego walkę z potem, i uśmiechnął się w końcu prawie że promiennie i zawadiacko. Reżyserujący film Edek odrzucił nadchodzące połączenie na komórce, poprawił się na rozkładanym krzeselku, stłumił przekleństwo i przejechał ręką po wilgotnej czaszce. Każdy dzień na planie męczył go nie mniej niż aktorów, i także za to go uwielbiano. Parapety umieszczonych wysoko, niewielkich okien pustego hangaru, który służył im za studio i w którym wybudowano słowiańskie wnętrza, obsiadły ptaki, bracia mniejsi wielkiego orła, rozpościerającego skrzydła na karminowym godle zawieszonym na ścianie.

— I... akcja!

Paweł lubił te chwile po ciężkim dniu pracy, kiedy, niechby i nieco obolały, czuł się częścią większej całości, stał pod betonowymi ścianami, poza okiem kamery, w chłodnym cieniu, i niewidziany przez innych, w swoich ulubionych puchatych kapciach sączył resztki kawy w biało-czerwonym kubku wyniesionym z jadalni. Patrzył. Na aktorów, grę światła na matowej od pudru skórze, na technicznych z ekipy, przyjaznych i profesjonalnych, aktorki w szlafrokach, które pauzowały w poszczególnych scenach, chłopaków wychodzących właśnie spod prysznic, ze swojej garderoby czy z pomieszczenia ze starym telewizorem i kilkoma zniesionymi tam konsolami; pomieszczenie zajmowało dobudówkę, w której mieściła się kiedyś kanciapa ochroniarzy. Stara hala była na tyle duża, że wśród oddzielających poszczególne garderoby gipsowych ścianek działowych można się było zaszyć, złapać trochę powietrza, odsapnąć, nawet zdrzemnąć na wytartej, przytulnej kanapie, którą przytargali tu kiedyś z Edem. Niezauważany przez innych, eteryczny, lekki jak widmo, płynąc w cieniu, Paweł odnajdywał tam siebie.

— Nie, nie, stop. Stop! Cięcie!

— Jasny gwint, Edek, co się, kurna, stało? Źle było? Walnąłem przecież aż miło, sam się dziwię, że jeszcze o tej porze mi się...

— Nie, nie, z tym wszystko w porządku. Ale i tak musimy zrobić dokrętkę. No bo... No, jak ryczałeś w czasie orgazmu, to ci się wąs odkleił.

— Bywa. Biednemu zawsze wiatr w oczy, jak to mówią, i chuj w czarną dupę. No dobra, to dawaj.

Paweł lubił te chwile, kiedy przemieszczał się pomiędzy siłownią i pokojem socjalnym, jadalnią i palarnią, popijając napój izotoniczny z plastikowej butelki, rozdeptując domowe kapcie i tonąc, tonąc w szlafroku (frota, haft na kołnierzu i obszyty jedwabiem pasek w talii, śliski pod palcami). Przegryzał tosty z przyniesionego przez kogoś opiekacza, mało mówił i słuchał. Czuł się częścią całości. Żył ich problemami.

Przy baniaku z wodą stawał pomiędzy weteranami i młodymi, którzy dopiero zaczynali robotę w branży:

— Ty, stary, a w ogóle... Dużo można zarobić na tym całym porno?

— E... nie bardzo.

— No jak to, nie bardzo czy bardzo?

— No niespecjalnie. Ale powiedz sam, podobało ci się?

— No podobało, jasne. Oż ty, podobało.

— Sam wiesz, cienko jest, bryndza jest. Najebiesz się jak głupi, nazadupczasz, a zarobisz, no, powiedzmy, żeby jeździć fabią.

— Czyli co, lepiej by zostać politykiem?

— Nie no, wszystko jest lepsze niż bycie politykiem.

Płynąc przez siłownię, słuchał, jak starsze koleżanki udzielają rad młodszym:

— Bo wiesz, zapamiętaj, dobrze poznać scenariusz już podczas castingowania. Od razu wiesz, co masz zagrać, wiesz z kim, możesz od razu zapisać to w umowie, żeby później nie było zdziwień. No wiesz, tekstów w stylu, że nie godziłaś się wcześniej na anal albo że miało nie być na dwa baty.

— No tak, tak. Racja. Ale czekaj, jak takie rzeczy zapisać w umowie: „na dwa baty”?

Śmiejąc się z zombich zabijanych na ekranie, poznawał nowe żarty:

— Ty, a ten słyszałeś?

— Nie, dawaj.

— Co powiększa biust dziewczyny...?

— Natrysk z męskiej proteiny.

— E, ciulu. Wiedziałem, że słyszałeś.

Albo, na papierosie, zaciągał się intymnie, przepływając w dymie:

— Jedno wam powiem, laski. Wiesz, że czas się zbierać, kiedy chwilę po tym, jak zaczyna ci się dobierać do majteczek, nagle przerywa i mówi, żebyś się nie martwiła krokami za drzwiami, bo matka na pewno nie ma klucza do jego pokoju.

— Albo że kuzynki mają lepsze cycki. Święta prawda.

— Albo czy masz jakieś drobniaki, bo chyba właśnie zajechał facet z pizzą.

— Albo że jeśli to gliny, to lepiej im powiedz, że nie mieszka z żoną.

— Nie, najlepszy tekst jest inny. Wiem, bo słyszałam.

— No?

— Kiedy cię prosi, czy nie zgodziłabyś się popatrzeć, jak robi to sobie sam. Ustami.

Często rozmawiali też o tym, jak chcieliby żyć lub jak żyją w świecie poza studiem. Kiedy – nie lubił tego słowa – kiedy wracają.

— Bo wiecie, ja nie jestem uzależniony od pornoli. Ale lubię je oglądać raz, dwa razy na tydzień. Trzeba być na bieżąco, wiadomo. No i mam taką dziewczynę, bardzo się kochamy. Cieszę się, że zgadza się prawie na wszystko, co robią na filmach. Ale wiecie, ona nie jest z tych. Nigdy bym jej nie pozwolił, żeby sama zagrała.

— Szczęściarzu.

Paweł dopijał powoli kawę. Wcielająca się w Dobrawę Isis Love właśnie upokarzała malowniczo obrabianego przez książęce kochanice Sieciecha, wszystko zgodnie ze scenariuszem, siekąc zapamiętałe pękiem brzoźowych witek. Dorodne, jędrne piersi, w tym świetle jakby większe niż we wcześniejszej scenie, kołysały się apetycznie i prowokująco. Paweł nie mógł się napatrzeć.

Isis Love. Dzisiaj, wreszcie, zagrał z nią po raz pierwszy. Legenda branży.

Powiadano, że debiutancką scenę, symbolicznie, zagrała w ostatnim filmie Teresy Orłowski, w którym gwiazda zegnała się z ekranem. Nikt w to nie chciał wierzyć, obliczając daty i spoglądając na wciąż gładkie, jędrne ciało Isis, jednak nawet w najdawniejszych anegdotach dinozaurów porno polo, będących w biznesie od samego początku, już była legendą. Opowiadano, jak przecierała szlaki z pierwszymi niezależnymi produkcjami na gruboziarnistym VHS-ie, organizowała pierwsze *striptease party* w dawnych hotelach robotniczych i woziła kasety z byłego RFN-u, kiedy granica puściła. Prześcigano się w wymienianiu pseudonimów, pod jakimi występowała. Ponoć w latach dziewięćdziesiątych zrobiła pornorundę przez kraje byłego ZSRR, ciekawa tamtejszych tajników zawodu, gdzie poznała, co to życie. Zawsze dostawała najlepsze sceny, nigdy się nie męczyła, zawsze gotowa, nigdy nie cofała się nawet przed najtrudniejszymi wyzwaniem. Miała ponoć propozycję z samych Stanów Zjednoczonych, lepszego świata, z której wielkodusznie nie skorzystała. W jednym roku zdobyła najważniejsze nagrody branżowe we wszystkich kategoriach – sceny solo i grupowe, parami i trójkami – co przed nią ani po niej nie udało się nikomu. Na gali w Barcelonie, gdzie zamierzano jej wręczyć statuetkę dla najlepszej aktorki

Europy Wschodniej, nawet się nie pojawiła, zajęta ponoć prowadzeniem warsztatów *indie* dla amatorów w wynajmowanej mazurskiej daczce. Reżyserzy nie mogli się jej nachwalić, aktorzy wielbili, aktorki chciałyby znienawidzić, ale po kilku pierwszych ujęciach naturalnie, dziwiąc się same sobie, uznawały za autorytet i gwiazdę, składały hołd randze i doświadczeniu. Producenci próbowali zdobyć aktualny numer telefonu, wkurwiali się wściekle, nigdy jednak nie do mikrofonu, i ze złotozębnym uśmiechem obiecywali najlepsze warunki, byleby tylko zgodziła się u nich zagrać. To zresztą nie byłoby jeszcze nic, co zasługiwałoby na legendę. Tyle że wszyscy, którzy z nią pracowali, opowiadali, że i im udzielał się ten zastrzyk energii, powiew dobrej mocy, fala ekscytacji. Przywiedłe sutki znów się zaróżowiały, jak kielichy kwiatów podrażnione światłem, w ciastowate członki napływała na powrót krew, jasnoczerwona, tętnicza, mocno natleniona. Światło zaczynało się wreszcie układać w zagłębieniach skóry, ciała w lufach kamer wyglądały znów jak ciała, nie manekiny z plastiku i gumy, reżyserom przychodziły do głowy pomysły na nowe ujęcia, odmienne, nietypowe, których nikt jeszcze nie zagrał. Wystarczyło, żeby – zawsze radosna, przed zdjęciami w bawełnianych t-shirtach i dżinsowych szortach, z włosami skrytymi pod czapką z daszkiem, już z rozchylonymi wargami – pojawiła się na planie. Milcząca, skupiona na pracy, w tej samej chwili dzika i profesjonalna.

Isis Love. Piękna, choć zawsze inna, zmieniająca przed kamerą osobowości jak maski, wulgarna i naiwnie niewinna, dziwka i dziewica, *call girl* i matka; mistrzyni makijażu, doskonale dopasowująca się do każdej kolejnej roli. Zawsze nienasycona, zaspokajana po wielokroć, ale nigdy nie na długo, melancholijnie rozpasana. Chodzący pomnik wyuzdania.

Paweł wycinał jej zdjęcia, kolekcjonował filmy, choć wciąż tyłu mu brakowało, nigdy nie przegapił możliwości, żeby porozmawiać z tymi, którzy rozmawiali z tymi, którzy z nią zagrali. A dzisiaj, po raz pierwszy, sfilmowali ich razem.

Czekał, aż Love skończy grać. Miał nadzieję, że po wszystkim uda mu się choćby z nią porozmawiać. Miał jej tyle do powiedzenia, że nawet nie wiedział, od czego powinien zacząć.

— No, Baruch — Edek się nie poddawał — jak tam, dajesz radę? Ja ciebie proszę, skup się. Walcz z drągalem, walcz, bo za minutę kręcimy. To już ostatni raz, daję słowo.

— Ech, biednemu, jak to mówią...

— Wiem, wiem. No... jedziemy!

Wielkim wysiłkiem woli Baruch Benedict postawił swego kolosa do pionu.

Ed na krześle reżyserskim pił już chyba siódmą kawę, operator uwijał się jak w ukropie. Uwagę Pawła przyciągnęło wąskie cięcie blasku, jak refleks na spadającym szkłe, które otworzyło się na moment w betonowej, własnymi siłami docieplanej styropianem ścianie studia. To pewnie pan Kaziu, miejscowy żulio – doświadczony przez życie, choć wciąż krzepki, jak sam o sobie mówił: wielki miłośnik kinematografii, który uprosił Edka, żeby mógł zostać portierem przy bocznych drzwiach jedynie w zamian za możliwość oglądania – wprowadził na salony nową dziewczynę. Jutro mieli kręcić sceny zbiorowe, Edek wspominał, że chciałby w nich zaprezentować trochę świeżej krwi.

Grany przez Barucha wróż czarował i czarował, wygrywał z samym sobą i powoli kończył, kolejny raz, więc Paweł zdołał w końcu oderwać wzrok od planu. Nowa dziewczyna stanęła pod ścianą, w sinym cieniu, ale mimo to ją dostrzegł. Niska, bardzo chuda, z niewielką torebką przy piersiach. Cienkie blond włosy, wielkie, wielkie oczy. Przypatrywała się, jak kręcą, potem zdała sobie sprawę, że ktoś patrzy również na nią, ale nie spuściła wzroku. Było w niej coś takiego, że Paweł... Wydawało się, że mu kogoś przypomina, ale nie mógł skojarzyć kogo, dopasować oczu do twarzy.

— I... cięcie! Brawo, panie i panowie, wielkie, wielkie dzięki. Wyszło lepiej niż dobrze. Powtarzam, wielkie brawa. Po krótkiej przerwie dokręcimy jeszcze finisz z „Profesorkiem” i słowiańską branką. Oleńka, gotowa? A my widzimy się jutro.

Ed podniósł się z krzeselka, też dostrzegł nowo przybyłą. Od bardzo dawna, może pierwszy raz w życiu, Paweł chciał do niej podejść, zagadnąć, ale Edek już ją namierzył, zbliżył się, poprosił, żeby poczekała. Zniknął na chwilę w atelier z operatorem, żeby przygotować materiał do montowania. Baruch pił łąpczywie płyn izotoniczny i uśmiechał się szeroko, kiedy tylko zdołał oderwać szyjkę plastikowej butelki od ust, wyglądał, jakby nie mógł się nacieszyć niekończącym się fellatio, dziewczyny wycierały strategiczne miejsca wilgotnymi ręcznikami i odbierały *cold packi* od chłopaków z ekipy. Ktoś zaoferował się, że może odgrzać w mikrofalach pierogi z obiadu, dobre, staropolskie, znaczy się ruskie, a nie to gówno ze szpinakiem; przyniesiono kawę. Isis, która nie przypominała już ani jednego wcielenia Dobrawy, odpowiedziała skinieniem głowy i delikatnym uśmiechem na podziękowania i gratulacje, po czym w milczeniu, wciąż naga, spiżowo prosta, kołysząc spracowanymi biodrami, skierowała się do odstąpionego jej regipsowego boksu.

Paweł zastanawiał się, czy może jej teraz przeszkodzić. Ale jak nie teraz, to kiedy? Przecież nie będzie tu nocowała. Blondynka pod ścianą wciąż stała, nagle

dziwnie samotna i opuszczona, jakby ktoś wyciął ją z tła, jakby tu nie pasowała, i wyglądała na kogoś, kto nieśmiało chciałby, żeby z nim porozmawiano. Paweł dalej nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna jej twarz, ale wiedział już na pewno, że kiedyś musiał ją widzieć. Jakby rekonstruował zapomniany sen.

Postanowił jednak, że najpierw spróbuje porozmawiać z gwiazdą. Odwracając głowę, skierował się do przepierzenia z garderobami.

* * *

Jak w każdym dobrym krajowym genesis: na początku był budynek opustoszałej hurtowni, lewa forsa od tajemniczego inwestora, skombinowana na sprzedaży ziemi pod markety, obiad z burmistrzem, skrzynka koniaku dla komendanta Straży Miejskiej, paczka szluczków na dwóch i pół litra wódki rozpijane nocą, w parku na plantach, kiedy rodzą się plany, oraz student, którego wypierdolino z uczelni.

Paweł poznał Edka, kiedy – zdawszy na polonistykę, gdzie dał sobie rok na rozruch, który przemienił się już w trzy lata – rozglądał się, jakby pchnąć do przodu sprawę życiowego powołania. Poznali się epicko, jak na pogańskich obrzędach, w ekstazie i szale, zawiązując pakt nasienia i krwi, i to było dla Pawła wystarczającym znakiem. Wreszcie znalazł kogoś, komu mógł zaufać. Choć kiedy zobaczyli się pierwszy raz, nic na to jeszcze nie wskazywało.

Huk dyskoteki, w której świętowano urodziny jednego z członków studenckiej braci, był infernalny i ogłuszający. Mikrowybuchy stroboskopu cięły po oczach, lasery w chmurach puszczanego co chwilę dymu wyglądały jak świetliste lance. Paweł nie znał solenizanta, tyle wiedział, że jest z nim na roku; do dyskoteki – trzypoziomowego „Big Stara”, betonowego monstrum karmiącego się niezaspokojoną żądzą, sztucznym światłem, naiwnymi nadziejami prawiczków i żółcią wyrzygiwaną do pisuarów tuż nad ranem – przyszedł niezależnie od znajomych z uczelni, jak owad ciągnięty w płomień widokiem opalonych brzuszków, kolczyków w pępuszkach, rozjaśnianych włosów. Już wcześniej zrozumiał, że ten poziom umowności, kobiecość wzięta w nawias, zabezpieczona lakierem, bez dosadności fizjologii, bardzo mu odpowiada. Z socjala wciąż zostało mu też nieco grosza i zanim podejmie decyzję, co dalej – z wieczorem i życiem – chciał się napić piwa.

Kiedy go zobaczono z wypełnionym dzbankiem, który miał nadzieję donieść na stolik w rogu sceny, wprawdzie nieustannie okadzany ciężkim, cuchnącym dymem, za to znajdujący się tuż przy podeście do tańczenia, zadziałała tajemna magia, dzięki której w chwilach próby ludzie przypominają sobie o swoich

przyjaciołach, a bankruci o dawnych kochankach; rozpoznano go, powołano się na solidarność wojowników z tego samego roku i bez awantur, lecz stanowczo zaciągnięto do okupowanego boksu. Poczul się zdominowany. Delikatnie zamrowiło mu podbrzusze i dał się poprowadzić.

Edka wnieśli we trzech, tuż po północy. Wszyscy ryknęli zgodnym chórem; widać, że na niego czekano. Trudno powiedzieć, żeby ktoś z towarzystwa był jeszcze trzeźwy; sekretna umiejętność studentów, pozwalająca zawsze znaleźć piątaka na jeszcze jedno piwo, tracona bezpowrotnie wraz z opuszczeniem Alma Mater, niezmiennie Pawła fascynowała. Jednak powiedzieć o nowo przybyłym, że dał był w palnik, to jak rzec o studencie w czasie sesji, po całym semestrze okrutnych przygód, że jest nieco nieprzygotowany. Edek – a mówili tak na niego wszyscy, więc nie mogło to być zwyczajnie imię, raczej ksywa wywalczona przez lata używania – przelewał się przez palce, leciał z rąk, coś bełkotał i ciągle się szczyrzył. Po czym, kiedy już złożono go między braćmi, wypluł do pustego kufla naprawdę wielką melę śliny, jakby oczyszczał ciało ze złych duchów podczas pradawnych rytuałów, dopił czyjaś szklankę piwa, wciąż prawie całą, może dlatego że kołysało się w niej kilka spławików kiepów, i podźwignął się po raz pierwszy. Ożywił się – towarzystwo ryknęło; odpluł połkniętego peta – zaśmiano się życzliwie; wyciągnął zmięty jak rekultywowana prezerwatywa banknot i zaordynował piwa – towarzystwo wiło się w ekstazie i zapłakało.

Potem zarządzono zbiórkę: na stacji benzynowej zakupiono wódkę, dobrodziejem, który podsycił ogień chlejparty, był oczywiście Edziu, cudotwórca o kieszeniach przepastnych i promieniujących miłym blaskiem, dodano do niej trzy siatki piwa i postanowiono pójść na akademiki, rozbijać butelki pod oknami biura kierowniczk. Robiło się już wszak ciepło i nadchodziła wiosna. Walczono dzielnie, pito z gwinta, żartowano grubo i zapijano browarem. Puste szkło butelek, zanim rozprysło się kruchym deszczem drzazg pryskających na twarze, diamentowo błyskało w powietrzu, na moment zamrożone w amplitudzie lotu, odbijające bliższe niż zazwyczaj gwiazdy. Edek zaliczył zgon i podniósł się z popiołów po raz wtóry, akurat żeby zobaczyć zimny ścieg błękitnego światła, kręcący się obłądnie na kogucie policyjnej suki.

Potem był bieg, zamazane obrazy, nogi młójące o chodnik i radosne twarze, zdyszane i zakrwawione, z których wydłubywali sobie nawzajem szklany śrut, komentowali abstrakcyjne wzory cięć i głośno się przy tym śmiali. Potem był nocny klub, do którego nie chcieli ich wpuścić, przepychanka z bramkarzem, raczej zagubionym i zblazowanym niż żadnym krwi skurwysynem, był kolejny ciąg chaotycznych obrazów, sos z kebaba na dłoni i na koszuli, wyglądający znajomo,

nasyp kolejowy, niekończąca się droga pod górkę po tłustej zimnej darni, dwa małe światła w oddali.

Kiedy Paweł ocknął się i złapał ostrość wzroku, okazało się, że znów stoją przed akademikami, Edek po raz kolejny znajduje w sobie siły, podnosi się z upadku, gestem czułym, lecz stanowczym oddał podtrzymujące go ramię. Paweł rozglądnął się. Zostali sami. Zaoferował zatem druhowi w występku, żeby się przekimał u niego w pokoju, na weekend miewał go tylko dla siebie.

Gdy już zbajerowali portiera, który chciał się dać zbajerować, też miał kiedyś dwadzieścia lat i umiał się bawić, udali się na odpowiednie piętro. Kiedy rozstąpiły się przed nimi drzwi windy, okazało się, że na korytarzu trwa konkurencyjna impreza; po prawdzie po cichu na to liczyli. Edek zaczął pić niczym wielbłąd alkoholik z syndromem Korsakowa, który od miesiąca nie miał w ustach kropli alkoholu. Padł i heroicznym wysiłkiem podźwignął się po raz kolejny, kiedy już świtało. Do spania kładli się wycieńczeni, ale ukontentowani.

Gdy już leżeli na pryzkach symetrycznie umieszczonych pod przeciwległymi ścianami – pokój to była dwójka, arystokracja wśród akademickiej zabudowy –

Paweł postanowił jeszcze, zwyczajowo przed snem, pomęczyć pawiana. Wymknął się po cichu do wspólnej łazienki, w skarpetkach, bo rozbieranie po bibce było dobre dla przedszkolaków, a ponieważ w czasie libacji ktoś uszkodził w niej zamek, wślizgnął się pod prysznic i zasunął ceratową zasłonę; jakkolwiek by było, swoje lata już miał i nauczył się machać kilofem z niejakim umiarem. Kiedy zbliżał się już do końca, drzwi toalety uchyliły się z rumorem i wtoczył się przez nie Edek. Nie sam. Jak się rychło okazało, właśnie bombił Czarną Elkę – była jeszcze Elka Biała, jasnowłosa, ale też piękna i podglądana – jak on pijaną w trzy dupy, ale do tej pory niedostępną nawet w tym pożądanym stanie, obiekt westchnień całego pionu grzesznomyślnych mieszkańców Domu Studenckiego „Opania”.

Najwidoczniej nie zauważyli Pawła, zakrytego i wciśniętego w kąt plastikowej niecki; a może widzieć nie chcieli. Elka zaparła się o ścianę, a Edek po raz kolejny tego wieczoru przeżywał chwilę triumfu i uniesienia. Pawłowi zaschło w gardle, podkurczył palce stóp i powolutku, powoluteńku, zabrał się do przerwanego dzieła. Przez szparę w zasłonie, tłumiąc coraz szybszy oddech – jeden z trzech przyspieszających właśnie w łazience – patrzył. Doszli w tym samym momencie, on i Edek, co do Elki nie umiał tego stwierdzić z całą pewnością. Jedno stęknienie zgłuszyło drugie, bliźniacze.

Do pokoju wytoczyli się w pewnym odstępie czasu, niczym się nie zdradzając, czy wiedzą o sobie nawzajem, a Edek już spał, kiedy Paweł kładł się na łóżko

i tracił świadomość, zanim jeszcze poddane tyranii grawitacji ciało legło na materacu.

Przebudził ich nieznaczny ból skroni, który wszakże rychło minął, gdy Edek sięgnął do wymiętoszonej, zapoconej koszuli, której nie ściągał od dwudziestu czterech godzin, i z kieszeni na piersi wyłowił kieliszek do wódki i ćwiartkę ogórka, choć żaden z nich nie pamiętał, żeby poprzedniego dnia serwowano zielone. Ogórek był może nieco przywiędły, ale kieliszek cały. To nie mógł być przypadek. Edek zaproponował, żeby rzucić w diabły śniadanie i na okoliczność tego, że właśnie wykopał z kondomówki ocaloną z wczorajszej pożogi dychę, zaprosił na przedpołudniowego browara. Poszli, zaczęli gadać. Porozumienie dusz zostało nawiązane i przypieczętowane.

Podczas późniejszych spotkań Edek mówił dużo, ale o sobie mało. W bliżej niesprecyzowanych okolicznościach wydalili go z łódzkiej filmówki, i o tym opowiadał nad wyraz chętnie, mnożąc i wyolbrzymiając powody skreślenia z listy studentów, ale resztę jego życiorysu skrywała elektryzująca mgiełka tajemnicy. Skąd miał pieniądze na nocne szaleństwa, kto krył jego wybryki, co robił na co dzień, do kogo dzwonił, kiedy kończyła się wódzia? W plotkach za jego plecami pojawiały się informacje o ojcu ministrze, powiązaniach z ruską mafią, amerykańskim dziennikarzu w trakcie wschodnioeuropejskiego gonzo-reportażu. Edek nie potwierdzał ani nie zaprzeczał; przygoda z kinematografią tłumaczyła przynajmniej, skąd w nim ta mołojcka fantazja i wyobraźnia wizualna. Jakkolwiek by było, na studiach – opowiadał Edek podczas kolejnej domówki, otoczony przez wianuszek studentek pierwszego roku, niezających jeszcze życia, ale mających silne postanowienie, żeby je w końcu poznać – zgłębił tajniki zawodu, liznął nieco technikaliów, spotkał właściwych ludzi i nauczył się, jak pewnie i z niejakim rozeznanem poruszać się w gąszczu światowej kinematografii. (Jeśli główny bohater – tłumaczył z obciętą plastikową butelką pełną wijących się dżinów marihuany, klęcząc nad wiadrem wypełnionym wodą – natłukł wrogów, przespał się z blondynką i zgarnął kupę kasy, to jest to film amerykański; jeśli napisał list do domu i rzucił się z granatem pod czołg kierowany przez wrogów, to jest to film radziecki; jeśli wrogowie sprali bohatera, ale odniósł on nad nimi zwycięstwo moralne, to widzieliśmy film polski; jeżeli zaś bohater nabił przeciwników, ale na koniec popełnił samobójstwo ze swoją kobietą, na tle pięknego pejzażu chmur, to był to owoc kinematografii chińskiej; a jeżeli wrogów pohańbiła cycata uczennica w króciutkiej spódniczce, męcząc się przy tym tak, że aż koszulka przyłgnęła jej do lolitkowatego ciała, jest to arcydzieło japońskie; proste, prawdaż). Paweł wiedział, że trafił w końcu pod właściwy adres.

Kiedy zdradził Edkowi, jakie ma plany – z duszą na ramieniu i korkociągiem w garści – kompan nie powiedział nic, zniknął na dobę, a kiedy pojawił się znów, rzekł, że to myśl genialna, i przetrwał sprawę. Do roboty wzięli się profesjonalnie.

Akademickie doświadczenie nie poszło na marne. Rozpoznanie terenu zaczęli od zamierzchłej przeszłości. Paweł się nieco zdumiał, ale o nic nie pytał. „Ludzie – usłyszał – podglądają moczenie ogóra, odkąd przestali żreć trawę. Wystarczy jedynie, że skorzystamy z mądrości pokoleń. Kumulacja wiedzy to coś, co odróżnia nas od małpy”. Zaczęli zatem tę wiedzę gromadzić.

Na necie, w albumach, w monografiach w czytelni, w której nie widziano ich wcześniej nigdy, oglądali namiętnie paleolityczne Wenus, tłuste, bezgłowe, po długim wpatrywaniu się wzbudzające niezdrową fascynację, erekcja, jaka potem się pojawiała, była potężna i bolesna, utrzymywała się przez kilkanaście godzin. Badali greckie malarstwo czerwonofigurowe, sceny hetero, homo i bi, jasne figury na ciemnym tle oddające się pederastii. Freski z Pompejów; egipskie sceny erotyczne z Papiirusu Turyńskiego, seks z królowymi w otoczeniu lotosów i małp; płaskorzeźby z ariańskich królestw, niekończące się sceny gimnastyki z sanskryckiej *Kamasutry*. Przeanalizowali peruwiańską ceramikę Mochica, przedstawiającą postacie figlujących zmarłych, malowane na drewnie japońskie obrazy shunga: zaróżowione oblicza samurajów, zazwyczaj tak surowe, i wszechobecne kimona, rozchylające się w strategicznych miejscach na obnażonych, ostrych jak katany genitaliach. Potem przeszli do historii pornografii w nowożytnej Europie, od renesansowych szkiców ciał splecionych w miłosnych zapasach, przez libertyńskie ryciny oświeceniowej Francji, hardkorowe ilustracje do *Justyny de Sade’a*, po wiktoriańskie seksualne podziemie, pierwsze dagerotypy i fotografie, na których już pojawiały się dystygowane członki i miłość analna. Komiksowe „biblie z Tijuany”. Amerykańskie magazyny z pin-upkami, podnoszącymi spódniczki przed obiektami w trakcie wojennej hekatombi.

Długa była lekcja porno współczesnego, ale nie musieli się spieszyć, wokół trwała sesja, do której Paweł już nie podszedł, mógł wreszcie rzucić studia i podążyć za swoją gwiazdą, i nie było nikogo, kto by ich rozpraszał. Filmy z lat siedemdziesiątych, produkcje kinowe do wspólnego oglądania w przestrzeni miejskiej; lata osiemdziesiąte, włochata przaśność i eksplozja tytułów na VHS; ostatnia dekada XX wieku, z technologicznym odchyleniem, piersi pompowane silikonem i mechaniczne monster-fallusy; aż po renesans *indie* w nowym tysiącleciu, czas sieci i amatorów, znów autentycznych, wyprzedzających w tym produkcje profesjonalne.

Edek czasem testował nowo zdobytą wiedzę na studentkach potrzebujących pocieszenia w oczekiwaniu na jesienne egzaminy poprawkowe, ale Paweł stracił nimi nawet to szczątkowe zainteresowanie. Oddał się bez reszty pracy naukowej. Zwłaszcza że w końcu nastąpił moment trudniejszy, kolejny krąg wtajemniczenia z ognia i ptasich wnętrzności, w który musieli wkroczyć, jeśli chcieli posunąć się naprzód. Przegląd rodzimych pornoprodukcji. Zakupili kratę piwska, narobili kanapek, zwarli poślady i odpalili kompa.

Szybko przelecieli przez klasyki: *Zaporozzca w tunelu*, *Uwięzionych w Ikarusie*, *Dildo z Pewexu* czy *Szaleństwa Anki Nimfomanki*; szybko i, o dziwo, bezboleśnie, nawet oglądając *Seksualne wędrówki Andrzeja z Biernatowic*. Siermiężno-swojska stylistyka prędko przestała irytować, rozsmakowali się w wypatrywaniu niuansów i smaczków, które już wkrótce nie pozwalały im pomylić tych filmów z owocami żadnej innej światowej kinematografii. Nabrali ochoty na jeszcze.

W długim, wyczerpującym maratonie przerobili *Człowieka o żelaznej lasce*, *Chłopców z łona Broni*, *W pustynie i w paszczy*, *Anal z Zielonego Wzgórza* i *Kurewkę Śnieżkę*. Edek pociągał małe łyki piwa z puszkii, mrużył powieki i sumiennie notował; Paweł zniknął co jakiś czas w łazience, zamykał oczy i płukał gąbkę. Pracowało im się ciężko, ale satysfakcjonująco. Potem były *Prezerwatywy 4*, *Robin Wzwód*, *Pan sam lodzik*, w którym urzekła ich brawurowa gra aktorska, śmiały koncept i nasycenie emocjami, superprodukcje *Nigdy w rzycie* i *Tylko mnie popchaj*, alternatywny *Tomcio i jego paluch*, wreszcie *M jak Masturbacja*, wprawiający w niejakie zdumienie nawet Pawła, czy absolutnie miazdzące *Jądro w ciemności*, które otworzyło im oczy na prawdę. Po wszystkim byli bardzo zadowoleni. Otrzymali więcej, niż się spodziewali.

Edek, jak w malignie, zniknął na kilka dni, a kiedy pojawił się znów, obok kolejnej zgrzewki piwa taszczył zrywkę z Biedronki z wypalonymi płytami. Wyglądał, jakby doznał oświecenia, jakby już wiedział; ale nic nie tłumaczył, niewiele mówił, wcisnął tylko Pawłowi w rękę puszkę piwa i włożył pierwszą płytę do odtwarzacza. Na ekranie pojawiły się *Pulp Friction*, *Robocock*, *Natural Born Fuckers*, *Full Latex Jacket*, *Men in Back*, *Saturday Night Beaver* i *Breast Side Story*, z rzeczywiście dopracowaną ścieżką dźwiękową, *Missionary position: impossible*, *In Diana Jones*, *Filth Element*, *Doctor Do Me a Little* oraz niszowy *Dirty, Hairy*. Paweł, owszem, oglądał je z zainteresowaniem, ale rozumiał niewiele.

Kiedy wyszli z cugu, usłyszał pytanie, czy w tym, co zobaczyli, dostrzega jakieś punkty wspólne, motywy, które się obsesyjnie powtarzają. Po prawdzie dostrzegał ich kilka, ale roztropnie milczał. To Edek wyjaśnił. Otóż prawie wszystkie z tych obrazów, klarował sucho, oszczędnie, uciekając od ozdobników,

by uzyskać precyzję myśli niezbędną w tak podniosłej chwili, za oknami przemijało lato ich młodości, a w małym pokoju w akademiku, opustoszałym na czas kanikuły, zbliżali się do kulminacji, a więc wszystkie najważniejsze z tych filmów to ekranizacje. To nie może być przypadek. Tylko że, ciągnął Edek, jakby prowadził spokojny wykład, choć przecież wyjawiał najgłębsze tajemnice swej duszy, po co kręcić to, co już było, powtarzać się znów, raz za razem? Ukąszenie ambicją, szeptał, rozpoznany w sobie gen wielkości, to rzecz straszna i piękna. A Paweł słuchał i przytakiwał.

Wtedy po raz kolejny objawił się geniusz współnika, antyczna lekcja, ostatnie tygodnie przed ekranem komputera nie poszły na marne. Edek wiedział już, jak nadadzą swoim działaniom szerszy wymiar. Uświadomił sobie, że ich misją jest poszerzanie świadomości narodowej poprzez kręcenie porno historycznego.

Będą tworzyć filmy polskie, zawyrokował, ale naprawdę „polskie”. Ich własne, rodzime, swojskie, przypisane do ducha i ziemi. Paweł słuchał w ogniu zrozumienia i olśnienia, to była jedyna logiczna forma edukacji na nowe ciężkie czasy. Zwłaszcza że Edek nie poprzestawał na samym mówieniu. Pierwszą gwiazdę, dokończył, już przecież mają. Kiedy Paweł doszedł do siebie, przystąpili do kompletowania reszty ekipy.

Edek – od tej pory Ed Sarmacki, występujący tylko pod tym pseudonimem – podzwonił, wyjechał na parę dni, spotkał się z odpowiednimi ludźmi. Techniczni w ich ekipie pojawili się pierwsi, ludzie od kamer i oświetlenia, same równe chłopaki, skrzyknięte wśród studentów szkoły filmowej, którym powinęła się noga. Potem doszła do nich emerytowana scenografka, lubiąca zaglądnąć do butelki, ale kto nie lubi?, wprowadzająca do zespołu siłę spokoju i moc doświadczenia. Na bazę operacyjną wybrano starą, pustą halę po wielkiej hurtowni, która w swoich kamiennych snach nigdy nie mogła marzyć, że kiedyś da schronienie tak pięknym pannom i jurnym junakom. Kiedy już w niej ogarnęli – pieniądze na ekipę niepijących budowlańców też się cudem znalazły – wymalowali wnętrza i podciągnęli solidną kanalizację, przeszli do castingów. Choć mniej kosztowny, ten etap pracy okazał się jeszcze bardziej wymagający. Ale w końcu, metodą prób i błędów, często zostając po godzinach i poświęcając się zadaniu bez reszty, wybrali odpowiednią grupę. Studio RP Productions się ukonstytuowało.

Już wkrótce przed kamerami pojawili się Samuel „Tuberculosis” Radziwiłł-Potocki, ryżawy Baruch Benedict, będący z nimi od samego początku, Lew Bogusz Mickiewiczus, który wcześniej robił w imporcie na wschodzie, znaczy się w papierosach, Mściwój „Mścichuj” Wielki Chrobry, Jan Wieniawa, zwany Batorówką, a to nie dla długości, jeno krzywizny i ostrości swego ostrza, czy

Onufry Longinus, na którego wołano „Profesorek”. Ed bardzo dbał, żeby każdy z aktorów przybrał pseudonim wpisujący się w profil studia. Wtedy to swojego prawdziwego imienia, jak w indiańskich baśniach, mitologicznych inicjacjach, dorobił się też Paweł.

— Słuchaj — rzekł mu Ed — jak to brzmi: „W roli głównej wystąpił Paweł Łazarczuk”? Powiem ci jak, tylko się nie obraż: jak gówno, no sorry, ale właśnie tak. Musimy to zmienić. Łazarzuk-Srarczuk. Ale Lazarus, bracie... Lazarus...

— Lazarus-Ikarus — podpowiedział przytomnie Paweł.

— Otóż to, Pavo. Otóż to.

Do mołojców dołączyły aktorki: Rycheza „Pieróg” Walewska, Marysieńka Jagiellon, Salomea Plater, piękna jako ten sen złoty, posępna Judyta Rokita, pszenicznowłosa i pulchna Kinga Lubczyk, Oleńka Wierzba-Płacząca, której nie strasznie było stawać naprzeciw przeważających się wroga, pachnąca maliną Marianna Dusiołek czy Tania Tania.

Wkrótce każdy z Rodziny, jak szybko zaczęli się nazywać, czuł się w studiu jak w domu. Pobudowali na zapleczu garderoby i ścianki działowe; Ed zadbał o odpowiedni narodowy wystrój wewnątrz; w pomieszczeniu socjalnym zawsze czekała na aktorów woda mineralna, drożdżówki z serem i płyn do płukania ust. Ed zachęcał do korzystania z siłowni i po ojcowsku, po przyjacielsku, tłumaczył, jak rujnujące bywają używki stosowane na planie. Pilnował sumiennie, by wszyscy mieli aktualne szkolenia BHP. W zimie pomieszczenia dogrzewały przytulne, bardzo wydajne farelki miejscowego producenta. Latem jeździli nad okoliczne stawy, gdzie – już po sesji – mogli się pluskać i opalać do woli. Zwłaszcza że w branżowym świątku szybko stali się znani.

Pan Wkładeusz – Jazda na Litwie, ich pierwsze dziecko, okazał się sukcesem, który przerósł najśmielsze oczekiwania. Budżet mieli solidny, ale mimo wszystko skromny; aktorzy wspięli się na wyżyny sztuki, ale wciąż dopiero zdobywali doświadczenie; scenografka zrobiła, co mogła, dała z siebie wszystko, zagrała nawet w jednej scenie z długim, cętkowanym i krętym, ale czy to mogło wystarczyć, by zdobyć uznanie i sławę? Ed załatwił ogólnopolską dystrybucję, jednak kanały reklamy pozostawały mocno ograniczone. Konkurencja patrzyła na nich podejrzliwie, choć wciąż nie jak na zagrożenie, lecz raczej na dziwactwo. O sukcesie przesądziło zainteresowanie odbiorców i oddolna akcja błyskawicznie powiększającego się grona fanów. Okazało się, że trafili w niszę i że wcale nie jest ona tak skromna, jak podejrzewano.

Wiść o nowym trendzie obiegła środowisko w kilka gwałtownych dni. Edek nakupił szampana i czipsów, pobałowali całą noc, przećwiczyli to i owo, a w ciągu

następnych dni wzięli się ostro do pracy.

Trud pisania scenariuszy wziął na siebie Ed i całkowicie poświęcił się temu zadaniu, na czas pracy obkładał się tekstami źródłowymi i monografiami, przekąszał tylko dania z epoki, prażone orzechy w miodzie i bób z soczewicą, zaczytywał się w pamiętnikach. W dialogach pojawiały się nawiązania do literackiej klasyki, zawołowane cytaty z listów prywatnych wieszczów, trzynastych ksiąg narodowych epepei, erotyków Potockiego, Kochowskiego i Kochanowskiego. I tak już wkrótce światło dzienne ujrzały: *Bolesław XXXrobry – Raut w Kijowie*, *Sobieski III – Sucz wiedeńska*, skandalizujące, odważne *Na Szweda – Dildem i mieczem* czy *Bunt Chmielnickiego – Tylko w czerni*. Pojawiły się nagrody na festiwalach, wyjazdy zagraniczne, wywiady i występy gościnne, *cocktail party* z największymi nazwiskami branży. Ed doskonale odnalazł się w świecie fleszy i blichtru. Co kilka tygodni zmieniał imidż, zamawiał ciuchy od znanych projektantów, nigdy nie żałował pieniędzy na męską biżuterię i dodatki. To podgalał wysoko czerep i zapuszczał gęstego, sumiastego wąsa, to golił łeb na łyso, za ucho nawijał nabrokatowany osełdec i wpinał w nie kolczyk z kryształkiem Swarovskiego.

Zapoczątkowany przez nich trend szybko znalazł naśladowców, jedyną formę hołdu, jaki zawistnicy składają oryginałom; epigonizm to także forma kulturowego uznania. W filmach konkurencji pojawiły się rosyjskie warkocze, szybko rozdzielane kolorowe krajki, drewniane chaty, banie i różgi. Ekran monitorów podbijali Wielcy Mogołowie, Indianie, srodzy wikingowie o skandynawskim podejściu do pruderii obyczajowej i kultu ciała, wreszcie Hunowie, prawdziwy hard z końmi i krępowaniem. Krótkotrwałą popularnością cieszyły się takie filmy, jak *Iwan groźny w gębie*, *Cesarz Sam Hui – Zakazane Miasto* czy *Poświęcenie dziewic – Aztecki anal*. Ale w awangardzie wciąż kroczyło RP Productions, były kolejne nagrody, filmy, festiwale.

Razem z sukcesem, oczywiście, pojawiły się też problemy. Zazdrość konkurencji to siła potężna i straszna. Działalnością studia szybko zainteresowali się dziennikarze, najpierw na szczeblu lokalnym. Sprawę rozdmuchano, pojawiła się darmowa reklama, na której tak im zależało, wkrótce temat RP Productions znalazł się w ramówce najważniejszych serwisów informacyjnych kraju. Jedni wychwalali wolnomyślicielstwo i postironiczne wzięcie nawiasu w nawias, inni bili na alarm, zastanawiając się, jakie są przyczyny i jakie będą długotrwałe skutki podobnej degeneracji znaczeń. Pojawiły się oskarżenia o obrazę uczuć narodowych, komercyjne wykorzystanie symboli państwowych i zły wpływ na

i tak już zerodowane pojęcie patriotyzmu. Dla widzów w całym kraju Ed Sarmacki stał się ikoną: bohaterstwa z jednej, a bezmiaru demoralizacji z drugiej strony.

Zapraszany do następnego studia telewizyjnego, pod ostrzałem pytań, odpowiadał wtedy, że to tylko kolejny sposób na odzyskanie historii dla popkultury, wzbudzenie nią zainteresowania wśród młodzieży, wszyscy przecież wiedzą, jak trudno o przyciągnięcie ich uwagi. Odwołują się do tradycji i na tym zarabiają, to prawda, przyznawał, ale czy czegoś podobnego nie robią także politycy? Różnica między nimi polega tylko na tym, że politycy jedynie pierdolą, a oni muszą się napracować naprawdę. Nazwę studia rozwijał do „Ruda Pyta Production” – może to i nieeleganckie, wyjaśniał, ale trudno o inne miano, jak się ma w swoich szeregach Barucha Benedicta (widownia biła brawo); akronimy to broń groźna, ale obosieczna. Indagowany o hymn, cytował go na baczność, wszystkie sześć zwrotek z oryginału Wybickiego. Jako ciekawostkę dodawał do nich kilka wersów dopisanych ongiś po żmudzku. Jak tu zresztą nie czuć dumy, pytał wreszcie retorycznie, gdy przechodzono już do samych filmów, widząc Niemca z Wehrmachtu ujeżdżanego przez partyzanta i partyzantkę w skórzanych uprzężach albo Wielkorusa zdominowanego przez zahukaną XIX-wieczną pastereczkę w cyklu BDSM? Nagonka przycichła, dopiero kiedy poszła plotka, że jeden z ich filmów, *Ribbentrop–Mołotow – Pakt na dwa baty*, znaleziono na dyskach twardych komputerów w prezydenckiej kancelarii.

Już wkrótce RP Productions można było pogardzać, ale nie dało się ich lekceważyć. Sukces stał się nie tylko faktem komercyjnym, ale i kulturowym, określił sposób myślenia elit państwowych na długie lata. Paweł czasem zaszywał się w swojej garderobie i nie umiając ani nazwać, ani ogarnąć tego, co go przepełniało, cicho i pokrępiąco szlochał, próbując znaleźć ujście dla obecnych w nim emocji. Czuł, że im się udało. Płakał i nie wiedział, że płacze.

* * *

Drzwi: biała powierzchnia odmalowana farbą olejną, prawie bez zacieków, złota gwiazdka przyklejona na wysokości wzroku, kupiona w Carrefourze na stoisku z dziecięcymi wycinankami, i cisza za tymi drzwiami.

Paweł stał bez ruchu, trzymał dłoń na klamce i nasłuchiwał. Nie mógł się przemóc. Za drzwiami jedynie Isis Love, która odświeżała się po całym dniu pracy, ale on czuł się tak, jakby stał w progu wejścia prowadzącego do alternatywnych światów, otchłani wiodącej pod czarne nieba kosmosów poza pojmowaniem; jakby ciało czuło coś, czego nie wiedział rozum, instynktownie go ostrzegało. Nie słyszał nawet szumu wody z segmentu łazienkowego, specjalnie zamontowanego

w garderobie dla gwiazdy. Zastanawiał się, czego się tak boi: idol idolem, legenda legendą, ale przecież właśnie razem zagraли. Sprawdził jeszcze raz, czy działa długopis, który razem z magazynem z pierwszą sesją zdjęciową Love zabrał ze swojej przebieralni, i zapukał, bardzo cicho i nieśmiało.

Długo trwało, zanim drzwi się uchyliły. Za plecami chłopaki otwierały właśnie puszkę z piwem, ale syk uwalnianego gazu już cichł, gubił się, oddalał. Paweł popchnął delikatnie pobieloną powierzchnię, wszedł, zamknął za sobą drzwi i przystanął zaraz za nimi.

Była tam, oczywiście, w ręczniku zawiniętym wysoko na piersiach, w bawełnianym turbanie wokół mokrych włosów. Nic nadzwyczajnego, przed chwilą musiała wyjść spod prysznic, ale nie mógł się otrząsnąć. Chciał jej tylko powiedzieć o swoim uwielbieniu, o tym, że jest jej wielkim fanem, pogratulować profesjonalizmu, podziękować za karierę i zdradzić, ile dla niego znaczył dzisiejszy dzień, marzył o tym od lat, a tylko stał i się gapił, jak przy plastikowym stoliku, już bez makijażu, siedzi i sączy kawę. Długopis i lakierowana okładka w dłoni zrobiły się nieprzyjemnie wilgotne i śliskie, jakby były tu nie na miejscu. Przynajmniej wiedział, że musi wyglądać jak skończony głupek. To przeważało; wziął się w garść, przełamał.

— Isis...

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Niewielkie, ale schludne, nieco większe niż ich przebieralnie, specjalnie przygotowane dla gwiazd, po tym jak już stali się sławni. Na plastikowym rozkładanym krzeselku wisiał zapomniany stanik, przed lustrem, jak na filmach, rozłożono wcale nie tak okazałą kosmetyczkę, pełną lakierów, pędzelków, wacików, buteleczek. Pod gipsową ścianką pomalowaną w tęczowe, hipisowskie wzory łożko polowe, po drugiej stronie materiałowa szafa z Ikei, składana i bardzo pojemna. Z elektrycznego czajnika i z za drzwi segmentu z prysznicem parowała woda. Isis milczała i kontemplowała kawę. Odległa, niedostępna, piękna.

— Wiesz... nie wiem, czy nie przeszkadzam... no, to takie dziwne, że my razem... no przecież ja od dawna jestem twoim wielkim fanem, i w ogóle...

Jakając się, dukając kretyńsko brzmiące słowa, próbując przerwać ciszę, Paweł zdał sobie nagle sprawę, że czuje wstyd, lęk, nieśmiałość, jakby rozbierał się po raz pierwszy; że czuje to wszystko, czego, jak mu się wydawało, nie będzie musiał czuć już nigdy, przecież się oduczył, uodpornił. Stał tam w pozie niepewności, nagi, choć odziany, znów bezbronny. Zaczerwienił się, poczuł, jak gorąco wykwita na twarzy, uderza do głowy. Ale brnął dalej:

— No, wiesz, i widziałem chyba wszystkie twoje filmy, *Nocne szaleństwo*, *Uciechy na plaży*, to było super, naprawdę, *Pusty, samotny dom...* Nawet amatorską *Rozpustę rytualną* widziałem — zaśmiał się nerwowo. — Nie wiem w ogóle, czy to jeszcze pamiętasz.

Zacinał się, powtarzał, a przecież chciał jej tylko powiedzieć, że to dzięki niej odnalazł sens życia, utwierdził się w przekonaniu, co chce robić naprawdę, że to ona, już na studiach, zaważyła na podjęciu tej decyzji; ale pierwszy raz to kłamstwo, które wymyślił sobie jeszcze na początku kariery, wydało mu się tak sztuczne i kiczowate, jakim było, oklepiane i pretensjonalne.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z niestosowności ich stroju, absurdalności sytuacji: on w szlafroku, ona pod kusym ręcznikiem, wciąż jeszcze mokra, okadzona parą z kawy, teraz wreszcie wyglądająca na swoje lata, dojrzała, poznaczona rozstępami i zmarszczkami. I, co wydawało się w tym najdziwniejsze, wciąż wyglądająca najpiękniej, boleśnie kobieca, dopiero teraz prawdziwie potężna i doskonała. To nie to nawet, że Paweł czuł się przy niej jak chłopiec: ale był tym chłopcem, mimo lat na karku i karbów na pycie, zdał sobie sprawę jasno i wyraźnie, że nie mógł z nią porozmawiać, bo o czym — on i ona, zwłaszcza ona — mogliby ze sobą rozmawiać? Drugim zdziwieniem było uświadomienie sobie, że Isis najwidoczniej o tym wszystkim wie, jest świadoma, jak wyglądają, on — i ona, z tymi kroplami wody przetaczającymi się na skórze. I że musiała chcieć, żeby wszedł, chciała go wpuścić, inaczej mógłby sterczeć przed tymi drzwiami choćby pół dnia i nie zainteresowałyby się nim nawet fiut z kulawą nogą.

— No, to wiesz, miło było cię poznać... — zaczął się zbierać do wyjścia, w absurdalnym geście położył czasopismo i długopis na plastikowym blacie, jakby to był prezent, pradawna ofiara. — To ja już pójdę może... Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będziemy mieli możliwość, no wiesz, że razem... — Zatrzymał się w pół kroku. — Bo ja cię, Isis, no wiesz, po prostu naprawdę...

— Ciii... — odezwała się wreszcie znad kubka.

Nie podnosiła wzroku, wpatrywała się w okładkę ze swoją podobizną. Paweł zachłysnął się, wydawało mu się, że źle usłyszał. Coś się stało z powietrzem, elektryczność jakby podnosiła włoski na karku.

Wstała, z włosów zsunął się przemoczony, ciężki ręcznik. Paweł chciał przyjąć to po męsku, na luzie, z niejakim lekceważeniem, wszak nie należał do świeżaków i jak to mówią, z niejednego już talerza pieroga jadł, ale zabrakło mu tchu. Stał i się gapił.

Kobieta też mu się przyglądała. Jakby coś oceniała. (Te wielkie oczy, ogromne i czarne). Wreszcie najwidoczniej podjęła decyzję. Podeszła, myślał, że serce

wybuchnie pomiędzy płucami, przysunęła się, pomiędzy nimi tylko cienka granica materiału, bez niego ciało przy ciele, uniosła się nieco na palcach, ale zupełnie nie jak na filmach, Paweł miał erekcję, tak silną i bolesną, jakby na powrót przeniósł się w nastoletnie ciało.

Coś się działo z powietrzem, z przestrzenią, jakby patrzył przez kryształ albo bardzo grube szkło, albo po długim czasie, zielono-czarnych wiekach, został wydobyty spod wody, zmiądzony ciśnieniem wzrok powoli odzyskiwał ostrość, na powrót uczył się rozpoznawać kształty.

Zbliżyła swoje wargi do jego ust i tak zamarła, oddech, słony i ciepły, huk w uszach, i krew wściekle pompowana, zamknięte oczy, wreszcie, i jakby coś pękło mu w głowie, cicho i bezboleśnie, błogie pyknięcie, światła i feeria barw, i nagle ostra jak uderzenie świadomość największej intymności, jaka może pojawić się między dwiema istotami – ta chwila, kiedy pierwszy raz dotykałeś jej szesnastoletniej duszy i ciała – moment, kiedy wreszcie, po raz pierwszy, zanika już wstyd, ale jeszcze nie nieśmiałość – jak zareaguje – jak zareagujesz? – na pierwszy dotyk dłoni na dłoni, dłoni na ramieniu, warg na szyi, warg na wargach, dłoni na karku, palców we włosach, palców pod koszulką, dłoni na białej bawełnie bielizny, wilgotnej i ciepłej między udami? Po raz pierwszy, nie do wytrzymania: dotyk młodego ciała, tak samo jak twoje przestraszonego i niecierpliwego; pocałunek u schyłku nocy, tuż nad ranem, a potem szaleńczy bieg pomiędzy bramami, pod przejaśniającym się niebem; pot, piasek i krople wody na skórze, na plaży, w zimnym wietrze, po pozorowanej walce między wydmami; gardłowy, tłumiony śmiech pod kołdrą, a później milczenie i przyspieszone westchnięcia w parnej ciemności, komunია oddechów, cicho, ciszej, pierwszy raz po tym, jak urodziło wam się dziecko, jakbyście pierwszy raz robili to naprawdę; dojrzały dotyk pomarszczonej skóry, którą znasz od tylu lat, tuż po przebudzeniu, jeszcze w przedświcie, w łóżku, w którym umrzecie razem.

A potem...

głośny korowód ludzi i zwierząt, dudniące miedziane kotły obciążone skórą i dysharmoniczne podwójne flety o piskliwym dźwięku, obrazy w głowie i pod powiekami. Mężczyźni o zwierzęcych nogach, maski, wymalowane twarze. Kobiety rzucające się w ekstazie, ciężki zapach palonych ziół i smród wysmarowanego krwią ofiarną ciała. Cierpkie, młode wino, pite bez opamiętania, wylewające się ustami i nosem, ciekące po brodzie i kroczu. Wielki posąg spiżowego byka, czarnego, o ślepych oczach, górujący na postumencie nad kopulującymi parami

ciemna jaskinia, niski strop najeżony wilgotnymi stalagmitami, w wilgoci poblask ognia płonącego w zagłębieniu ziemi, w płomieniach kości zwierząt i małą, wykonane ochrą malunki bogów na ścianach. Wielka, kamienna macierz. Pod nią brzemienna kobieta w muszelkach i warkoczykach, o umalowanej białą glinką twarzy. Mężczyźni, już nadzy, podchodzą i spółkują z nią z nieprzeniknionymi minami, szum ognia i odległe pohukiwania

barwne, utrzymane w pastelowych kolorach freski na ścianach. Wybuchy śmiechu, cynowe patery walające się pod malunkami, fałszywe dźwięki cytry, wzbudzające dalsze fale śmiechu. Na marmurowym stole w drewnianych misach figi i orzeszki pinii, gliniane amfory pełne słodkiego wina, drogie, szklane puchary. Na leżankach ciała, nagie, spółkujące, tłuście i szczupłe, z ufryzowanymi włosami, wymieniające uwagi, wymieniające się partnerami

zgrzyt zamykanej stalowej bramy, odcinającej ostre światło i okrzyki tłumu ponad areną. Zapach ścierwa ludzkiego i zwierzęcego. Krew na jego ciele, smak rdzy i soli, kiedy ściągnie puklerz. Na glinianym podeście idole o zwierzęcych łbach, oliwne lampki z kopącymi knotami. Oni na ziemi, też jak zwierzęta, ból i rozkosz, spełniona ofiara, kiedy starzy bogowie umierają

zniszczone miasta, zawalone dachy świątyń, przekrzywione wieże ze śladami ognia, imponujące ruiny gmachów publicznych, rozpadające się pomiędzy drzewami. Oczy zwierząt w czaszkach ludzkich, chwile strachu i szybkich spełnień w jamach pomiędzy tymi ruinami

święte gaje, ognie odbijające się w czarnym nurcie rzeki w czas równonocy, niekończące się gonitwy w ciemnościach, zapach ziemi, mięty i koniczyny, słona woń rozgrzanego biegiem ciała

oblężone miasta, trędowaci umierający za ich murami, białe niebo i jasne kości na bezkresnym piasku, wozy tanich kurew ciągnące się za chrzęszczącymi stałą golemami

nogi rozkładane na barykadach, frygijskie czapki, długie, brudne bagnety na karabinach opartych o ściany domów z wybitymi szybami. Monety wciśnięte w garść, ale nie monety są ważne. Byleby tylko przetrwać

ciasne gorsety, wymyślne upręże, drewniane atrapy fallusów na skórzanych paskach. Palarnie cygar, nawoskowane wąsy i fryzury z przedziałkiem, afrykańskie posągi starców o poskręcanych kończynach, pomarszczone, straszne twarze. Upudrowana, chorobliwie chuda *Madame*, arystokratyczny spleen i żądza pod tą pozorną obojętnością, wiktoriańskie bukakke

namioty kantyn, obrzeża miast, ocalałe kabarety. Nalane od alkoholu twarze, czerwone i niewyraźne. Pieniądze i brak pieniędzy, rytuał i ofiara. Byleby tylko

przetrwać. Korowód kształtów i gestów, masek i twarzy, pandemonium dźwięków i świateł, chrapliwych zaśpiewów i wotywnych lampek

... wreszcie go pocałowała.

— Nikt nie widział ich wszystkich — wyszeptała.

Szarpnął się, zachwiał. Jakby dostał prądem. Zatoczył się do drzwi, przerażony, coś niedobrego działo się z jego oczami.

Wytoczył się, ktoś do niego mówił, ale nie wiedział kto i nie usłyszał słów, tylko dźwięki, na planie kończyli właśnie ostatnią dokrętkę, czuł, że musi wyjść, odetchnąć czystym powietrzem, wyzwolić się spod presji kamieni i sklepień, na planie klęczała jedna z dziewczyn z bezświadomym uśmiechem przyklepionym do błyszczących, wysmarowanych nasieniem ust, krzywiąc się w grymasie rozkoszy, do której w końcu i siebie przekonała.

Rozejrzał się i zobaczył podobne twarze. Coś niedobrego działo się z jego oczami. Wreszcie znalazł drogę do wyjścia, strząsnął czyjąś rękę, szarpnął metalowe wrota, uciekł pod nagie niebo.

Płakał i wiedział, że płacze.

* * *

— I... akcja!

Na planie kończono kręcić rozpoczęty przed południem film. Na łóżku wiała się jakaś para. Mężczyzna cierpliwie sapał, kobieta była wyraźnie poirytowana. Paweł wiedział, że zostawiła u matki czteroletnią córkę, do studia jechała półtorej godziny pociągiem podmiejskim, którym będzie musiała też wrócić, a robiło się coraz później. Ale półtora tysiąca piechotą nie chodzi, więc gimnastykowała się, wiała i wzdychała. Stał obok w dresie, pod poszarzałą ścianą, która wyglądała, jakby nigdy nie była biała, i patrzył.

Przez ostatnie lata trochę przytył, mimo ćwiczeń, do których podchodził jednak bez wcześniejszego entuzjazmu, a zakola, jak prawdziwe starorzecza, rozlały się na czaszkę dyskretnymi łukami; nie było to nic, co by go dyskwalifikowało, ale nie oszukiwał się, że nie dostrzega tej zmiany. Przestał się oszukiwać. Czekał na swoją kolej, ale nie myślał o tym, tylko zastanawiał się, czy i dziś ktoś się pojawi w drzwiach wejściowych do sali.

Poza okiem kamery snuło się bez entuzjazmu kilka osób. Paweł pomyślał, jak by to było wypływać teraz w puste morze, chłód wody na ciele, odbijająca ostre słońce tafla po horyzont, oczy pełne blasku i soli, a on płynie mocnymi pociągnięciami ramion, robi się coraz zimniej, ale jeszcze tego nie czuje, za nim pozostaje zanikający powoli brzeg, a on płynie, przed siebie, coraz dalej.

Do dziś nie rozumiał, co stało się tamtego wieczoru na planie *Mieszka*, ale nie chciał wiedzieć. RP Productions wkrótce podupadło i czasem nie miał pewności, czy to sława przeminęła tak szybko, czy też nigdy jej nie było i to wszystko tylko mu się wydawało. Nigdy też więcej nie spotkał Isis, która wkrótce najwidoczniej zmieniła pseudonim i stracił ją z oczu, przestał śledzić jej losy. Ale nie żałował, nie szukał kontaktu. Dużo myślał o tym, co się stało, trochę pracował, przychodził na plan i przyglądał się ludziom, chciał przestać, ale nie mógł, teraz już nie, więc przychodził dalej. Umiał już tylko patrzeć.

I widział, przed kamerą, na planie, z każdą twarzą, z każdym obnażonym ciałem: szare życiorysy, smutne obrazy, dusze jak opróżnione butelki z grubego szkła, oglądane na wskroś, na przestrzał. Przygarbionych mężczyzn wracających do pustych domów, gdy już zejść z planu, ożywających tylko w towarzystwie, ale też na krótko, lodówki świecące zimnym światłem, w których jedzenie pleśnieje tygodniami. Kobiety-żony, kobiety-matki, zostawiające dzieci pod opieką obcych osób albo wiecznie niezadowolonych babć, które wiedzą, czym się zajmują córki, kiedy wychodzą, ale przecież ich nie zostawia, przecież to także matki. Piękne ciała, wyjąłowane sny, niechciane cięższe, niemowlęta powycinane z łona wraz z częścią duszy, która nie odrasta. Były striptizerki, pracownice supermarketów, studentki, tanie prostytutki, żony, które w czasie wolnym od zdjęć robią zakupy w osiedlowych spożywcach, męczą się w urzędach, chciałyby być kochane, rozmawiają z sąsiadkami. Córki nieobecnych ojców, którym spuszczone się na twarze. Nastolatki po ekonomikach, absolwentki uniwersytetów, dojrzałe kobiety, które chciały spróbować czegoś więcej. Rozciągane ze śmiechem odbyty przed kolejnymi scenami, niebieskie tabletki popijane jak witaminy, mózgi wyjedzone przez narkotyki, niewidzące szare oczy, sprzed których nie da się wymazać raz zobaczonych obrazów. Czarna msza okrucieństwa, spektakl radosnego upokorzenia i nieświadomionej dominacji.

Podrzewiałe drzwi wejściowe uchyliły się ze słyszalnym zgrzytnięciem, w ich świetle mignął i zaraz zgasł refleks nieba. Paweł odetchnął. To znów nie była ona, nie była nawet do niej podobna, ale coś je łączyło. Może to, jak trzymały torebkę w zaciśniętych piąstkach, może to, jak stały. Nie szkodzi. Była daleko, ale widział ją wyraźnie, jak je wszystkie. Odepchnął się od ściany.

Zauważyła go, dopiero kiedy stanął tuż obok. Wzdrygnęła się, przestraszyła, ale zaraz na pokrytą makijażem twarz przywołała wyzywający uśmiech. Przecież przyszła tu w poszukiwaniu pracy. Przez chwilę patrzył. A potem...

— Cięcie! No dobra, koniec. Paweł, Paweł, kurwa? Gdzie on się znowu podziewa?! Teraz kurwa twoja kolej, dawaj człowieku, dalej, nie będziemy się tu

pierdolić do rana.

... bez słowa, bardzo delikatnie i szybko ją pocałował, ledwo wyczuwalnie musnął jej usta wargami.

Odwrócił się i w milczeniu skierował na plan. To na takie dziewczyny czekał. Grał w filmach, tylko tu mógł być z nimi wszystkimi, czuwał, żył. Czekał. Nie płakał, ale wiedział, że płacze. Kiedy spojrzał za siebie, stając w światłach na planie, przy drzwiach już nikogo nie było.

Kochał je wszystkie. Nie mógł przestać patrzeć.

Strach. Historia rodzinna

A co jeśli roślina, dojrzewając w mroku, odnajdzie w sobie zamięłowanie do nocy?

Kathe Koja, *Dziwne anioły*

Noce są czasem stada. Z bram, zaułków, podziemnych przejść, z klatek schodowych z powybijanymi szybami. Z barów, pubów, agencji towarzyskich, z domów, od dziewczyn, od matek. Z piwnic, leśnych leży, jaskiń o sklepieniu pocernionym sadzą z nieosłoniętych ognisk, parkowych mateczników najeżonych rozbitym szkłem i wypatroszonymi puszkami po mielonce. Z zimnych łóżek. Z ostatnich autobusów. Z pociągów podmiejskich, taksówek, volkswagenów trójek zostawionych pod blokiem i z lśniących BMW tętniących nierzeczywistym soundtrackiem. Wychodzą, zbierają się, wężą. Maurycy, najmłodszy za Strachów, czuje to ciemne pulsowanie. Nawołują się, gardłowo, z wibracją, jak tarcie żelaza o żelazo, uderzenie trzaskających zębów o beton. I biegną, przez miasto, w kryształę rozbijanych szyb, elektryczny deszcz wyładowań pod pękającymi kloszami latarni, w błękitne światło suk. W huk wywracanych koszy na śmieci, uginających się masek samochodów, pękających reflektorów, śrubokrętów na karoserii, kastetów, noży i krwi, jeśli mieli dobry dzień. Walczą, uciekają, gonią i są gonieni. Gryzą, tną, szarpią i myślą o polowaniu. Zapadają w cieniu, czują, jak pot schnie na skórze, i czekają. Zimne podmuchy wiatru i ostry zapach. Nie zabijają, ale jakby zabijali. Nie umierają, ale jakby umierali. Wtedy, na chwilę, zapominają. Lubią ciężar mosiądzu w dłoniach, metal jest gładki i nigdy się nie skarży. Noce są czasem stada.

Maurycy oddycha, pije z podanej butelki, a potem przejeżdża językiem po napuchłym dziąśle. Słony posmak. Uśmiecha się, widząc błyszczącą skórę na potężnym ramieniu, rzeźba mięśni jest doskonale widoczna w mętym świetle miasta. Mimo chłodu jesiennej nocy ma na sobie tylko bojówki i czarny bawełniany t-shirt. Podaje butelkę dalej i warczy, uśmiecha się, obnażając kły. Odpowiadają mu takie same powarkiwania. Kiedy telefon wibruje w kieszeni, wzdryga się ze strachem. Jakby wiedział.

SMS. Znów się zaczęło. „Potwór wrócił”.

Sierść na szerokim karku jeży się, wargi unoszą, mięśnie napinają, tak jak to lubi, tylko że tym razem adrenalinowe spełnienie, endorfinowy haj nie nadchodzi, w gardle wzbiera warkot. Maurycy sprawdza godzinę. Do świtu blisko, ale Aneczka powinna jeszcze pracować. Rusza. Migają cienie. Nie zaczepia nikogo i nie jest zaczepiany, ale wie, że to nie potrwa długo. Dobrze. Przyspiesza, choć szybki krok nie przynosi ukojenia.

Potwór wrócił.

Pub Ostatnia Przystań jest otwarty i tętni od świateł. Piątkowy wieczór. Głośno, kolorowo, koszulki oblane piwem i dłonie z lepкими od drinków palcami. Ludzie stoją też przed wejściem, na opustoszałej ulicy, śmieją się i palą. Pijany śmiech gęsty jak dym. Maurycy zapolowałby, ale jeszcze nie. Palący schodzą mu z drogi, odwracają spojrzenia, boją się. Wchodzi.

Aneczka stoi za barem. Bardzo szczupła i bardzo wysoka, podgolona z jednej strony głowy, w postrzępionych dżinsowych szortach i podkoszulku w kolorze khaki, który niczego nie maskuje i niewiele zasłania. Dziewczyna uśmiecha się, a wtedy kolczyk w kąciku ust unosi się wysoko i pobłyskuje w świetłkach nad baru. Kolorowe cartoonowe tatuaże na przedramionach wiją się i gną, kurczą i rozciągają razem ze skórą. Pędziwiatr ucieka przed Kojotem, geometryczne wielobarwne kwiaty rozkwitają pod spojrzeniami stałych bywalców, obok na łódce przepływają przez biceps Mickey, Minnie i jeden z braci Mario. Z szyi na wystrzyżoną skórę za uchem pnie się wielobarwny fraktal. Muzyka nie jest natarczywa, ale wystarczy. Ludzi jest wciąż tylu, żeby przytłumić słowa i myśli.

— Cześć, siostra — mówi Maurycy i patrzy ponad dłońmi z przygotowanymi banknotami. Aneczka uśmiecha się, cały czas się uśmiecha, ale tak naprawdę czeka, co usłyszy dalej. Jej brat przychodzi tu tak rzadko, że powinna się bać.

Maurycy milczy i Aneczka już wie, i uśmiecha się jeszcze szerzej.

— Wrócił...?

— Przecież wiesz.

— To... Kiedy?

— W niedzielę. Powiedz Matce Joannie.

— Sam do niej zadzwoń.

— Powiedz. Wiesz dobrze, że ode mnie nie odbierze — ucina.

Aneczka uśmiecha się przymilnie, pojednawczo, potulnie.

Maurycy instynktownym skłonieniem krótko ostrzyżonej głowy przyjmuje i tę ofiarę. Kończy:

— Słuchaj... Daj znać Babuli, okej? Powiedz, że będziemy.

A potem, kiedy już przekazał czarne wieści, wychodzi w noc i zaczyna biec. Jest przestraszony, a wkrótce czeka go dzień. Mięśnie pracują coraz mocniej, oddech przyspiesza, pot spływa po opalanej na solarium skórze. Pędzi roztloczona krew. Maurycy gwizdże przeciągle i odpowiadają mu poszczekiwanie, gwizdy, powarkiwania. Noce są. Maurycy Strach mocniej ściska chłodny kształt w dłoni i oddycha oddechem stada.

Aneczka nie przestaje się uśmiechać. Kończy nalewać alkohol do szkła wciąż ciepłego po wyciągnięciu ze zmywarki. Uśmiecha się, kiedy podaje wygazowane zamówienie, uśmiecha się, kiedy przelicza pieniądze, uśmiecha się, kiedy zauważa, że ktoś patrzy, i uśmiecha się też, kiedy wie, że nie patrzy nikt. Nie tylko tej nocy uśmiecha się często i wie, że nie wróci do domu sama. Klientów w lokalu ubywa powoli, jest piątek, miasto musi się wyszaleć, ludzie zmęczyć, przesilenia są potrzebne nawet w nieustającym karnawale. Ci, którzy wychodzą, już nie wracają, ale kilku jeszcze zostało. Są coraz bardziej pijani. Aneczka uśmiecha się do nich, rozstawia zamówione szoty na barze i jeden nalewa także sobie. Ona też chce się zabawić.

Klienci lubią ją, zwłaszcza gdy piją razem, dlatego napiwki wrzucają często, choć z dziesięcio- i dwudziestogroszówek trudno uzbierać drugą pensję. To nie ten rodzaj baru, w którym jeden tip wystarczy, żeby zarobić na opłaty. Muzyka trzeszczy gitarowym wyładowaniem, koleżanka przetacza kolejnego kega, Aneczka pomaga jej, obie śmieją się, kiedy go podłączają. Na pufie naprzeciwko, zapadnięty jak w ruchome piaski, siedzi szczupły chłopak z grzywką i kolczykami. Przygląda się dziewczynom, kiedy odlewają pierwsze kufle spienionej piany. Aneczka odwzajemnia spojrzenie i nie musi się nawet uśmiechać, ale i tak to robi. Już dzisiaj z nim rozmawiała.

Kiedy kończą pracę, poustawiają na swoje miejsca puste już stoły, puffy, krzesła i ławy, kiedy wypiją ostatniego szota kamikaze, tylko dla pracowników, w conocnym rytuale, kiedy wyłączą nawet muzykę, muzyka umiera ostatnia, i Aneczka wychodzi z pubu, chłopak czeka oparty o ścianę. Jest chłodno, ale nie aż tak. Nie pali, nie uśmiecha się, nic nie mówi. Patrzy. Aneczce nie trzeba za to przypominać, sama z siebie uśmiecha się promiennie, łagodnie, łaskawie, szczerze, tak jak to ma przetrenowane. Chłopak, młodszy od niej, ale niewiele, wciąż jest lekko pijany. Aneczka uważa, że to urocze. Odchodzą razem w przecierającą się od brzasku ulicę. Jak dwa anioły, które wyśniło zasypiające ciężkim snem miasto.

Jej mieszkanie jest małe, strasznie zagracone i bardzo przytulne. Ślepa łazienka, jeden pokój z aneksem kuchennym, bardzo duże okna, ciągnące się przez

całą ścianę. W kuchni zioła, dziesięć rodzajów herbat, kubki w łowickie wzory i naczynia w zlewozmywaku. W pokoju zdjęcia z autostopu z północnej Europy, Bałkanów i Azji. Obok jej szkice, ołówki, kredki świecowe i akwarele, niewyraźne pejzaże, przykurzona martwa natura, niedokończone akty kobiece i męskie. Nieudane projekty okładek. Mnóstwo kwiatów, żywych, zwiędłych i narysowanych. Książki podręcznicze, podręczniki do psychoterapii, makrobiotyczne albumy kucharskie i poradniki jak osiągnąć w życiu sukces, leżące na półkach, stojące w rozsypanych stosach. Magazyny o designie i tatuażu na małym stoliku obok rozłożonego już tapczanu. Na ścianie nad nim wielka, stylizowana na starożytną mapa z zaznaczoną trasą wędrówki Marca Pola. W jej nadpalonych rogach kolejne zdjęcia, kolejne uśmiechy, widokówki i bilety z koncertów. Podniszczone bibeloty jak kolaż z życia, awangardowa kronika-instalacja. Chłopak ma na imię Marcin i Aneczka zaczyna się z nim całować, kiedy tylko przekroczą próg mieszkania.

Jest bardzo delikatny, seksowny i przystojny. Mimo długiego wieczoru dobrze pachnie, a przynajmniej Aneczka lubi ten miks dymu papierosowego, zwietrzałych perfum, płynnego mydła z barowej toalety i potu. Przymiła się do niego długo i sumiennie, uśmiechem i oralnie, i nie może powiedzieć, z powrotem dostaje tyle, ile sama dała. W końcu zasypia, tuż przed świtem, od dawna słysząc obok siebie uspokajające, równe pochrapywanie, które brzmi jak oddech uchodźcy strudzonego poszukiwaniem, a kiedy budzi się, chłopaka już nie ma.

Aneczka uśmiecha się, co ma zrobić, przecież tego się spodziewała, bierze prysznic, we włoskiej maszynie stawia na gazie kawę, robi jajecznicę z ostatnich dwóch jajek. Kiedy je, także pamięta, przez całą noc pamięta słowa Maurycego. Potwór wrócił. Musi iść, powiedzieć o tym Joaśce. Jest wcześnie, ale wie, że siostra nie będzie spała. Aneczka ubiera się, podmalowuje szybko oczy, uśmiecha na próbę do lustra w korytarzu, jakby uśmiechała się szeroko do świata. I tak powinna zrobić zakupy. Zbiega z piętra. Sobotni ranek jest słoneczny i ładny, choć już wrzesień. Aneczka zakłada okulary i postanawia się przespacerować.

Matka Joanna wita ją ubrana, jakby w ogóle nie spała. Jak gdyby już na nią czekała. Trzyma się bardzo prosto, jest szczupła, żyłasta i ubrana w gruby, ciężki dres. Wygląda jak trener zespołu, który walczy o utrzymanie w lidze. Równie ścięte włosy, niefarbowane, w naturalnym siwomysim kolorze, one, bo cóż by innego, nadają jej twarzy drapieżny wygląd i dodają co najmniej kilka lat. Gdyby od czasu do czasu użyła choć kremu albo cienia do powiek, najprostszego kosmetyku. Joanna tylko patrzy, a potem uśmiecha się ze zrozumieniem i przepuszcza gościa do środka mieszkania. Aneczka wzdryga się, tak jak zawsze, kiedy widzi ten suchy

uśmiech, choć przecież powinna się już przyzwyczać. Nie musi nic mówić, bo czuje, że siostra już wie, z czym do niej przychodzi. Chciałaby nauczyć się tak czekać.

Wchodzi do dwupokojowego mieszkania, ciemnego jak cała kamienica, siada w idealnie wysprzątej, ascetycznej kuchni, i czeka, aż Joaśka naleje jej herbatę. Skandynawska czystość, zimna aura zapalanej mimo pory dnia żarówki, odbłyски w wypolerowanych ostrzach i szklach. Kupne kruche ciasteczka i małe spodki do wychwytywania okruszków. Kiedy któryś z nich spadnie, Joanna drży, a potem wystudowanym ruchem macha ręką, mówi, że posprząta później i uspokaja, że naprawdę, nic się nie stało. Aneczka bardzo się pilnuje, żeby takich okruszków spadło jak najmniej. Nie chce przysparzać jej kłopotów bardziej, niż to nieuniknione.

Mieszkanie znajduje się na parterze i to tym Joanna tłumaczy, dlaczego zawsze ma zaciągnięte zasłony. Choć materiał jest ciężki i sięga do samej ziemi, w powietrzu prawie nie unosi się kurz. Aneczka w duchu śmieje się, że to pewnie dlatego, że Matka Joanna pierze je co dwa tygodnie. Nie wie, że tak właśnie wygląda prawda.

— No to mów. Co słyszeć? — Joanna ostrożnie dolewa jej herbatę.

I Aneczka zaczyna opowiadać, o pracy, o planowanych wycieczkach, o chłopakach. Żeby zająć myśli. Że jest taka zmęczona nocnymi zmianami, ale nie, ekipa w pracy jest super i każdy daje z siebie wszystko. Ale weekend to weekend, wtedy nie ma przebaczenia. Mówi o Albanii, już sprawdziła noclegi, miejsca warte odwiedzenia i to, jak traktują tam autostopowiczów. Nie, jeszcze nie wie, z kim będzie jechała. I o facetach, śmieje się głośno i żartuje, że to świnię, choć wiadomo, że z nimi źle, ale bez nich jeszcze gorzej. Jednak nie dodaje, że obudziła się rano sama. Joanna grzecznie słucha i nie przerywa, jakby wizyta w sobotę o ósmej rano była czymś zwyczajnym, spodziewanym i dobrze widzianym. Już się przyzwyczała, poza tym lubi te krótkie odwiedziny Anki, kiedy słucha o jej życiu i ma wrażenie, jakby oglądała kolejny odcinek serialu na Polsacie. Uspokaja się, choć wie także, że dzień dopiero się zaczął i jeszcze ma tyle do zrobienia.

— Widziałam się z Maurycym — dodaje Aneczka, kiedy wszystkie anegdoty, porażki i marzenia zostają opowiedziane, a w imbryczku nie ma już herbaty, którą można by dolać, żeby coś zrobić z rękami.

— On...?

— Wrócił, no.

Milczenie Matki jednak ją zaskakuje. Myślała, że będzie przygotowana.

— To kiedy...?

— Jedziemy? Jutro. A w ogóle to czemu nie używasz telefonu, który od nas dostałaś? Chyba ci go jeszcze dzieciaki nie zabrały? — Aneczka rzuca cienkim żartem, ale za to uśmiecha się promiennie, szczerze, i sytuacja wydaje się opanowana.

Na wspomnienie tego ciągłego napięcia, oczekiwania, czy zadzwonią, kto zadzwoni, a co będzie, jeśli nie odbierze, Joanna oblewa się zimnym potem. Trzy, pięć, siedem.

— Te nowe technologie? To nie na moją głowę. Mówiłam wam przecież.

— No wiem, wiem. Nieważne. Pogadasz z Bartłomiejem?

— No. Właśnie wychodziłam, to przejdę się i do Bartka.

— Na pewno...? Mogę zadzwonić.

— Bez sensu. I tak będę koło nich przechodziła. No chyba jeszcze mogę odwiedzić brata?

No dobrze, Aneczka wzrusza ramionami. Wszyscy wiedzą, że Matka Joanna ma swoje dziwactwa. Nie chciałyby się z nią pokłócić, z nikim nie chciałyby się pokłócić, ale z Joašką szczególnie. Aneczka odwiedza ją regularnie, inaczej niż chłopaki, ale to rozumiały, mają swoje życia, nie musi się nawet wysilać, żeby ich usprawiedliwić. Źle by się stało, gdyby siostra pomyślała sobie, że dziewczyna ją ocenia. Przed kim mogłyby się wtedy wygadać, po kolejnej nocy oślepiająco jasnej od świateł? Strachy powinny trzymać się razem.

Kiedy wychodzi, Matka Joanna zamyka drzwi na wszystkie trzy zamki, przygotowanie do wyjścia przecież trochę jej zajmie. Zamiata przedpokój, jeszcze raz przegląda kaptcie dla gości i buty do trekkingu ustawione na półce. Pobieźnie, wiadomo, przecież nie jest wariatką. Ale jednak noski muszą być zwrócone w jedną stronę, inaczej jak by to wyglądało. Gdyby ktoś patrzył. W kuchni zbiera wszystkie okruszki, jest ich jedenaście. Na szczęście. Chowa je w papierowej torbie, gdzie trzyma suchy chleb dla ptaków. Imbryk, filizanki, spodki i łyżeczki myje dla pewności trzy razy.

Ubiera się, jedna warstwa, druga, trzecia, jest ciepło, ale kosmos nie zasypia nigdy. Wyświecony dres zastąpiły wojskowe spodnie z demobilu i policyjny sweter z kieszenią na piersi, wzmacniany na szwach. Na zewnątrz świeci już mocne przedpołudniowe słońce. Niebo jest prawie bezchmurne. Niedobrze. Joanna wkłada buty, mocne i nieprzemakalne, nie najgorsze do biegania i świetne do survivalu. W plecaku sprawdza leki. Do tego igła z nitką, płyn do odkażania, pęseta, adrenalina w ampułce, scyzoryk z wbudowaną latarką są na swoich miejscach. Joanna muska samodzielnie powszywane przegródki i wie, że może w końcu wyjść. Monety dla bezdomnych są dobrze odliczone i zebrane w równy rulon.

Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka na mieście. Nigdy nie możesz przewidzieć, kto będzie na Ciebie patrzył. Matka Joanna chichocze. Wciąż cieszą ją takie drobne zwycięstwa nad światem, i tylko przez chwilę zastanawia się, czy zostanie ukarana. Siedem, jedenaście, trzynaście.

Na zewnątrz zamyka drzwi starannie, każdy z zamków do oporu, ciągnie klamką dwa razy. Mieszkanie na parterze ma swoje zalety, Joanna wyobraża sobie, że na wyższych piętrach dużo trudniej ochronić wzrok przed niebem. Ze smutkiem zrezygnowała z czapki z daszkiem. Gdyby zobaczył ją ktoś ze szkoły, w wysokich butach turystycznych, wojskowych spodniach i kurtce za uda, z wypchanym po brzegi plecakiem na ramieniu, i do tego jeszcze w czapce nasuniętej na oczy, jak jakiś gwałciiciel, pomyślałby, że zwariowała. Trzynaście, siedemnaście, dziewiętnaście. Wyszeptywane liczby zlewają się w jednostajny poszum, bez formy i znaczeń, wylatują z rozchyłonych ust jak nocne owady. Joanna ma w tym wprawę.

Wreszcie może cieszyć się dniem, tak jak to sobie zaplanowała. Przysiada na ławce w ogródku jordanowskim. Kolorowe, niedawno odmalowane ślizgawki, huśtawki, piaskownica z wyłamanym jednym bokiem, piasek wysypał się z niej jak rzeczna plaża. Drabinka ze splecionych lin, równoważnie, koniki i żółwie na sprężynach. Karuzela, na której zawsze bawią się najdłużej i najgłośniej. Szkielet rakiety jak żeliwna klatka. Chłopcy toczą o nią wojny. Przedszkolaków jeszcze nie ma, ale przyszły już pierwsze matki. Joanna siedzi, udaje, że odpoczywa, i ukradkiem odgania ptaki. Pożera. Podgląda. Śledzi.

Dziś są trzy, co zważywszy na wczesną porę, jeszcze nie ma południa, i dzień wolny od pracy, jest wynikiem doskonałym. Joanna cieszy się swoim szczęściem i zaraz przelicza, żeby go nie stracić. Dwa, trzy, pięć. To była zawsze dobra kombinacja. Kobiety znają się, przysiadły na ławkach po przeciwnej stronie placu zabaw. Kołyszą wózki, poprawiają kocyki, podsuwają butelki z ciepłą granulowaną herbatą. Dwie odeszły na bok, zapaliły po cienkim papierosie. Śmieją się. Joanna wie, że palą tylko na spacerach, nigdy w pobliżu dzieci, jeden, dwa papierosy dziennie, dla towarzystwa, żeby pogadać. Zaciąga się głęboko i marzy. Prawie czuje tę ulgę. Prawie jest dobre i musi jej wystarczyć.

Kiedy wstają z ławki, zegnają się i odchodzą, każda w swoją stronę, wstaje i zegna się także ona. Przed nią długi dzień. Przez chwilę obawia się, czy nie jest już spóźniona. Przyspiesza i próbuje o tym nie myśleć. Lepsze to niż oddanie się pod władzę zegarka. Dociera na targ i już wie, że tym razem jej się udało. Jedenaście, trzynaście, siedemnaście. Ciekawe, ile będzie musiała za to zapłacić. Przecież nie ma przypadków.

Spaceruje między straganami. Bibeloty, szpargały, precjoza, rupiecie. Plastikowe skarby. Stare, trochę nowsze, chińskie, ponoć sprowadzane z Niemiec. Ubrania. Sprzęt wędkarski. Miód, tylko naturalny. Soki i jaja, duże, kurze, bardzo zdrowe i smaczne. Udaje, że na nie patrzy. Ale to nie one ją tu przyzywają, nie dla nich przychodzi. Pożera. Połyka. Podgląda. Tak bardzo lubi popatrzeć.

Ludzie kupują i sprzedają, targują się, śmieją, przeklinają, ale tylko pod nosem, chowając zwitek banknotów, gdy myślą, że nikt nie widzi. Joanna widzi i najbardziej cieszy się właśnie z takich widoków, scen, jakby odegranych tylko dla niej. Pozdrawia znajomych, zachwala sprzęt z demobilu, popija wodę z plastikowej butelki, ze wschodnim akcentem narzeka, że gorąc i w kościach łupie, przeciera łysinę bawełnianą szmatką, ziewa, przepita i niewyspana. Złości się, kiedy za mało wytargowała.

Następne w jej marszrucie jest boisko przy miejskim ogólniaku. Musi być koło południa, dzieciaki już grają. Na jednej połowie, po dwóch w drużynie i jeden na bramce. Joanna stoi przed siatką i rozpoznaje kilku, najbardziej zagorzałych, którzy przychodzą tu najczęściej. Zdążyła się już nauczyć, że najgrubszy zawsze staje na bramce. Wrześniowe słońce jest coraz wyżej i Joanna szybko się poci, pod wpływem chwili decyduje się na szaleństwo i rozpina kurtkę. Jak przyjemnie. Piłka uderza w ogrodzenie obok niej. Jeden z trzynastolatków podbiega, mówi jej „dzień dobry” i odkopuje piłkę dalej. Joanna uśmiecha się, tak jak się nauczyła, a chłopcy kłócą się, czy był faul. Czerwone, radośnie umordowane twarze. Zastanawia się, czy potrafiłaby gruchnąć karniaka.

Potem są markety i dyskonty spożywcze, sklepy z ubraniami, trafika z tytoniem i kawą, kolejne bistra na głównym deptaku, gdzie za szybą ludzie zaczynają obiady albo kończą śniadania. Nie jest głodna, przynajmniej jeśli chodzi o żywność, ale patrzy. Połyka. Jeśli nie wchodzi, bo nie wszędzie da się wejść, nie wzbudzając podejrzeń, długo przechadza się przed witrynami. Czasem ktoś wciśnie jej w dłoń kilka złotych. Wtedy odchodzi, nic nie mówi, nie usprawiedliwia się. Jak miałyby się im wytłumaczyć? Wreszcie, skończywszy obchód, kieruje się do brata.

Król Bartłomiej mieszka na obrzeżach centrum. Osobne osiedle, jeszcze ponemieckie. Jednorodzinne domy w różnym stanie, ale zawsze z ogromnymi podwórkami. Wciąż jest zielono, ale Joanna czeka już na pierwsze przymrozki, kiedy liście w ogródkach zaczerwienią się i zażółcą, a potem zaczną opadać. Nauczyła się już tylu rzeczy, a nadal nie wie, co myśleć, kiedy patrzy, jak umierają. Przychodzi tu regularnie co tydzień, choć wie, że Grażyna, żona Bartłomieja, za nią nie przepada. Ale kto ją lubi. Wszyscy zresztą wiedzą, że Grażyna nie przepada za

żadnym ze Strachów. Dzieciaki za to lubią z nią rozmawiać. Im jednym nie jest jej żal.

Dzwonek przy futrynie, „Już idę” z głębi budynku, kroki, uchylone drzwi, zmiana w spojrzeniu Grażyny, kiedy ją dostrzega. Takie znużone.

— Cześć. Wejdz. Bartłomiej jest u siebie w piwnicy. Zaraz go zawołam.

Piętrowy dom jest zadbany, trawa przystrzyżona, garaż niedawno odmalowany. Joanna nie może tego dostrzec, ale wie, że samochód za jego drzwiami błyszczy woskiem, umyty przez brata po śniadaniu w sobotnim rytuale. Wchodzi, spuszcza wzrok, choć chciałaby powiedzieć, że bratowa wcale nie musi się spieszyć. Z chęcią poprzebywałaby w ich ciepłe trochę dłużej. Chłopcy, starszy Bonawentura i młodszy Armin, bawią się w ogrodzie w ustawianie fortecy z kartonowych pudeł. Mówią, że grają w *Minecrafta*. Joanna dziwi się, że Bartłomiej pozwolił im na taki rozgardiasz. Niepokoi się, czy to nie zwiastuje zagłady.

Grażyna mówi, żeby nie ściągała butów, ale Joanna i tak się rozbiera. Boi się, ale przecież to nieładnie siedzieć przy stole w kurtce. Strach przed tym, co by o niej pomyśleli, zwycięża. Nawet jeśli zdaje sobie sprawę, że nie zostanie tu długo. Nie dlatego, że jej tu nie chcą, ale zna rozkład dnia Bartłomieja. Grażyna woła za mężem i częstuje Joannę obiadem. Tak jak wypada. Wszyscy w rodzinie wiedzą, że Matka Joanna ma swoje dziwactwa.

Joanna nigdy nie jest głodna, ale nigdy nie odmawia. Tylko zupę, dziękuję. Lubi to zadowolenie, które pojawia się, kiedy z wystudiowanym ruchem odsuwa pusty talerz, dziękuje za drugie i wypowiada spokojnie: „Już się najadłam”.

Bartłomiej wyłania się ze swojego królestwa. Zapach kleju i farb modelarskich. Myje ręce, wita się z siostrą, nie uśmiecha ani nie jest zniecierpliwiony. Musiał się jej dziś spodziewać. Joanna wie, że za dziesięć minut zniknie znowu w swoim podziemnym uniwersum, musi się spieszyć. Czeką, aż Grażyna na chwilę zniknie z kuchni. Nawet kiedy mówi, i tak nasłuchuje, jak bratowa strofuje chłopaków.

— Potwór — przekazuje czarną wieść — wrócił. Wiedziałeś?

Bartłomiej zastyga za stołem, potem kontynuuje ruch szklanki z wodą mineralną w stronę ust. Myśli, bardzo teatralnie. Jakby nic się nie stało. Joannę zawsze zdumiewały jego przenikliwość i intelekt. Nie tego mu zazdrościła, ale za to podziwiała.

— Jutro? — pyta wreszcie.

— Tak. Po obiedzie.

Bartłomiej odkłada puste naczynie na blat. Bardzo chce wyglądać w sposób dostojny i opanowany, Matka Joanna rozumie to jak mało kto. W końcu oboje są ze Strachów. Jego robocza kamizelka i spodnie do pracy w domu są jak zawsze czyste

i odprasowane i Joanna zastanawia się czasem, czy Bartłomiej sam nanosi na nie plamy od kleju i kropelki farby, żeby wyglądały odpowiednio. Kiedyś, przez kilka tygodni z rzędu, próbowała porównać, czy rzeczywiście są w tym samym miejscu, ale się nie udało. Akurat to wydaje się Joannie zabawne. Jej młodszy braciszek.

— Cholera. — Bartłomiej pozwala sobie na impuls emocji, tylko przy siostrze. To nie jest słabość. Z Joanną zawsze łączyła go specjalna więź. Nie jest mu jej żal. Grażyna wraca, uśmiecha się, zbiera puste naczynia ze stołu i wkłada je do zmywarki. Joanna wie, że to znak od świata, że powinna się już zbierać. Wstaje. — Miałem inne plany.

Kiedy siostra wychodzi, Bartłomiej całuje żonę w policzek i macha ręką dzieciom, łaskawie zezwalając na kartony, śmiech i chaos zabawy. Wie, że będą musiały za to zapłacić. A potem wraca z wygnania do piwnicy, na powrót obejmuje pusty tron, bierze w posiadanie podziemne królestwa.

Makieta na specjalnie zbitym stole jest ogromna. Żeby ją ustawić, musiał zburzyć ściany działowe w dwóch pomieszczeniach. Jarzeniowe słońca pod sufitem nieba gorzej białym blaskiem. Specjalnie zaprojektowany blat, który wykonał sam, nie ze swoich kości, ale na pewno znalazło się tam więcej niż kilka kropli krwi, zajmują równiny i góry, rzeki, łąki, zagajniki, zielone pagórki, ośnieżone szczyty, drogi i akwedukty, kamienne mosty, kładki nad skalnymi rozpadliskami. Korowód krajobrazów przychodzi i odchodzi, zmienia się jak dzień i noc, jak epoki zapadające nad cywilizacjami. Tylko świat, drewniany blat, jak oś Yggdrasila, wycyklinowana i zaimpregnowana skorupa pradawnego żółwia Ao, pozostaje bez zmian. Bartłomiej rozumie, że to jest ta perspektywa, z której wszystko wygląda inaczej.

Świadcował, gdy powstawały na nim świątynie i megalityczne kręgi, piramidy i zigguraty. Agory, grube mury portów, cyrki ku uciesze gawiedzi i miejskie termy, do których źródłana woda z gór jest sprowadzana przez okrągły rok. Kamienice, drewniane grody, niskie domostwa z wysuszonej cegły, o wąskich oknach i płaskich dachach. Fortyfikacje, bastiony, naostrzone i zahartowane w ogniu palisady ze spieczonych zapalek. Plecione mosty, świątynie Słońca, oddane w mikroskali monumentalne malowidła naskalne. Wioski rybackie na katamaranach, pływające wśród atoli o szafirowej wodzie, których mieszkańcy nigdy nie schodzą na ląd, tylko z morskiego dna znają dotyk piasku. Najtrudniej było oddać głębię wody przygotowywanej za pomocą zestawu farb i pomarszczonej folii, lśniącej jak piana na falach. Całe światy z folii aluminiowej, gumy arabskiej i zapalek, zrodzone z pracy skalpela i pęsety, okularów ze szkłem powiększającym, latarki punktowej, ryłców, małych kombinerek do zaginania

drutów, całego zestawu pędzli z borsuczego włosa, kompletu dłut i noży tapicerskich o różnych rozmiarach.

Najpierw, w dawnych czasach, w epoce, kiedy Król był jeszcze młody, Bartłomiej przygotowywał w ten sposób wielkie bitwy, rekonstruował oblężenia, kreował krwawe starcia. Ciężkozbrojne rydwany na bliskowschodnich pustyniach, egipscy wojownicy z włóczniami naprzeciw przeważających sił hetyckich pod Kadesz. Na tekturowym polu zainscenizowanej walki zostało kilka setek trupów i Król Bartłomiej osobiście malował krew na każdym z nich, dekapitował głowy, składał w tragicznych pozach umęczone czarne ciała nubijskich łuczników.

Na makiecie pojawili się hoplici Aleksandra, najeżona sarisami falanga pod wypolerowanymi tarczami, w których przegląda się słońce. Geometryczne znaki rodowe na każdej z tych miniaturowych tarcz potrafił rekonstruować długimi tygodniami. Barbarzyńskie hordy schodzące z gór na rzymskie manipuły, obnażone nagie ciała czempionów wymalowane w biel i błękit, ostrza uniesione w obelżywych gestach, twarze, na których wysmarowano czerwono-czarne, skośne pasy. Górski przemarsz armii Hannibala, syna Pioruna z rodu Barkaidów, każdy oddział w innych barwach i z innym uzbrojeniem, rozciągnięty wraz z końmi, mułami i wielbłędami na wąskich górskich ścieżkach. Prymitywni górale iberyjscy z wielkimi kamiennymi toporami i drewnianymi oszczepami opalanymi w ogniu, poobwieszani kośćmi psów, dzikich osłów i szarych lwów. Prawie słyszał ten gwar obcych głosów, gardłowe pokrzykiwania. Aztekowie w piórach kolibrów i papug, w obciągniętych wyprawioną skórą czaszkach jaguarów, z obsydianowymi maczugami. Kirasjerzy i huzarzy Napoleona, kolorowi, w cwale, oprószeni olejną krwią i śniegiem ze skruszonego styropianu.

Posyłał ich do boju, odpierał kontrataki, organizował transporty zaopatrzenia i cieszył się, kiedy odbijali wozy z taborami. Przygotowywał obozy warowne, towarzyszył w odwrocie i rzeziach brańców, zostawał do końca ze szwadronami pod wrogim ostrzałem. Współczuł im, cieszył się z męstwa, znał imię i przydomek każdego z nich, tysiący wojowników odmalowanych przez lata. Znał wezyrów i nomarchów, oficerów policji pustynnej, dowódców fortec, setników i oficerów wareskich gwardzistów. Był wśród nich i Spartiata Ksantipos, starożytny pies wojny, oficer Hannibala, dowodzący ciężkozbrojną piechotą. Był Autaritus nazywany Grubym, smukły i bardzo przystojny przywódca celtyckich najemników, zwany tak przez podwładnych z powodu rozmiarów swego przyrodzenia. Ćandragupta i Bindusara Maurjowie, ojciec z synem, kszatrijowie indyjscy, księżęta, którym powierzono pieczę nad Dzikimi Ludźmi z kambodżańskich

dżungli. Bartłomiej pamiętał ich rangę, liczbę dzieci oczekujących w domu, przebieg służby, kto ich zrodził i kiedy pomarli.

A potem uznał, że bycie patronem śmierci to zajęcie trudne, ale jednak za łatwe. Władanie życiem kosztuje więcej, bo trwa dłużej i pozornie wydaje się mniej spektakularne. Wtedy skoszarował legionistów, nadał zaległe ziemie oficerom, rozpuścił najemników, pozwolił sprzymierzonym powrócić do własnych krain. I zajął się nawadnianiem wyjałowionych pól z dykty, przygotowywaniem rzeczywiście słomianych łańców pszenicy do żniw, budową akweduktów, świątyń i grobowców. Miejsce krwawych starć zajęły zabawy, korowody głupców i żeńcy z sierpami.

Już wkrótce minipiekarz przyprószonej prawdziwą mąką wypiekał drobniutkie pączki w osadzie, która nie miała jeszcze nazwy i powstała w obrębie byłego obozu wojskowego w opuszczonej przez kohorty Dalmacji. Asyryjscy brodacze warzyli w glinianych misach gęste orkiszowe piwo, mętne i pożywne, pachnące ziemią i fermentującymi drożdżami. Feniccy handlarze niewolnikami ocierali pot z czoła po znojnym dniu, Indianie malowali ciała, szykując się do święta zbiorów, bawili się z dziećmi, kąpali w górskich wodospadach. Kobiety Obodrzyców darły całą wioską pierze z ustrzelonych podczas jesiennych przelotów gęsi wodujących na leśnych stawach. Na świecie pojawili się schyleni egipscy chłopci, czarnoskórzy łowcy z Sudanu, powracający z udanego polowania na ludzi, haremy otomańskie i dżonki, na których dzieci oprawiają mikroskopijne ryby, wyciągnięte z zatoki przed pierwszym jarzeniowym brzaskiem. Epidemie dżumy i cholery, opustoszałe wioski, zdziczałe psy oszalałe z głodu, polujące na zachwaszczonych polach całymi watahami. Młode dziewczyny gręplujące wełnę lam i alpaka. Mikroskopijne mumie kotów, krokodyli i pawianów. Chazarskie korowody weselne i stopy pogrzebowe, wokół których Bartłomiej ustawiał drobniutkie figurki w dostojnych, odświętnych szatach. Nauczył się odtwarzać lukier na ciastach, poznał tajniki skutników i układ rodowych pastwisk do wypasania długorogiego bydła na górskich szkockich halach. Zrozumiał, gdzie kryje się potęga i piękno. Uznał, że teraz nadszedł czas samotnych grani, leśnych ostępów, w których nie powstała jeszcze noga człowieka, lodowców w kilkudziesięciu odcieniach błękitu i bieli, a wreszcie oceanów, tylko pozornie płaskich i takich samych.

Król kończy ustawiać zwalony przez czas pień, nad którym spędził ostatnich kilka godzin, krytycznym okiem ocenia, czy mech i próchnica wyglądają prawidłowo i czy w korzeniach zmieści się jeszcze podziemne gniazdo lisicy spodziewającej się młodych. Może to pycha, ale czuje się zadowolony z uzyskanego efektu. To zresztą grzech, który władcom wybaczyć najłatwiej.

Sprawdza zegarek. Jest ta godzina, której się spodziewał. Nie musi tego robić, wie, że wszystko się zgadza, ale udzielni władcy potrafią kultywować nawet swoje wady. Odpowiedzialność to drugie imię monarchy. Ma jeszcze dziesięć minut na przebranie się i uporządkowanie stanowiska pracy.

Zajmuje mu to siedem minut, więc nie spieszy się, jeszcze raz sprawdza ułożenie pędzli i rozpuszczalników. Spodnie robocze i kamizelka na wieszaku wiszą już w kącie pomieszczenia i Bartłomiej lubi sobie wyobrazać, że to jego kamerdyner, gnostycki przywódca archaniołów i potęg, którego zostawia na straży tego świata. Robi zdjęcie smartfonem o wysokiej rozdzielczości, sprawionym sobie na takie okazje, i wrzuca je do katalogu oznaczonego danymi geograficznymi rekonstruowanego krajobrazu, epoką geologiczną, datą. Potem gasi światło i czuje się, jakby wyłączał gwiazdę.

Na zewnątrz, jak co tydzień, szykuje się do obchodu swego królestwa. Torba na jogging, z wyprasowanymi spodenkami, termoaktywną koszulką polo i butami do biegania, które leżą na stopach jak druga skóra, już czeka w szafie w przedpokoju. Bartłomiej wkłada do niej jeszcze płyn izotoniczny wyciągnięty z lodówki, całuje żonę w policzek i uśmiecha się do spadkobierców. Droga na miejski stadion zajmuje mu jak zwykle do dwudziestu minut, pozostały czas do kolejnego pełnego kwadransa poświęca na przebranie się i rozciągnięcie mięśni.

Przebiega piętnaście okrążeń, dokładnie sześć kilometrów, prawie się nie poci i w ogóle nie okazuje, jak bardzo tego nie lubi. Ale obowiązek to obowiązek, nie musi sobie tego dwa razy tłumaczyć. Zatrzymuje się i profesjonalnie, dla spokoju, mierzy tętno. Ciepłe wrześnie słońce podświetla pierwsze zażółcone liście w parku za ogrodzeniem. Stadion jest nowy, pomarańczowa bieżnia szorstka i sprężysta, a Bartłomiej zaanektował ją zaraz w pierwszym tygodniu, kiedy obiekt został otwarty po remoncie. Łaskawie zezwolił mieszkańcom na korzystanie i z tego dobra, zwłaszcza kiedy go tu nie ma, ale w zamian przyznał sobie prawo do karania na gardle wszystkich odszczepieńców i tych, którzy mu się sprzeciwiają. Wie, że na lud padł wtedy blady strach. Prawie im współczuje, kiedy patrzy na te szare, spuszczone wzrok twarze, które go otaczają.

Wita się uśmiechem z rozciągającym się obok kolegą z urzędu, ociera kark miękkim frotowym ręcznikiem, pachnącym, jak należy, płynem do zmiękczenia tkanin. Zdejmuje z czoła przepoconą opaskę i wyciąga telefon. Ma jeszcze pięć minut do pełnej godziny. Zanim przebierze się i wróci do pałacu, by tam dzielić i rządzić, zezwala sobie na jeszcze jeden dekret. Zrobione po południu zdjęcie glacialnych wzniesień i ostępów tajgi wysyła do Maurycego. Wie, że młodszy brat tego nie zrozumie, ale nie przeszkodzi mu to podziwiać podziemnych krain

Bartłomieja. Potwierdza też godzinę jutrzejszego spotkania. Nie chciałby przyjechać do Babuli przed czasem. Kiedy uzupełnia płyny, napój izotoniczny jest już ciepły i przez to nazbyt słodkawy. Czoło Króla przecina grymas gniewu zdolny łamać wolę tytanów i Bartłomiej zastanawia się, kto za to odpowiada.

Telefon w kieszeni wibruje bezgłośnie, kiedy Maurycy kończy wypisywać mandat. Sto złotych dla każdej, za przechodzenie na czerwonym świetle. Dziewczyny są nieletnie, trzeźwe i bardzo wulgarne. Wyzywały ich już od psów i faszystów, a ta niższa, wymalowana chudzina w hip-hopowej czapce z prostym daszkiem, z odsłoniętymi ramionami i żelaznym ćwiekiem w płatku nosa, zagadnęła go nawet, co, wolałbyś pewnie w naturze?, i że głupi ćwoku, możesz se tylko pomarzyć. Wraz z kolegą z patrolu Straży Miejskiej nauczyli się już puszczać takie uwagi mimo uszu, choć przecież i na to są paragrafy. Dziewczyny długo się potem śmiały. Ale Maurycy wie, że chciałby. Wyobraża sobie, jak by ją pierdolił, szybko i ostro, a potem spuścił się na te przerażone gały. Obiecuje sobie, że będzie ich wyglądał wieczorem, dziewczyn i reszty gimnasty.

Wypisawszy mandat, strażnicy dziękują, żegnają się i wracają do obchodu dzielnicy. Mundury uwierają, ale Maurycy pamięta, że to tylko chwilowy stan, że dzieje się tak tylko przez moment, dopóki śmiech nie spłynie z nich jak strużki gówna. Z każdym krokiem jest lepiej, choć nie powiedziały, że przestał się bać.

Przechodzą ulicami, sprawdzają kosze na śmieci. Maurycy wie, które są wywrócone, bo w nocy sam je rozwał. Wypisują dwa mandaty za złe parkowanie i boją się, że komendant będzie niezadowolony. Pijacy na ławce wychodzącej z parku tłumaczą im jak małym dzieciom, że puszki piwa stojące obok nie należą do nich, i żeby pokazali im legitymacje, jeśli chcą rozmawiać o wypisaniu kary. Jeden z długowłosych mężczyzn w katanie jest wyraźnie zasmucony, kiedy Maurycy wylewa resztkę ciepłego płynu z podniesionego właśnie aluminiowego naczynia. Strażnicy zatrzymują się tym razem na pouczeniu i odchodzą dalej, w duchu obliczając, każdy z nich z osobna, ile czasu zostało im jeszcze do końca zmiany. Przeganiają rowerzystów ćwiczących triki na rampie przed Domem Kultury. Rozmawiają z Romami, którzy całymi rodzinami rozsiedli się na Rynku. Kręcą się nad rzeką i udają, że szukają miejsc nielegalnego wywozu śmieci. Nieliczni wędkarze popatrują na nich nieodgadnionym wzrokiem ze swoich pustych obliczy, jak pretorianie, którzy widzieli już zbyt dużo buntów i cesarzy. Wracają na komisariat akurat, kiedy zaczyna się robić chłodno.

Maurycy w budynku śmieje się, żartuje, przeklina, rozmawia z kolegami o grach wideo i filmach, które ostatnio ściągnęli z internetu. Przed komendantem spuszcza wzrok i obiecuje uzupełnić całą papierologię już na poniedziałek.

Strażniczki, która wróciła po nim, pyta, czy coś się działo na mieście. Wydaje mu się, że wszyscy go lubią przynajmniej tak, jak można lubić kogoś z pracy. A chciałby ich wszystkich. Boi się, odkąd pamięta, to znaczy od pierwszej klasy.

Do gimnazjum już przyszedł przerażony. Chudy, zgarbiony chochoł z poobgryzаныmi paznokciami, który nie ma przyjaciół i przez sześć lat podstawówki dorobił się tylko łatki dziwaka. Długo przesiadywał w świetlicy lub na boisku, do domu wracał najczęściej po zmroku albo jak wygonił go z korytarzy sprzątaczką, a jego największym strachem było, żeby zawsze mieć odrobione lekcje, żeby zawsze być przygotowanym, żeby w niczym się nikomu nie narazić. Dzieciom się to nie podobało, ale nauczycielki też niechętnie patrzyły w te maślane oczka, niepuszczające z nich wzroku, śledzące każdy krok i gest, reagujące z wyprzedzeniem, jakby czytał im w myślach. Również się go bały. W gimnazjum oszołomiła go tęcza barw na powiekach dziewczyn, stringi wysuwające się z nad ich obcisłych szortów i wielkie ekrany smartfonów, mrugające tajemniczo niegasnącą poświatą. Tylko przekleństwa i docinki na przerwach były takie same.

Uczniowie z trzeciej klasy jeszcze w pierwszym tygodniu chcieli mu zabrać telefon i długo się śmiali, kiedy odkryli, że nie ma żadnego, nawet najprostszego aparatu. Maurycy bardzo się bał, że dowiedzą się, że wcale nie jest mu potrzebny, że to nie smartfonów zazdrości im najbardziej. Strach, kurwa, powiedzieli mu na przerwie, wykręcając sutki i popychając z rąk do rąk, tak że latał między nimi bezwładnie jak przedmiot z kończynami, manekin o gumowej twarzy, ty zawsze byłeś słaby. Kiedy Maurycy uświadomił sobie, że mieli rację, przestraszył się jeszcze bardziej.

Bał się, ale jeszcze we wrześniu, po lekcjach, poszedł na szkolną siłownię. Wuefista najpierw zdziwił się, potem długo żartował, czy chłopak nie zgubił tu czegoś na lekcji, potem już serio zapytał, czy czegoś mu nie ukradli. Przestraszył go, więc Maurycy został tam tym bardziej, już nie miałyby siły odejść. Pan Romek w końcu ugiął się, pokazał mu kilka ćwiczeń. Myślał, że widzi go po raz ostatni. Pomylił się, Maurycy przychodził odtąd regularnie, sumiennie, w dwudniowych interwałach, nawet przez ferie i wakacje, kiedy już zlitowały się nad nim sprzątaczką i otwierały drzwi do pustej sali.

Strach nie zniknął, ale i on nie przestał przerzucać ciężarów. Ze zdumieniem zresztą odkrył, że im dłużej ćwiczy, tym lęk jest większy, o to, że nie udźwignie sztangi, nie dokończy serii, że ominie trening, że nabawi się kontuzji i to, co już osiągnął, będzie mu odebrane. Tym większe ciężary zakładał na gryf, wydłużał serie, katował organizm. Nie znosił tych ćwiczeń i tym bardziej w nich nie ustawał.

Bał się tak do końca gimnazjum, potem obawiał się dalej. Był teraz dużo postawniejszy, ale wciąż niezbyt rozmowny, unikał nie tylko dziewczyn i nauczycieli, ale nawet tych, którzy razem z nim żelazem i wolą rzeźbili ciało. Dlatego zamiast technikum wybrał liceum, tak jak wcześniej zdecydował się na czarne koszulki z nadrukami nieznanymi zespołów, długie włosy, które strasznie go wkurwiały, obcisłe dżinsowe spodnie i koszule w kratę. Bał się, co powiedzą inni, że po ogólniaku zostanie bez zawodu, że sobie nie poradzi. W nowej klasie już nikt się z niego nie śmiał, czego obawiał się najbardziej, więc zaczął się wygłupiać, upijać w piątkowe wieczory na skwerach, na których zbierała się cała klasa, sprowadzać na lekcje bezpańskie koty i żywe żaby. Sobotnie poranki były koszmarne, wstyd, upokorzenie i mdłości przytłaczały, ale tym bardziej nie rezygnował, podobnie jak ze znienawidzonych ciężarów.

Kiedy kończył szkołę, matury bał się najbardziej. Zdał ją najlepiej w klasie, ale zamiast iść na studia, wybrał wojsko, trzyletni kontrakt na szeregowego, ze wspólnymi salami sypialnymi, nowymi twarzami wokół, beznamiętnym kapralem. Przez pierwsze noce nie mógł nawet oddychać, leżał tylko w ciemności z wytrzeszczonymi oczami. Strach nie zmalął, z każdym oddechem wlewał się w gardło jak ciepła smoła, wypełniał go jak ciecz, napierał na powłoki ciała. Ale Maurycy służył dalej.

Kiedy kończył służbę, obawiał się, że nie znajdzie innej pracy. Zaproponowano mu przedłużenie kontraktu. Bartłomiej dowiedział się jednak w urzędzie, że ogłaszają nabór na strażników miejskich, miasto znalazło pieniądze na nowe etaty. Maurycy bał się, że będzie zawdzięczał posadę starszemu bratu, zgłosił się więc, zdał testy, został przyjęty. Nie miał gdzie mieszkać. W telewizji nauczyli go, by bał się kredytu – wziął więc największy, na jaki go było stać, i wykupił sześćdziesięciometrowe, surowo urządzone poddasze. Bartłomiej pożyczył mu brakującą sumę na wkład własny, bez dyskusji, bez narzekania, szczodrym gestem, jakby rozporządzał lennem albo posyłał w sprawiedliwy bój ukochane pułki. Maurycy ledwo wiązał koniec z końcem, spłacając co miesiąc bank i brata, w przerażeniu co się stanie, kiedy pewnego miesiąca będzie musiał pójść do dentysty, wykupić leki na grypę, strzeli mu uszczelka pod zlewem i nie zdoła tego sam naprawić. Nigdy nie bał się, że nie zrobi prawa jazdy, więc przynajmniej nie miał samochodu i nie musiał się dodatkowo martwić o związane z nim opłaty.

Po pracy wraca do domu. Witają go betonowe nagie ściany, nieosłonięta żarówka na pozółkłym kablu, materac pod jednym z przykurzonych okien. Komputer, który leży na kocu, też dostał od Bartłomieja. Nie wie, jak mu się kiedykolwiek odwdzięczy, i naprawdę się tego obawia. Na razie stara się o tym nie

myśleć. Na twardym dysku czekają kolejne ściągnięte horrory, krwawe filmy o zabijaniu, podrabiane *snuff movies* z internetu, na których zamrożono ponoć moment śmierci. Zawsze się ich bał. Codziennie przed snem aplikuje sobie godzinę–dwie makabry, szalone eksperymenty z ciałem, obłąkanych lekarzy, demony, nieumarłych, opętanych o potwornych głosach, którymi zwiastują samotność i strach nie z tego świata. Patrzy na wydłubywane oczy, spalone dłonie, gwałcone staruszki, obdzierane ze skóry psy i niemowlaki, i kiedy nie czuje już nic, wie, że się udało. Już dawno zauważył, że z każdym seansem może sobie pozwolić na więcej, dusza drętwieje, mózg staje się bardziej oziębiały. Zastanawia się, co czeka go na końcu tej drogi. Obok, na rozsypanym stosie, leżą pogięte książki. Kiedy Maurycy nie pracuje, nie jest na treningu, nie biegnie ciemnymi ulicami i nie gotuje na parze kurczaka z warzywami, pięknej bomby białka, czyta Nietzschego, Marka Aureliusza, Senekę, zwłaszcza *Herkulesa szalejącego*. Torba na siłownię spoczywa obok książek, Maurycy wyciąga z niej przepoconą koszulkę i wrzuca nową. Wie, że Potwór. Musi się przygotować.

Po wyjściu z wojska bał się, że nigdy się nie zakocha, więc w łazience stoi garść kosmetyków po tych wszystkich dziewczynach, które tu przyprowadzał. Przypomina sobie imię ostatniej i zastanawia się, czy tu jeszcze mieszka. Myje zęby, rozpuszcza w bidonie odżywkę, przerzuca torbę przez ramię i wychodzi w miasto. Naciąga na ogoloną głowę kaptur i myśli. Coś w jego środku skręca się ciasno jak gruba sprężyna. Zadzwoniłby do Aneczki, ale wie, że jest w pracy, pewnie ma swoje na głowie. Sobotni wieczór. Z ulic rozlega się krzyk stada, jednak dziś nie podejmuje wezwania. Czuje się, jakby miał połknąć szkło. Dotknąć zakazanej igły. Spędzić noc w kostnicy. Wyłączyć światła w rozpędzonym samochodzie, nocą, na autostradzie. Na próbę oblać się rozpuszczalnikiem. Wysrać się w kościele, pod spękany wzrokiem starych obrazów. Ale nie do końca. Jakby.

— Aneczka?! — krzyk szefowej zmiany przebija się przez muzykę i nie pozostawia złudzeń, że Aneczka czegoś nie dopełniła. — Słuchaj, dziewczyno, ile razy mam ci, kurwa, powtarzać, żebyś odkładała wszystko na miejsce, bo się w tej kuchni w końcu zabijemy o worki po frytkach i skórki z cytryny!

Aneczka uśmiecha się, bo wie, że nic innego jej nie pozostało. Nawet nie to, że lubi tę pracę. Ale myśl, że miałyby ją zmieniać, iść do jakiegoś biura czy na inną taśmę, po osiem godzin dziennie z głową w cudzym gnoju, obezwładnia jak ciepła wódka, podcina skrzydła marzeń. Boi się, że bez tej roboty nigdy nie zrealizuje tego, co sobie zaplanowała. Nie po to bała się najpierw na marketingu, potem na socjologii, a wreszcie na ASP, na której też w końcu nie wytrzymała, żeby teraz samemu szukać życia, z którego zrezygnowała.

— W porządku, no już, zrobi się. Przecież zapierdalam.

Marketing przerwała po drugim semestrze, ze strachem, ale bez bólu, to nigdy nie był dla niej kierunek idealny. Kiedy wszyscy wokół zaczęli straszyć sesją, co nie przeszkadzało im włączyć się w rozochoconym towarzystwie od klubu do klubu, od baru do baru, uśmiechnęła się do opalonego długowłosego chłopaka o nastroszonej rzadkiej brodzie. Jasne włosy na tle mocno opalonej skóry wyglądały jak aureola ze światła. Łukasz. Starszy od niej. Instruktor sportów górskich. Przez moment i jej wydawało się, że to dobry pomysł na życie, sposób, by wyrwać się z ciasnej spirali składek na ZUS, funduszu oszczędnościowego i pracy na etat. Kiedy przy pierwszym piwie powiedział jej, że właśnie wybiera się stopem do Nepalu, przestraszyła się, uśmiechnęła, została z nim aż do rana.

Przez całą tę noc i dłuższą część tygodnia, który nastąpił po niej, Aneczce wydawało się, że skończy się jak zwykle, na tanim winie, fajnym seksie w akademiku i pięknym, pociągającym kłamaniu. Kiedy Łukasz zameldował się u niej w pokoju z plecakiem i kupioną właśnie mapą, starała się nie myśleć o swoim przerażeniu, o tym, że w ogóle nie wie, z kim i dokąd jedzie, że w filmach takie wycieczki kończą się w ludzkich masarniach. Jak się ubrać, co zabrać? Uśmiechnęła się z politowaniem, kiedy Łukasz powiedział jej, żeby się nie bała.

W Himalaje nie dotarli, ale i tak przejechała kawał drogi. Pierwszy jej taki wyjazd. Dopiero potem się zorientowała, że dojechać nie mogli. Nie mieli wiz, nie zaszczepili się, ona była bez pieniędzy, Łukasz w kieszeniach plecaka miał pochowane marne dwieście trzydzieści dolarów. Nawet na mapie trasa przez Ukrainę, Rosję, Kazachstan i Chiny wyglądała okazale. Skończyło się na granicy z Rosją, kiedy okazało się, że brak im wszystkich dokumentów. Już wcześniej zaczęli się z Łukaszem kłócić, dwa tygodnie autostopu to próba nawet dla starych przyjaciół, co dopiero dla pary, którą łączy tylko ciało i brak innego pomysłu na wakacje. Pogodzili się dopiero po powrocie, choć i tak długo już to nie potrwało. Ale nie żałowała.

Z wyjazdu została jej nie tylko własna legenda założycielska, wspomnienie bezkresnych zielonych pól za oknem i rozpadających się chat, przed którymi, nawet na obrzeżach miast, dreptały kury i kaczki, ale także podstawowa wiedza o tantryzmie, ziołach i medytacji. To dużo. Okazało się, że nawet za dużo, żeby wytrzymała dłużej niż rok na socjologii, na którą przeniosła się nie bez trudności, ale z przekonaniem. Tylko że gdy zbliżała się letnia sesja, Aneczka uświadomiła sobie, że nie można zmarnować kolejnego roku Polski w Unii, wszyscy znajomi, którzy wyjechali, opowiadali, że zaraz skończy się najlepszy okres, a teraz pieniądze leżą na ulicy, nawet nie trzeba się za bardzo starać, bo Angole sami

pchają się z ofertami pracy. Wyjechała, od wyjazdu z Łukaszem bała się, że nie wykorzysta szansy swojej samorealizacji.

Ponieważ umiała się ładnie uśmiechać, pracę w Londynie znalazła od razu. W mieście przeraziła się też od pierwszego wejrzenia. Zatłoczone ulice, narożne kamieniczki z wielkimi oknami, dzielnica Pakistańczyków, w mocnych kolorach, nieustającym gwarze i korzennym zapachu, pajęczyna metra jak osobny świat, kraina muzyki, włóczęgów i smoków-pociągów, miasto wyrosłe pod miastem. Jak się mogła w tym nie przerazić?

Obowiązki kelnerki nie należały do tak łatwych, jak się jej wydawało, ale też szybko nabrała wprawy. Pomogły uśmiechy, niepokój, który napędzał do jeszcze cięższej pracy, i szoty wódki wypijane z innymi kelnerkami, kiedy nikt nie patrzył. Ale i tak, gdy tylko nadarzyła się okazja, zebrała pieniądze z napiwków i razem z perkusistą nowo poznanego zespołu niupunkowego, do którego uśmiechała się najładniej, wyruszyła w trasę. Grali w małych górniczych miejscowościach w Wakefield, Leeds i Bradford, w piwnicach przerobionych na bary, w domach kultury, na pustych parkingach i w klubach stylizowanych na robotnicze puby z początku zeszłego stulecia. Dużo nie zarobili, ale było sporo piwa, nocnych rozmów i spania w kamperze. Aneczka podszkoliła język, co nie tylko ona uważała za bardzo ważne. Douczyła się też angielskiego. Wróciła z piercingiem w kąciu ust, wyglądającym jak naturalny pieprzyk gwiazdy kina z lat czterdziestych, znamię czarno-białej bogini o piersiach jak wytoczone z metalu, i z tatuażem na kości ogonowej, glifem wskazującym drogę do ćakry muladhara.

Potem poszło z górki, Aneczka miała już przetarte szlaki. Rok przerwy na samodoskonalenie, kolejne dwa semestry, tym razem na ASP, w międzyczasie długie wyjazdy i kolejne noce za barem, nieudane przedsięwzięcia, projekty, które zostały skasowane. Do ziół dołączyła zdrowa żywność, joga, jantra i jungowska autoterapia. Aneczka bała się, że kiedy nadejdzie właściwa pora, kiedy w końcu życie da jej szansę, by być sławną i bogatą, a przynajmniej samowystarczalną, nie będzie umiała jej złapać. Czekala. Czekala. Chce być przygotowana.

Kiedy wraca do przytulnego mieszkania, w którym jest tak dużo niczego, że nie ma już miejsca na strach, Aneczka dba o dietę, dużo ćwiczy i unika glutenu. Poranna garść suplementów, naturalna witamina C z aceroli i magnez z witaminą B6, tran w kapsułkach, olej z wiesiołka i suszona żurawina, jak chemiczna epifania, pachnące talkiem błogosławieństwo nowo narodzonego boga. W różnych szafkach, plecionych koszyczkach, workach z plastikowym zipem i puszkach w zaślepionym aneksie kuchennym trzyma leki na ból głowy, gardła, pleców i stawów, na grype i zatrucie. Ma syropy na kaszel, suchy, mokry i mieszany. Pigułki, pastylki, czopki,

listki do ssania, zmielone zioła do zaparzania. Na hemoroidy, rozwolnienie i zgagę, na uspokojenie, na wątrobę i śledzionę, na wątrobę zwłaszcza, na zimne stopy i nadmiar wody w organizmie, na brak libido, tak na wszelki wypadek. Na cellulit, bezsenność, chrypkę i wzdęcia. Witamina A na wzrok, krzem na paznokcie i włosy, flawonidy z miłorzębu japońskiego na pękające naczynka, również te pod oczami. Środek na obrzmiałe stopy, bóle menstruacyjne i nadmiar wody. Na pęcherz. Na odchudzanie. Na zakwaszenie organizmu. Do tej pory nie znalazła tylko niczego skutecznego na łaknienie, nieokreślony głód nie do zaspokojenia, który ją trawił.

Kiedy przychodzą do niej w tygodniu ci ze znajomych, którzy jej się jeszcze ostali, widzi, jak po kolei umierają. Na dziecko. Na pracę. Na troskę o konto, ubezpieczenie i awans. Na wygodę i dostatek. Aneczka nie potrafi rozpoznać tylko tych, którzy umierają na strach. Żyjących przeszłością bądź jutrem. Cieszy się, że sama uniknęła takiego konania.

Czasem ci, którzy jej nie znają, pytają, czy nie lepiej byłoby zacisnąć zęby i skończyć choć kurs językowy, zawalczyć o licencjat, papier w dłoni to w końcu papier. Żal jej ich. Tego doświadczenia, tej kolekcji wspomnień nie dałaby jej przecież żadna uczelnia świata. Odpowiada bez uśmiechu, że nie miałyby wtedy czego wspominać na stare lata.

Boi się: wojny, raka, rabunku, tego, że zajdzie w ciążę, i tego, że w nią nie zajdzie, czy się właściwie zachowała, czy ją lubią, czy nie powiedziała niczego idiotycznego, czy zapłaciła rachunki, że nigdy już nic nie namaluje, dlatego tak dawno nie próbowała, że będzie wieść życie nudne jak koledzy z klasy, że zawiedzie przyjaciół, że nie ma już przyjaciół, których wciąż mogłaby zawieść. Że zachoruje: na toczeń, na nerki, na krew, na kości, na płuca, na gardło, na stawy, na głowę, na nogi i na plecy, na wątrobę, na wątrobę zwłaszcza, na tarczycę, na boreliozę, na HIV, na chlamydię, na oczy, na którąś z tych strasznych chorób, które niszczą duszę i ciało. Najbardziej boi się jednak rzeczy, które się nie zdarzą: meteorytu uderzającego z nieba, silnika z samolotu, który rozbił się nad nią, zabłąkanego prionu w mieszance garmazeryjnej kupionej na promocji w markecie. Tego, że połknie kleszcza, żywego skurwysyna, który lśniący, otrząśnie się z soków żołądkowych, dodryfuje w ciemności do wyspy ślepej kiszki i tam osiadzie, uwije gniazdo, zacznie ją od środka pożerać małymi kęsami. Regularnie chodzi do dermatologa, kardiologa, neurologa, nefrologa, reumatologa, pulmonologa, urologa, laryngologa, toksykologa, ginekologa i ulubionego rehabilitanta. Nie może znieść myśli, że miałyby umierać sama. Jakby w świecie, który zatracił cel, tak że pozostały tylko kierunek i droga bez światła, możliwa była jeszcze śmierć we wspólnocie, w zgodzie z prawem krwi i ciemnym rytuałem.

Czasem zastygała w pół kroku, w pół uśmiechu, w mieszkaniu, w łóżku, za barem, w przerażeniu, że jej życie niczym się nie wyróżnia, jest tak zwyczajne i banalne.

— No Anka, jak tak można? Ruszże swoją piękną dupkę. Przecież proszę cię jak człowiek człowieka. Dziewczyno, ogarnij się. Ludożerce pić się chce. Robota się zaczęła, potem będziesz medytowała.

Aneczka wzdryga się. Ale już pomyślała. Czy w takich chwilach wygląda naprawdę jak Matka Joanna? Uśmiecha się, ale tym razem wychodzi to mało przekonująco. Myśli o tym, co zamierzają zrobić jutro. Czeka. Chciałaby być przygotowana.

Ludzie na ekranie telewizora śmieją się i płaczą. Joanna nie śmieje się, ale czasem coś ją załaskocze w kąciку oka. Bada wtedy twarz długo i starannie. Nocne powtórki *Pamiętników z wakacji*, *Trudnych spraw*, *Ukrytej prawdy*, *Pierwszego krzyku*, *Szpitala*. Wszystkie te pseudodokumentalne opery mydlane. Twarze naturzszyków przerysowane komiksowymi emocjami, zdziwieniem układającym usta w dziubek, smutkiem przyciskającym pięści do ust, radością, że aż łzy lecą ciurkiem po skórze. Strachem, co ma wielkie oczy. Joanna śledzi uważnie każdy grymas i gest samotnych matek pozbawionych alimentów, pijanych dzieci porządnych rodziców, staruszków okradanych przez urzędników. W ręciovym blasku kineskopu bezwiednie ćwiczy ułożenia warg, zmrużenie powiek, uniesienie i opuszczenie brwi, żeby wyrażały wściekłość lub gniew. Czasem zdarzy się film erotyczny, Joanna zaciska wtedy zęby, jak aktorka w kolejnym szczytowaniu, i ogląda dalej, rozchylając wargi i przyspieszając oddech. Kiedy to sobie uświadamia, wzdryga się, zmienia kanał i liczy do dwudziestu dziewięciu, trzydziestu jeden albo trzydziestu siedmiu. Ciemność cały czas patrzy. Joanna boi się, ale zakupy w sklepie telewizyjnym też są dobre. Szeroko uśmiecha się wraz z triumfującą prowadzącą, kiedy turboodkurzacz wodny rzeczywiście wessie cały kurz i roztocza o strasznych pyskach, nierdzewne noże wytrzymają brutalną próbę cięcia desek i gwoździ, silnie promieniujący magnes w bawełnianej otulinie odejmie ból skroni i stawów.

Matka Joanna pracuje w szkole. Skończyła pedagogikę, bez problemu, przez pięć lat miała stypendium. Pracę w nauczaniu początkowym też znalazła szybko i bez niczyjej pomocy, choć Bartłomiej lubił dawać jej do zrozumienia, dyskretnym gestem, obojętnym spojrzeniem, ułożeniem dłoni, sugestią przekazywaną tak, żeby inni nie wiedzieli, a ona nie mogła tego przegapić, że zawdzięcza to jemu. Mylił się, ale Joanna nie wyprowadzała go z błędu. Jej młodszy braciszek. Czasem zastanawiała się, czy naprawdę się go bała. Pięć, siedem, jedenaście. Lata pracy

z przerażającymi krasnalami z podstawówki wspominała bardzo dobrze, choć starała się o nich nie myśleć, ale kiedy tylko nadarzyła się taka okazja, przeniosła się na stanowisko pedagoga w zespole szkół, połączonym liceum i gimnazjum. Nauczycielki z byłej pracy patrzyły na nią jak na obłąkaną, ale patrzyły tak już od lat, więc jak zwykle udawała, że nic nie zauważa. Gwar na przerwach w nowym miejscu oszałamiał. Chłopcy popalający papierosy w toalecie i przychodzący na lekcję nawąchani kleju, trzynastolatki w różowych koszulkach odsłaniających brzuchy, z krwiście czerwonymi majtkami, nauczyciele o pustych oczach byłych gwiazd porno, których nikt nie potrafi zabawić.

Już po roku okazało się, że dużo wiedziała, dużo rozumiała, ludzie uważali, że jest naprawdę dobra. Nie kłóciła się z nimi, bo z nikim się nie kłóciła, ale i nie myślała o sobie w ten sposób. Siedem, jedenaście, trzynaście. Po prostu pracowała dalej. Gdyby wierzyła w takie truizmy, sama powiedziałyby, że wreszcie się odnalazła.

Po porannym obchodzie miasta przed pracą wchodziła do swojego gabinetu, małej klitki dwa na trzy metry wygospodarowanej z dawnego pokoju stomatologa, przestrzeni oswojonej dzunglą sumiennie podlewanych kwiatów, zdjęć z cudzych wycieczek, fotografii uczniów z odchodzących roczników. I czekała. Przez pierwsze miesiące nie przychodził nikt, czasem zdarzyło się, że kogoś wysłał do niej dyrektor, za #przeszkadzaniemalekcji, #alkoholnawycieczce, #głośnerozmowy, #złesprawowanie. Potem zaczęli przychodzić sami. Wstydliwie, niepewnie, bo Rafał był i gadał, żeby sam zobaczył, bo dziewczyny powiedziały. A ona słuchała. To umiała najlepiej, w tym była wytrenowana.

Mówili, że stalking na fejsbooku. Że zboczeni chłopcy, którzy chcą jak na pornosach. Że wstydliwie dziewczyny, które tylko się śmieją i nie chcą jak w internecie. Że rozbite małżeństwa rodziców, że alkohol, mało pieniędzy, że dopalacze. Słyszała słowa, których nigdy wcześniej nie pomyśleli, uczucia, których nie nazwali. Kiedy przychodzili po lekcjach, późnym popołudniem, gdy już mieli pewność, że w szkole nikogo innego nie spotkają, zdradzali jej tajemnice, z których nikomu i nigdy się nie spowiadali. A ona rozpoznawała, co chcą usłyszeć, żeby się nie bali. I wreszcie mówiła. Nie bój się, to tylko szkoła, rówieśnicy boją się tego co ty, naprawdę są tacy sami. Tak, to twoi rodzice, ale nie pozwól im sobą pomiatać. Po kilku razach sama nauczysz się, ile jesteś warta. Zobacysz, ułoży się, nawet jak się rozwiodą, może tak będzie dla nich lepiej, czemu mają się tylko ranić. Ale to nie znaczy, że kiedyś się nie kochali. Spokojnie, znajdziesz pracę, o czym ty zresztą w ogóle myślisz, słońce, nie jesteś za młoda na to? I nie wierz tym patafianom w telewizji, masz na to jeszcze czas, korzystaj z życia, ciesz się sportem,

chłopakami. No, uśmiechnij się, czwórka ze sprawdzianu to jeszcze nie koniec świata. Słuchaj, gejostwo to nie choroba, rówieśnicy tylko udają, że tego nie rozumieją, ale oni też mają podobne problemy, nawet jak mówią, że u nich wszystko w porządku, gdyby tak łatwo było im znaleźć dziewczyny, myślisz, że by się z tego tak głośno nabijali? No tak, czasem za pierwszym razem boli, ale potem jest już dobrze, nie bój się, to naprawdę piękne i mocne doznanie, ważne, żebyście się kochali i szanowali. Słuchaj, nie będę cię okłamywać. Zapewne będzie ci ciężko na początku. Ale jeśli to zrobisz, jeśli się zdecydujesz, na pewno przyjdzie taki dzień, kiedy zaczniesz się zastanawiać, co by teraz robiło, jak żyło, jak wyglądało. Dzisiaj to wydaje się prostsze, ale nie całe życie będziesz miała siedemnaście lat. Wiesz dobrze, że nigdy sobie nie wybaczysz. Ale nie obawiaj się, wiesz, że nie zostawię ciebie samej.

Mówiła, że będzie razem z nimi, i naprawdę im pomagała. A potem wychodziła z gabinetu, ostatni dzwonek jak wystrzał w czaszkę, i już w domu zamykała się w pokoju o zasłoniętych zasłonach, bo nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś patrzy. I wypacała ten lęk i czarne słowa, którymi nasiąknęła w ciągu dnia. Bo co: jeśli naprawdę nie zda do następnej klasy? Jeśli zajdzie w ciążę na kolejnej wycieczce? Jeśli wrzucą na profil klasy jego nagie zdjęcia z szatni? Jeśli rodzice się rozwiodą, a ona znajdzie fiolkę matki z barbituranami? Jeśli jednak ojciec skatuje go w amoku, alkoholowym ciągu trwającym tygodniami? W bezsenne noce zamykała oczy i oddychała ich snami.

Ma takie dni, kiedy nie pomaga nawet liczenie i tylko chodzi z kąta w kąt, nieustannie, jak nakręcony mechanizm, przeciera kolejne sprzęty, tani stół kuchenny, biało-niebieski kredens, niski stolik ze sztucznymi kwiatami, pięć, siedem, dziewięć razy, i stara się nie spoglądać na okna, szczelnie zasłonięte, tak żeby nie wydostał się ani jeden oddech, ani jeden szept, który mógłby ją zdradzić. Wyobraź sobie, a Joanna sobie wyobraziła, przerażenie schizofrenika. Gdy nagle uświadamiasz sobie nieuchronność tego, co do tej pory lekceważone. Pomyśl, dopuść do siebie, przesun widmo skojarzeń. Zaakceptuj. Połknij. Nie uciekaj. Uwierz tak naprawdę. I już nie możesz przestać, nie możesz żyć obok tego tak jak dawniej. Że: stąpamy po hałdach trupów, strzaskanych piszczelach i nagich czaszkach, tysiącletnie cywilizacje próchnieją tam pod stopami. Atmosfera waży miliardy ton, jak niewidzialna prasa powietrza, która zgniata cię, ściiera, miażdży z każdym wyduszonym oddechem, każdym krokiem, to cud, że jeszcze żyjesz, poczuj ten ciężar wokół głowy, wokół piersi, na karku, jak można w ogóle oddychać, żyć, kiedy to, co niewidzialne, zaciska się wokół ciebie jak kamienna klamra. W każdej chwili życia twoje ciało przenikają miliardy neutrin,

przechodzących przez materię jak skalpel ze światła, twarde promieniowanie z kosmosu szatkuje DNA, demoluje geny, karmi raka. Spróbuj się schować, kiedy pod stopami płonie ci atomowy ogień, reaktor w jądrze Ziemi kipi jak słońce, buzujący, nieuchronny, rozszalały. Pomyśl, uwierz, połknij. Spróbuj potem zasnąć i zapamiętać sny.

Najpierw, w żartach, bawisz się myślą: a co jeśli woda jest trująca? Faktów nie oszukasz: przecież wszyscy, którzy ją piją, umierają. W ciałach każdego ze zmarłych można znaleźć choćby jej śladowe ilości. Do tego silnie uzależnia: spróbuj nie pić przez tydzień. W błysku jak flesz epifanii Joanna uświadomiła sobie, że woda jest wszędzie. Pijesz ją, wypacasz, wycharkujesz, wydychasz i wdychasz, jakbyś wyciskał sobie w gardło ciepłą gąbkę z kwaśnym smrodem, wilgotną wydzieliną milionkrotnego ludzkiego ciała. Żart przestaje być żartem, i już czujesz, jak krąży tam, pod skórą, żrący smrodliwy kwas, jak się przelewa, pulsuje, tętni, szumi, spływa. Patrzysz na żyły, obrzmiałe od wilgoci: wydrap, przetnij, przerwij. Uwolnij się. I wyrwałbyś, przeciął, przerwał, gdyby nie to, że to wyzwoli tylko wodę z miękkiego więzienia ciała, wilgoć wcale nie zniknie, nigdy nie znikła od zarania świata, rozplynie się tylko, wsiąknie w tkanki innych, którzy przyjdą po tobie i też będą pić, wyrzygiwać, wdychać i wypacać.

Próbujesz nie pić, jak najdłużej się da. W końcu zamiast moczu oddajesz gęstą amoniakową pastę, a przewód moczowy boli, jakbyś przeciągał przez niego żyłki na dratwie. Wreszcie, płacząc, ale bez łez, owrzodzona śluzówka oka jest sucha jak bibuła, pijesz, z suchych warg łuszczy się łupież, suchy, bezwodny śnieg. To takie piękne. Ale wilgotna para jak wyszeptana klątwa i tak wije się wokół ciebie z każdym kolejnym oddechem. Leżysz więc w bezruchu i próbujesz nie oddychać. Ale po kilkunastu, kilkudziesięciu sekundach zawsze przegrywasz, w obrzydzeniu, znów spocony, w bezsilnej rozpacz, ze świadomością klęski, która towarzyszyć ci będzie aż po kres. Oddychasz i na powrót wciągasz w płuca te wilgotne wapory, szklące się od toksycznych oparów. Czy to jest kłamstwo? Ale skoro tak, czy to jest też prawda? Masz wrażenie, że gdyby zacisnąć pięść, spomiędzy palców pociekłaby ci cuchnąca trupim jadem i przetrawionymi sokami dinozaurów struga. Więc jej nie zaciskasz. Boisz się.

Uwierz.

Światem żądzą Żydzi-Masoni-Reptilianie. Wszystko, co do tej pory mówili o teoriach spisku, to prawda, Prawda. GMO, szczepionki, globalne ocieplenie, UFO, telewizja, tajny rząd światowy najbogatszych ziemskich rodzin – to elementy Gry, zmienne przydatne do wszechplanetarnej manipulacji. Elvis, WTC, Roswell, Pearl Harbor, mistyfikacja lądowania na Księżycu, nazistowskie latające talerze,

templariusze i święta krew Graala, bractwo babilońskie, brygady sieciowe, kontrola umysłów przez HAARP, JFK i eksperyment Filadelfia, wszystko – wszystko – w służbie Nowego Porządku Świata. Ludzie jak bydło hodowane do tego, żeby się tuczyło i rozmnażało, płaciło podatki, dostarczało rozrywki, kupowało na umór, pozwalało się zakuć w aksamitne kajdany. Ziemia jak ferma potulnych sekszabawek, zdebilanych dawców organów, otepiałych chemią pompowaną w pożywienie obiektów do przeprowadzania kosmicznych badań. Zmieniłeś program w telewizji albo go nie zmieniłeś, kupiłeś taki lub inny proszek-płyn-przyprawę, czujesz się wspaniale albo całkiem podle, chciałbyś przytulić cały świat i wszystkim wybaczasz, a może spoglądasz czule na ostre krawędzie i stalowe refleksy, narasta w tobie pragnienie płomienia, śnisz o gniewie, chciałbyś wyjść na ulicę, wrzeszczeć, rozwalać, podpalać – kiedy zostałeś zmanipulowany? Kto pociąga za sznurki marionetek z rządu, mass mediów, show-biznesu? Czyje słowa wypowiadają kolejne wypromowane plastikowe twarze? Które myśli, pragnienia, wybory należą jeszcze do ciebie, a które dyktują ci Żydzi-Masoni-Reptilianie?

Zrozum: wokół trwa nieustanna duchowa walka. To, co wydaje ci się, że obserwujesz, to tylko podmalowana fasada, prymitywna maska na prawdziwym obliczu świata. Spoglądasz i widzisz: dzieci w różowych plecaczkach, małe skrzaty idące po raz pierwszy do szkoły. Nastolatki w letnich koszulkach z kolorowymi nadrukami, studentów ze słuchawkami na uszach, skoczne radiowe dzingle w głośnikach komunikacji miejskiej, szybko montowane reklamy na nowoczesnych billboardach. Ale tak naprawdę – o to w tym właśnie chodzi, dopuść taką myśl, odważ się, połącz, jak to jest naprawdę – każde z nich to bezświadomy pionek na czarnej planszy w manichejskich zmaganiach. Ziemia jako pole krwawej bitwy, niewidzialnej apokalipsy stanowiącej esencję trwania. I już to nie uczniowie, studenci, ludzie – lecz nieświadomi wojownicy Demona pod znakiem Hello Kitty na piórnikach i spinkach do włosów, roześmiani duchowi terroryści w plastikowych różkach, zmanipulowani samobójcy-sabotażyści owinięci nie taśmami z dynamitem, a koszulkami z roznegliżowanymi elfkami.

Gdybyś mógł zobaczyć Ziemię z właściwej perspektywy, zobaczyłbyś linie frontu, punkty zapalne, miejsca zgrupowania wojsk i rejony najzaciętszej walki: płonące skupiska pentagramów na koncertach, na których pomniejsze diabły wykrzykują pustkę, czarne obszary wypalone przez rozpacz jak napalm, stroboskopowe kluby nocne, w których rekrutowani są ochotnicy do wciąż rosnącej ślepej armii. I skoro już to ujrzałeś, uwierzyłeś, odważyłeś się stanąć w prawdzie, jak mógłbyś się teraz cofnąć, nie podjąć walki, nawet jeśli zmagania nie kończą się nigdy, a inwazja już się dokonała?

Jak rozpoznać to, co dzieje się naprawdę?

Wyobraź sobie – zaakceptuj – uwierz: że Bóg Ojciec to naprawdę starzec w ciele olbrzyma, siwowłosa szaleniec na wieczność noszący twarz i rozwiany włos z fresku Michała Anioła, śledzący każdy krok kobiety, mężczyzny i dziecka, mściwy i zazdrosny, nieubłagany. Ślepy Strażnik Prawa, zimny, obojętny Bóg Sądu, Bóg-Policjant, Bóg-Urzędnik. Buchalter, który przez wieczność zlicza słupki i niczego nie umarza. Prawdziwe Oko pośrodku panopticonu, które nigdy nie zasypia i nigdy nie odwraca wzroku. Gdzie się schowasz przed Tym, Który Jest Doskonały? Gdzie się ukryjesz, kiedy wiesz, że: Patrzy?

Przerazona dniem wczorajszym i jutrzejszym, Joanna schroniła się w horoskopach. Zaczęło się od gazet i programu w telewizji, potem znalazła na mieście wróżkę i przesiadywała u niej, kiedy tylko odłożyła jakieś zaskórniaki. Otoczyły ją Koziorożce i Skorpiony, Wisielcy i Wodnik z pustym dzbanem. Wkrótce sama stała się ekspertem w śledzeniu powiązań, rozpoznawaniu śladów, czytaniu między wierszami. Nie robiła kroku, nie spoglądając w niebo, nie sprawdzając układu etykiet na półce w markecie, nie analizując wyglądu rdzawych plam na karoserii zaparkowanych przy krawężnikach samochodów-znaków. Że jeśli spływająca po szybie kropla zbierze trzy inne krople. Jeśli do gabinetu wejdzie najpierw mężczyzna, potem kobieta w okularach, potem małe dziecko. Nadepniesz na chodniku popękaną płytę. Złapiesz wzrok listonosza. Przebiegniesz ulicę, zanim przetnie ją autobus. Odezwiesz się pierwsza do nieznanego. Jeśli. Wtedy się zdarzy.

Kiedy przewidziała tak zapalenie płuc Bartłomieja, przeraziła się. Zrozumiała, że ta ścieżka nigdzie jej nie doprowadzi. Że to tylko kolejna przynęta, następna pułapka w labiryncie strachu. Wiedza dotycząca innych to za duży ciężar, ryzyko, ale i pokusa. Zaczęła wróżyć z Biblii, tylko sobie, nie chciała już angażować w to świata.

Czy zgrzeszy? Czy splami się zaniechaniem? Czy Panu spodoba się zmiążdżyć ją dziś cierpieniem? Zamykała oczy, otwierała Pismo na chybił trafił, tylko raz dziennie, i czytała wers, który jak niewidomy namacała bladym koniuszkiem palca. A potem, przez pół roku, dzień w dzień, coraz bardziej przerażona, czytała o śmierci, wyczekiwała tego, co ma się wydarzyć. „Pan dotknie cię wycieńczeniem, febrą, zapaleniem, oparzeniem, śmiercią od miecza, zwarzeniem zbóż od gorąca i śniecią: będą cię one prześladować, aż zginiesz”. „Nie pozwolisz żyć czarownicy”. „Dobrze wiedz o tym, że w dniu, w którym wyjdiesz i przekroczysz potok Cedron, na pewno umrzesz, i to z własnej winy”. „Wszelkie ciało starzeje się jak odzienie, i to jest odwieczne prawo: na pewno umrzesz”.

Codziennie odczytywała te i podobne cytaty, coraz bardziej zatrwożona, trwając na przekór wróżbom i losom. I dopiero wtedy zrozumiała. Pismo za każdym razem mówiło prawdę, ani razu nie przepowiedziało fałszu, ani razu jej nie okłamało. Teraz bała się, że mogłaby natrafić na inny cytat, odczytać inną przyszłość. Zaprzeszała swych grzesznych praktyk. Zauważyła, że pomagają jej liczby pierwsze. I obrazek świętego Hipolita, patrona personelu więziennego, który powiesiła na ścianie.

Miasto nocą wygląda strasznie, ale wcale jej nie przeraża. Joanna dużo spaceruje, niewiele je, ale sporo gotuje. Ania przecież wygląda tak marnie. Joanna stara się ją karmić i dużo z nią rozmawia, ale boi się, że nie uda jej się niczego zmienić, że nie można strzaskać tego, co już zapisane. Ciasta przynosi także Bartłomiejowi, i wtedy Grażyna patrzy na nią jakoś inaczej. Joanna wie, co to za spojrzeń, ale udaje, że jej to nie przeszkadza.

Włosy zawsze ścina krótko, ale nigdy nie stara się ich specjalnie układać. Boi się. Są lata, kiedy okazuje się, że jest to nawet modne. Jest szczupła, koścista, wyprostowana. Ubiera się jak człowiek ocalony z zagłady świata, ciężka kurtka z goreteksu, poprzecierana już na mankietach, grube spodnie ze wzmocnieniami na kolanach, mocne trekkingowe buty, plecak. Nauczyciele patrzą na nią dziwnie albo w ogóle starają się nie patrzeć, ale uczniowie to lubią. Jednak to nie dlatego. Boi się, że kiedyś mogłaby być nieprzygotowana. Nie świętuje sylwestra, unika imienin, nie obchodzi swoich urodzin. Zamiast tego postanowiła obchodzić dzień swojej śmierci. Uznała, że to pewniejsze: nie pamiętasz, kiedy się urodziłeś, ktoś zresztą mógł cię okłamać, mało to się słyszy o pomyłkach w urzędach, z imionami, datami? A śmierci na pewno nie przegapisz, nikt cię nie oszuka. Bawi się myślą, że gdyby żyła trzysta sześćdziesiąt pięć lat, na pewno choć raz trafiłaby z datą skromnej uroczystości. A tak co roku wybiera jeden dzień na chybił trafił, pilnując tylko, żeby nie powtórzyła się data. Dziesiąty czerwca. Trzeci lutego. Dwudziesty października. Drugi maja. Wolałaby umrzeć wiosną albo wczesnym latem, wie, że wtedy serce pękłoby jej szybciej, więc póki co tych terminów przerobiła więcej. Z kolei zimą chyba mniej by się bała.

Ma taki jeden dzień, o którym nikomu nie mówi, o którym nie myśli, o którym nawet nie pamięta, zanim się nie zdarzy. Żeby się nie zdradzić. Jedyne dzień w roku. Wielka Sobota. Dzień martwego Boga. Nie piątek, kiedy umiera, i nie niedziela, kiedy już zmartwychwstaje. Jedyne dzień, kiedy nie ma Go na świecie, spoczywa w grobie, zbiera siły, kiedy z całą pewnością nikt na nią nie patrzy, przynajmniej do dwudziestej czwartej.

Piątek jest jeszcze normalny. Joanna kładzie się, boi się, liczy do dziewięciuset trzydziestu siedmiu, tysiąca trzydziestu dziewięciu albo tysiąca trzystu dziewiętnastu, zależy od tego, jak minął jej dzień. Kiedy się pomyli, zaczyna od nowa. A potem zasypia, czerń snu jest jak brama.

Budzi się sama, bez budzika, bez alarmu, bardzo wcześnie rano. Dusza wie, ciało pamięta. Już się nie może doczekać. O piątej dopiero wstaje dzień, ale Joanna jest wypoczęta i wyspana, tak jak nie zdarza się jej przez cały rok. Zawsze próbuje sobie przypomnieć sen, który śniła tej nocy, i nigdy jej się to nie udaje. Uśmiecha się. Przebiera w szlafrok. Gasi w kuchni wiecznie zapalone jarzeniowe światła.

Niespiesznie, dziś nie zamierza się spieszyć, rozsuwa kotary. Słońce dopiero wstaje, ludzie dopiero wyjdą na ulice, ale Joanna nie czeka na nich ani się ich nie obawia, otwiera okno i wietrzy mieszkanie. Parzy sobie w maszynie na gazie kawę, gęstą, czarną, bardzo mocno paloną, z głęboko schowanej puszką, którą wyciąga tylko na taką okazję. Pierwsza filiżanka smakuje jak owoc z drzewa poznania dobrego i złego, Joanna stoi w oknie, pije, rozkoszuje się chłodem. Włącza wysłużony telewizor i siada przed nim, leniwie przeskakuje przez kolejne programy. Po pierwszej filiżance, z szafki na ubrania, tej samej, w której leży telefon, wyciąga wypolerowany dokładnie laptop, włącza go, wpisuje hasło, podpiną kostkę pendrive'a z internetem. W nieużywanej na co dzień, ale dokładnie wymytej wannie puszcza wodę na kąpiel, gorącą, prawie wrzątek, dodaje do niej soli i olejków aromatycznych. Zanim łazienka zaparuje jak sauna, przegląda leniwie kolejne strony w sieci. Informacje ze świata, portal modowy, ploteczki, kilka turystycznych blogów. Dopija drugą kawę i smaruje tosty masłem i miodem.

Kąpiel jest długa, leniwa i niespieszna. W tle leci muzyka puszczone z komputera, Nina Simone, *Kind of Blue*, nieśmiertelna Aretha. Joanna zamyka oczy, wdycha zapach olejków eterycznych i czuje, jak na wynurzonych fragmentach ciała zbierają się krople potu, niczym najdelikatniejsze dotknięcie chłodnej dłoni, krople zamarzającego światła. Zanurza głowę w ukropie na tyle, ile uda jej się wytrzymać bez oddychania, a potem ze śmiechem wypryskuje spod powierzchni, chlapiąc i parskając. Myje się szorstką gąbką, wolne, dokładne ruchy. Na ciele pozostają czerwone przebarwienia, ale to nie dlatego, że Joanna próbuje się ukarać.

Wychodzi i ogląda w lustrze swoje ciało. Uśmiecha się. Jeszcze niczego sobie. Depiluje się, naciera balsamami, wklepuje w twarz delikatnie pachnące kremy, inny na policzki i inny pod oczy. Zaróżowiony naskórek spija je jak krzak rozkwitły na pustyni. Joanna wietrzy łazienkę, przeciera dłonią lustro, wyciąga kosmetyczkę. Rozkłada kosmetyki na umywalce i sprawdza, które już się przeterminowały.

Z pozostałych wybiera te, na które ma dziś szczególną ochotę. Bardzo delikatnie, nie lubi ostentacji, podkreśla cieniem powieki, przeciąga po ustach szminką, muska tuszem rzęsy. Mruga do siebie w lustrze, uśmiecha się jak pewny swego łobuz i zarzuca przyjemnie śliski szlafrok wydobyty z dna nocnej szafki.

Nalewa sobie lekkiego drinka, kładzie się na kanapie i sięga po książkę. Sprawdza, gdzie przerwała rok wcześniej, kartkuje, żeby przypomnieć sobie, kto kogo zabił. Forsyth, Danielle Steel, czasem coś z Kinga. Kiedy książka wyjątkowo jej się podoba, przerywa, przymyka oczy, na granicy snu rozpamiętuje sceny, rozmowy, sytuacje, jakby znała się z bohaterami od lat. Czasem zasypia. Budzi się i spokojnie masturbuje, do jedzenia zamawia coś z miasta, makaron albo zapiekanekę ziemniaczaną, kebab lub pizzę, sałatkę.

Ściąga z internetu film, wysokobudżetową przygodówkę, głupkowaty horror, komedię romantyczną, i ogląda na telewizorze podpiętym do komputera. Co jakiś czas wciska pauzę, żeby przynieść paczkę chrupek albo doparzyć herbaty. Sprawdza na specjalistycznych forach, jakich kabli jej brakuje i co powinna dokupić przed przyszłym rokiem.

Nie wychodzi z domu, nie pije do upadłego, nie włóczy się po barach, nie wszczyna awantur. Nie szuka szybkiej miłości w hotelowym barze. Niczego nie liczy, na nic nie czeka, przed dwudziestą czwartą wszystko odstawia na swoje miejsce, składa atlasowy szlafrok, chowa puszkę z kawą, butelkę z grenadyną i laptop, do książki wsuwa zakładkę na niedoczytanej stronie. Jakby nie pamiętała, że gdy umiera Bóg, to człowiek musi ponieść jego brzemię. Przed snem myśli trochę o pracy, trochę o rodzinie, trochę o podróżach, a trochę o niczym, i zasypia. Budzi się i na powrót przebiera w strój, ciało i strachy Matki Joanny.

Kiedy tym razem zaczynają się nocne powtórki programów, w końcu wyłącza telewizor. Normalnie posiedziałyby jeszcze trochę, ale jutro Potwór.

Potwór.

Myśli, co planują zrobić. Wie, że tak szybko nie zaśnie. Mogłaby zadzwonić, chyba nie jest jeszcze tak późno, upewnić się, czy Bartłomiej ją zabierze. Czy wszystko przygotowane. Wyłączony telefon leży schowany w szafce na ubrania. Wyciąga go rzadko, czasem jeszcze po włączeniu dostanie SMS-a ze starym horoskopem lub zaległą wróżbą. Stara się je wtedy skasować jak najszybciej, usuwa bez czytania. Zamiast dzwonić, ubiera się, bierze plecak, wciska na czoło starą czapkę z daszkiem, wbija wzrok w ziemię i wychodzi z mieszkania. Chciałaby podejść pod dom Bartłomieja, choćby tylko po to, by zobaczyć w oknach światło, ale wie, że gdyby Grażyna ją przyłapała, nigdy nie zdołałaby się

jej z tego wytłumaczyć. Dwadzieścia dziewięć, trzydzieści jeden, trzydzieści siedem. Boi się, że wszystko od razu by zrozumiała.

Król Bartłomiej układa królestwo do snu. Jest sumiennym suwerenem, porządnym urzędnikiem, cierpliwym mężem i dobrym ojcem. Chłopców kieruje do łóżek po przepisowej porcji kreskówek, patrzy, czy myją zęby w zgodzie z rozporządzeniami. Sprawdza godzinę i uśmiecha się, zabiera braci do łóżka i ponieważ mieli tylko dwie minuty spóźnienia, czyta im całe trzynaście minut. Kiedy pada komenda „Spać”, Bonawentura i Armin, w kolorowych piżamkach w Zygzaki McQueeny i Spider-Many, leżą już karnie z zamkniętymi oczami. Teraz czas na żonę władcy.

W salonie nalewa po kieliszku wina, siada na kanapie obok Grażyny i wpatruje się z uwagą w lecący już film. Jakaś amerykańska wybuchowa sensacja. W czasie przerwy na reklamy sprawdza, kto w nim gra, kto jest reżyserem, ile trwa całość i w którym roku go wyprodukowano, o czym opowiada fabuła. Kilka razy bezgłośnie powtarza nazwiska, żeby zapamiętać je we właściwej kolejności. Dolewa wina, pyta Grażyny, czy nie chciałaby czegoś przekąsić. Żona się śmieje.

— O tej porze? Bartłomiej... Nie poznaję, nie poznaję...

Król przynosi chrupki ryżowe oraz pocięte w ćwiartki jabłka i mruga do niej porozumiewawczo. Bierze kilka do ręki. Stara się wyglądać tak, żeby nie zauważyła, że on sam nie je. Nawet łaskawość ma swoje granice.

Kiedy film się kończy, rozmasowuje Grażynie kark i pyta, jak minął jej dzień. Żona mruczy, pręży się i wskazuje pusty kieliszek. Bartłomiej z wystudiowanym uśmiechem, gestem, pokazuje, że już im wystarczy. Już jej wystarczy. Nie przerywając leniwego masażu, omawia kwestie ekonomiczne domowego budżetu, rozstrzyga spory wychowawcze, wysłuchuje petycji i przygotowuje uwzględniające je nowe rozporządzenia. Rozumie, że mądrość jest pochodną prawa.

W sypialni, już po przepisowym prysznicu, na przemian bicze gorące i zimne, przyciemnia lampkę i zsuwa z Grażyny koszulę nocną. Cieszy się, że w ciągu dnia wszystko poszło tak sprawnie, że bez problemów zaoszczędził zapasowy kwadrans. Kocha się z nią czule i sumiennie i wydaje komendę do ejakulacji, dopiero kiedy ma pewność, że Grażyna przeżyła drugi orgazm. Całuje ją w czoło. Z niechęcią gasi światło. Kładzie się i czeka, aż usłyszy jej równy oddech. Dopiero wtedy zasypia, choć za tym nie przepada. Boi się. Jest jednak królem. Już dawno wydał sobie odpowiednie ukazy.

Pomazaniec Strachów ma czterdzieści cztery lata i wie, że jego królestwo wchodzi teraz w najlepszy okres. Pomiędzy szaleństwem młodości i zgorzknieniem starca. Z wyróżnieniem skończył wydział budownictwa na politechnice, czuje się

na wszystko przygotowany, pracuje w urzędzie miasta. Opieka nad ludem i krainą zabiera bardzo wiele czasu. Nie wstydzi się przyznać, że kocha swoich poddanych.

Z Grażyną po pierwszym porodzie zawarli pakt koronacyjny, przekonał ją, żeby została w domu i zajęła się wychowywaniem nowych wasali. Poznali się w urzędzie, pracowała w dziale kadr na tym samym korytarzu. Bartłomiej wie, że nie mogło być inaczej, ale cierpliwie czekał trzy lata, zanim się do niej odezwał. Zagadnął ją, dopiero kiedy skończył trzydziesty trzeci rok życia. To dobry wiek, żeby zadbać o sukcesję i dziedzictwo. Uznał wtedy, że dość rządów w ukryciu, nadszedł czas pognębienia uzurpatorów, prawowity władca powrócił z wygnania. Na szczęście szybko zrozumiała jego intencje i zakres władzy. Armin zgodnie z taktyką kampanii urodził się po roku. Przed drugim synem odczekali pięć lat, żeby mieć pewność, że są właściwie przygotowani.

Przed snem lubi sobie poczytać biografie słynnych monarchów, wodzów, krwawych satrapów. Uśmiecha się do siebie, gdy pomyśli, jak to kiedyś bywało, ale wie, że w dzisiejszym świecie dla takich ludzi nie ma już miejsca. Żartuje, kiedy żartuje, a pilnuje się, żeby nie zdarzało mu się to zbyt często, przynajmniej nie w urzędzie, że przewroty pałacowe i wojny stuletnie to nie jego domena. Rozumie, że dziś życie to praca, podatki, dom i rodzina. Tłumaczy spadkobiercom, że kto tego nie pojmie, ten jest smarkacz, tchórz i tak naprawdę boi się życia. Owszem, to smutne, ale przecież ZUS-y nie popłacą się same. Jakby zapomniał, że aby nauczyć dzieci odwagi do życia, najpierw trzeba pokonać w sobie lęk przed śmiercią.

Młodszy, Bonawentura, drugi z jego dziedziców, o poważnym imieniu dla poważnych ludzi, który nigdy nie był i nie będzie żadnym Bońkiem, Król Bartłomiej cieszy się, że ustanowił takie prawo, słucha wtedy uważnie i z powagą kiwa głową, nie podnosząc wzroku znad zarysowywanej kartki. Na papierze rycerze zwyciężają smoki, Batmany rozbijają nosy dwulicowym szaleńcom, rewolwerowcy zaprowadzają porządek tam, gdzie przygasła sprawiedliwa gwiazda. Bartłomiej nie pojmuje koślawych ilustracji syna, ale się tym nie przejmuje. Przecież rozumie, rozumie doskonale, że młodość ma swoje prawa. Jest ukontentowany, bo wie, jak będą wyglądały ich życia. Już je zaplanował, spokojne, dobre życiorysy, matury, studia, stypendia, pewne posady w administracji albo za biurkiem w mundurówce, bankowe inwestycje, fundusze powiernicze i najlepszy drugi filar. Nawet jeden czy dwa małe bunty, w okresie dojrzewania, dla rozruszania pałacowej straży. Teraz muszą tylko dorosnąć, dojrzeć do tego, by samemu wybrać to, co dla nich napisane.

Każdy dzień ma precyzyjnie podzielony. Siedemnaście i pół godziny od szóstej trzydzieści do dwudziestej czwartej. Piękne, dobre, równe siedemdziesiąt

roboczkwadransów. Jeden na ćwiczenia i jeden na poranną toaletę. Jeden na śniadanie. Dwa na dojazd do pracy. Jeden na rozpakowanie się i pierwszą towarzyską kawę. Rozumie, że właśnie za takie małe gesty kochają go poddani. Do przerwy dalszych szesnaście i jeden w zapasie. Jeśli to jest poniedziałek, w pudełku z drugim śniadaniem ma bułkę z szynką, sałatą i kiełkami. Jeśli środa, słodką drożdżówkę z serem i mrożoną herbatę. Czwartek to dzień sałatki z serem feta, oliwkami i pomidorami. Bardzo jej nie lubi, ale zjada sumiennie do ostatniej proteiny. Po przerwie jeszcze sześć roboczkwadransów, druga kawa, i pięć plus jeden, zanim zamknie biuro dla interesantów, uporządkuje papiery i podsumuje rozpatrzone sprawy. Nie jest głupcem ani fanatykiem i na koniec każdego etapu dnia daje sobie kwadrans zapasowy, gdyby musiał ratować plan, bo ktoś coś zawalił. Niech minuty też poznają łaskawość pana. Przygotował podobne grafiki na weekendy i urlopy, dni słoneczne i zimowe. Już dziś wie, co będzie robił po południu szesnastego października albo w drugi weekend listopadowy. Ma przygotowane trzydzieści dwa plany awaryjne na wypadek zdarzeń losowych, do których według badań dochodzi w domu najczęściej. Zawał, oparzenie, porażenie prądem, wypadek samochodowy, zatrucie środkiem chemicznym. Numery telefonów, diagramy postępowania, lista czynności do wykonania i odhaczenia, żeby nic nie umknęło uwagi, by porządek wziął górę nad zamętem. Nie jest głupcem i rozumie, że na wszystko przygotować się nie sposób. Ale to nie znaczy, że należy poniechać planowania.

Król Bartłomiej wszystko kocha, nad wszystkim pochyla się z równą uwagą, niczego nie lekceważy. Nie jest to trudne, zważywszy, że należą do niego wszystkie rzeczy, o które się martwi. Choćby cały wielki park na obrzeżach miasta. To tu rozpościerają się królewskie włości. Od stawu z wyspą na środku, gdyby była większa, postawiłby na niej swój letni pałac, przez górkę-strażnicę, na której zezwala harcerzom organizować zbiórki i palić ognie, budować watry, po rzeczkę na zachodzie, tę o tłustej wodzie, niosącą w sobie wszystkie wydzieliny miasta, jego miasta. Północne rubieże jego dominium okala stary poradziecki cmentarz, na który od dłuższego czasu planuje inwazję. Obłupane betonowe tablice, spróchniałe ławeczki i potrzaskane kolumny, które niczego już nie podtrzymują, wydają mu się dobrym terenem dla zasiania nowego życia, już widzi te powoje bluszczu pnące się po zmurszałym kamieniu, bujne kępy trawy między zgruchotanymi płytami, jaszczurki, nornice i wije, którym rozkaże się tam rozmnażać.

Należy do niego każdy ptak, każda wiewiórka, każda kijanka w kałuży, trzęsawisku i rowie technicznym. Przewodzi zaskrońcom, godzi i rozsądza spory między dzikimi ulami, zaczyna i kończy wojny między mrowiskami. Trzyma

w ryzach roje owadów. Lubi tę ruchliwą czeredę, ale pasie je ręką żelazną, nie dozwolił nigdy, żeby się zbuntowały. Po zażartych bojach podporządkował sobie dzikie koty. Teraz łaszą się do niego i znoszą mu pod drzwi lennicze wota, przebłagalne dary. Umie leczyć psy i wszystkie one też są jego własnością, oprócz jednego, młodego smukłego owczarka, bardzo zapuszczonego i agresywnego, który nigdy nie chciał uznać jego panowania. Z żalem, ale w poczuciu gorzkiej sprawiedliwości, skazał go na banicję, wypędził z parku, zabronił innym kundlom jakichkolwiek kontaktów. Król Bartłomiej wie, że byłby nie najgorszym bogiem, a tymczasem poprzysiął sobie, że pozostanie łaskawym władcą.

Nie lubił tylko ciemności, nawet gdy musiał jedynie wejść do pomieszczenia ze zgaszonym światłem, nawet w ciągu dnia, w szarówce wczesnego wieczoru lub mglistości poranka. Nie dlatego, że bał się czegoś, kogoś, ukrytego w cieniu. To byłyby lęki szkolne, dziecięce, wyrosłe na opowieściach kolegów i filmach w kinie nocnym, kończące się wraz z pierwszym kredytem i końcem okresu dojrzewania. Bartłomiej nie lubił po prostu idei wkraczania w ciemność, życia w mroku, wchodzenia do pomieszczeń, ślepej kuchni, przedpokoju w domku jednorodzinny, nieoświetlonego garażu, w których tuczy się cień, rozrasta jak pleśń, puchnie, nie wiedząc, co to światło.

Zadowolił się stanowiskiem kierownika wydziału planowania przestrzennego, bo wiedział, że w ten sposób uzyska największą władzę. Nie interesowały go oficjalne splendory i pochwały. Jakich zresztą splendorów może zaznać król od podwładnych? Czy Odyn w przebraniu ślepego wędrował wśród ludu, bo złakniony był hołdów i uznania? Bartłomiej zastanawiał się, o czym rozmyślał Macedeończyk, kiedy nocą zstępował między tarczowników, pił młode wino, obściskiwał dziewczki, gryzł ledwo opieczone mięso i udawał przed żołnierzami, że też boi się przed jutrzejszą walką. Tak dobrze go wtedy rozumiał. Udzielni władcy są równi tylko bogom i innym udzielnym władcom. Nigdy nie narzekał na pieniądze i zawsze miał ich tyle, ile chciał. Czasem musiał tylko spać, i to była jego jedyna słabość.

Budząc się w świecie Snu, nie pamięta niczego ze świata Jawy. Bartek jest tu mężem, ojcem i dobrym człowiekiem. Pracuje jako kierownik brygady, obecnie przy budowie autostrady. Ma czterdzieści cztery lata i czasem się zastanawia, czy już ominął go kryzys czwartego krzyżyka, czy dopiero powinien się na niego nastawić. Żartują z tego, nadzy, w łóżku, przed snem, kiedy Grażyna wyszukuje mu kolejne siwe włosy w bujnej kępie na klatce piersiowej. Stanowczo zabroniła mu je usuwać, mówi, że dzięki nim wygląda władczo. Bartek parska, kiedy to słyszy, ale

stosuje się do jej rozkazu. Przecież nie interesowałyby się nimi, nawet gdyby nic mu nie powiedziała.

Pracuje na kontraktach jako podwykonawca. Zdarzają mu się zlecenia, kiedy wyjeżdża w Polskę w poniedziałek i wraca późno w piątkową noc, żeby się zregenerować i nabrać energii na kolejny podobny tydzień. Czasem żałuje, że nie spędza w domu tyle czasu, ile by chciał i ile by było warto.

Budownictwo mostowe na politechnice skończył z wyróżnieniem. Sam nie wie, jak to się stało, okres studiowania wspomina klasycznie, jako czas nieustannych wycieczek integracyjnych, wódki pitej po akademikach, ognisk z gitarami, bezowocnego zakuwania do kolokwiów, z piwem i papierosem w ręku. Grażyna żartuje, że widać miał do tego smykałkę. To wtedy także zaczęły się jego wyjazdy. Zawsze marzył, by zobaczyć imperium Czyngis-chana, zwiewne jak buddyjska mandala z piasku, po którym nie pozostała żadna forteca, akwedukt i kamienny trakt, tylko mur wrogów jak zewnętrzny szkielet, kamienny kontur, ocalały, gdy znikło już otaczane przez niego ciało. Kiedy cała paczka Bartka uwalila kurs z matematyki analitycznej, on jako jedyny zdał, choć się tym nadmiernie nie przechwalał, postanowiła, że jeśli mają ich wypierdolić z uczelni, to niech przynajmniej wiedzą, kogo wyrzucają. Przygotowania poszły zdumiewająco szybko, jakby wyjazd organizowali spece od trekkingu z wieloletnim stażem, a nie uczelniane chlory, i już po miesiącu siedzieli w przedziałach transsibu, popijali herbatę z samowarów, zakąszali wódkę surową cebulą i mocno osoloną słoniną i integrowali się z milicjantami. Na łapówki stracili wtedy kilkaset dolarów, większość ich wspólnego budżetu, ale dojechali na miejsce, przez dwa tygodnie jeździli po mongolskim stepie na małych, wyrywanych kucykach, podbijali imperium rozkochane w trawie.

Grażynę poznał na ostatnim roku. Dziewczyna z psychologii, młodsza o rok, przychodziła do nich na uczelnię na kółko filmowe. Przedsięwzięcie było nietypowe i Bartek trafił na nie przypadkiem. Umówił się na wyjście z chłopakami, akurat wybrańcom bogów przelano stypendia socjalne i jakoś, wspólnymi siłami, trzeba było spożytkować tyle dobra, a że jeden z nich był maniakiem Lucasa, najpierw całą ekipą trafili do zaciemnionej sali wykładowej, na której końcu ktoś odpalił projektor. Bartek zdziwił się, bo zamiast o kinie moralnego niepokoju, uwikłaniach politycznych jednostki i problemach społecznych krajów wysokorozwiniętych ludzie z politechniki mówili o udźwiękowieniu, montażu, przełomowych technikach filmowania i efektach specjalnych. Grażyna, jedna z niewielu dziewczyn na pokazie, od razu go zaintrygowała.

Zaczął przychodzić na seanse regularnie. Wspólnie przerobili wtedy klasykę FX, od *Podróży na Księżyc* i *Metropolis* przez *Odyseję kosmiczną*, *Noc żywych trupów* i *Łowców duchów*. Zagadnął ją już na tym pierwszym spotkaniu i ostatecznie nie załapał się z kolegami na chłanie, podeszli pod jej stancję i chwilę pogadali, nic się między nimi nie wydarzyło. Lubił potem jednak myśleć, że tak, że od tego się zaczęło. Koleżeństwa już wówczas nie namierzył, to był wciąż czas bez telefonów komórkowych, i kiedy ekipa zmieniła lokal, zatarła za sobą ślad. Włóczył się wtedy przez pół nocy po mieście i patrzył na cienki jak krawędź dopiero co naostrzonej brzytwy księżyc na czarnym niebie.

Rozmawiali potem wielokrotnie, ale tak naprawdę odezwał się do niej dopiero podczas ostatniego spotkania filmowców, tuż przed końcem semestru, nie myśląc o pracy do napisania i obronie magisterki przełożonej na jesień. Proste: czy wyjdiesz na piwko? na kawę?, urosło do rangi deklaracji na całe życie. Zanim się odezwał, bał się, bał cholernie i wiedział, czego się boi, tych wszystkich, a co jeśli mnie wyśmieje? jeśli się nie zgodzi? jeśli uzna mnie za dupka i od jednego krzywego uśmiechu stracę u niej wszystkie szanse? Oczywiście w końcu się przełamał. No kurwa, to cię wyśmieje, nie zgodzi się i jeszcze uzna za dupka. Wielkie mi halo. Poza tym to tylko browar i kawa. Kiedy usłyszała jego dukanie, Grażyna rzeczywiście się roześmiała.

— Sory, bystrzaku, ale nie jesteś w moim typie. Dziewczyny z psychologii już takie są, nie słyszałeś? Nawet im samym trudno się ze sobą dogadać.

Ale potem usiadła obok i przez cały seans nachylała się nad jego uchem, szepcząc mu sprośne żarty na temat *Gremlinów* i tego, co jeszcze można ochlapać wodą, obowiązkowo w podkoszulku, żeby wyzwoliło się spod superego i narozrabiało. Bartek zrozumiał wtedy, że jest zakochany.

Bezskutecznie chodził wokół niej całe trzy lata. Tłumaczył ze słownikiem w rękę teksty angielskich piosenek, uczył się ich na pamięć i deklamował jako swoje wiersze, napisane specjalnie na tę okazję. Gotował zupy, pożywne krupniki, kalafiorowe i pomidorówki, i przywoził je w termosie na uczelnię w porze obiadu. Wysyłał kartki pocztowe bez słów, rysował na nich nieporadnie critersy, fraglesy i alieny, widokówki nadawane zawsze ostatniego dnia z nowych miejsc, do których trafiał. Zabrał ją na autostop i zjechali całe południowe Czechy, aż pod austriacką granicę. Częściej się nie zgadzała, niż zgadzała na jego propozycje, ale to go nie zniechęcało. Był już spokojny. Wiedział, ile jest warta.

W tym czasie obronił magisterkę, skończył staż w firmie developerskiej, wrócił do domu i załapał się do pierwszej poważniejszej pracy, w której pili z majstrem po ciepłym piwie zawsze przed rozpoczęciem szycy, a potem wymieniali okna

w domkach jednorodzinnych i kładli kostkę na podjazdach. W końcu to ona go poderwała. Bardzo silna, niezależna, żyjąca jakby obok świata. Piękna tym ukrytym, nieprzemijającym pięknem, które nie przejmuje się wahaniem mody i zmieniającymi się co sezon kanonami z kolorowych gazet. Grażyna wróciła właśnie do ich rodzinnego miasta i, nieco podłamana, złożyła papiery do urzędu miasta. Wtedy po raz pierwszy się przespali. Później śmiała się, że wykorzystał jej chwilową niedyspozycję, bezwzględnie skorzystał z okazji. No cóż. Nie zaprzeczał, nie lubił jej kłamać. W końcu nigdy mu nie powiedziała, dlaczego postanowiła jednak zaczekać z posadą w kadrach i rozglądnać się za szkoleniami na couching personalny.

W Śnie, przed snem, Bartek lubił poczytać o odkrywcach wymazujących białe plamy z mapy Ziemi, żeglarzach, przemierzających wciąż niepoznane oceany. Cook, da Gama, Amundsen nie śnią mu się po nocach, przynajmniej tak sądzi, nie pamięta bowiem, co mu się śni, ale lubi o nich myśleć przed zaśnięciem, szalonych i pewnych swego, zdesperowanych i zdeterminowanych. Czy w dzisiejszym świecie są jeszcze tacy ludzie? Żartuje, że dziś przygoda jest wtedy, kiedy uda mu się wykiwać dzieciaki i zostać z żoną sam na sam, choćby na piętnaście minut. Grażyna, oparta rękami o ściankę prysznicza albo późno w nocy rozłożona na łóżku w ich sypialni, parska wtedy, jęczy i dyszy, żeby się nie wygłupiał z gadaniem, robota czeka. Po wszystkim Bartek całuje ją w czoło. A potem w oko, nos, zjeżdża po policzku do szyi, mruczy i gryzie ją pod uchem jak wyposzczony wampir. Grażyna śmieje się i go odpycha.

— Wariat! Zawsze wiedziałam, że w końcu odbije ci szajba. Zamiast się wygłupiać, cwaniaczku, trzeba było zagryźć zęby przed chwilą i poczekać, żebym skończyła chociaż drugi raz. A tak człowiek potem sam musi, pod prysznicem, całe życie pod górkę... — Bartek puszcza do niej perskie oko i gasi światło.

Raz na kilka lat robi sobie przerwę między kontraktami i zostawia ją z premedytacją na dwa, trzy tygodnie z dziećmi. Lata wtedy do Kazachstanu, Gruzji, na Bałkany. A potem jeździ, stopem i lokalną komunikacją, pociągami i autobusami, włóczy się po obcych stolicach i wioskach zaszytych w górach wzdłuż granic. Przerażony jeszcze bardziej niż Grażyna. Bo co, jeśli rzeczywiście coś by mu się stało? Ale nie przestaje planować podobnych wypadów. Bardzo podoba mu się Skandynawia poza kręgiem podbiegunowym, choć rzadko go na nią stać. Te długie białe noce, skaliste góry schodzące wprost do morza, lodowate, czarnogranatowe fale. Tylko z aparatem fotograficznym i plecakiem, bez planu, ale przygotowany, śpiąc w tanich hostelach albo pod gwiazdami.

Mają trójkę dzieci, dwóch synów, którzy urodzili się jeden po drugim, bo zawsze chcieli mieć dwójkę dzieci, i córeczkę, Malwinę, o pięć lat młodszą od Wojtusia, z którą wpadli, jego ukochaną. Bartek we Śnie jest spokojny, choć nie ma pojęcia, jak będą wyglądały ich dorosłe życia. Czasem się tym martwi, ale to w niczym nie pomaga. Bierze wtedy książkę i czyta im przed snem o Conanie, Robin Hoodzie albo Thorgalu, bardziej żeby uspokoić siebie niż ich, udowodnić, że ze światem też da się zmagać. Stara się spędzać z nimi przynajmniej tyle czasu, żeby wiedzieć, kim są obecnie, kogo nienawidzą, co lubią robić, o czym nie znoszą rozmawiać. Kiedy się czegoś boją, nie bagatelizuje tego i nie każe im się wziąć w garść. Z Markiem, starszym, ale chudszy i niższy od Wojtka, zaczął trenować podstawy boks, żeby koledzy przestali mu dokuczać w szkole. Nie przestali, a Marek szybko się zniechęcił, powiedział, że woli piłkę nożną i basen. To Bartek zabrał go na murawę. W klubie chłopak też nabrał pewności siebie, przestał się bać, że inni rozkwaszą mu nos albo wybiją zęba, na boisku nie takie rzeczy się działy. Albo kiedy u Malwiny w klasie zrobiło się gorąco na Facebooku, Bartek porozmawiał z Joąską, co ona robi w takich przypadkach w starszych klasach, i z miejsca zgłosił to na policję. Już samo to wystarczyło. W szkole wybuchła awantura, rodzice oskarżonych dzieci obrazili się na Bartka śmiertelnie, na specjalnym zebraniu omal nie doszło do rękoczynów. Grażyna bardzo go wtedy skrzyczała, dlaczego niczego z nią nie skonsultował, że są inne sposoby, policja w szkole to przecież też jest trauma. Obraziła się na prawie tydzień, ale nie czuł żalu. To było jego dziecko i nie zamierzał za to nikogo przeproszać.

Bartek w Śnie trochę biega, trochę pływa, czasem chodzi na saunę. Nigdy nie spotkał Potwora. Tak naprawdę pilnuje tylko cotygodniowych treningów syna, na nic innego nie ma za bardzo czasu. Ubolewa nad tym brakiem regularności, ale wie, za co tak płaci. Walczy o to, czego pragnie, i czasami przegrywa. Wścieka się wtedy, irytuje, a w końcu uśmiecha, wzrusza ramionami i zabiera do dalszej pracy. Życia nie przeżyje się przecież dwa razy. Nie do końca mu się podoba, że bywa lekkomyślny, wydaje oszczędności na swoje wyjazdy, zamiast nadpłacić kredyt, zamienić samochód na nowszy. Ale nie rezygnuje. Czasem boi się tylko, czy jest na wszystko przygotowany. Ale i o tym nie myśli za dużo. A kiedy zdarza się, dochodzi do wypadku, Wojtek rozciął brew, Malwina zgubiła się w galerii, Grażyna rozbiła auto, łapie za telefon i działa. Wie, kogo może o co poprosić i nigdy się przed tym nie waha.

Gdyby teraz miał umrzeć, nie umiałby zostawić żony i dzieciaków, tego wszystkiego wokół, na myśl o tym żal tak mocno ścisnął mu pierś, że nie potrafił oddychać, w głowie wirowało, ale wie, że niczego by nie żałował. Że wszystko

zrobiłby tak samo. Może pojechał w inne miejsca, znalazł inną pracę, więcej ćwiczył. Ale to przecież nie ma znaczenia. Tylko Grażynę odnalazłby taką samą, w każdym z możliwych światów. Tymczasem zaczął odkładać pieniądze i wyliczył, że za dwa lata będzie go stać na motocykl. Pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie, ale... Nie powiedział jeszcze żonie, że zawsze chciał pojechać w ten sposób do Irlandii.

Śnił mu się tylko jeden sen, zawsze ten sam. Że nie jest człowiekiem, którym jest. Na szczęście po przebudzeniu niczego nie pamiętał. Kiedy kładł się obok żony i zasypiał, wracał do świata Jawy.

Wracając ze Snu, Bartłomiej budzi się rozdygotany. Rozbity, nieludzko przestraszony. Nie do końca wie, skąd się bierze to przerażenie. Jak da się tak żyć? Ale przecież nie może chodzić tylko o to. W świecie, w którym zapomniałeś sny, nie musisz się przynajmniej bać tego, że ktoś może cię ich pozbawić. Przez chwilę, tę najstraszniejszą, jak zawsze upewnia się, z trudem łapiąc oddech i próbując uspokoić galopujące serce, że to tylko sen, że nikt nie podmienił mu życiorysów. Dłużej, choć ten obraz budzi największą grozę, wyrywa dziurę w sercu, wspomina Malwinę. Czy właśnie tak by wyglądała?

Czasem Bartłomiej myśli o tym życiu fikcyjnym, nie-swoim, odgrywanym we Śnie jak w teatrze. Czy na Jawie? Jak rozpoznać, które z żyć Król przeżywa naprawdę? Jak to sprawdzić? Przerażony, bawi się myślą, jakby to było, gdyby podejść w nocy do sypialni jednego z chłopców, ze specjalnie kupioną na tę okazję brzytwą, delikatnie, bardzo delikatnie, przecież to jeszcze dziecko, naciąć cienką skórkę na drobnej czaszce, szepcząc uspokajająco, pociągnąć ostrzem aż za uszy. A potem, zanim maluch się obudzi, mocnym szarpnięciem zdjąć tę maskę, obnażyć czaszkę i prawdziwe rysy świata skryte pod fałszywym obliczem kukły. Ale nie podchodzi, jeszcze nie, przynajmniej nie tej nocy. Boi się, do jakiej prawdy by dotarł, co mógłby wtedy zobaczyć.

Po obudzeniu Bartłomiej sprawdza, czy Grażyna śpi obok. Nie musi kontrolować godziny, żeby wiedzieć, że jeszcze za wcześnie. Przypomina sobie, co to za dzień. Cicho wstaje, nalewa sobie kubek zimnego mleka i schodzi do piwnicy, nad jasno rozświetlone łąki i gaje. Czy Maurycy też nie może dziś spać? A Aneczka? A Joanna?

Maurycy kończy serię ćwiczeń, na ostatnim oddechu, spocony, w samych slipkach, tak jak się obudził, Aneczka na zimnym łóżku wgapia się w sufit, Joanna wraca do domu przed świtem, zamyka drzwi od wewnątrz, głęboko oddycha w ciemnościach korytarza. Król Bartłomiej popija z kubka i pilnuje swoich włości aż do rana.

Poranna musztra jest sprawna i zdyscyplinowana. Toaleta, śniadanie, narzekanie chłopaków na odświętne stroje wybrane przez matkę za dyskretnym przyzwoleniem Bartłomieja, dziecięce przekomarzanie nad zabawkami, które będą musieli zostawić. Grażyna, Bonawentura, Armin, wszyscy znają swoje miejsca, grafik wyjazdu, choreografię przygotowań, pilnują synchronizacji. Król Bartłomiej w świetle Jawy nie myśli o Śnie, ale to nie znaczy, że o nim nie pamięta. Do jego obowiązków należy także dźwiganie i tego ciężaru. Kiedy patrzy na swoich podwładnych, cieszy go to pszczele zaangażowanie.

Z Joanną umówił się na jedenastą. Bartłomiej wie, że siostra nie spóźni się choćby minuty ani też nie przyjdzie zbyt wcześnie. Nie mógłby powiedzieć, że ją kocha, ale na pewno ceni jej uporządkowanie. W domu Babuli powinni zjawić się o dwunastej. W domu Potwora. Spogląda na zegarek i gani się za tę nerwowość. Na pewno zdążą. Bez nich nie zaczną.

Joanna już czeka przed drzwiami. Nie wchodzi do domu, a Grażyna nie nalega. Bartłomiej wycofuje samochód z podjazdu. Pakują się do niego wszyscy, Joanna i dzieciaki z tyłu, i wolno ruszają, w zgodzie z przepisami. Bonawentura i Armin od razu zaczynają pytać, co ciocia ma w plecaku. Grażyna ich ucisza, Joanna się uśmiecha i zaczyna się z nimi bawić w zgadywanie koloru samochodu wyjeżdżającego zza zakrętu. Ale plecaka z rąk nie wypuszcza.

— Bartłomiej, czy Maurycy i Anka już...

— Spokojnie. Nie spóźnią się, przecież wiesz.

Kiedy zajeżdżają przed dom matki, Maurycy z siostrą już stoją przed furtką. Bartłomiej nie wie, czy dopiero przyszli, czy też rzeczywiście czekali, aż pojawią się wszyscy, ale jest zadowolony z tego, że w ten sposób okazano mu szacunek. Boi się, z każdą minutą coraz bardziej. Parkuje auto przy płocie, obok sportowego roweru brata. Ubrana trochę zbyt lekko jak na taką pogodę Aneczka musiała przyjechać autobusem podmiejskim i ostatnie metry przejść pieszo. Jest chłodniej niż wczoraj, powietrze pachnie jak wilgotny kamień. Bartłomiej ocenia wszystkich jednym spojrzeniem. Są gotowi. Pielgrzymka Strachów.

— Cześć.

— Cześć.

Żeby nie przeciągać milczenia, Maurycy naciska klamkę, otwiera zardzewiałą furtkę i wchodzi na ścieżkę prowadzącą do piętrowego budynku. Nawet dzieci Króla idą karnie, jakby przestraszone, przytłoczone zdziczałym ogrodem wylewającym się na spękany beton, nieubłagane wspinającym na siatkę płotu, zerkającym ślepymi jagodami usychającego cisu w okna, by podglądać ludzi i sprzęty. A ziarno wzrasta. Chłopaki nigdy nie przepadały za wizytami u babci.

Budynek jest stary i wielki. Mogłoby się wydawać, że za duży dla matki. Ale Strachy wiedzą, że czasem i w nim nie ma się gdzie schować. Babula mieszka pod miastem, dalej jest tylko las, ambony myśliwskie na polach i rowy melioracyjne. Za dnia wygląda to normalnie, ale kiedy przychodzi noc, kiedy zapada zmierzch, a z ziemi podnoszą się mgliste opary, wygląda to tak, jakby w murach budziło się coś jeszcze. Kiedy Strachy były małe, bardzo się tego bały. Kiedy dorosły, nigdy na ten temat nie żartowały. Nikt też nigdy nie zapytał matki, czemu się stąd nie wyprowadzi.

Przed drzwiami Maurycy chciałby zerknąć za siebie, czy wszyscy są razem, czy żaden nie uciekł, ale obrzuca tylko spojrzeniem swoją czarną sylwetkę, czarne bojówki, bluzę taktyczną, zasnurowane wysoko czarne opinacze. Poprawia plecak i upewnia się, czy płaski rozkładany kształt leży spokojnie w kieszeni spodni. Nóż czeka. Maurycy naciska dzwonek.

— O, cześć. Już jesteście? Szybko. — Myszka staje w progu i wita ich z szerokim uśmiechem.

Maurycy dziwi się, ale zaraz sobie przypomina. Ich najmłodsza siostra? Patrzy po reszcie, wszyscy wydają się równie zdziwieni. Jakby patrzyli na nią po raz pierwszy. Całe rodzeństwo Strachów, zrodzone przez Potwora. Wreszcie w komplecie. Maurycy chce coś odpowiedzieć, ale dziewczyna przepuszcza ich i na powrót znika.

— Dzieci. — Z korytarza wyłania się Babula. Jest bardzo drobna, chuda i zadbana. Ma kruche dłonie, jak ze szkła, pokryte skórą delikatną i przezroczystą jak owadzia wylinka. W domu panuje porządek, musi panować. Matka zaprasza ich gestem do środka, a sama wraca do kuchni. Jej głos stamtąd przywołuje wspomnienia. Jakby nic się nie zmieniło. — Wejdźcie, siadajcie. Cieszę się, że przyjechaliście, tak rzadko się teraz... Umyjcie ręce. Już zaraz podaję. Wiecie co gdzie znaleźć.

Maurycy wciąga powietrze i spina się jak przed walką, Aneczka uśmiecha się, uśmiecha, Joanna kończy liczyć do osiemdziesięciu trzech i zastanawia się, czy zdążyłaby jeszcze do osiemdziesięciu dziewięciu, decyduje, że tak, mają przecież wciąż czas, Bartłomiej wydaje sobie rozkaz i wypełnia go z najwyższym trudem. Dzieci, zamiast rozbiec się po pokojach, budynek jest jak labirynt Hogwartu, zamiast zwiedzać lochy piwnic i wielki, zaczarowany ogród pełen zardzewiałych sprzętów, mysich gniazd i z wieżą rozpadającej się altany, wyciągają przenośne konsole i siadają cicho na przykrytej włochatą narzutą kanapie. Wdychają kurz i zaczynają skakać po kolorowych, wesołych platformach, zabijanie zombie, nazistów i innych potworów zostawiając instynktownie na inną, lepszą okazję.

— Pomogę mamie. — Grażyna znika za Babułą w pokrytej lamperią kuchni, w której skwierczy tłuszcz na patelni i unoszą się soczyste zapachy.

Strachy zajmują miejsca za stołem i czekają.

Matka Strachów ma ponad sześćdziesiąt lat i świetnie się trzyma jak na swoje lata. Siwowłosa, w prześwitującej podomce narzuconej na domowe ubranie, którą pamiętają jeszcze z dawnych czasów, z włosami od zawsze ściągniętymi w kok. Jak ikona wszystkich matek wszystkich Strachów ze wszystkich czasów. Nosi się na szaro, nigdy głośno nie protestuje, ale rzadko nie ma swojego zdania. Mówi mało, ale wciąż jeszcze sporo je, z dużym apetytem, jakby próbowała uszczelnić przeciekającą tamę. Od lat nie przytyła ani grama.

Czasem, niespodziewanie, wybucha gniewem. Mogłaby wówczas chłostać kuchenną ściereczką morza i upokarzać wiatry. Boją się jej wtedy nawet ognie na niebie, przelatujące meteory gasną w bezgłośnej implozji w strumieniu dymu i pary. Kiedy się opamięta, uśmiecha się delikatnie, bardzo dziewczęco, i wtedy spod jej obecnej maski widać twarz kobiety, którą niegdyś była. Oprócz tego nie uśmiecha się zbyt często. Nie zabiega o swój autorytet, ale, o dziwo, Strachy jej słuchają. Nigdy jej nie zapytały o Potwora, tego też się bały.

Na stole już czeka niedzielna zastawa z tułowickiej porcelany. Talerze są stare i pokruszone, a zdobienia wyblakły, ale biała emalia wciąż błyszczy jak kość. Przez wysokie odsłonięte okna wpada przymglone światło wrześnieowego popołudnia. W powietrzu obijają się drobiny kurzu, wiercą w nosie. Strachy udają, że naprawdę przyszły tu na obiad.

Maurycy poci się i może by się czegoś napił, choć rzadko robi to przed wieczorem, ale na stole nie ma kieliszków i Maurycy, niewolnik ciała, wie, że w całym domu nie znalazłby ich całego kompletu. Wzdycha. Rozgląda się, czy nikt nie zauważył. Boi się. Zaciska pod stołem dłonie i je rozprostowuje, po raz kolejny sprawdza, czy w kieszeni bojówek leży płaski kształt składanego krótkiego noża o mocnym ostrzu, którym kiedyś, w ciemności, wykłuł oko. Strasznie się wtedy przestraszył. Scyzoryk oczywiście znajduje się na miejscu, ale dotyk przywołuje do porządku, przypomina, po co się tutaj zebrali. Maurycy myśli o tym, co będzie musiał zrobić. Co będą musieli zrobić. Myszka wyłania się tuż obok i podsuwa mu herbatę w szklance z ciemnego, nietłukącego się szkła. Maurycy się dziwi. Czasem, zanim o niej zapomni, ma wrażenie, jakby Myszka była niewidzialna, pojawiała się tylko, kiedy ktoś zwraca na nią uwagę, i zaraz znikała, rozwiewała w zakamarkach świata.

— Cukru?

Wzdryga się, kiedy dostrzega obok uśmiechniętą łagodnie twarz. Siostra? Maurycy przypomina sobie, że jednak nie jest najmłodszy.

— Dostałeś mojego SMS-a — dziewczyna stwierdza, nie pyta. — To dobrze. — Uśmiecha się i znika. Pojawia się i pyta — ktoś jeszcze chce owocową? Czy wszyscy pijecie czarną? Anka?

Aneczka jest zakłopotana. Jakby zobaczyła ducha. Rozpromienia się w szerokim uśmiechu.

— A jaka to mieszanka? Wiesz, dobra herbatka ziołowa świetnie wpływa na cerę...

— Joaśka? Bartłomiej?

— Ja poproszę czarną. To co u was słyhać?

— Bez cukru, jeśli dobrze pamiętam? — żartuje Myszka.

Joanna rumieni się, jakby przyłapani ją na czymś bardzo złym, jakby naprawdę już spróbowała tej słodczy w cierpkim płynie, ale potem mruga do siostry figlarnie. Boi się, ale nie umie się powstrzymać. I zaczyna szybko liczyć, do trzech, potem pięciu, potem siedmiu.

— Bez cukru, bez. Mhm. Wiesz. Trzeba dbać o linię.

Bartłomiej tylko się krzywi. Skąd ona się tu... Taka niesubordynacja. Ale zaraz zapomina, co wzburzyło Króla, wzbudziło święty gniew.

Grażyna wnosi wazę z parującym rosołem.

— Armin, Bonawentura, chodźcie już do stołu. — Dzieci niechętnie wstają, ale boją się sprzeciwić. Za nimi wchodzi babcia, donosi sól, pieprz i maggi, siada na swoim miejscu.

— Jedzcie, jedzcie. — Jakby naprawdę przyjechali tu na obiad. Grażyna nalewa do talerzy. — To opowiedzcie starej matce, jak wam się żyje? Maurycy, masz dziewczynę? Już czas najwyższy, znalazłbyś sobie jakąś, taki chłopak jak malowany. Ania, nie myślałaś o powrocie na studia? Wiem, wiem, to nie moja sprawa. Spytać się już nie można? I wasze dzieci już takie duże...

Strachy w roztargnieniu kiwają głowami. Myślami są już przy czym innym. Nikt nie zjawił się tu po to, żeby pić herbatę. Ale na razie rozmawiają. Maurycy pyta, czy nie musi rozmówić się z jakimiś sąsiadami, no, jakby się któryś naprzykrzał, to się raz-dwa załatwi... mama wie. Aneczka z uśmiechem upewnia się, czy Babula nie czuje się sama w tak wielkim domu. Kobieta zmęczonym głosem zaprzecza, jaka sama... ale akurat wtedy Joanna chwali zupę, a Bartłomiej strofuje dzieci i pokazuje im, jak należy siedzieć przy stole, zwłaszcza w gościach. A teraz podziękujcie babci za ten przesmaczny obiad. Dzieci nie zdążą się odezwać, kiedy pyta, czy niczego matce nie potrzeba, pieniędzy, sprzętów, nic się

nie zepsuło? Listonosz z emeryturą się nie spóźnia? Jakby co, to się zorganizuje. Babula milczy, bo to, czego jej trzeba, nie leży już we władztwie panów tego świata. Maurycy, Aneczka, Joanna i Bartłomiej nie umieją powiedzieć, czy matka cieszy się z ich wizyty, czy na nią czekała, czy dla niej też to niezbędna, choć męcząca ofiara.

Na drugie są tłuczone gotowane ziemniaki, czerwona kapusta, wysmażone schabowe w złotej panierce. Gdyby nie myśleli o czym innym, na pewno by im smakowało. Teraz żują mięso, jakby jedli papier. Babula słucha, jak mówią dalej: Maurycy o siłowni, Aneczka o chorobach i najlepszych ziołach, które mogą na nie coś zaradzić, Joanna o serialach, Bartłomiej o pracy.

— Gdzie się znowu podziała ta dziewczucha? — przerywa im. — Ewa, Ewka? Dzieciom pić się chce, soku byś doniosła. Sama bym, ale już nie te lata...

Grażyna podrywa się zza stołu, chce pomóc, inaczej nie wypada, ale wtedy Myszka pojawia się obok chłopaków i dolewa im napój z napełnionego dzbanka. Maurycy wzdryga się, przypomina sobie, że jednak nie jest najmłodszy.

Kiedy Strachy kończą drugie danie, rozpoczyna się część nieoficjalna spotkania. Grażyna pomaga teściowej zebrać talerze, a Anka z Joanną kroją ciasto i parzą kawę. Dzieciaki sadowią się znów na kanapie i dla nich ta wizyta wraca na znane tory, wiedzą, że to jeszcze trochę potrwa, ale znów mogą się bawić. Maurycy i Bartłomiej wstają, rozchodzą się, prawie ze sobą nie rozmawiają. Spacerują po domu, wchodzą na piętro, do swoich starych pokoi, dotykają dawnych sprzętów. Niektóre są wyczyszczone, a inne pokrywa lekka mgiełka kurzu, w ostatnim tygodniu Babula o nich najwidoczniej zapomniała. Obaj omijają gablotkę z pamiątkami po ojcu i starają się w jej stronę nie patrzeć. Tylko co jakiś czas zerkają w kierunku zejścia do piwnicy, drzwi czekają już na korytarzu. Wracają do stołu, uśmiechają się, chwalą ciasto i czekoladki. Czekają.

W końcu, kiedy dolewka kawy jest już filiżankach, a nadgryzione porcje szarlotki leżą nieporadnie na talerzykach, wyczekując, aż ktoś się zlituje i dokończy ich mękę, Strachy rozpoczynają rytuał. Wymykają się po kolei, dyskretnie, w równych odstępach czasu i ustalonej kolejności, choć nigdy na nic się nie umawiali. Kiedy Potwór wraca, Strachy trzymają się razem.

Maurycy jest pierwszy. Przemyka w stronę drzwi do piwnicy. Rozgląda się, czy nikt go nie widział, wyciąga nóż, rozkłada ostrze. Zamyka oczy i głęboko oddycha kilka razy. W końcu zstępuje po stromych schodach. Tak bardzo się boi. Czuje, jakby serce zaraz miało mu wybuchnąć w gardle.

W piwnicy jest ciemno. Kiedy byli mali, myśleli o niej jak o rozległych lochach, labiryncie pod domem, w którym czai się ciemność, wilgotnym i zawsze

chłodnym przejściu do innego, gorszego świata. Nigdy nie lubili się tu bawić. Maurycy pstryka włącznik światła, choć wie, że pali się ono tylko na korytarzu, nie rozjaśnia poszczególnych wnęk i zakamarków. Za uchylonymi drzwiami kolejnych pomieszczeń widać zakurzone słoiki, nieużywane patelnie, ozdoby choinkowe zapakowane w grube foliowe worki, kartony z zapleśniałymi ubraniami. I tylko to jedno pomieszczenie jest zamknięte. Wielkie, puste, ale nie do końca, nigdy nie opuszczone w pełni, czarne.

Rytuał trwa długo. Stają przed nim po kolei, tak jak od wieków, tysiącleci, eonów stawały wszystkie pokolenia Strachów. Pustka i ciemność przed nimi wygląda jak cień nocy, kształt burzy, czarny bałwan bez oczu, przed którym kulili się nadzy i umazani krwią, w jaskiniach dudniących echem odległych ogni, w spalonych gajach, czarnych ruinach zmurszałych gontyn. I modlą się, i proszą, i oddają hołd. Nie wiedząc, czy bardziej boją się, kiedy ich wysłucha, czy kiedy od nich odstąpi. Chcieliby go zabić i boją się, że mogliby to zrobić. To też jest część ofiary.

Maurycy trzyma w ręku nóż.

Kuli się, dygocze, drży tak, jakby zaraz miał się rozlecieć, po skórze czaszki ciekną mu wielkie, tłuste krople potu. Chciałby się rozpłakać, ale tak mocno zaciska powieki, że nie jest to możliwe. Pilnuje tylko z całej siły, żeby nie puściły mu zwieracze.

Wie, że gdyby rozchylił powieki, cień przed nim ułożyłby się w kształt brutalnego cyklopa-osiłka, troglodyty rozsadzającego barkami kamienne sklepienie, ogra ze szczęką pełną połamanych zębisk, dzikim, wściekłym wzrokiem, ryczącego bezgłośnie, tłukącego wokół kanciastymi pięściami. Kłęby mięśni jak rakowata narośl, potężny kark, żyły na monstualnych przedramionach, szara skóra opięta na udach jak stalowe filary, długi, ciemny, ciężki fallus. I blizny, setki blizn na tym cudownym ciele, otwarte rany po kłach, kościach i żelazie, plemienne skaryfikacje, oberwane uszy, rozgnieciony nos goryla przywódcy stada, wyblakłe tatuaże. Gdyby tylko rozchylił powieki, Maurycy wie, co by zobaczył.

Wyciąga drżącą, otwartą dłoń. Ostrze w drugiej jest tak zimne, że aż parzy. Jest przerażony i podniecony. Nacina ciało głęboko, powoli, pod powiekami wybuchają gwiazdy. Ale nie przyspiesza, ból to także część rytuału. Zbliża się o krok, dwa, i przystaje. Ciemna krew kapie na betonową posadzkę, i ciemność pije, wrzeszczy, pije łapczywie, chłepcze to, co jej dane. W końcu Maurycy wycofuje się chyłkiem i, już na zewnątrz, owija dłoń białą chusteczką, świeżo wypraną specjalnie na tę okazję.

Aneczka jest następną. Boi się tak bardzo, że nie czeka i od razu, kiedy tylko zamknie drzwi, kiedy jeszcze stoi odwrócona plecami do pustki, zaczyna się miękko kołysać. Powoli, niespiesznie, coraz płynniej. Zmysłowo. Uśmiecha się do siebie, tylko na moment. Czuje, jak pod tłustym welonem strachu zapala się niewielki płomyczek pożądania. Pozwala mu dojrzeć i rozgorzeć ciemnym ogniem. Odwraca się, wiruje, kołysze. Rozpina pierwszy guziczek cienkiego sweterka, potem kolejne. Przy ramiączku waha się, ale tylko chwilę. Z resztą garderoby idzie już bardzo łatwo. Piersi są ciężkie, tak przyjemnie ciężkie, zjeżdża dłonią niżej, jak zawodowa tancerka, która rozbiera się nie dla klienta, tylko wymarzonego chłopaka, brzuch jest płaski i twardy, gorący, jakby coś w nim pulsowało. Aneczka uśmiecha się zalotnie. Porusza się coraz szybciej i zagryza wargi. Ale i tak z gardła dobywa jej się długi, niski jęk, zachrypłe westchnienie spoza rejestru istot obdarzonych mową. Pod powiekami wybucha niekończąca się kaskada. Tak dobrze. Tak strasznie. Aneczka nie otwiera oczu, nie musi. Wie, kogo by ujrzała.

Ciemność z zakamarków owija się wokół niej jak wampir ze starych filmów, w cylindrze i z długimi puklami włosów opadającymi na ramiona, uwodzicielsko, magnetycznie, kiedy Aneczka wiruje, rozbiera się, dotyka, tańczy, czekając, aż ją dotknie, aż ją weźmie, przekłuje ten balon bolesnego przerażenia i pożądania, choć wie, że tak się nie stanie. Aż w końcu Potwór ukazuje jej swą obcą twarz, nachyla się nad nią, bezokie monstrum, amant o pysku tasiemca z koncentrycznie rozchylającymi się ząbkami, obły jęzor, jak szorstki, cuchnący ślimak, wślizguje się do mózgu, zlizuje wspomnienia i lęki, taki piękny, mięsisty i twardy.

Joanna wchodzi do pustej piwnicy cicho jak do kościoła. Zamyka dyskretnie drzwi, spuszcza głowę i klęka. Patrzy w posadzkę, nie unosi wzroku, z fascynacją i grozą, w przerażającym uniesieniu. Nie musi patrzeć, żeby wiedzieć, że ciało Węża jest potężne, kamienne. Piękne. Straszne. Ale to nie dlatego mu służy. Boi się. Słyszy, jak powieki z cegły i żelbetowego zbrojenia przesuwają się z szelestem, kiedy Wąż o tysiącu oczu wije gniazdo pod światem. Przechodzi ją dreszcz. Strachu? Podniecenia? Czy to ważne? Różnica tkwi w ciele bojącego się. Joanna oddycha coraz płycej i czuje pod sobą chrzęszczące pulsowanie. Wraz z wilgocią Wąż przesącza się przez betonową posadzkę, wąskie pęknięcia muru. Wrasta w kamień, podziemne żyły skał, jego ciało zdobią plamy mchu i srebrnej pleśni, jak pradawne, niezrozumiałe malunki naskalne. Joanna nie musi patrzeć, żeby widzieć. Jak wije się, rozpycha tłustą ziemię, a ze źrenic bez powiek osypują się śmieci, zbutwiałe liście i martwe robaki. W zimne cielsko wrastają korzenie drzew, fundamenty nowo stawianych domów, sztolnie i tunele ryte pomiędzy kamiennymi wnętrznościami. Kiedy Wąż obraca się, rozstępuje się ziemia na polach i wypycha

kamienie, zmurszałe kości dawnych wojowników, pogięte groty włóczy, złożone Wężowi w ofierze, które pożarł i przetrawił. Jego nieruchome oko otwiera się w mokrej ciemności na dnie głębokiej studzienki przeciwpowodziowej, na wygaszonym ekranie wyłączzonego telewizora, nad ranem, kiedy już nikt nie patrzy. W opuszczonych gniazdach ptaków, pełnych rozpadających się szkieletów gryzoni i skorup po gadzich czaszkach. W pęknięciach futryn, gdy przymkniesz oczy, w narożnikach ścian. Nigdy nie odwraca wzroku. Wierni dziękują mu za to: kto ich pokieruje, jeśli nikt nie patrzy? Jego ciało tętni pod stopami. Tak że nie wiesz, czy to już odsłonięte nerwy i żyły, splątane ścięgna i wnętrzości cuchnące rozlanym elektrolitem, czy jeszcze nieczynny skup złomu, na którym kłębią się amorficzne tony przerdzewiałego żelaza. Jak nie ukorzyć się przed takim panem?

Joanna powstrzymuje się, żeby nie liczyć, ale i tak porusza ustami i bezgłośnie szepcze, a kiedy się wsłuchać, a Potwór potrafi się wsłuchiwać, można usłyszeć gorliwe, wypowiedane z ulgą słowa.

Strachu nasz,
któryś jest w sercach
święć się imię Twoje
bądź królestwo Twoje
w nocy wśród obcych i w dzień między swymi
chleba swojego najczarniejszego
racz nam nigdy nie skąpić
i odpuść nam nasze lęki
jako i my je sobie odpuszczamy
i nie wódź nas na pokuszenie
odwagi, dziecięcego śmiechu, wyprostowanego karku
ale nas zbaw od tego,
czego się nie lękamy.

Joanna szepcze „Amen”, podnosi się i wycofuje do wyjścia, nie unosząc głowy. Po niej zstępuje Bartłomiej. Cała ziemia wzdycha, kiedy pokutują królowie. Tak jest i tym razem. Król płacze.

Płacze, korzy się, kuli, skomli. Z ulgą oddaje kontrolę nad swoimi poczynaniami ciała migdałowatego, centrum dowodzenia w prymitywnym mózgu gadzim, ukrytym głęboko pod korą nową i substancja białą, stworzonym do tego, żeby żyć w strachu, to dla niego stan naturalny. Po ciele Bartłomieja rozlewa się pierwotna rozkosz ucieczki i walki. Składa pokłon. Głęboki, bizantyński, rozplaszczony na mokrym kamieniu, z twarzą przy chropawej posadzce, i tak jeszcze trzy razy. Słyszy, jak Żelazny Karzeł staje nad nim, chrząści kolczastą

zbroją. Cień o mechanicznych, bezbłędnych ruchach, nieludzko precyzyjny, potężny, władczy. Przerazający bezruchem maszyny, nieznający litości ani innych słabości ciała. Gdyby teraz Bartłomiej podniósł wzrok, zobaczyłby wreszcie to, co nienazwane. Ale nie unosi głowy, rozumie, że wtedy wszystko by zaprzepaścił. Zamiast tego, na oślep, całuje żelazne stopy, ślini się, obciera z ust posmak kredy. Bije czołem w ziemię. A Potwór stoi, milczy. Bez zbędnego ruchu. Jednym gestem, z chrobotem żelaznych stawów, rozwija skórzany bicz, ciemność kołysze się wokół mokrego królewskiego policzka. Omiata jego kark, jak twardy czerw, wsuwa się pod wargi. Żelazny Karzeł patrzy w dół, na ludzkie ścierwo, zadowolony, pełen pogardy. Bartłomiej szłocha z miłością i poddaniem. Przynajmniej ten jeden raz jeszcze się udało. Ulga jest namacalna, rozlewa się po ciele jak lepka, gorąca fala.

Niedostrzeżona Myszka wchodzi do piwnicy wraz z rodzeństwem. Jest z nimi od początku. Nie błądzi, wie od razu, dokąd się skierować. Ma dwadzieścia lat i oprócz tego, że potrafi znikać, jest całkiem normalna. Przemyka bezszelestnie za Maurycym, staje cichutko w kącie, wśród cieni, niezauważona. Oczywiście. Na odległym korytarzu miga słaba lampka, nieosłonięta żarówka jak umierająca gwiazda. Ewa milczy. Obserwuje. Patrzy na Potwora w jego prawdziwej postaci i pozwala, żeby Potwór napatrzył się na nią. I ona musi coś stracić. W końcu Strachy odchodzą, ale wiedzą, że będą musiały wrócić. Nic się nie kończy. Spełniona ofiara.

Ewa wychodzi zaraz za nimi, wstępuje na schody, które nie prowadzą do światła. Lekko przeskakuje ze stopnia na stopień, otwiera drzwi. Mruży oczy. A dni robią się krótkie i zmatowiałe jak pusty wzrok zmęczonego kloszarda. Z północy nadciągają tłuste burzowe chmury, mokre od śniegu i tego, co przyjdzie razem z nim. Pożółkłe na drzewach liście drżą spazmatycznie, jak ryba, która wypłynęła na brzeg w poszukiwaniu lepszego świata, a wichur przetacza się pomiędzy zmierzchami, goniąc w rozpadlinach ulic tabuny śmieci i ludzi. Fasady bloków są szare, ale łapią w czarne okna ostatnie promienie światła. Na autostradzie umarł pies i zauważyłem to tylko ja, bezkształtna rozjechana masa nie przypominała niczego, co pochodzi ze świata żywych i martwych. Jeszcze tylko błyszczą klucze ptaków na ciemniejszym niebie, schwymany przez znikające za granicą ziemi światło. Krople blasku jak istoty nie z tego świata, biali posłańcy w drodze, wędrowcy spoza krain człowieka. I tak zmierzch zapada nad miastem.

Z piwnicy wychodzi Myszka. Zamyka za sobą drzwi. Myśli o tym, co to znaczy być ze Strachów. Znika.

I zaczyna się bać.

Żadna na ziemi rzecz

Anioł patronujący memu narodzeniu

*Rzekł: Ze szczęścia i radości stworzona dziecino,
Idź, kochaj i niech ci nie pomoże żadna na Ziemi rzecz.*

William Blake

Że coś jest nie tak, zaczęła się orientować wieczorem, kiedy algorytmy wyszukiwarki wypluły jej reklamy najnowszej płyty Angels of Death, filmografii zebranej Lyncha w gustownym psychodelicznym opakowaniu, noża motylkowego o rzeźbionej w ciało smoka rączce, emokamizelki ze skóry, drogiej, seksownej i bardzo czarnej, i środka na odchudzanie, który w rzeczywistości okazał się jajami glisty ludzkiej. Nie kupiła nic, zamiast tego wyłączyła komputer, położyła się spać i spróbowała nie myśleć, co oznaczają te propozycje przeznaczone dla niej i tylko dla niej. Zasnęła, wpadając w ciemność, jakby ktoś ogłuszył ją płytą chodnikową, po czym obudziła się, zjadła śniadanie, rozmawiając z rodzicami zdawkowo o tym, o czym rozmawia się zawsze, kiedy nie chce się mówić, wyszła do szkoły i na przerwie po trzeciej lekcji zabiła dziewczynę z pierwszej klasy, której imienia nawet nie знаła. Prawie zabiła. Przynajmniej tak to wyglądało. Ale ci, którzy ją wtedy odciągali, gdy już otrząsnęli się z przerażenia, mówili potem, że różnica była niewielka. Zuzanna była skłonna się z nimi zgodzić, ale zapytana, nie umiała wytłumaczyć, co ją do tego przywiodło. W ogóle mówienie przychodziło jej z trudem. Może dlatego, że nie mogła powstrzymać płaczu, zanosila się głośnym szlochem jak zwierzę złapane w metalową szczękę sideł. Jakby ktoś zmasakrował ją, a nie dziewczynę o wielkich oczach, w tanim brudnozielonym polarze. Jakby ktoś rozgryzł jej serce.

* * *

Patrzyły na nią jak na kanibala, wariatkę w cuchnącym płaszczu, która pożera mysie trupki znoszone jej przez armię ślepo posłusznych kotów, żyjącego na

działkach poza światem półczłowieka. Więc i ona odwzajemniała im się tym samym.

Pierwsza sekretarka była wysoka, grubokoścista, posągowo powolna. Twarz-księżyc, ciemne włosy spięte w kok, przylegające do czaszki ściśle jak tatuaż. I nieruchome oczy kibola, który z dłońmi w kieszeniach puchowej kurtki przygląda się gimnazjalistom krążącym po jego rewirach. Druga, za biurkiem obok, przed którym usadzono Zuzannę, miała za sobą przestronne okno, prześwietlane przez miękkie promienie jesiennego słońca. Chuda, niska, siwiejąca w tej aureoli światła. Po owadziemu nerwowa. Jak zły i brzydki złoczyńca z włoskiego westernu. Udawała, że coś sprawdza na komputerze. Ale kiedy tylko Zuza przymykała oczy, żeby schronić się w miodowej ciemności pustki za powiekami, zmęczona widokiem sekretarek, które nigdy już nie spojrzą na nią tak samo, czuła na sobie jej świdrujący wzrok. I te niezadane pytania. Na końcu języka. Dlaczego. Za co. Co ona ci zrobiła. Żeby wydrzeć jej odpowiedź i ponieść w świat jak wielkie dobro, tajemne imię czarnoksiężnika, otwierające zamknięte drzwi, objaśniające sekrety duszy ludzkiej i pozwalające zabić wroga.

Więc, potwornie zmęczona, Zuzanna otwierała powieki. Za każdym razem łapała ich wzrok. Jak ją lustrują, oceniają. Jej ciemną bluzę z kapturem i białymi sznurówkami ściągaczy, w której zapadało się kościste ciało nastolatki na półmetku drogi do stania się kobietą. Wąskie spodnie rurki, na które moda wracała i przemijała, a ona nosiła je, bo dobrze się w nich czuła. Włosy, te musiały stanowić prawdziwy hit dla hien biurowych, niezbyt długie, z czaszką podgoloną na jednej stronie głowy i różowym pasemkiem, teraz nieco już wyblakłym, wyżebranym u rodziców. Łykając gorycz upokorzenia związanego z prośbą o pozwolenie na taką ekstrawagancję, nauczyła się więcej o dorosłości niż przez wszystkie lata przygotowań do matury.

Wiedziała, co widzą. A czego można się spodziewać po kimś, kto tak wygląda? Jak bohaterka komiksu albo gry wideo. Nie potrafiła znieść myśli, że przez następne dni będzie tematem rozmów w pokoju nauczycielskim. Przy kawie. A potem przy obiedzie w równo poukładanych domach tych wszystkich ludzi o spojrzaniach cyrkowej widowni.

Cienie z mikrych paprotek ustawionych na parapecie rozciągały się w fantazyjne kształty horror-pająków, sennych labiryntów o drodze bez wyjścia, wzoru na skrzydłach płonącego Żar-Ptaka. Czekala.

Grube drzwi gabinetu dyrektora tłumili wszystkie dźwięki. Sekretarki myślały zapewne, że to za nimi ważą się teraz jej losy, że dlatego tak milczy, świdruje je nieobecny wzrokiem. A może to patrzą przez nią przepisane jej po Zajściu leki

uspokajające. Ale Zuza wiedziała, że to nieprawda. Najgorsze było to, że jej los nie był ani w ich, ani w jej rękach.

— ... dziękujemy, panie dyrektorze. — Z pokoju Pietrzaka wynurzyła się najpierw jej matka, a potem ojciec. Wyglądali, jakby wciąż spoglądali w pysk diabła.

Szarzy, przykurczeni. Kiedy zdejmowali płaszcze z wieszaka, nawet na nią nie spojrzeli. Zuza wstała i powlokła się do drzwi za rodzicami. Pod powiekami szczypało, jakby ktoś nakruszył jej wapna. Dopiero teraz coś ją ścisnęło za gardło. Chciałaby dodać sobie otuchy, ale wiedziała, że nawet skuteczne w takich momentach zaklęcie „niech to się już skończy” nie niosło pocieszenia. Nic się nie skończy. Nic się nie kończy. Nie ma wyzwolenia z pułapki, która jest twoim własnym światem.

— Do widzenia.

Sekretarki burknęły coś w uprzejmej odpowiedzi, kiedy cała familia Roemerów zamykała za sobą drzwi. Ojciec wytrzymał do momentu, kiedy wyszli przed opustoszałe liceum.

— Przecież! Przecież ta dziewczyna i tak miała ponoć kłopoty, nie słyszałaś o tym?! Że ją prześladują? Nie wierzę. Że i ty się do tego dołożyłaś? — Ruszył wściekły do samochodu, napompowany całym tym wstydem, który musiał przełknąć w pokoju dyrektora. Za nim Zuzanna, obserwująca grę świateł na wciąż zielonych drzewach, szykujących się już jednak do zimy. Za nimi matka o nieodgadnionym wyrazie twarzy, jak żołdak zamykający konwój skazańców. — Po prostu nie mogę uwierzyć. Żeby bić słabszą? Moja córka? „Szkolne prześladowanie”?

Zatrzymał się na parkingu. Dopiero teraz zauważył, że się nie zapiął. Spod marynarki wystawał rąbek pomiętej, spoconej koszuli. Ojciec przymknął oczy, a potem je otworzył i spojrzął na Zuzę tym swoim wodnistym, jasnoblękitnym wzrokiem mordercy z filmów klasy B.

— Nie tak cię chyba uczyliśmy — wycedził spod wąsów. — Żeby bić słabszych od siebie.

Zuzanna nie wiedziała, czy to jest ten moment, kiedy się odpowiada, czy też puszcza pytanie mimo uszu, bo nie można dodać nic, co uspokoiłoby mówiącego. Ale zmilczała nie tylko dlatego. Nie ma słabszych, pomyślała.

W samochodzie, kupionej z drugiej ręki, zadbanej Toyocie Avensis w kolorze butelkowej zieleni, odezwała się wreszcie matka. Wcześniej wycofali, włączyli się do ruchu, zatrzymali na światłach. Ojciec nigdy nie był dobrym kierowcą. Ale teraz Zuzannie to nie przeszkadzało. Wreszcie miał na czym skupić uwagę.

— Pietrzak powiedział, że cię nie wyrzucą. Prawdopodobnie. Jeśli spełnisz ich wymagania. A spełnisz. Matura najważniejsza. — Matka obróciła się na fotelu pasażera, spojrzała na Zuzę wpatrzoną w przesuwające się za oknem miasto. — Prawda? I zapnij pasy. Już i tak musieliśmy się zgodzić, że pokryjemy wszystkie koszty remontu. Ty wiesz, ile to będzie ojca kosztowało?

Pan Roemer ruszył nerwowo na skrzyżowaniu i matka uspokoiła głos, żeby go dodatkowo nie drażnić. Odgarnęła z czoła krótko ścięte włosy, dopiero co ufarbowane na kasztanowy brąz, odwróciła głowę. Zmieniła temat.

— Na szczęście rodzice tej Anielki to jakaś patologia. Ojca nie ma, matka z czwórką dzieci, każde z innym, na zasiłku w barakach. To przynajmniej oni nie będą się czepiać.

Zuzanna poczuła, jak żołądek zawiązuje się w supeł, a w ustach robi jej się słodko i gorzko zarazem. Jakby przegryzła żyłę. W płucach zabrakło tchu. Zacisnęła piąstki z wyraźnymi śladami zadrapań i skaleczeń. Matka znów się odwróciła.

— Ale pedagoga to już będziesz musiała przekonać sama. I księdza. Nie patrz tak na mnie. Księdza. To sugestia Pietrzaka. Masz za swoje. Mój Boże. Moje dziecko z kuratorem. Jak się dowiedzą w pracy, to mi żyć nie dadzą. O czym ty myślałaś?

Za oknami ruszył sznur samochodów. Czerwone światła stopu migały w nierównomiernych odstępach. Zuzanna się zapatrzyła. Jakby przekazywały jej jakieś znaki. Miała pewność, że gdyby tylko mogła poświęcić im trochę więcej czasu, skupić się, rozszyfrowałyby ten kod przypadkowych omenów i wskazówek, które nic nie znaczą.

— Nie. Pytam poważnie. Co się tam wtedy stało? Przecież nie wierzę, że mogłaś ją, ot tak. Normalnie.

Zuzanna wytrzymała to milczenie. Matka wzruszyła ramionami i na powrót usadowiła się przodem do kierunku jazdy.

— Od ich opinii będzie zależała twoja przyszłość. Byliśmy dla ciebie zbyt wyrozumiali. Skończyły się dobre czasy.

— Aha. — Ojciec wreszcie zajechał pod ich blok. — Pietrzak powiedział jeszcze, że same rozmowy nie wystarczą. Do końca semestru musisz też odrobić czterdzieści godzin wolontariatu. Może to cię czegoś nauczy.

Zuza wypuściła powietrze i zatrzymała się w pół ruchu.

— Gdzie? — zapytała.

— A gdzie? — Ojciec trzasnął drzwiami. — No, wychodź. W szpitalu. Na oddziale paliatywnym.

Wokół zawirowało. Ale przecież czuła, że tak się to właśnie skończy. Że trafi w takie miejsce. Powłokła się za rodzicami.

Tam, gdzie umierają.

* * *

Na pierwszy ogień poszła rozmowa ze szkolną pedagog. Zuza wzięła ją z marszu. Nie dla matury. Nie dla rodziców. Prędej dla świętego spokoju na chacie. Ale nie tylko. Postanowiła, że skoro nie znalazła niczego, gdzie dotąd szukała, teraz pójdzie tam, dokąd ją prowadzą. Dwie godziny w sieci wystarczyły, żeby się przygotowała.

Wklepała „dziewczyny z problemami”, „agresja wśród nieletnich”, „problemy nastolatków”. Wyszukiwarka usłużnie podsunęła strony z wpisami na portalach, adresy blogów, pliki z artykułami akademickimi. Wśród nich było też kilka rozmów z psychologami. Wykuła je na pamięć.

„Agresja wśród nastolatków jest często wynikiem niskiego poczucia własnej wartości, reakcją obronną lub bierze się z przeświadczenia, że w społeczeństwie panuje przyzwolenie na przemoc”.

„Zachowania nastolatków to reakcja obronna lub sposób na to, by nie okazać słabości. Sprzyja im też panująca w dzisiejszym świecie atmosfera rywalizacji. Często agresywne zachowania są w rzeczywistości wołaniem o uwagę”.

„Nie można także zapomnieć o bardzo istotnym czynniku, jakim są media. Brutalne filmy i gry komputerowe powodują narastanie negatywnych emocji oraz inspirowanie do naśladowania na lekcjach, przerwach, boiskach szkolnych”.

„To wszystko przez kryzys autorytetów dotyczący obywateli w okresie dojrzewania. Dawne instytucje – Rodzina, Szkoła, Państwo, Kościół – straciły swoją pozycję, a w ich miejsce nie powstało nic o równie skutecznej mocy oddziaływania. Jaki wzór do naśladowania można nabyć, oglądając głupkowane programy młodocianych gwiazd Internetu, roznegliżowane wideoklipy mające więcej wspólnego z produkcjami porno niż muzyką, czy tak zwane *śmieszne filmiki* rozpowszechniane przez media społecznościowe?”.

„Skąd bierze się ta frustracja?”.

Pani Jolanta już na nią czekała. Zuzanna od drzwi uśmiechała się przepaszająco, z zakłopotaniem. Nieścieralnym grymasem. Jakby ktoś przykleił jej na twarz zbolaną plastikową maskę. Szkolna pedagog widziała już wiele takich twarzy, ale jeszcze nigdy w ich szkole nie doszło do podobnego zdarzenia. Do Zajścia. Sama czuła się podekscytowana, ale skrywała to pod troskliwym wyrazem

twarzy. Gdyby Zuzanna przyszła tu bez konkretnego celu, zrobiliby jej się żal starszej pani. Przecież ta troska nie była udawana.

— Napiłabyś się herbaty?

Zuza pokręciła przecząco spuszczoną głową. Usiadła na skraju nowoczesnego minimalistycznego krzeselka z plastiku, ustawionego przy stoliku kawowym pod oknem. Pani Jolanta nalała sobie kawy z ekspresu, kupionego jej przez uczniów na ostatnią Gwiazdkę, podniosła talerz ciastek z biurka, zza którego wstawiała w takich sytuacjach, żeby na starcie nie budować bariery między nią a uczniami. I usiadła obok. Zuzanna usłyszała kroki gasnące na zewnątrz gabinetu, strzępy rozmów uczniów kończących lekcje. Zastanawiała się, jak to będzie, kiedy już po tygodniu przerwy, na który zgodzili się rodzice, będzie musiała wrócić między te głosy. Popołudniowe październikowe słońce kotłowało się za niskimi chmurami.

A potem już poleciało.

— Zaczniemy od tego, czym jest agresja.

— Czy wiesz, co w ogóle zrobiłaś? Kim. Kim jest tamta dziewczyna? Czy ona. Czy ona wcześniej ci dokuczała?

— W grupach rówieśniczych chłopcy oceniani jako silni i wytrzymali funkcjonują jako osobnicy godni podziwu i zazdrości. Podobne zachowania zauważa się wśród dziewcząt. Postrzega się je wtedy jako atrakcyjne, pewne siebie, są chętnie naśladowane. Czy jesteś pewna, że nikt cię do tego nie zmusił?

— Ofiarami przemocy stają się uczniowie wrażliwi, spokojni, nadmiernie ostrożni. Często cierpią na niską samoocenę, są bierni i ulegli. Często do tego stopnia, że długo nie potrafią odnaleźć w sobie siły, by komukolwiek powiedzieć o nękanii. Czy byłaś wcześniej atakowana?

— Świat, w którym żyjemy, bardzo często stawia nas w sytuacji, w której czujemy się niepewnie, jesteśmy rozczarowani. Nie zawsze możemy zaspokoić potrzeby swoje i najbliższych. Ale to nie twoja wina, wiesz o tym?

— Inną przyczyną agresji wśród dzieci jest bieda. Możesz opowiedzieć, jak wam się powodzi? Dostajesz kieszonkowe?

— Czy w domu wszystko wygląda normalnie? Czy masz od rodziców wsparcie?

— Czy byłaś kiedyś. W sensie że. Molestowana?

A Zuzanna potakiwała, zaprzeczała, w odpowiednich momentach szlochała. Starła się mówić jak najmniej. Przypominała sobie wtedy odpowiednie fragmenty przeczytanych tekstów i robiło jej się głupio. Pani Jolanta, kobieta w wieku jej matki, naprawdę się starała. Ale Zuza kłamała dalej:

— Naprawdę, nigdy nie czułam się lekceważona. Nikt mnie nie zaczepiał. Wie pani, może takie normalne docinki. Ale to wcześniej. Nie w trzeciej klasie. Nie wiem, chyba jestem lubiana. W każdym razie nie ma mnie na Facebooku, nie siedzę za dużo przed komputerem. Rodzice są okej. Przynajmniej jak na starych. Sama pani wie. Żaden nauczyciel nigdy się na mnie nie wziął. W szkole naprawdę czuję się akceptowana.

Przerwa na płacz.

— To ta matura. Sama nie wiem, czemu to zrobiłam. Tyle się trzeba uczyć. To się już nigdy nie powtórzy. Przysięgam, przysięgam. Tak bardzo się boję. Co teraz ze mną będzie?

— Co pamiętasz? No wiesz. Z Zajścia.

— Nic. Jakby. Jakbym to nie była ja. Tylko początek przerwy, a potem sekretariat.

Ale choć udawała, Zuza pamiętała dokładnie, co się wtedy stało. Bardzo dobrze, każdy szczegół. Jak nic, co wcześniej stało się jej udziałem.

Od pierwszej lekcji czuła się bardzo lekko, dziwnie. W głowie utkwily jej wyraźnie całe zdania z wykładów nauczycielek. Jak zakłęcia otwierające portal do innego świata. Czarna mowa Mordoru. Powtarzała je potem jak mantrę. W procesie wirowania frakcjonującego lizatu komórkowego błony retikulum endoplazmatycznego tworzą frakcję mikrosomalną. Albo: skośniesymetryczne izotropie kosmologicznie pseudosferują z relatywistycznym tensorem kontinuum paralaksy sinusoidalnej. Słowa obracane w głowie, wolno, dokładnie, sylaba po sylabie. Aż zespoliły się w jednolitą masę.

A potem, w szatni przed wuefem, kiedy już ją usłyszała. Jakby ktoś odpalił jej w głowie kolorową racę. I się zaczęło. Teledysk, na którym fajerwerki pastelowych świateł, kryształowe drzazgi z rozbitego okna, grudki ziemi ze strzaskanej doniczki, fragment odłamanej zęba i słodycz pulsująca w rytm zrywów cudnie bolących mięśni mieszają się z energetycznym, radosnym soundtrackiem, który dudni w żyłach, skwierczy na neuronach, rozbłyskuje stroboskopowymi uderzeniami jak podświetlony flesztym śnieg albo brokat w dyskotekowym ultrafiolecie klubu. Serotoninowa jazda. Przeszła przez krawędź i spadła.

— Naprawdę nic nie pamiętam. Tylko że potem strasznie się bałam. Nie wiem. Nie wiem, co tam się stało.

Z gabinetu wyszła po dwóch godzinach, odprowadzana uspokajającymi zapewnieniami pedagoga, że wszystko się jakoś ułoży. Dawno już się tak nie czuła. Bardzo zmęczona i zadowolona.

Jakby naprawdę coś jej się udało.

* * *

Z katechetą umówiła się na następny dzień. Też w szkole. Rozmowa zapowiadała się jeszcze łatwiej. Internety podpowiadały „skruczę”, „żał za grzechy”, „poczucie winy”, „gorące pragnienie poprawy”. Oczywiście strategie najczęściej są takie, bo są również najskuteczniejsze. Ale Zuzanna i tak czuła się nieswojo. Nie dlatego, żeby nie mogła skłamać i jemu. Rodzina Roemerów nie należała do specjalnie religijnych. Matkę wychowali jehowi, ojca komuniści z PZPR-u, teraz jak większość sąsiadów w kościele pojawiali się w Boże Narodzenie i święcić pokarmy na Wielkanoc. Ale w młodym księdzu Maju, starszym od niej tylko o kilka lat, dla którego to był pierwszy rok w ich szkole, widziała za dużo z człowieka, jakim bała się stać. Dlatego, kiedy już do niego weszła, milczała w prawdziwym zakłopotaniu.

Zamknęła za sobą drzwi, usiadła w ławce naprzeciwko biurka. Nawet nie ściągnęła kurtki, wojskowej, ciemnozielonej. Ksiądz Marek już czekał, uzupełniał coś w dzienniku. Jasny krzyż ze sklejki wiszący nad tablicą, pod godłem, nie przypominał starożytnego narzędzia tortur, o którym tyle się naczytała, gdy zniesmaczona skończyła *Pasję*, puszczaną kiedyś przed świętami. Na dworze znowu było pochmurno, po klasie plątały się chłodne cienie. Maj musiał tu siedzieć jakiś czas, ale nie zapalił światła.

Katecheta rozbroił ją już w pierwszych zdaniach. Choć wcale się nie starał. Od początku wyglądał na dość rozkojarzonego.

— Tak, wiem, że na pewno tego żałujesz. Jest ci przykro. I różne takie.

— Szczęść Boże?

— Szczęść Boże. Szczęść. Słuchaj, chyba wiem, co tam się stało. — Uśmiechnął się smutno, w końcu odłożył długopis, zamknął dziennik.

— Tak? — zapytała jeszcze uprzejmym tonem. Bo tak wypadało. Ale już opuściła gardę. Naprawdę się wystraszyła. Naprawdę się zainteresowała.

— Po prostu. Chciałaś ją zabić?

Chudy, wysoki Maj skrzywił się przepaszająco. Młody, zagubiony, czerwieniący się na lekcjach, kot w szeregach Watykanu.

— Proszę?

— Słuchaj, to dla mnie też trudne. Dziwne. Pietrzak mnie poprosił. Ale co ja ci mogę zaproponować? Przecież to, że nie wybiegniesz stąd zaraz na klęczkach do Częstochowy, jest chyba dość jasne. Nawet dla mnie.

— Ale za to księdzu chyba płacą, nie? — Sama nie wiedziała, czy jeszcze próbowała żartować, czy już naprawdę była na niego zła. Że nie podjął gry. Że

wcale się nad nią nie rozczulał. Że nie próbował udawać. — No dobrze. To co, mamy tu tak tylko posiedzieć zwyczajnie?

— Jak wyjdiesz za szybko, to ci dyrekcja nie zaliczy pogadanki. — Mrugnął, ale tylko popatrzyła na niego jak na starego satyra.

Zmieszał się.

— No dobrze. To co chciałby mi ksiądz powiedzieć?

— To nie tak. Wystarczy poczytać internet. Fora puchną tam od takich mądrości.

— Więc jak?

— No nie wiem. A o czym chciałabyś porozmawiać? Skąd w tobie tyle złości? Co tak naprawdę stało się w szkole, wtedy? Ktoś cię skrzywdził. Wiesz, dlaczego sobie nie radzisz?

— O kurwa. O Boże. Znaczy, przepraszam. Ale, no wie ksiądz. „Nie radzisz sobie”? A ksiądz sobie radzi?

Chrząknął zakłopotany.

— Wiesz. Nie mnie wysłali na rozmowę ze szkolnym katechetą. Nieważne. Słuchaj. O co chodzi? O rodziców? Szkołę? — Przerwał, jakby brał oddech przed zanurzeniem się pod powierzchnię wody. — Boga? Czy ty w ogóle w coś wierzysz?

Parsknęła. I pękła. Żeby się tylko nie rozpłakać.

— Proszę nie żartować. Nawet księdzu nie wypada. Przecież gdybym to ja była Bogiem, złapałabym wszystkich za mordę i kazała się kochać, na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak inaczej można to wytrzymać? Tyle bólu, cierpienia i skurwysyństwa, które przytrafiają się ludziom w każdej minucie, na całym świecie, każdego dnia? Od początku świata. I tylko niech ksiądz nie mówi o wolnej woli, błagam. Proszę powiedzieć coś o wolnej woli bratu, którego rodzeństwo zginęło w przypadkowym pożarze. Albo rodzicom z genetycznie obciążonym dzieckiem. Jaką, kurwa, wolną wolę ma DNA? Ten cały świat nie zasługuje na ocalenie. Wszyscy kiedyś zamknęliśmy oczy. Wszyscy jesteśmy winni. Wszyscy jesteśmy pierdolonymi zbrodniarzami. — Zuzanna zerknęła za szybę. I zaraz wróciła spojrzeniem do księdza. Obiecała sobie, że nie tak będzie to rozgrywała. Przekroczyła już o jedną granicę za dużo. Bez powrotu. Dość uciekania. — Ja. Bo wie ksiądz. Po prostu. Przepraszam.

Maj milczał. Za oknem ściemniło się jeszcze bardziej.

— Bóg widzi w nas także nasze wewnętrzne dobro i dlatego...

— Co takiego On w nas niby widzi? Ja patrzę w siebie i też to dostrzegam.

— Tak?

— Boże święty. Jak jedna wielka wypalona rana. Jeśli chce ksiądz powiedzieć, że tyle wystarczy, żeby nas ocalić, to znaczy, że, za przeproszeniem, ludzkość może spać spokojnie. Tego nigdy nam nie zabraknie. Bo jeśli tyle wystarczy, żeby powstrzymać armageddon czy gniew tego, no wie ksiądz, tego tam, to znaczy, że gównu psa na trawniku ma większą wartość niż ten cały szalony horror wokół nas. Bo ono jeszcze kogoś wzrusza. Tak że chce mu się zareagować. Lub chociaż posprzątać. A co z nami? Proszę nie udawać, że i ksiądz tego nie widzi. Życie to ślepy taniec.

Zacisnęła pięści, wbiła paznokiec w naddrapaną skórę na kciuku. Zapiękło. Zamknęła oczy i przez chwilę wyglądało, jakby naprawdę miała się rozpłakać. Maj wystraszył się jeszcze bardziej. Powinien ją przytulić? Objąć? Teraz naprawdę nie wiedział, co w takiej sytuacji mógłby zrobić. Spurpurowiał jak dzieciak przyłapany na progu szkoły, kiedy tylko pół kroku dzieli go od wagarów.

Zuzanna otrząsnęła się, otworzyła powieki, zmarszczyła brwi.

— Przepraszam. Nie powinnam tak mówić.

— Że przekleństwa? Zdarza się. — Spróbował zmienić temat. Wyklepane na płasko słowa jednak same znajdowały drogę na powierzchnię, maskowały zakłopotanie. — Wiesz, to normalne w twoim wieku, że...

— Tak, wiem. W moim wieku. Że z tego się wyrasta. Z czucia. Z myślenia. Z bólu dupy nastolatka. Prawdziwe życie wygląda inaczej, tak. Wiem. Zapomnijmy o tym. Nieważne.

Ksiądz zwiesił głowę. Najgorsze w tym było to, że ją rozumiał, i tym bardziej nie miał jej nic do powiedzenia.

— Przykro mi.

— Mi też. Niech się ksiądz nie przejmuje. To nie jego wina. Ha, ha.

Też uśmiechnął się krzywo, i poczuł się jeszcze gorzej.

— Słuchaj. To może wiem, co mogłabyś zrobić. Nie, czekaj. Naprawdę. Spróbuj tak. Jak już nie będziesz mogła wytrzymać. Przed snem, w szkole, przy rodzicach. To powtarzaj w myślach: jestem tu.

— I to niby pomaga? Takie rozpaczliwe wołanie? — Zuza nie wydawała się przekonana.

— Zależy, co rozumiesz przez pomaga. — Znów puścił oko jak uczeń. — Na pewno nie powinno zaszkodzić.

— Dobra. Aha. — Wstała. — Dziękuję. Czyli mogę już iść? I ksiądz nic nie powie dyrektorowi? W sensie, o czym tu tak miło nam się rozmawiało.

— A czy ktoś cię tutaj trzyma? Przecież jedynki z religii się chyba nie boisz? — Uśmiechnął się, w końcu chyba rzeczywiście swobodnie.

Zuzanna odwróciła się jeszcze w drzwiach. Czują się jak po imprezie, kiedy po kolejnym piwie mówisz o sobie za dużo, a potem budzisz się i wiesz, że już nic nie da się odwołać. Że już zostało usłyszane. Już się stało.

— Sęk w tym, proszę księdza, że nie boję się niczego. I ta świadomość też mi nie pomaga.

* * *

Potem był dzień przerwy, szary jak tektura, choć za oknem wyszło na chwilę słońce, i szpital. Koordynująca współpracę kuratorka o zmęczonym spojrzeniu trzymającego się w ryzach alkoholika umówiła ją na piątek na dziewiątą rano. Zuzanna zbliżała się do budynku, kiedy złapała ją burza. Niespotykana o tej porze roku, krótka, gwałtowna. Piękna. Najpierw zagrzmiało, a potem deszcz smagnął niespodziewanie, przemiótł ulice z brudu, przebudził ludzi. Przechodnie klęli. Autobus na przystanku zapiszczał wycieraczkami. Zuzanna znów miała na sobie swoją ulubioną kurtkę z military shopu, naciągnęła więc kaptur na ciemne mysie włosy i przyspieszyła kroku.

Krople były zimne i twarde, jak odlane z żelaza. Też zakłęła i uśmiechnęła się, kiedy ponownie zagrzmiało. Popeerelowski gmach starego szpitala, który przez lata użytkowania wchłonął okalające go dobudówki, magazyny i podjazdy, w gotyckiej oprawie parku zanurzonego w jesieni prezentował się akuratnie. To znaczy jeszcze bardziej ponuro, przytłaczająco. Bezbarwnie.

W końcu weszła do recepcji i przedstawiła się, prawie bez wstydu. Nie pomagało to, że zupełnie nie wiedziała, czego ma się spodziewać i jak to będzie wyglądało. Ludzie w kolejkach do specjalistów spoglądali na nią pustym wzrokiem rzeźnych zwierząt, świadomych swego losu i niepotrafiących uczynić nic, żeby się ocalić. Zuza przełknęła ślinę. Odpowiedzialna za wolontariat salowa, do której ją skierowano, przywitała się uprzejmie, obrzuciła krótkim spojrzeniem wyblakłe różowe pasemko i nic nie powiedziała, choć musiała zauważyć, że Zuza ma kwadrans spóźnienia w swój pierwszy dzień. Kary? Pracy? Zuzanna nawet chciała przeprosić i się wytłumaczyć, cóż by ją kosztowało raz jeszcze skłamać, ale zmilczała. Gdyby miała powiedzieć prawdę, musiałyby wyjaśnić, czemu przez piętnaście minut stała na podjeździe dla karetek, patrząc w puste okna, odbijające matowe chmury niczym ocynkowana blacha.

Myślała, że pójdzie jej łatwiej.

Pani Żaneta poprowadziła ją w serce labiryntu ostrych jarzeniowych świateł i nieodmalowanych ścian przepołowionych starymi lamperiami. Na dole kiosk i sklep z artykułami dla niemowląt. Na piętrach tablice z informacjami. Urologia,

neurologia. Ortopedia. Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją. Starsze ode mnie twory nie istnieją. Drewniaki stukały o wypastowane lastryko.

W gardle dławił zapach detergentów i parujących na ciałach płaszczy. Zuza dużo myślała o tym, czego się powinna spodziewać, ale widok tych wszystkich ludzi szamoczących się w walce o życie, lekarskich fartuchów, pielęgniarek wędrujących z kartami pacjentów, obezwładniał. Jak kurczaki, którym odrąbano łebki. Jeszcze pędzą w ostatnim adrenalinowym zrywie, nie wiedząc, że już umarli. Płatanina poczekalni, wind, korytarzy.

Wreszcie zajęchały na ich oddział. Nieformalne hospicjum. W bocznym skrzydle, w wydzielonym korytarzu. Z okien przy windzie rozciągał się widok na duży, zadbane skwer. Zuzanna zdziwiła się, że trawa jest przystrzyżona, żółto-brunatne liście zgrabione na schludne kupki. Z zewnątrz widziała tylko splątane korony wiekowych drzew i wyobraziła sobie, że park, jak cały szpital, jest zapuszczony, zarośnięty, ponury, w ciernistych krzakach wiją gniazda jaszczurki i małe, ślepe jak świeżo wyklute ptaki diabły, polujące w wypacanych przez pensjonariuszy snach. Kute w żelazie ogrodzenie było pogięte, ale odmalowane.

Ściany na korytarzu też dopiero co odmalowano upiornymi pastelami. Po Kubusiach Puchatkach, Donaldach i Bobach Budowniczych poznała, gdzie leżą dzieciaki. Pani Żaneta tłumaczyła jej właśnie, co będzie należało do jej obowiązków, w czym może się przydać, a gdzie nie przeszkadzać. Zatrzymała się, urwała w pół słowa. Zawróciła do Zuzanny, która próbowała właśnie odgonić zygzakowatą biel rozkręcającą się przed oczami, i delikatnie ujęła ją pod rękę.

— Nie bój się, dasz radę. W pierwszych dniach wszyscy tak mają.

Zuzanna chciała jej rzucić w twarz: tak, czyli jak? Co ona wiedziała. Śmiercią przecież też można się zarazić. Śmiercią najłatwiej. Ale nic nie powiedziała. Pani Żaneta zabrała ją w końcu do pokoju pielęgniarek, poprosiła, żeby Zuza ściągnęła kurtkę i odwiesiła na wieszak, by poczuła się jak u siebie w domu. Nie pytała, czemu dziewczyna tu trafiła, choć pewnie nie musiała, bo wszystko miała w podesłanych papierach, i naprawdę się starała. Ale Zuzanna nie skorzystała z wieszaka, wbijała tylko paznokieć serdecznego palca w skórę przy prawym kciuku, trzymając dłonie ukryte w długich rękawach parki. Słuchała, udawała spokój, potakiwała.

Gdzie znajduje się kaplica oddziałowa, pokoje lekarzy, mała świetlica, w której ci, którzy właśnie nie przechodzą chemii, mogą porozwijać krzyżówki i pograć w karty. Że w zasadzie będzie teraz jedyną osobą z wolontariatu. Że najważniejsze, aby najpierw się tu zaaklimatyzowała. Tak naprawdę chodzi o to, żeby chwilę posiedziała z tym ludźmi, pooglądała telewizję. Porozmawiała. Łacińskie nazwy

chorób tych, którzy tu leżeli, brzmiały jak inkantacje w trakcie czarnej mszy, przekleństwa zsyłane na obcą armię. Zuza nie mogła tego słuchać, więc tylko się uśmiechała. Twarz jak makijaż kłowna.

— No dobrze. Nie za dużo naraz. — Pani Żaneta uśmiechnęła się, żeby dodać jej otuchy. Dopiła kawę, zamieszała fusami na dnie. Zuzanna popatrzyła na swoją szklankę z nietłukącego się szkła z wystygłą, ledwie upitą herbatą. — Na dziś to koniec. Ale najlepiej będzie, jak jeszcze chwilę się tu pokręcisz. Zobacz, kto gdzie leży, zorientuj się w układzie pokoi. Następnym razem dostaniesz swój fartuch.

Zuzanna grzecznie się pożegnała i ruszyła do wyjścia. Byleby na powietrze. Miała nadzieję, że wciąż padało. Ale czując na sobie wzrok salowej stojącej w drzwiach kanciapy pielęgniarek, zamiast skierować się od razu do windy, Zuza skręciła za najbliższy róg korytarza. Żeby już zniknąć jej z oczu. Jakby z pleców rzuciła wielki ciężar.

Zakręt jeden, potem drugi. Przyspieszyła kroku. Węzeł rozgałęzienia, z którego odchodziły korytarze kolejnych oddziałów. Ludzie w ochraniaczach na butach, odwiedzający ze słojami rosołu i nietęgimi minami. Pogubiła się. Wybiegła na schody, zgodnie ze wskazaniem oznaczeń przeciwpożarowych. Była już się stąd wydostać. Ale budynek nie chciał jej puścić, drogę zastawiły dwie sprzątaczkę z mopami w plastikowych wiadrach. Zuza szarpnęła pierwszą kłamkę, która była pod ręką, potem kolejną i kolejną. W twarz uderzył ją ostry podmuch wiatru. Zmrużyła oczy od naturalnego światła.

Dopiero teraz zorientowała się, gdzie weszła. To była jakaś stara niezagospodarowana oranżeria, którą ktoś zamienił w rupieciarnię. Pod ścianami, splątane jak industrialne rzeźby, stały okulawione chodziki z zatartymi łożyskami przy kółkach, artretycznie przegięte stojaki pod kroplówkę, zakurzone parawany z rozdartą ceratą, odesłane na emeryturę kule z popękkanymi plastikowymi uchwytami. Słońce wpadające przez grube, zabrudzone szyby wyglądało, jakby promieniowało z głębin albo ktoś przepuścił je przez pustą butelkę po piwie. Wydawało się cieplejsze, bardziej przyjazne.

Zuzanna zauważyła, że w głębi, przy uchylonym okienku, stoi dziewczyna. Mniej więcej w jej wieku. Najwidoczniej zapomniana oranżeria to była nielegalna palarnia.

Podeszła, skinęła głową. Wyczuła słaby, słodki zapach dymu.

— Można?

Nieznajoma wzruszyła ramionami. Zuza wyciągnęła LM-a z pociętej paczki. Już dawno miała rzucić, ale nie zapowiadało się, żeby udało jej się akurat teraz.

— Też zapalisz? — Wyciągnęła rękę z paczką.

— Podziękował. Wiesz, jak mówią. Co cię nie zabije, to cię zniszczy. — Nieznajoma zrobiła jej miejsce przy okienku uchylonym na ołowianych zawiasach.

— Zuzanna.

— Olcia.

Zuza odpaliła, zaciągnęła się, rozgoniła ręką wydmuchany obłok.

— O kurwa. O jacież pierdzielę. Matko. Miałam nadzieję, że jakoś sobie poradzę. Myślałam, że będzie łatwiej. Kurwa, co za pojechaństwo. Przecież oni wszyscy umrą. Rozumiesz. Poumierają. Na naszych oczach. Na naszych, kurwa, rękach, jak na filmach o Afganistanie. I nic nie można z tym zrobić. Jak można z nimi w ogóle rozmawiać? Co można im powiedzieć? Przecież oni też muszą zdawać sobie z tego sprawę. Co za cholerne gówno. — Pociągnęła kolejnego macha, otrząsnęła się, jakby wyszła spod prysznic na lodowatą posadzkę. — Za co cię tu w ogóle zesłali?

I dopiero teraz przyjrzała się dziewczynie uważniej. Pomarańczowa chustka na głowie, niebieska welurowa bluza z cekinową nazwą jakiejś amerykańskiej uczelni na piersi, na pewno bardzo przyjemna w dotyku. Porozciągane wygodnie spodnie, w których mogłabyś chodzić w domu, ale nie wyszłabyś na dwór nawet do pobiegania. I dowód ostateczny. Kapatcie.

— Nie wiem. Mi się też te pogaduszki nie kleją. Tylko że nie bardzo mam inne wyjście. Guz w stopie. Jakoś trzeba sobie radzić. — Olcia skinęła głową na pożegnanie, ujęła swoje odstawione na bok kule. Uśmiechnęła się jeszcze landrynkowo przy drzwiach. — Tylko żeby nikt cię nie przyuważył, jak będziesz wychodziła. Żaden z doktorków jeszcze nie wyczał, że te drzwi są otwarte i że z nich korzystamy. I lepiej, żeby tak zostało.

Zostawiła Zuzę samą.

* * *

Tyle wrażeń jak na jeden tydzień jej wystarczyło. Nadszedł weekend. Zuzanna nie marzyła o niczym innym, jak zaszyć się w domu, w swoim pokoju, pod kołdrą w rozkopanym łóżku. W ciemnościach, które skryją ją przed światem. I tak nie mogła nigdzie wychodzić. Wciąż miała szlaban. Z drugiej strony oznaczało to czterdzieści osiem godzin bez przerwy z rodzicami. Czy ludzkość wymyśliła gorszą karę?

Piątkowe popołudnie udało jej się jakoś przetrwać. Rodzice wrócili późno z pracy i też chcieli zrzucić z siebie jarzmo całego tygodnia spełniania cudzych marzeń. Kiedy odpowiedziała „dobrze”, gdy zapytali, jak było w szpitalu, więcej

jej nie nękali. Ale wiedziała, że to tylko odroczenie, nie ułaskawienie. W sobotę od rana uciekła więc w sprzątanie.

Przygotowała się jak do srogiej walki. Założyła wygodne legginsy, w których wyglądała jak aktorka porno przed soczystą akcją, czy raczej wyglądałaby, gdyby nie ta niedowaga, sterczące ramiona i płaskie pośladki. Do tego stary podkoszulek jeszcze z gimnazjum, sprany, pierwszy, który sama pomalowała. Nigdy nieużywane, piekielnie gorące góralskie kapcie z surowej wełny. Na pierwszy ogień poszła szafa.

Zaatakowała ją z flanki i wybebeszyła starannie, koszulki, bluzy, spodnie. Bielizna. Kilka starych sukienek na lato. Dziurawe džinsy z dawnych czasów, których też nie potrafiła się pozbyć. Potem, po krótkiej musztrze, ułożyła to wszystko jeszcze raz, dokładnie i starannie. Nie miała tego aż tak dużo, ale i tak spędziła nad półkami przyjemne trzy godziny, w czasie których nie musiała się martwić. Potem wyłapała dekowników z za łóżka – skarpety, sportowy top, poszarzały stanik. Przy oknie, jak bawełniany wyrzut sumienia, wisiały niedokończone koszulki z zarysowanymi na nich ulubionymi komiksowymi kadrami, za które wzięła już pieniądze od chłopaków z równoległej klasy. Ale postanowiła, że nie bierze jeńców. Zwinęła je, schowała do wiklinowej walizki razem z farbami do malowania na tkaninach. Najwyżej zwróci forszę, a o doładowanie telefonu zadba w inny sposób. Teraz smartfon to był jej główny kontakt ze światem.

Ułożyła książki na półkach, przypuściła szturm na stos czasopism przy łóżku, pod *friendly fire* dostały się sczytane na pamięć magazyny ze zdjęciami tatuazy i profesjonalnymi zdjęciami. Wyselekcjonowała te, które mogły już trafić do piwnicy. Straty w ludności cywilnej nie ominęły też biurka. Zagracony blat straszyl pustym miejscem po laptopie, który do odwołania skonfiskowali rodzice. Jak świeżo otrzymana rana. Wokół wałały się samoprzylepne karteluszkę, zapisane w pośpiechu uwagami, których nie potrafiła już nawet odczytać, tandetne jednorazowe długopisy, niezatemperowane ołówki, rozgięte spinacze, wyciśnięte tubki po farbie. Flamastry, maskotki, ołówki. Foliowe koszulki na dokumenty, puste i wypełnione pogiętymi kserówkami do sprawdzianów, jak skatalogowane przez piracką biurokrację mapy nieodkrytych skarbów. Jedno stare zdjęcie z obozu w Hiszpanii, na którym stoi taka młoda, opalona i bardzo roześmiana. To jedno zdjęcie zostawiła, resztę szpargałów zagarnęła do szuflady. Nadszedł czas na nalot dywanowy z odkurzaczem, bombardujący precyzyjnie pajęczyny nad oknem, kurze za biurkiem, narzutę na łóżku w rakiety i gwiazdy, rozciągniętą starannie, jakby za chwilę miał z inspekcją wejść kapral.

Ale od wspólnego posiłku z rodzicami i tak uciec się nie udało.

Spotykali się w kuchni przy stole pokrytym błyszczącą ceratą lub w salonie, przed telewizorem, na niedzielę i święta, i na imieniny. Zuzanna nazywała te popołudnia obiadam robotów. Nie dlatego, że ziemniaki z mielonym smakowały jak rozgrzany olej, bo tak naprawdę były w porządku, to znaczy smakowałyby jej, gdyby jeszcze się tym przejmowała. Tylko te dialogi. Odzywki jak puszczane z taśmy. Perforowanej. Żenada wypolerowana i oklepana.

— Znajdź sobie hobby.

— To wszystko dlatego, że cały dzień się nudzisz. Tylko komputer lub książki. Ja w twoim wieku.

— Uspokoisz się wreszcie?

— Jedz, bo wystygnie.

I wreszcie kończące każdą rozmowę zaklęcie-horror, najkrwawsza klątwa, odzywka-taran:

— Ale ja chcę. Smarkuła przemądrzała.

Po obiedzie wróciła do swojego pokoju ponura jak antyczny wódz, który stracił legiony w przypadkowym starciu. Mogłoby się wydawać, że teraz, od Zajścia, coś się zmieni. Ale najgorsze, że to zawsze tak wyglądało.

* * *

Gdy wreszcie nastał upragniony wieczór, Zuzanna pocłapała do swojego pokoju. Po obowiązkowej dawce narzekania, zgryźliwości i telewizora. To ostatnie zaaplikowała sobie sama, żeby oszukać czas, zagłuszyć myśli, wspólnymi siłami przewalić weekend na drugą stronę. Może rodzice, widząc, jak spotulniała, szybciej jej odpuszczą.

Z dwóch godzin przed ekranem zapamiętała potwornie smutne twarze w polskim serialu z przytłaczającą ponurą muzyką i uporczywy reklamowy dzingiel. Przekonała się też, że jesień jest już w pełni. Reklamy zachęcały do zakupu witamin, suplementów, pastylek do ssania i leków na grypę, które bezwzględnie złamią przeziębienie i przegonią gorączkę, tak że dzieciaki na następnym spacerze w deszczu będą mogły brodzić po pas w wodzie. Nauczyła się już, że prawdziwa zima przychodziła, kiedy w telewizji zachęcali do wykupywania wakacji first minute, a wiosna, gdy półnaga modelka oblizywała na ekranie obleśnego loda. Zawsze pół kroku przed astronomiczną porą roku, jakby nie można się już było zatrzymać, w nieustannej marketingowej gotowości, wychyleniu w przyszłość przed toczącą się ślamazarnie przez pustkę Ziemią.

Odwróciła wzrok od ogołoczonego blatu biurka, pustego jak grota w orfickich misteriach, nauczycielka tajemnicy, i w ubraniu padła na łóżko. Poszukała wzrokiem lektury na noc, ale tym razem rząd grzbietów niczego jej nie podpowiedział. Nigdy nie lubiła układać książek według porządku innego niż własny. Na odkurzonych półkach *Bracia Karamazow* sąsiedowali z *Narodzinami tragedii*, *Ateny i Jerozolima* podpierały *Samolubny gen* i *Wyznania*. Zastanowiła się, czy podczas wcześniejszych porządków czegoś nie przegapiła, ale po chwili odpuściła. Ten trik był skuteczny, jednak dało się go stosować ograniczoną liczbę razy. Jak często można sprzątać mieszkanie?

Nie zapalała światła. Za oknem już dawno poszarzało. Na szczęście nie odebrano jej telefonu. Puściła cicho muzykę, jakąś przypadkową składankę debiutantów na YouTube. Rzadkie gitarowe riffy, białe t-shirty i długie grzywki członków zespołu, zimne elektroniczne dźwięki na syntezatorze. Muzyka jak białe światło, które przenika, prześwietla ją całą. *Where are you? In the middle of the fight. With the fire in your mouth.* Przed oczami znów zapaliła jej się wielobarwna feeria. Pamiętała. Oddychała, ale jakby nie oddychała. Milczała, ale jakby łkała. *Like a fang without its root. Like a moon in naked sun. Where are you? Now.*

Jestem, kurwa, tu, i nigdzie się nie wybieram. Zamknęła oczy i próbowała uspokoić oddech, odgonić to uporczywe dławienie w piersi. Szkolna pielęgniarka na badaniu okresowym już powiedziała jej, że ma skłonność do nadciśnienia. Zuza skrzywiła się. To by do niej pasowało. Nastolatka powalona przez zawał. Nie wiedziała nawet, kiedy zasnęła. A rano po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że naprawdę zwariowała. Żywiące się elektrycznością żyjątko w kontakcie, głosy w ścianach, plomby z nadajnikiem od Obcych w szczęce. Te sprawy.

W nocy miała sen, pierwszy od bardzo dawna. Nie to było dziwne. Tylko że aż tak dobrze go zapamiętała. Śniła o Zuzannie, która śni, że jest Zuzanną, która śni o Zuzannie. Obudziła się w śnie, i obudziła się w śnie ze snu, i obudziła się w śnie ze snu, który śniła we śnie. Tak że nie miała pewności, kiedy i czy w ogóle się obudziła. Zwłaszcza że jej pokój wyglądał tak samo jak ten, który zapamiętała. Noc, znienawidzony elektroniczny zegarek na wyciągnięcie ręki, odwrócony do ściany i równomiernie wykapujący na nią swoje zimne łyzy błękitnych sekund, na ścianach cienie żaluzji podświetlanych przez uliczną lampę. Rozładowany smartfon. Jej rozkopane łóżko, jakby biegła. Jakby uciekała.

Wstała, albo wyśniła, że wstała, albo śniła, że wyśniła, że wstała, i wyciągnęła sztywno rękę. Jak automat kierowany dawno wgranym programem. Jakby uruchomił się utajony mechanizm. Wiedziała, co ją przyciągało.

Magazyn fotograficzny na równo ułożonym i wyselekcjonowanym stosie przy łóżku wyglądał inaczej niż zwykle. Nie promieniował seledynowym światłem, żadnej horrorowej tandety. Zuzanna zapaliła nocną lampkę, wzięła do ręki czasopismo. Gładkie, lakierowane kartki. Samo jej się otworzyło na rozkładówce z krzyżówkami. Wymacała dłonią flamaster, który pojawił się nie wiadomo skąd. Pomarańczowa żarówka. Prawie wypisany. Zaczęła kreślić na dłoni znaki, które wysniła, że skierowano je właśnie do niej. Wiedziała, że to ważne.

Kiedy już obudziła się w jesiennej szarówce, ze strasznym kapciem w ustach, pierwsze, co zrobiła, to rozebrała się do samych fig i podkoszulka. Potem poszła do łazienki, uwolnić się od bólu pęcherza, rozczochrana, umyła dłonie i wróciła do pokoju. Położyła się jeszcze, zastanawiając się, co to wszystko znaczy. Ale nie mogła już zasnąć. Wymacała dłonią między ścianą a łóżkiem. I wyciągnęła pomarańczowy flamaster. Jak on się tam uchował po wczorajszej pacyfikacji?

W strachu spojrzała na rękę, ale na skórze niczego nie dostrzegła. Zmyła? Nie zapisała dokładnie? Wyprostowała się szybko i sięgnęła po czasopismo leżące na górze papierowego zigguratu. Zaczęła kartkować. Rozpisała flamaster i po kilku próbach zaczęła notować, tym razem nie na ręce, lecz na kartce obok. Wszystko się zgadzało.

Litery znajdowały się może w innych miejscach. I może przemawiały do niej inne krzyżówkowe hasła. Może nie odszukała wszystkich wskazówek. Ale. Przekaz nie pozostawiał wątpliwości. Wgapiła się w zapisane słowo.

PRZYIDTTE

Jakby wciąż spała.

* * *

Po weekendzie przejaśniło się, ale nawet gdyby spadło pół metra śniegu, zerwał się wiatr strącający dachy z kamienic i czaszki z karków, waliło żabami jak sam skurwysyn, Zuzanna i tak poszłaby się przewietrzyć. Musiała ochłonać. Odetchnąć. W drodze na rampę przezornie zakupiła nową paczkę fajek. Za ostatnie zaskórniaki. Być może rzeczywiście będzie musiała dokończyć ostatnie zlecenia i rozglądnać się za czymś nowym, bo niedługo zaczną wdychać jedynie benzopiren z kominów, ściekający zimą w rynny ulic po ścianach oblodzonych budynków. Powoli nadciągał sezon grzewczy i płuca bez treningu palacza też będą mogły poczuć, co to znaczy stanąć do meczu reprezentacji bez wcześniejszego zgrupowania.

Poniedziałek. Pierwszy dzień w szkole. Po Zajściu. Zależnie od tego, kto patrzył, spoglądano na nią jak na wariatkę, bohaterkę, kliniczną idiotkę, kobietę

z brodą. Na lekcjach. Na przerwach. Ileż można udawać, że się tego nie zauważa. Że to człowieka nie rusza. Raz czy dwa ktoś spróbował zrobić sobie z nią fotkę z tajniaka, ale tylko popatrzyła w tamtą stronę, i więcej nikt się nie odważył. Powinna się tego spodziewać. Ale i tak musiała odsapnąć.

I pomyśleć. W kieszeni spodni wciąż trzymała kartkę, którą zapisała w niedzielę rano. Papier pogiął się, zwilgotniał i postrzępił od nieustannego dotykania. Ale tam był. Za każdym razem, kiedy sprawdzała. Jakby neon rozpałił się na czarnej fasadzie świata.

Stara rampa kolejowa stała przy nieużywanym odcinku torów, który latem zarastały wysokie trawy i mocno pachnące zioła. Bardzo lubiła tu przychodzić. Budynki magazynów z czerwonej cegły ciągnęły się długim rzędem, w części opuszczone, w części zagospodarowane, odwrócone frontami do odległej ulicy, a Zuza opierała się o rozgrzany kamień, piła kłującą w zęby mineralkę wyjętą w sklepie wprost z zamrażalki lub zieloną herbatę z puszki, zagryzała słodką bułką z serem lub jabłkiem i patrzyła w mocnym słońcu, jak kilkadziesiąt metrów przed nią, na tle trakcji, zielonych płyt dźwiękoszczelnych i czystego nieba, zwalniają kolejne składy. Osobowe, towarowe. Znikąd i donikąd. Kiedy zastyga czas, a życie w tej kropli słonecznego bursztynu zdaje się dobre i ważne. Kiedy czujesz się dostrojona do wibracji wszechświata. To tu uczyła się palić podkradane matce papierosy. Przez wakacje po gimnazjum przeczytała całą *Wojnę i pokój*. Kiedy przejeżdżał pendolino, prawie czuła, jakby mogła dotknąć tę rozpędzoną smugę, obłaskawić srebrno-niebieskie światła.

Tylko że tym razem nie była tu sama.

Zobaczyła go, kiedy wyszła zza rogu jednego z budynków. Siedział prawie dokładnie w jej miejscu i też ją zauważył. Podniósł głowę. Za późno, żeby uciec, jeśli nie chciała wyjść na idiotkę. Poddała się i pchana siłą rozpędu przysiadła na rampie. Jesienne słońce grzało.

Chłopak był dość wysoki i bardzo chudy. Lekki trądzik na czole. Kiedy chodził, garbił się, jakby chciał coś ukryć, w splecionej klatce dłoni niósł przed sobą wąty płomień i bał się, że go straci. Znała go ze szkoły. Z widzenia. Kilka razy chyba z nim nawet rozmawiała, parę zdań wymienionych na jakimś apelu i na organizowanych przez szkołę dniach teatru. Z równoległej trzeciej klasy. Też siedział ze zwieszonymi nogami, w porozpinanej lekkiej kurtce.

Skinął jej głową, a potem odwrócił się i dalej patrzył na puste tory, jakby wypatrywał oczekiwanego pociągu. Nie, nie patrzył. Zuza zerknęła i zauważyła, że ma zamknięte oczy, że coś zapamiętała i wystawia twarz do wiatru.

W końcu się odezwała.

— Staszak, dobrze kojarzę?

Kiwnął głową.

— Zuzanna — przedstawiła się. I dopiero teraz zorientowała się, że też musiał ją znać. Kojarzyć. Po Zajściu. Przeszedł ją zimny prąd. Ale nie uciekła, nic po sobie nie pokazała. Chłopak dalej pałaszował drugie śniadanie.

Wzruszyła ramionami. W sumie nawet jej to odpowiadało.

— To na masę — powiedział w końcu, nie odwracając się, nic nie wyjaśniając. Wtedy jeszcze tego nie zrozumiała.

Kiedy skończył bułkę wielką jak tarcza Księżyca, Zuza wyciągnęła w jego stronę pudełko papierosów.

— Dzięki, nie palę.

— Że teraz to *passé*? Wiem, wiem. Też już rzucałam.

— Nie wiem, czy niemodne. Skraca oddech. — Spąsowiał, jakby chlapnął coś głupiego albo dopiero zamierzał powiedzieć coś, co pogrzyży go naprawdę.

Spod zmrużonych powiek dostrzegła ten rumieniec na niewyróżniającej się, szczupłej, androginicznej twarzy. Chłopak właśnie się zaczerwienił. Ze wstydu. Zuzanna się rozczuliła. Jakie to niewinne. Niespotykane w epoce slitfoci z seksrandek i ekshibicjonistycznych blogów o tym, kto komu przez weekend opierdolił na ciepło palę. Nie zretuszujesz w Photoshopie wypieków z realu.

Prychnęła ze złością, skarciła się w duchu.

— Aha.

Chłopak spojrzał zdziwiony, ale nic nie dodała. Już się zaczęło. Już się rozpadała. Nie potrafiła zapanować nawet nad najprostszymi odruchami. Jak tak dalej pójdzie, za chwilę będzie szlochać na prognozach pogody i robić maślane oczy do billboardów z rozświetlonymi choinkami.

Odpaliła. Zaciągnęła się. Z odległego drzewa za dźwiękoszczelnymi barierami wzbilo się stado czarnych ptaków. Drobne punkciki, jakby ktoś przestrzelił niebo cienkim śrutem.

— Często tu przychodzisz?

— Czasem. Odkryłem niedawno.

— Fajne miejsce, nie?

— No. Fajne.

Więc nie rozmawiali. Kiedy skończyła palić, sprawdziła godzinę na telefonie. Starsi jeszcze nie powinni się zorientować, że przedłużyła drogę powrotną ze szkoły. Staszak odprowadził ją do ulicy, skinął głową i ruszył w swoją stronę. Po wszystkim, już w domu, Zuzanna ze zdumieniem uświadomiła sobie, że chyba go

polubiła. Że wcale nie zepsuł jej miejscówki. W sumie to mogłaby go kiedyś jeszcze tam zobaczyć.

Dlatego że tak ładnie milczał. Że nie próbował o niczym rozmawiać.

* * *

Po południu we wtorek wypadała jej kolejna szychta w szpitalu. Najpierw obawiała się strasznie, jak to będzie, kiedy znów tam stanie. Przed tą dziewczyną, tymi ludźmi. Ale w końcu zrozumiała, że więcej nie może już zwlekać. Więc dobrze. Tak jak zagrają.

Od pani Żanety wywiedziała się o chorobie blondynki. Fachowa nazwa wciąż brzmiała jak określenie na istotę z kosmicznej głębi, ale jej sens ogólny był oczywisty. Dziewczyna była już po dwóch chemiach. Z niezbyt ciekawymi rokowaniami. Niczego innego Zuzanna się nie spodziewała.

Poprzedniego dnia wieczorem się przygotowała. Przed snem, w ciemności rozpraszaną tylko przez aureolę z ekranu przenajświętszego smartfona. Wiedziała, że to nie może być nic sztamowego. Standardowego. Jakieś przeprosiny, kurwa, z automatu. Przecież kolejna wiadomość, skierowana do niej i tylko do niej, wyczytana tym razem z dyskretnego SMS-a, była jednoznaczna. Jasna. W końcu.

Otrzymała go w samo południe. To raz. Dwa, że z pewnością jedynie oficjalnie wysłano go z serwisu astrologicznego, zachęcając do skorzystania z usług zawodowej wróżki, ponoć wyjątkowo profesjonalnej i zaskakująco niedrogiej. Zuzanna nie pozwoliła sobie jednak na wątpliwości. Nie dała się zwieść tej fasadzie.

Przecież nigdy wcześniej nic takiego do niej nie wysłano.

To nie mógł być przypadek. Nie chciała, żeby to był przypadek. Końcówka wiadomości mówiła zresztą jasno. Czeka cię coś wyjątkowego, jeśli postawisz wszystko na jedną kartę. Więc dobrze. Skoro tak ma być.

Znalezienie odpowiednich słów w otchłani internetu okazało się proste, choć korzystanie z przeglądarki na smartfonie wymagało nieco zaparcia. Ale potraktowała ten wysiłek jako zadatek przyszłej ofiary. To zresztą nie było żadne poświęcenie. Najtrudniej przełknąć wstyd. Że będzie to musiała powiedzieć, komuś obcemu, na głos. Ale skrupulatnie wyuczyła się wszystkiego na pamięć.

Przed wyjściem ubrała się inaczej niż zwykle. Tym razem postarała się, żeby ciuchy leżały dokładnie na swoim miejscu, nic nie wystawało. Sweterek, pod nim ceglasta koszula z kołnierzykiem. Wystające mankiety. Przeczesła nawet włosy, a potem spojrzała w lustro i zburzyła fryzurę jednym szybkim ruchem. Nawet ukorzenie musi mieć swoje granice, bez przesady.

Tym razem na właściwe piętro trafiła od razu. Pani Żaneta już na nią czekała. Zuza zostawiła kurtkę w pokoiku pielęgniarek, nałożyła fartuch, ochraniacze na buty. Salowa zabrała ją na obchód, podczas którego miała obserwować, mogła się przedstawiać, ale nie powinna nic robić i za wiele gadać. Jeszcze nie. Żeby się z nią oswojono. Żeby sama mogła się ogarnąć.

Nasi pacjenci, wytłumaczyła półszepem pielęgniarka, kiedy niespiesznie przechodziły z pokoju do pokoju, bywają, hm, w różnym usposobieniu. Nie zdajesz sobie sprawy, co ból potrafi zrobić z człowiekiem. Musisz być wyrozumiała. Kiedy weszły do sali zajmowanej przez Olcię, ekskluzywnej jedyńki, w której na stoliku stały kwiaty w tanim wazonie i leżało kilka cienkich magazynów plotkarskich w krzykliwych okładkach, a na parapecie tablet i wyłączone na czas obchodu radio, dziewczyny spojrzały na siebie przelotnie, jakby widziały się po raz pierwszy w życiu. Ale gdy po obchodzie Zuzanna zapytała panią Żanetę, czy mogłaby jeszcze chwilę zostać, a potem wróciła i zapukała niepewnie w uchylone drzwi, widać było, że Olcia ją poznała.

Dziewczyna, leżąc na podniesionym łóżku, bawiła się telefonem. Ta sama jaskrawa bandana na głowie, góra od dresu przewieszona przez oparcie krzesła, na ciele szara koszulka z krótkim rękawem, pod którą uwypuklał się ażurowy stanik. Blondynka o jasnobłękitnych oczach, prawie szarych, prawie przezroczystych, na których jak małe słońca rozkwitały nieregularne złote plamki. O pięknej i niepokojącej, anorektycznej twarzy upadłego anioła. Dyskretnie umalowana. Z przyklejonym w łokciu wenflonem. Tych ran po igłach Zuzanna naliczyła więcej.

Dziewczyna odłożyła iPoda, najnowszy model z ogromnym ekranem.

— Tak?

Zuza wciągnęła powietrze do oporu. A potem skoczyła.

— Słuchaj. Olcia? Pamiętasz mnie? No wiesz, wtedy, w piątek. No więc. Ja cię bardzo przepraszam. Strasznie mi głupio. Boże święty. Sama nie wiem, co mnie podkusiło. No wiesz. Żeby tak pierdolnąć. Znaczy palnąć.

Olcia patrzyła na nią przenikliwie. Jakby coś rozważała. Ze ścieżki dialogowej w grze wybierała odpowiedni wariant. Z tą różnicą, że drugiego podejścia nie będzie, już się nauczyła, że w życiu nie ma save'a.

W końcu się odezwała.

— Ale co, skłamałaś? Powiedziałaś coś wbrew temu, co myślisz?

— No nie. Znaczy. Nie wiem. To nie tak. Bo wiesz. Jak to zabrzmiało.

Zuza wciąż stała niepewnie w pół drogi między drzwiami a łóżkiem. Jakby nie mogła się zdecydować, czy podejść i usiąść przy stoliku, czy uciekać. Pierwszy raz

znajdowała się w takiej sytuacji. Zaczęła rozdrapywać ranę na kciuku. Wcześniejsze lektury, życie, szkoła, nic jej do tego nie przygotowało.

— No, jak?

— Jakbym cię już skreśliła. Was. Kurwa. Głupio mi. Przepraszam. Nie, czekaj — zastopowała Olcię, kiedy dziewczyna poprawiła się na łóżku i wyglądało tak, jakby chciała wstać. — Wiem. Wiem, że to może trochę dziwne. Ale wolałabym ci zostawić coś więcej niż to kiepskie pierwsze wrażenie.

Starła z twarzy wymuszony uśmiech i przymykając powieki, odszukała w pamięci wyuczone słowa. Spróbowała mówić tak, żeby brzmiało to jak najnaturalniej. Choć nie mogła uwolnić się od myśli, że zachowuje się jak aktorka w ckliwym serialu.

Teraz albo nigdy. Spadała.

— Krocz spokojnie wśród zgiełku i pośpiechu. Pamiętaj, jaki spokój może być w ciszy. Tak dalece, jak to możliwe, nie wyrzekając się siebie, pozostawaj w dobrych stosunkach z innymi ludźmi. Mów spokojnie, kim jesteś, ale słuchaj też tego, co odpowiadają inni. Oni też mają swoją historię, ani gorszą, ani lepszą od twojej. Ciesz się zarówno swoimi osiągnięciami, jak i porażkami. Te ostatnie też mogą przynieść pożytek, jeśli z sercem wypełniałaś swoje obowiązki. Nie lekceważ uczuć, albowiem w obliczu przeciwności tylko one trwają. Staraj się być szczęśliwa.

Zuzanna musiała nabrać tchu i uchyliła powieki. Olcia zastygła na łóżku, zszokowana. Za półprzymkniętymi drzwiami, na korytarzu, szybko przeszło kilka osób, grzechocząc drewniakami. Zuza urwała.

Blondynka uśmiechnęła się szeroko. Powoli. Oho. Zuza miała dłonie mokre od potu, ale nie rozwarła zaciśniętych piąstek. Teraz się zacznij.

— Czekaj. Czekaj. Zuzanna, tak, pamiętam. — Odrzuciła głowę, jakby poprawiała włosy. — Przepraszam, ale o czym ty do mnie pierdolisz? Takich, co mi współczują, to ja tu mam na pęczki. Jak chcesz pogadać, to mów. Jak chcesz się poużalać nad sobą, to spieprzaj do tych, przy których poczujesz się lepiej. Masz fajki? Idziesz zapalić? Sama musiałam rzucić. Ale to nie znaczy, że nie lubię popatrzeć. — Mrugnęła. — Prawie jak na pornosach.

— Prawie — Zuza poruszyła zdrętwiałymi wargami — robi różnicę.

— Zawsze.

I poszły. W przerobionej na składzik oranżerii przywitał ich zimny przeciąg, białe chmury za oknem i wilgoć w kątach. Po wcześniejszym słońcu nie było nawet śladu. Ale paliły długo, choć zaciągała się tylko Zuza, mówiły cicho i nie chciało

im się wracać. Jakby zeszło z nich ciśnienie, została im darowana jakaś wielka przewina przodków, ciężąca starą klątwą na barkach.

Wtedy po raz pierwszy rozmawiały o śmierci, choć słowo to nie padło ani razu.

* * *

Nie zauważyła, kiedy późna jesień zamieniła się we wczesną zimę. Z drzew wiatr szesał liście. W kolejkach do kas zagęściło się od zaduchu naftaliny, gdy wojownicy słońca wydobyli z głębokich szaf swoje zimowe zbroje. Łuska lodu na kałużach podczas pierwszych porannych przymrozków chrupała jak wafle. Ale Zuza miała na głowie co innego niż nieustający ruch w kosmosie planety uzależnionej od światła. W tym czasie odczytywała już kolejne telegramy od świata.

Dziwność zdobywała przyczółki w realu jak nowa skóra wyłaniająca się spod zbyt gwałtownej opalenizny z wakacji. Najpierw pojawiają się drobne jaśniejsze kropki złuszczonego naskórka, potem pomarszczone bąble jak odwrócone jeziora i jasne plamy o postrzępionych brzegach, w końcu bibuła skóry odchodzi od ciała całymi płatami. Jak wylinka. Skóra węża. Makijaż, pod którym się ukrywała. To, co zostaje, dalej jest tym samym. To dalej ty. Ale już nie do końca. Już nie naprawdę.

Przypadkowe, ale nieprzypadkowe gesty w telewizyjnych talk-shows, kiedy goście, ślepe ostrza losu, zwracali się tylko do Zuzy, słowem wyrwanym z kontekstu, miną inną niż inne miny, zdumiewającym grymasem.

Podnoszone z ulicy rozmiękłe foldery reklamowe z dyskontów, szyfr krzykliwych onomatopei, promocji dnia ustawianych z sekretnej klucza i pogrubionych kolorowych liter, które nie rozmokły i jeśli wpatrywać się w nie odpowiednio długo, ujawnią drugie, zaszyfrowane znaczenie.

Tablice rejestracyjne kolejno przejeżdżających samochodów, parzyste i nieparzyste, miejscowe i spoza miasta, zero-jedynkowy kod o nieskończonej możliwości kombinacji.

Kapsle z napojów z wypisanymi pod spodem banalnymi sentencjami, najlepsze, wyczekiwane z drzeniem. Jak pocztówki z drugiej strony, profil jednej z norn na Instagramie, mowa aniołów przetłumaczona pięknie i dokładnie.

Piosenka ustawiona jako dzwonek w telefonie przypadkowego przechodnia. Wlepki w komunikacji miejskiej z przekreślonymi nazwami klubów sportowych. Zastanawiające ogłoszenia drobne w darmowym biuletynie miejskim rozdawanym na przystankach. Uliczne bazgroły udające graffiti. W końcu się na coś przydały.

Zuza zaczęła z uwagą śledzić telewizyjne bloki reklamowe, w ich poszukiwaniu całymi godzinami wędrowała po programach. Wracając po szkole do domu, wskakiwała do autobusów, systematycznie zmieniając numer linii, a potem jeździła po mieście, zataczając coraz większe kręgi, kluczyła i przypatrywała się, kto drepcze ulicami. Uważnie analizowała witryny sklepowe. Na chodnikach wyłapywała słowa przechodniów, chimeryczne strzępy zdań rzucane przez wąsatych listonoszy, emerytki w długich kolejkach na pocztce, ochroniarzy po pięćdziesiątce, biznesmenki w żakiecie, dzieciaki z podstawówki wracające do domu całymi stadami.

Próbowała je potem mozolnie lepić, składać te słowa, dopasowywać zapamiętane obrazy. Jak rzeźbiarz odłupujący z kamienia to, co niepotrzebne, żeby wydobyć z bezkształtnej bryły delikatnie zaplecione dłonie i przerażone twarze. Stachanowiec w kopalni sensu.

I jedynie czasem zastanawiała się, czy te wiadomości nie pojawiały się już wcześniej, nie otaczały jej od zawsze, a jedynie ona ich nie dostrzegała. O stan swojego zdrowia psychicznego już nie pytała. Czy prorok przejmuje się tym, że inni nie dostrzegają jego koszmarów? Gdyby widzieli, po co miałyby śnić, komu przydałoby się jego prorokowanie.

Spadł pierwszy śnieg, potem szybko stopniał. Rodzice zabrali ją na zakupy, potrzebowała nowych butów. A może naprawdę próbowali spędzać z nią więcej czasu? Raz i drugi przymilnie poprosiła o oddanie laptopa. W końcu się zgodzili. Zuza zanurzyła się w sieć i kontynuowała poszukiwania.

Wciąż nie wiedziała tylko, co te zdania, uwagi i polecenia miałyby jej powiedzieć. Przed czym przestrzegają. Do czego namawiają. Ale na razie tym też się nie przejmowała. Miała bowiem niezbitą pewność, że zostały skierowane do niej i tylko do niej.

Że mają swojego nadawcę. Że ktoś się o nie postarał.

Że mu na niej zależało.

* * *

Do Olci przychodziła trzy albo cztery razy w tygodniu. To znaczy do szpitala, ale gdyby jej tam nie było, Zuzanna nie wie, czy by wytrzymała. Tak minęły im mikołajki, kiedy umówiły się, że dadzą sobie najgłupsze prezenty pod słońcem i zadanie wykonały z żelazną sumiennością. Zuzanna przemyciła Olci butelkę piwa bezalkoholowego, a blondynka wręczyła jej ziemniaka. Tak minęło Boże Narodzenie, bardzo ponure, szare i smętne, w końcu śmiały się obie, że tak gotycko zamulają.

Kiedy skończył się okres wyznaczony przez kuratora, Zuzanna przychodziła tam nadal. Dalej dławilo ją w piersi, kiedy odwiedzała pacjentów, a gdy wchodziła do pustego pokoju, w którym jeszcze wczoraj ktoś leżał, przed oczami wybuchała jej biała plama. Ale nauczyła się funkcjonować nawet z tymi migrenami. Zwłaszcza że Olcia nie zostawiała jej wiele czasu na udękę i dramat. Dużo rozmawiały. O normalnych sprawach. Prawie. Blondynka pytała o szkołę, starych, co w kinie. I dalej jakoś leciało.

Zaczęły, oczywiście, od rozmów o chłopakach.

— To w końcu jaki on jest? Ten Staszak czy Staszek.

— Oj, jaki. A skąd ja mam wiedzieć? Mówiłam ci, to tylko kolega.

— No to po co w ogóle o nim opowiedziałaś?

— No bo tak wierciłaś. Jezus. Czy mógłby porozmawiać ze mną ktoś normalny?

— Mhm. To proste. Zwyczajnie się zakochałaś.

— No jasne, tak to sobie tłumacz. To żadna miłość. — Zuza się wkurzała. Ale potem patrzyła w te niebieskie oczy, w których płonęły ogniki, na szpitalne łóżko i kropłówkę kolejny raz podłączaną do kruchej żyły, i uśmiechała się z trudem. Trzepotała teatralnie rzęsami. Co jej szkodziło. Kłamała. — Najwyżej taka mała.

— Mała miłość nie istnieje. Duża miłość to jest miłość.

— A coś ty się nagle taka natchniona zrobiła?

— To od telewizji. Tak śpiewali. Mówię ci. Dwuzłotówki to jest zło. Gdybyś zobaczyła, że wrzucam kolejne do automatu, po prostu mnie dobij.

— Ej. Nawet tak nie mów.

— No co? Przecież my tu tak na okrągło. To od tej telewizji. Głupiejemy, w sensie że. No nie patrz tak na mnie.

Kiedy udało jej się zmienić temat, rozmawiały o personelu na oddziale. O sanitariuszach. Zwłaszcza jednym, chłopaku. Zwalisty dwudziestoparolatek udzielał się tu już wtedy, kiedy pojawiła się Olcia, ale nigdy nie zamienili ani słowa. Nie był pielęgniarzem, ale na pewno nie należał do pacjentów. Nie uczestniczył też chyba w programie kuratorskiego wolontariatu. Pojawiał się od czasu do czasu. Pielęgniarki go wyraźnie lubiły. Ale dziewczyny nie zapytały żadnej z nich, jak ma na imię. Zuza zrobiłaby to bez problemów, ale Olcia powstrzymała ją, po co psuć zabawę. W ten sposób dłużej można zgadywać, kim jest, co zrobił, za co tu trafił.

Nie wiedząc, jak się nazywa, szybko zaczęły zwać go z czułością Igorem. Choć czasem wymyślały mu imiona. Sędzimir. Armand. Rufus. Polikarp. Ajaks. Pod każdym z nich miał inną historię. Diler narkotyków w okolicznych przedszkolach.

Groźnego osiedlowego zabijaki, który polował na działkach na drobnych pijaczków. Kibica piłkarskiego zaangażowanego w okultyzm, oddającego cześć pogańskim bogom. Dusiciela nauczycielek od polskiego. Gwiazdy amatorskiego porno dla studentów i innych dewiantów. Dość wysoki, powolny, bykowaty, pod fartuchem widać było mocne ramiona i szerokie uda. Łysy, z nosem jak odgięty kapsel, o bardzo mocnych, dużych i białych zębach zdrowego ludojada.

Mówiono o nim, że miał straszny niefart, wszystko leciało mu z rąk, a mimo to Zuza nie widziała, żeby choć raz na coś narzekał. Zawsze się uśmiechał, strasząc tym swoim grymasem najmłodsze dzieci i emerytów po bajpasach, choć nie był to uśmiech robota-psychopaty, raczej pogodny grymas goryla pogodzonego z życiem w klatce. Najporządniejszy osiedlowy psychopata.

Kiedy na oddział przyszła trefna partia zbyt miękkich tekturowych basenów albo rozszczelniła się kaczka, można było mieć pewność, że gówno wyleje się właśnie na niego. W tych wielkich nieporadnych łapach zapaśnika rozrywały się worki na śmieci, ustawiane na szafkach jednorazowe reklamówki z pomarańczami od odwiedzających, a wtedy owoce toczyły się po podłodze jak wytrącone ze swoich orbit dopalające się czerwone karły. Igor potrafił ubabrać się rano kisiem z roznoszonego śniadania i chodzić tak cały dzień, nie zauważywszy smugi na fartuchu i gładko ogolonym kanciastym policzku, dopóki jakaś miła staruszka nie zwróciła mu wreszcie uwagi. Uśmiechał się wtedy, szeptał pod nosem przepraszające „Oż kurwa”, a potem ocierał policzek i wracał do roboty.

Mężczyźni, zwłaszcza emerytowani dyrektorzy, którym pierwszy raz w życiu powinęła się noga, po wylewie, z guzem wielkości kserokopiarki w tyłku albo miażdżycą taką, że ich tętnice można było kruszyć jak nadpalony papier, złościли się czasem o tę nieporadność, kompot rozlany na podstawkę, doniesiony nie ten napój gazowany. Ale kiedy widzieli jego wzruszenia ramion, pogodny wzrok i stateczny krok, kiedy szedł naprawić to, co zawałił, szybko odpuszczali. Zapraszali go do kart, chwalili się wnukami, rozpaczali po żonach, które odeszły, do kumpla lub świętego Piotra, z rozrzewnieniem opowiadali o dawnym pijaństwie i kobietach, tego nigdy mu nie żalowali.

Zuzanna się go bała. Olcię, co przyznała z niejakim zawstydzeniem, Igor fascynował. Dlatego w ich rozmowach tak często do niego wracała. Zawsze się z niego śmiała.

— Czy masz rewolwer w kieszeni, czy tak się cieszysz na mój widok? — zagadnęła go przy Zuzie tylko raz. Chłopak zburczał podręcznikowo i zaraz, spłoszony, odczłapał do swoich zajęć. Olcia wzruszyła ramionami. Ale Zuza знаła ją już na tyle, że wiedziała, że i ona robi dobrą minę do złej gry. Niebawem. Warto

było dożyć tej chwili, żeby zobaczyć, jak dziewczyna się wstydzi. Najczęściej nie przejmowała się konwenansami.

— To dziwne. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

— Tak. Nie. To zależy, czy powiesz, o co ci w końcu chodzi.

— Że w polskim nie ma słowa na to uczucie, kiedy jesteście rozdzieleni z ukochanym. W rumuńskim to „dor”, wiedziałaś? Albo na to, że zestarzejecie się razem. I na bezinteresowną radość, kiedy komuś innemu przydarzyło się coś dobrego. Lub jak czujesz, że jesteście sobie przeznaczeni, kiedy właśnie spotkałaś nieznanego. Wiesz, że w arabskim mają osobne określenie na to, że życie bez ukochanej osoby to tak naprawdę nie życie? W arabskim. A my, co mamy?

— W sumie to trochę smutne.

Olcia kontynuowała:

— Czujesz? W pewnym momencie rodzice postawili cię na ziemi i już nigdy nie wzięli na ręce. Każdy z nas był kiedyś najmłodszym człowiekiem na ziemi. I będzie tym, który właśnie umrze. Myślałaś kiedyś o tym?

Zuza przełykała ślinę. Jak miała jej powiedzieć, że tak, myślała?

— Olcia. Ty jednak musisz być strasznie szczęśliwą gąską. Jeśli tylko takie rzeczy chodzą ci po głowie. Naprawdę nic innego już w sieci nie znalazłaś?

— Proszę cię. Tylko tym warto się przejmować. Reszta to inżynieria marzeń.

Zuzanna wiedziała o chemii, którą przyjmowała dziewczyna, problemach z terapią, rokowaniach. Ale o tym znów powiedziała jej pani Żanetka. Raz czy dwa spróbowała poruszyć kwestię choroby również z blondynką, no jasne, skoro przemogła się w innych sprawach, czemu w końcu nie w tej. Ale akurat w tym temacie dziewczyna nie miała wiele do powiedzenia.

— Zanim tu trafiłam? To było życie takie jak każde. Szkoła i szaleństwo, szkoła i szaleństwo. W strasznych czasach żyjemy. Starłam się o tym wszystkim nie myśleć. Dbałam tylko, żeby doczołgać się na lekcje w poniedziałek rano, bo rodzice bardzo się o to spinali, a w piątunio krótka kiecka, klub i kocioł. Straszny banał, nie? Bardzo mnie to wtedy uwierało. A dziś. Sama wiesz.

— „Oddałybyś wszystko”.

— No właśnie. Jakieś to żałosne.

— Prawdziwe?

— Wiesz, co mówił dziennikarzom Tyson o swoich przeciwnikach, jak już wyszli ze szpitala? Każdy ma jakiś plan, dopóki nie dostanie pięścią w mordę.

— Znalazła się. Osiedlowa filozofka. To może jeszcze poczęstujesz mnie mądrością Dalajlamy?

— Znasz mnie. Kiedy jestem dobra, jestem bardzo dobra. Ale kiedy jestem zła, jestem jeszcze lepsza.

Wciąż od czasu do czasu wymykały się na dymka. Po kilku sesjach w toalecie, kiedy Zuza zobaczyła, jak Olcia próbuje nie wyrzygać żołądka po lekach, w oranżerii nie częstowała jej już papierosem i sama powzięła poważne postanowienie skończenia z paleniem. Nie wiedziała tylko, jak ustawić granicę brzegową. Rzuci, kiedy się skończy? Tylko co. Kiedy się zacznie? Podobnie. Pilnowała się, żeby tego nie nazwać.

Olcia, jak zwykle, i na to była przygotowana.

Za oknami oranżerii waliło wtedy mocne styczniowe słońce. Na parapetach leżał śnieg, metalowe okucia były obsmarkane przezroczytymi soplami. Minus pięć i wyż. Zuza uwielbiała takie dni, ale bała się, że dla Olci jest dziś jednak za zimno. Ta uśmiechała się tylko, ze stopami w podarowanych jej góralskich bamboszach i rękami w kieszeniach porozciąganej różowawej bluzy. Jakby już podjęła decyzję, czy ma wyjawic jej wielki sekret, przyjmując do bandy zbójców nową duszyczkę, bardzo niewinną i gotową do zdeprawowania. Aż w końcu wyciągnęła niewielką torebkę strunową i zaczęła zwijać skręta.

— Marihuana? Boże, dziewczyno. Przecież. Przecież to.

Olcia wydłubała zapalniczkę z kieszeni Zuzanny, przypaliła, zaciągnęła się. Trzymając w płucach dym, rozgoniła dłonią mgiełkę przed oczami. Gdy mówiła na wdechu, brzmiało to jak zeznania w lunaparku wymuszane pluszowymi torturami.

— Mmm. No, jakie? Szkodliwe? Nielegalne? Daj spokój. Nie mów, że ty nigdy.

— Ale nie tutaj. W szpitalu. Tylko na zewnątrz.

— Szpital, moja droga, jest teraz moim całym światem. Chyba nie wyobrażasz sobie, że wyjdziemy pod trzepak zabakać.

Zuza miękła. Ale wciąż nie wydawała się przekonana.

— A jak cię złapią?

— Nie złapią.

— Przecież to szkodliwe.

— Naprawdę? Poczytaj trochę internetów, zamiast słuchać kocopołów dziadków z telewizji, którzy walą wódę wiadrami, ale nigdy nie zajarali. To na pracę jelit. Apetyt. Rozluźnienie. Zamiast mnie ścigać, pielęgniarze powinni mi to dodawać do terapii za fri, w pakiecie. Nie będę się już kłóciła o browara.

Zuza przełożyła papierosa do lewej ręki, niepewnie wzięła skręta między dwa palce. Popatrzyła z nieufnością.

— Ty często tak? Podpalasz?

Pociągnęła małego maszka. Olcia przymknęła oczy i odwróciła się do rozgrzanej szyby. Długo i wolno wypuszczała dym. Ale w jej głosie zabrzmiała inna nuta. Melancholia. Nostalgia. Jakby gdzieś w oddali nawoływali się pieśniarze z nieznanych krain.

— Mmm. Kiedy mam wybierać między jednym złem a drugim, zwykle wybieram to, którego jeszcze nie próbowałam.

W tym czasie parę razy Zuzanna rzeczywiście widziała się ze Staszakiem. W szkole, na ulicy. Przed zajęciami. Złapała się nawet na tym, że specjalnie poszła na rampę, żeby sprawdzić, czy i on tam jest. Był. Znowu wiele nie rozmawiali. Zuzanna postanowiła o tym za dużo nie myśleć i brać rzeczy takimi, jakimi się przydarzą. Zwłaszcza że miała na głowie inne sprawy.

— A ty, no wiesz. Masz kogoś? Olcia?

— Jak by ci to powiedzieć. Związek to wspinała instytucja. A ja nie jestem jeszcze gotowa, by stać się instytucją. Ale spokojnie. Seks połączony z miłością to najwspanialsza rzecz w życiu. Tylko że seks bez miłości też nie jest taki zły.

— Bo uwierzę. Wcale nie jesteś taka.

— Mhm. Jaka? Nie taki diabeł straszny, jak się umaluje. Pamiętaj. To nie ilość mężczyzn w twoim życiu jest ważna, lecz ilość życia w twoim mężczyźnie.

Zuza się uśmiechnęła. Lubiła, kiedy blondynka wpadała w ten mentorski ton. Czuła się bezpieczniej. Jakby wtedy rzeczywistość, która ich połykała, też stanowiła rodzaj teatru.

— Było aż tak źle? Przypominam ci, że istnieje jeszcze coś takiego jak uświęcona przez pokolenia nastolatków Jej Wysokość Masturbacja.

— Spadaj. Błędzenie jest ludzkie, ale sprawia, że czujesz się bosko. — Olcia puściła oko. — Poza tym o niczym nie zapomniałam.

Kilka razy natknęła się też w przelocie na rodzinę Olci. Kiedy przychodzili ją odwiedzać. Matka pojawiała się codziennie, ojciec co dwa, trzy dni. Zuza starała się nie wchodzić im w drogę. Co miałyby powiedzieć? Uciekała po krótkim „Dobry wieczór”, zwłaszcza że gdy przychodzili, Olcia najczęściej markotniała. Ale nie, u niej w domu było w porządku. Starzy jak to starzy. Ojciec kierownikował w fabryce poduszek do samochodów, inżynier starej daty, co w dyplomie polibudy wierzy jak w święty obrazek. Mama pracowała jako asystentka stomatologa. Olcia miała nawet brata i Zuza mocno się zdziwiła, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, choć nie wyróżniał się niczym. Jakby naprawdę uwierzyła, że poza nimi, poza szpitalem, nie ma innego świata. Dwa–trzy lata młodszy od siostry. Rafał. Mrukliwy. Z okularkami i modną fryzurą. Bardzo przestraszony, speszony. Rozumiejący, co się dzieje, ale niepotrafiący o tym rozmawiać. Przynajmniej

uczciwie przynosił Olci dobrą trawę. Zwyczajny dzieciak w piekle gimnazyj. Wszyscy to przerabiali.

Tato Zuzy prowadził biuro rachunkowe, a mama broniła się przed zwolnieniem z banku, oganiając się przed coraz to młodszyimi wilczkami. Olcia ostentacyjnie ziewała, kiedy Zuzanna próbowała się na nich wyżalić.

— To wyobraź sobie, jak umierają. Ale wiesz, nie jak w horrorach. Żadne odcięte głowy. Żadni psychopaci. Tylko zwyczajnie. W łóżkach. We śnie. Na żaglówkach. Schodząc z górskiej grani. Po długim życiu, którego nie zmarnowali.

Zuza uniosła brwi w szczerym zdumieniu, spojrzała na blondynkę ze zgrozą.

— Ty chyba jesteś nienormalna?

— No co? Ja często o tym myślę, jak nie mogę zasnąć. Wariatko, co tak na mnie patrzysz. Przecież to nas zbliża. Że wszyscy mamy ten sam problem. Że jesteśmy tacy sami.

— O ludzie.

— No ale co chcesz? To pomaga. Zresztą to tylko myśli. Nikogo jeszcze nie zadźgałam.

Ale Zuza nie dała się zwieść lekkiemu tonowi, przynajmniej nie tym razem. To puste spojrzenie, oczy. Jak samojebka rozpaczy.

Innym razem mówiły o szkole. Ale o Zajście Olcia nie zapytała.

— Słuchaj, Zuzka. Tylko się ze mnie nie śmiej. Wiesz, jaka jest w ogóle moja wymarzona klasa? To szkoła, do której chodzą jedynie Hannah Smith, Ciara Pugsley, Erin Gallagher, Josh Unsworth. Anna Halman, Alyssa Funke, Amanda Cummings. Dominik Szymański. Mitchell Henderson. I inni tacy — wylizowała te nazwiska tak poważnie, jakby odprawiała jakiś rytuał. — Z nimi mogłabym się męczyć na lekcjach.

— Kto. Kto to? — Zuzanna w końcu wydukała. Choć czuła, że lepiej nie pytać. O tym Dominiku przecież słyszała.

I Olcia zaczęła mówić, tym samym spokojnym, mechanicznym głosem, który stanowi kolejny rodzaj maski. Hannah, czternastolatka z Lutterworth w Anglii. Powiesiła się w swoim pokoju, bo nie wytrzymała fali jadu na głupim portalu. A zapytała tylko, co zrobić, żeby lepiej wyglądać. Jak gdyby tylko ona w tym wieku chciała się bardziej podobać chłopakom. Ania z Gdańska. Najładniejsza dziewczyna w klasie. Zabiła się po tym, jak koledzy na lekcji udawali, że się z nią zabawiają. Upokorzona na równi tym prawdziwym gwałtem, siłą i zniewolenie nie były przecież udawane, i tym, jak inni na nich patrzą. Jakby jej się należało. Jakby chcieli z nią zrobić to samo. Alyssa, studentka pierwszego roku biologii na uniwersytecie. Zamierzała zostać anestezjologiem. Zagrała w filmie dla dorosłych,

żeby dorobić do studiów, i oczywiście nagranie wyciekło. Potem już jej nie odpuszczono. Zastrzeliła się na łodzi rodziców. Jak gdyby walący konia pod jej taśmę obrońcy moralności uwierzyli w to, że nieustanne przypominanie błędu, który się popełniło, naprawdę jest mniej okrutne od puszczenia w niepamięć. Jakby sami chcieli, żeby ich również tak potraktowano. Dominik. Czternaście lat. Z framugi, gdzie wisiało ciało, odcinała go matka. Też nie znalazł nikogo, wśród kolegów, nauczycieli i aniołów, kto by go ocalił.

Olcia mówiła o ich datach urodzenia, hobby, wakacjach, planach na przyszłość. Jakby wykuła to na blachę na jakiś wielki sprawdzian. Nauczyła się na pamięć, bo skoro pozbawiono ich przyszłości, to choć niech przeszłość nie zostanie odebrana.

Jedynie raz, kiedy Zuzanna weszła do pokoju, blondynka płakała. Dużo wtedy spała popołudniami, jeśli tylko mogła zasnąć, cały czas leciała na środkach przeciwbólowych i strasznie wymiotowała.

— O Boże. Dziewczyno. Co się stało?

— Nic. Nic, no. Durna krowa jestem, i tyle.

— Mów, pęknięcie przecież zaraz. Już wszystko dobrze. Boli cię?

— To nic. Miałam tylko sen. Że siedzę w domu, jest rano, piję pierwszą kawę i patrzę za okno. Jeszcze mam wolne. Jestem dorosłą kobietą i od niedawna mieszkam we Wrocławiu. Jestem uzależniona od tańca, od pracy i od miłości, lubię cierpki smak czerwonych porzeczek i malin zrywanych prosto z krzaków, lubię lato i lubię, kiedy jestem zdrowa i spokojna. Siedzę w kuchni w wieżowcu, na ósmym piętrze, na nieszczerólnie wygodnym krzeselku. Kaloryfery są rozkręcone na full i metal aż parzy. Bardzo przyjemnie. Zima jest porządna, zupełnie jak teraz. Noce trwają bardzo długo, a mój syn śpi w pokoju obok, dobrym i mocnym snem.

Spojrzała wówczas na Zuzę takim wzrokiem. Nieprzytomnie. I te słowa wypowiedziane nie swoim głosem, jak ostrze żyłki wycinającej na przedramieniu pierwszą ranę.

— Trzeba natychmiast żyć. Jest później, niż nam się wydaje.

Potem tłumaczyła, że nic z tego nie zapamiętała.

I tylko o tej gnozie rzeczywistości, depeszach ze snu, przekazywanych jej w tajemnej mowie bogów i demonów, Zuzanna nie opowiadała. Bała się? Wstydziała? Nawet nie tego, że Olcia by jej nie zrozumiała. Ani ona pierwsza, ani ostatnia. Codzienny chleb nastolatka. Ale co, jeśli ten, kto do niej pisał, potraktowałby to jako zdradę? Zerwanie chwiejnego sojuszu, paktu, w którym złożyła nadzieję wbrew rozsądkowi, przymierza, którego nie zawierała? Więc nie zaryzykowała.

Podczas jednego z takich dni, dni jak rejs na otwartym morzu, kiedy z zasięgu wzroku zniknęły już wszystkie punkty orientacyjne, albo jak clubbing w obcym mieście, Zuza na szpitalnym korytarzu wpadła na księdza Maja. Zdziwiła się. Na lekcjach religii starannie unikali się wzrokiem, uciekali spojrzeniami jak para dawnych kochanków. A potem się przestraszyła. Że ktoś umierał. I dopiero wtedy jej ulżyło. Odetchnęła. Na pewno ktoś umierał. Gdzie miała spotkać księdza, jeśli nie w szpitalu?

Przywitali się niezręcznie. Katecheta wydawał się bardziej zaskoczony niż ona. Zuza przyjrzała mu się uważniej. Wyglądał jak ktoś, kto umarł, ożył w kostnicy i wrócił na imprezę, dokończyć napoczętego litra. Speszony. Skołowany.

— Proszę księdza, mogę w czymś pomóc? Zgubił się ksiądz? Te korytarze.

— Nie, nie. To znaczy tak. W sumie. — Wyraźnie nie wiedział, jak zacząć. Zagał — jak w szkole?

W szkole akurat się unormowało. Zuza zaczęła nawet rozmawiać z nauczycielami i koleżankami. Choć przecież wiedziała, co się stało. Dlaczego to się stało. Pamiętała.

— W porządku. Jak to w szkole. Cudów bym się nie spodziewała.

Maj nawet nie udawał, że zrozumiał dowcip. Wreszcie się zdecydował.

— Miałabyś chwilę? Możemy porozmawiać?

Zuza wzruszyła ramionami.

Zaprowadził ją do szpitalnej kaplicy. Kiedy weszli, starannie przymknął drzwi. Z zewnątrz, oprócz powieszanej obok futryny tabliczki informacyjnej z przezroczystej pleksi, niczym się nie wyróżniały. Zuzanna nigdy wcześniej tu nie była. Zapomniała w ogóle, że takie pomieszczenie w szpitalu istnieje, choć przecież zdarzało się, że mijała je podczas swoich wizyt. Nigdy nie słyszała, żeby w środku odbywała się msza czy coś podobnego. Ale to jeszcze o niczym nie przesądzało.

Speszyla się. Nie wiedziała, jak ma się zachować. Przeżegnać się, uklęknąć? Katecheta wybawił ją z kłopotu, zaprowadził na jedno z rozkładanych drewnianych krzeseł, drugie rozstawił dla siebie. Przez niewielkie okno nad ołtarzem, wychodzące na białe niebo, wpadało kłujące w oczy światło. Pomieszczenie było małe, ale schludne, białe ściany, plastikowe kwiatki, dużo lakieru na jasnych drewnianych wykończeniach. Na ścianie udręczona twarz na krzyżu ze sklejk. Wszystko wysprzątane. Maj nie zwracał na to uwagi. Wpatrywał się w Zuzannę i zbierał myśli, aż dziewczyna zaczęła skubać palcem serdecznym ranekę przy paznokciu kciuka.

— No więc. Ile już tu jesteś, na tym wolontariacie? Dwa, trzy miesiące?

— Od października. Pamięta ksiądz? To ile będzie. Cztery miesiące z hakiem?

Więc opowiedział jej, że od początku roku sam zaczął odwiedzać szpitale. W ramach posługi duszpasterskiej. Odprawiać msze w kaplicach, rozdawać komunię na oddziałach, namaszczać krzyżmem świętym. Może ktoś będzie chciał się wyspowiadać. Ale kiedy Maj mówił, jąkał się i uciekał wzrokiem. Wyraźnie coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

— No dobrze — westchnęła. — Ale na czym konkretnie polega problem?

Katecheta zwiesił głowę. Jakby miał się zaraz rozpłakać. Ale nie, podniósł roziskrzony wzrok.

— Te wszystkie staruszki o twarzach przegranych bokserów. Samotni mężczyźni, biali i pomarszczeni jak prześcieradła. Przecież ja widzę, co się z nimi dzieje. I nie umiem. Nie mam pojęcia. Jak do nich podejść. Jak z nimi rozmawiać.

Potrząsnął głową.

— Te ich wychudzone ciała. Oczy pozbawione złudzeń. Boję się. Boję się, że mnie wyśmieją. Że zapytają, gdzie była ta cała moja wiara, kiedy usłyszeli diagnozę. Albo co, jeśli są niewierzący i nie zechcą się modlić? Co innego mogę im zaofiarować? Nic? I właśnie to mnie przeraża.

Gdy wreszcie skończył, wcale nie zrobiło jej się lżej. To w końcu był mężczyzna, facet starszy od niej co najmniej o dekadę. Wciąż dzieciak, ale jednak dorosły. I do tego ksiądz. Jej nauczyciel. Jeśli on szuka porady u niej, to cóż jej pozostało?

— A co ksiądz chciałby zrobić — odezwała się ze złością. — Proszę ich zapytać, co słyhać w domu. Jak się czują. Posiedzieć przez pięć minut. Nie powiedziałabym, że życie w szpitalu jest nudne, ale strasznie się dłuży.

Wstała. Przygarbiony Maj też się poniósł do wyjścia. Skarciła się w myślach. Zaczęła już spokojniej:

— Proszę księdza. Ja się na tym nie znam. I nie chcę się mądrzyć. Ale. W sumie. Po prostu myślę, że brakuje księdzu odwagi. Proszę do nich podejść i zapytać, czy możecie się wspólnie pomodlić. Wielkie mi co. Najwyżej księdza spławią. To tak jak z chłopakami. Dziewczynami — poprawiła się. A potem spojrzała na koloratkę. — Zresztą, nieważne. To tak jak z modlitwami. Czasem po prostu nie zostają wysłuchane. Ale to ich przecież nie unieważnia?

Na korytarzu rozdzielili się w konfidencjonalnym milczeniu, jak spiskowcy, którzy postanowili zachowywać się tak, jakby się nie znali.

* * *

— Nie pyskuj.

— Nie, dopóki u nas mieszkasz.

- Będziesz mogła, jak sama zaczniesz za siebie płacić.
- Tylko pamiętaj, masz wrócić przed dwudziestą drugą.
- Dom to nie hotel.
- Jak ci się nie podoba, to się wyprowadź, droga wolna.
- A w ogóle po co ci to? Weź się lepiej do nauki.
- Rób tak dalej, a zobaczysz.
- Zdajesz sobie sprawę, ile to będzie kosztowało?
- Pokaż no. Naprawdę tyle za to zapłaciłaś?
- Ta dzisiejsza młodzież.
- Ja tu sobie ręce po łokcie urabiam, żeby było co do garnka włożyć, a ty.
- Już lepiej nic nie mów.
- Patrz w swój talerz.
- Bo wystygnie.
- To rozmowy dorosłych. Będziesz starsza, wtedy zrozumiesz.
- Nie masz co robić z pieniędzmi?
- Na szczęście z tego się wyrasta.
- Co to za język? Czy ty już nie umiesz po ludzku rozmawiać?
- To twoje życie, ale ja za cudze błędy nie będę płacić.
- Myślisz, że dzięki temu będziesz wyglądała dojrzałej? Dorośnij w końcu.
- Wzięłabyś się za siebie. Odrobina silnej woli jeszcze nikomu nie zaszkodziła.
- Zostaw ją, nie warto tłumaczyć. Do tego trzeba mieć charakter.
- Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.
- Mogłaś się przyłożyć bardziej.
- A ręce umyłaś?
- Takie dobre dziecko było.
- Nie mówi się z pełną buzią.
- Ucz się, ucz, jak wygląda życie.
- Zostaw ten telefon. Czy my już nie możemy normalnie porozmawiać?
- Pieniądze nie rosną na drzewach.
- Jeśli tylko tyle masz do powiedzenia, to lepiej nie mów nic.
- Czy ty nigdy nie możesz się zachowywać po ludzku?
- Pospiesz się.
- Gdzie tak lecisz?
- Wstydziałabyś się.
- Jak będziesz robiła takie miny, to ci tak zostanie.
- Upiła łyk kompotu. Słodki.

— Masz rączki? To sobie zrób.

— Nikt nie powiedział, że życie jest sprawiedliwe.

— O nie, na pewno nie, moja panno. Same przywileje, a gdzie odpowiedzialność?

— To koniec, słyszysz? Byłem dla ciebie za łagodny.

— Której części zdania nie zrozumiałaś?

— Poczekaj, aż ojciec wróci do domu.

— Nie obchodzi mnie, kto zaczął. Matka ma zawsze rację.

— Dlatego, że ja tak mówię.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Chyba mam tu jeszcze coś do powiedzenia?

— Jak dorośniesz, będzie po twojemu.

— Jesteś po prostu za mała.

Zuzanna wstała od stołu. Rodzice pili jeszcze kawę. Słowa, te wypowiedziane i niewypowiedziane, ale zawsze obecne, wisiały nad ich głowami jak komiksowe dymki albo gifowa animacja. Podziękowała za obiad, odniosła talerze.

— Pójdę do swojego pokoju.

Ojciec koncentrował się nad szarlotką i filiżanką.

— No. Tylko papcie załóż.

* * *

Trochę jej to zajęło, ale w końcu ich namierzyła. Z tropów porozrzucanych na mediach społecznościowych, przypadkowych linków, maili ze spamem. Z wpisów na blogach, sekretnych memów przeznaczonych dla tych, którzy potrafią szukać, fragmentów zdjęć jak puzzle rozrzuconych po Instagramie.

Najpierw weszła na kilka forów dla nastolatków. Cały następny dzień nie mogła dojść do siebie. Kompletna porażka. Ta lepka rozpacz przesączająca się z każdego posta. Ta bezradność. Ten gniew, który nie ma obiektu i nie zostanie zagospodarowany. Fizycznie to odchorowała. Zmieniła strategię. Na butelce z napojem gazowanym znalazła link z konkursem. Weszła na podaną stronę, kliknęła na każdy z bannerów reklamowych, wyrysowała diagram produktów, do których prowadzą. W amatorskim sieciowym radiu ktoś dał ogłoszenie. Zadzwoiła pod wskazany numer, potem napisała z nowo założonej skrzynki pocztowej na usłyszany między wierszami adres. Nikt nie odpowiedział, ale przespała się z tą wiedzą, dośniła dwa do dwóch, wysłała zdanie-hasło do starannie wyselekcjonowanych dwóch tysięcy użytkowników na Twitterze.

W końcu sami się do niej odezwali.

Zaproszenie z Forum Miłośników Sztuki Współczesnej przyszło do niej normalnie na walla. Kiedy Zuza logowała się po raz pierwszy, w środku nocy, przy zgaszonym świetle, cicho, najciszej, jakby włamywała się do Sezamu ze świętościami, myślała, że nie zdąży z tym do rana. Taka irytacja. Musiała podać tyle danych, powtórzyć tyle razy hasło, jakby rezerwowała bilet na wydrażoną Ziemię, wykupywała objazdówkę na wakacje u reptilianów. A później dodatkowo okazało się, że jej zgłoszenie musi jeszcze zostać ręcznie zaakceptowane.

W szkole najpierw denerwowała się, czy rzeczywiście odblokują jej konto, czy raczej Forum to tylko kolejny fejk z zaszyfrowaną wskazówką do rozczytania. Potem w domu udawała, że nic się nie dzieje. To kosztowało ją najwięcej. A kiedy wreszcie w mieszkaniu pogasły ostatnie światła, kiedy odczekała godzinę, żeby nikt nie mógł jej przeszkodzić, leżąc na łóżku na wznak w ubraniu i wpatrując się w pełzające po suficie zaokienne światła, zalogowała się, wpisała w temacie powitalnym. I polecało.

Te wszystkie działy, tematy, wpisy. Krótkie, żołnierskie, enigmatyczne. Z prymitywnym usenetowym layoutem. Dla postronnego celowo bełkotliwe. Jak się potem dowiedziała, większość ustawek i tak szła przez wewnętrzny komunikator forumowy, który kasował wszelkie dane pół godziny od wpisania. Żeby nikt nie mógł ich namierzyć, nawet gdyby zabezpieczenia Forum zostały przełamane.

Tymczasem ze zdania na zdanie, z tematu na temat, Zuza rozpoznawała coraz więcej sensów. Tajemnic, sekretów. Spadała.

Link po linku studiowała każdy z wpisów. Wykonane akcje, wyzwania. Rankingi. Wskazówki, polecenia. Pytania. Punktacja za wykonane zadanie. Na Forum Miłośników Sztuki Współczesnej trafiła na trop tego, czego poszukiwała.

Ze zdumieniem odkryła, że wcale nie zrobiło jej się lżej. Nie było łatwiej. Nie wiedziała, co o tym myśleć, o niczym nie powiedziała nawet Staszakowi. Zresztą czemu miałyby powiedzieć akurat jemu. Ale wiedziała, że nie było już odwołania.

Najgorsza okazała się ucieczka z domu, kiedy w końcu postanowili ją sprawdzić. W realu. Zuzanna się nie wycofała. Od dawna przeczuwała, że w końcu będzie musiała postawić wszystko na jedną kartę. Choć przecież wiedziała, że wyjście z mieszkania, po nocy, stanowi dla niej gwóźdź do trumny. Gdyby ją złapano.

Najpierw rozpoznała nocne zwyczaje rodziców. Jakby badała życie nieznanego nauce gatunku zwierząt. O której kładą się spać w tygodniu, a kiedy w weekend. Ile razy się budzą w nocy, wychodzą do toalety, idą do wodopoju w kuchni, przy kranie, jakie dźwięki ich irytują, o której wstają. Rozpisała to sobie na

szczegółowym wykresie, jak generał wrogiej armii, który nie licząc się z kosztami we krwi, planuje na mapie inwazję. W końcu się zdecydowała.

Na Forum dali jej zielone światło. Pełna synchronizacja. Zuza ubrała się na czarno, czarne getry, czarna bluza, zgniłozielona kurtka, ta co zawsze, ale do tego nowa, czarna czapka. Na dworze znów trzymał mróz, choć ostatni śnieg zmyła krótka odwilż. Zuzannie sprzyjał rozkład pokoi i delikatny środek nasenny, który dosypała wieczorem w kuchni do czajniczka z owocową herbatą. Z jej rozpoznania wynikało, że przez pięć wieczorów w tygodniu na siedem oboje rodzice piją właśnie ją, zanim zasną.

Kiedy Zuza wychodziła na klatkę schodową, serce biło jej jak u postrzelonego ptaka. Ale biała aura migreny tym razem się nie pojawiła. Jakby i ona wiedziała.

Nie zamknęła drzwi na klucz. Jeśli właśnie tej nocy ich mieszkanie wybierze morderca-psychoopata, Statystyczny Sąsiad Rzeźnik o małych oczkach w drucianych okularach, wybawiający od męki spłacania kredytu rodziny na swojej klatce, z wyzwoleniem Roemerów się nie namęczy.

Zuzanna zbiegła po schodach, prawie nie dotykając ziemi. I już była na zewnątrz. Pod ciemnym niebem. Jakby na nią czekało. Naciągnęła szczelniej kaptur i ruszyła w miasto.

Puste ulice, wygaszone okna, migający telewizor za szybą w co czwartej, co piątej klatce. Milczące latarnie. Zimno. Para lecąca z ust, jakby Zuzie rozszczelnił się kosmiczny skafander, oddychała w czarną próżnię. Osiedle spało. Miłośnicy Sztuki Współczesnej już jej wyglądali.

W bocznej uliczce, blisko parku. Tak, jak się umówili. Wyszli z kontenerów na śmieci, samochodów zaparkowanych w długim szpalerze przy chodniku, przeskakiwali przez płoty wokół domków jednorodzinnych, wyłaniając się z cienia za brezentem przykrywającym piaskownicę i huśtawki. Wielcy, porozciągani przez cienie, czarni, z kapturami na głowach, w czarnych rękawiczkach, tu i tam z chustami na twarzy.

Zbliżali się w milczeniu, a Zuzie po plecach przeleciały ciarki. Włoski stanęły na karku. Spadała. Forumowicze byli wielcy, obcy. Groźni. Po raz pierwszy w realu. Ale ani razu nie zapytała się w duchu, w co takiego się wpakowała.

Stanęli półkřęgiem, z rękami w kieszeniach. Jakby mieli ją wypatroszyć w gotyckim rytuale. A potem, w kłębach oddechów, zaczęli się cicho przedstawiać. <Marylka>, Joozek, Zderzak, Sp0jler. Rafa. Lullababy, Osiol_ze_Szreka, Mietła. K@czor, eGon. Mudżin, Go\$iek, Agi. Jogobela. Cziken, Kef_ir, Nika, Chobbit. Lord Szreder, Nebula, bibas, ruda-na-kiju.

Zuza kojarzyła te ksywki z internetów, przypisywała do postów, sygnaturek, awatarów. Nie mogła tego widzieć dokładnie, ale miała pewność, że wszyscy się uśmiechają. Choć nie umiała zinterpretować tych uśmiechów. Zdenerwowała się jeszcze bardziej. Na końcu podszedł do niej nabity chłopak, szerszy niż wyższy, o ciele krasnoluda, który zre metanabol na śniadanie. Jego akurat rozpoznała.

— El Chefe?

— Cześć. Zuz@nno. — Chłopak spojrział na ciężki survivalowy zegarek. — Późno, dobrze. Mamy jeszcze co najmniej dwie godziny, żeby coś zdziałać. No. Zapierdalamy, zapierdalamy.

Czarni dwudziestoletni asasyni z internetów ruszyli jak zaprogramowani. Każdy wiedział, co do niego należy. Zuzanna też przeczytała wcześniej, co zostało zaplanowane na wieczór, ale teraz wszystko działo się za szybko, skądś pojawił się przenośny kompresor, duży karton wypełniony pociętym papierem, worek z plastikowymi drapaczkami do lodu. Czujki na wylotach ulic przygotowały się do udawania pijanych, gdyby na skrzyżowaniu pojawił się patrol albo zapóźnieni przechodnie i trzeba było się wystawić. Zuza stała obok, skołowana.

— Chefe? Mógłbyś tu? Nie mogę tego ustrojstwa odpalić.

— Że co proszę? O kurwa, naprawdę masz z tym problem? No dobra, kurwa, dawaj. Tu przykurw — El Chefe zbliżył się do kompresora, pokazał. — Odkurw na bok tego małego skurwysynka, dokurw, o, tak — zademonstrował — sprawdź, czy skurwiel sam nie przykurwi, jak zaczniesz nakurwiać. Mhm. Przeładuj. Nie tak, kurwa. Z uczuciem. Jakbyś pieścił własną pytę. I, kurwa, gotowe. Zapierdalaj.

Zespół od kompresora ruszył wzdłuż chodnika, zaczął sprawnie ściągać kołpaki i dopompowywać opony stojącym w uśpionym szeregu autom. Inna ekipa, w ciepłych futrzanych rękawicach, oskrobywała z lodu szyby, przednie, tylne i na bokach. Potem spryskiwała je borygo, żeby do rana choć część znów nie przymarzła.

Ktoś się roześmiał, wskazał ją palcem.

— No, co tak stoisz? Zuzanna?

I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że to jakiś egzamin. Nie zapytała, czy zdała. Ale po chwili, szczerząc się bezczelnie, ktoś wręczył jej plik pociętych ulotek na czerpanym papierze, pokrytych odręcznym, wystylizowanym pismem.

— Co mam z tym?

— Za wycieraczki. Wkładaj je za wycieraczki.

Zuza przebiegła wzrokiem kilka pierwszych świstków.

każdej nocy bestia

*wychodzi szukać dzieci w środku złego miasta
i we mnie też jest ciemność, odrobina światła*

I kolejny.

*ten kto wolny nad swym losem nie płacze
ptak mrozem z gałęzi strącony bez żalu umiera i smutku*

I następny.

*kły dzikich zwierząt, skorpiony i żmije
radują się Jego rozkazem
gotowe są na ziemi służyć według potrzeby
i gdy przyjdzie czas, nie przekroczą polecenia*

I następny.

*jeżeli Boga nie ma,
to nie wszystko człowiekowi wolno
jest stróżem brata swego*

I jeszcze jeden.

*kołując coraz szerszą spiralą,
sokół przestaje słyszeć sokolnika
wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze
czysta anarchia szaleje nad światem*

— No dalej, dziewczyno, dalej. Nie mamy całego czasu wszechświata. Muszą to przeczytać, zanim przed pierwszą kawą wyruszą do pracy.

Zuza sprawdziła jeszcze kilka ulotek. Po to tu przyszła. Wpisy rzadko się powtarzały. Ruszyła w ślad za Miłośnikami.

Pracowali tak do rana. Zuza pamiętała wszystko z tej nocy, a nie zapamiętała, jak potem zakradła się do mieszkania, na bosaka, niosąc w ręku zabłocone buty, jak ułożyła się pod kołdrą, zmarznięta, w ubraniu, i jak zaraz wstała na pierwszy sygnał budzika w telefonie, otworzyła pełne piasku oczy, jakby w ogóle nie spała.

Kiedy wychodziła do szkoły, nabuzowana po uszy, czuła się, znów czuła się, jakby wkroczyła w przejawiskrawioną eksplozję światła. Teledysk bez dźwięku. Stroboskopowe, bolesne mrugnięcia powiekami. Fajerwerki barw na wysokim kontraście.

Całą drogę szła jak we śnie. Ale nie uśmiechnęła się ani razu.

* * *

W szpitalu od pierwszych kroków na schodach wiedziała, że coś się wydarzy. Przecież przez całą drogę do Olci wiatr wiał na ulicach w złą stronę. Refleksy słońca na witrynach sklepowych rozpały się i zaraz gasły, zanim Zuza na dobre zdążyła je zauważyć. Czarne stado gawronów, wielkich miejskich zbójców, nie poderwało się z bezlistnych koron drzew, kiedy przechodziła pod nimi, skręciwszy, by skrócić drogę, na ścieżkę do parku. Aż się zatrzymała, rzuciła kamykiem. Odpowiedziały jej niechętnie spojrzenia przechodniów i obojętne, wyniosłe krakanie.

Drzwi do sali Olci były uchylone. Zuza nie słyszała wszystkiego, ale wystarczająco wiele, żeby zatrzymać się na korytarzu.

Tato blondynki stał przy oknie. Milczał. Wyglądał jak król, który poddał bramy oblężonego miasta. W pomieszczeniu była jeszcze jej mama. Siedziała na krawędzi łóżka, ale Olcia nie dała się złapać za rękę. Odwróciła twarz w bok. Jakby już wydała sprawiedliwy sąd, wyrok zapadł.

Matka tłumaczyła:

— Ale to jedyne wyjście. Zrozum.

— Nie.

— Olu, przecież doskonale wiesz, że bez operacji. Bez operacji.

— Nie. Powiedziałam. Czy nie możecie tego zrozumieć? Jestem już prawie dorosła. Czemu nie mogę decydować sama — głos jej się w końcu załamał.

Matka spróbowała z innej strony.

— Będzie inaczej, no dobrze. Ale przecież to chyba nie koniec świata?

— Łatwo mówić. Tobie. A może ja nie chcę, żeby było inaczej?

— Olu. To przecież jedyna. No wiesz.

„Szansę” Zuza dopowiedziała już sobie sama. Wycofała się spod drzwi ze ściśniętym gardłem.

To tych chwil bała się najbardziej. Kiedy z Olci opadała maska, na moment przestawała grać w grę, którą prowadziła ze światem. Tak bardzo zmęczona, zrezygnowana. Sama.

Zuzanna wiedziała o operacji. O tym, że dziewczyna nie chce się na nią zgodzić. Bez tego kolejne chemie to tylko próby gaszenia sitkiem pożaru lasu. Kiedyś nawet sama spróbowała ją przekonać. Ale Olcia spiorunowała ją takim wzrokiem. I Zuza się wycofała. Dlaczego by miała wiedzieć lepiej.

Teraz u pani Żanetki zrobiła sobie herbatę, ale płyn wystygł, zanim upiła choć łyk. W końcu odważyła się wrócić.

— Zły dzień? — zagadała od drzwi.

Olcia siedziała już sama. Wzruszyła ramionami. Odległa, jakby przebywała gdzieś indziej. Wzrokiem przebiegała kolorowe kadry komiksu na tablecie.

— Starsi byli — powiedziała.

Zuza przestawiła świeże kwiatki w wazonie na stoliku. Nie zapytała, o czym rozmawiali. Zaczęła skubać paznokciem skórę przy kciuku. Zabolało.

— No cóż — spróbowała. — Starszych się nie wybiera. Każdy ma jakichś. To tylko jeszcze jeden element życia. Już tak ten świat jest zbudowany.

Olcia przesunęła kolejną stronę.

— Świat? Świat to nieczuły golem, który cię depcze i nawet tego nie zauważa. Obojętny mechanizm nakręcony do zabijania. — Westchnęła. — Ale życie... Żyje się pięknie.

Zuza przełknęła ślinę. Naderwana skórka przy kciuku krwawiła, dziewczyna bezwiednie włożyła palec do ust.

Olcia odpaliła na tablecie serial komediowy, jeden, drugi, trzeci odcinek po dwadzieścia minut, kiedy masz przywilej myślenia tylko o perypetiach nerdów na ekranie. Zuza usiadła obok niej u wezglowia łóżka, po czym wtuliły się w siebie i ustawioną na sztorc poduszkę. Więcej tego dnia już nie rozmawiały.

* * *

— No, dalej. Mów. — Znów siedziały w pokoju. Bo gdzie miały siedzieć. Za oknem było wilgotno, szarawo, nisko zwisał brudny śmietnik chmur. Ale w powietrzu już czuło się, że powoli nadchodzi wiosna. Dni stawały się dłuższe. Olci to jednak nie interesowało. — No, Zuzka. Dawaj. Jakim superbohaterem chciałabyś być? Jaką moc posiadać?

Zuza się poddała. Uśmiechnęła.

— A jaki mam wybór?

— Więc słuchaj. Pierwsza umiejętność to Oko Potwora: uwodzisz wszystkich facetów od jednego spojrzenia. Albo Diamentowa Głowa: możesz odczuwać efekty dowolnych używek bez ich zażywania, kiedy chcesz, jak mocno chcesz, przez czas tak długi, jak ci się spodoba. Do tego dochodzi całkowita odporność na kaca. Albo

Bliźniacze Szczęście: miałybyś zagwarantowane, że dwa razy w życiu wygrasz grubą forszę. Za pierwszym razem nie musiałybyś się więc niczym martwić. Potem idą Atomowe Cycki, zwane też Talią z Fotoszopa: możesz zmieniać dowolnie swoje ciało. Wyobraź sobie ten płaski brzuch i tyłeczek dowolnych rozmiarów.

Zuza podłapała.

— W sumie mam lepsze: Zawsze Deser, kiedy każde odchudzanie działa już od pierwszych dni i efekt utrzymuje się do odwołania. Lub Mentalny Orgazm: nazwa mówi wszystko, chyba nie muszę ci tłumaczyć.

— Lub zdolność najrzadsza: Wyciszenie Matki.

Zuza udała, że się zastanawia.

— No, trudna sprawa. Oko Potwora i Zawsze Deser kuszą. A ty? Co byś wybrała?

Rozległo się pukanie do drzwi. Olcia zdążyła jeszcze odpowiedzieć:

— Żeby ludzie nie rezygnowali z ludzi. Niestety nie mam na to chwytliwej nazwy.

Drzwi uchyliły się i w progu stanął ksiądz Maj. Zuza zmarszczyła brwi. Katecheta uśmiechnął się, ale jakby mógł, strzeliłby z oczu laserami. Taki był naelektryzowany.

— Cześć, nie przeszkadzam? Salowa powiedziała mi, że powinienem tu znaleźć Zuzannę. — Zauważył, że dziewczyna siedzi przy stoliku. Dorzucił suchara. — Brakuje wam chyba czwartego do brydza?

I to był jego błąd. Olcia podchwyciła. Usiadła wygodniej na łóżku, poprawiła poduszkę pod plecami. Nogi w dresie zaplotła na kołdrze jak indyjski fakir.

— A wie ksiądz, że seks i gra w brydza mają wiele wspólnego?

— Tak? — Musiał być naprawdę rozkojarzony, bo bezwiednie złapał przynętę.

— Jeśli masz słabego partnera, tu i tu musisz mieć mocną rękę.

Zuza się zaniepokoiła. Tym, że Maj się uśmiechnął. Nie zaczerwienił, nie zmienił tematu. Nie takim go zapamiętała.

— To nawet zrozumiałe. — Katecheta, jak gdyby nigdy nic, brnął dalej. Przymknął za sobą drzwi, przysunął sobie wolne krzesło. — Przepraszam, że pytam. Ale ty chyba nie jesteś zbyt religijna? Mimo to, czy możemy się razem, no wiesz?

Zuza przeczuła, co się święci. Spróbowała to przerwać.

— Proszę księdza, to może wyjdziemy? Jak tylko do mnie ma ksiądz sprawę.

Ale było już za późno. Blondynka uśmiechnęła się z wysiłkiem. Nagle taka zmęczona na twarzy. W jej oczach nie było triumfu, tylko ta bezbrzeżna otchłań, która tak Zuzę przerażała.

— Nie, chwilę. Proszę księdza. Naprawdę chce ksiądz porozmawiać?

Katecheta rozglądając się po ascetycznym pokoju szpitalnym, w którym jak archipelagi wciąż niezatopionego łądu, wyłaniały się skąpe ślady dziewczęcej obecności. Maskotka. Wakacyjne zdjęcie. Czarny rzemyk ze srebrnym serduszkem do zapinania na nadgarstku, zawieszony na ramieniu stojaka pod kroplówkę. Kiwnął głową zachęcająco. Olcia była przygotowana.

— Moja mitologia to mitologia nocnej pory. Stworzona między trzecią a czwartą rano, kiedy painkillery przestały już działać. Objawiona w łóżku, w szpitalu, kiedy jesteś sama i nie masz się już czego wstydzić, bo wiesz, że ze wszystkiego zostałeś już rozebrana. Moja religia to religia czasowników. Mój Bóg to nie bóg rzeczowników, a już nie daj Boże przymiotników. Zwłaszcza stopniowanych. Tylko zrób, podaj, pomóż. Zrobię, podam, pomogę. Mój człowiek to Człowiek Tak. Co częściej mówi „z chęcią” niż „może”. Czasem się sparzy. Ale to go nie zniechęca do próbowania. Moja modlitwa to modlitwa na świecie. Kiedy coś wywalczysz, wyszarpiesz. Zbudujesz. Na przekór wszystkim. Wtedy wiesz, że twoja prośba została wysłuchana. Co zrobisz, będzie ci dane. Czego zaniechasz, zostanie odebrane.

Blondynka mówiła spokojnie, po cichu, ze smutkiem, a coś w jej głosie przestrzegało, żeby jej nie przeszkadzać. Dopiero wtedy Maj zaczął łapać kontakt z rzeczywistością, zorientował się, w co się wpakował. Ale się nie wycofał. Tylko jego twarz powoli zmieniała wygląd, jak oblicze ojca, którego zmuszono do patrzenia na klęskę swych dzieci. Chrząknął przez wyschnięte gardło, ale się nie odezwał.

Słuchali.

— Mój Kościół to Kościół ludzi słabych. Nie świętych i duchowych siłaczy. Tylko tych wszystkich połamanych. Smutnych skurwysynów, dupków i cwaniaków, którzy całe życie marzą, żeby ich ktoś ocalił. Mój Kościół nie jest Kościołem sprawiedliwych, którzy za złe karzą, a za dobro potrafią być nawet wyrozumiali. Tych wszystkich wiernych o gładkich twarzach, uczciwych proboszczów z powołania i dobrodusznych sąsiadów, ideałów o nieskazitelnych sercach, w których nigdy nie zagościła nienawiść. Tylko tych wszystkich pogubionych, którzy upadli i nie wiedzą, że upadli. Chcących życia dla życia, a nie dla nieba i wiecznej sławy.

Olcia nie należała do nieśmiałych, ale Zuza nie pamiętała, żeby kiedykolwiek się tak rozgadała.

— Może ludzie, nie czując nad sobą bata Piekła, starają się mniej, walczą słabiej. Ale cierpią tak samo. A ja nie mogę już na to patrzeć. Jestem na to za słaba.

Więc wybaczam im wszystko, byle tylko choć przez chwilę poczuli, że ktoś nimi nie gardzi. Jakie odkupienie jest możliwe, kiedy matka właśnie urodziła na śmietniku dziecko? Kto zbawi dzieciaka, który po dopalaczach, w durnej ulicznej bójce, zabił przypadkowo innego człowieka? Więc do niczego nie próbuję ich już wychowywać. Chcę tylko, żeby chociaż przez chwilę przestało ich palić. Mój Bóg jest bogiem słabym. I bogiem dla słabych. Takich jak ja i ty. Nie potrafi nikogo naprawić. Nikt nawet nie wie, że istnieje. Czasem tyle musi nam wystarczyć.

Maj wbił wzrok w zniszczone czubki przemoczonych mokasynów. Buty zdecydowanie nie pasowały do pory roku i wyglądało to tak, jakby zapomniał ich zmienić, gdy nastały mrozy. Nie zauważył, że świat się zmienił. Olcia kontynuowała:

— I my mamy swoje rytuały. Komunię pocałunków i post o słabych drinkach. Głośne śmiechy, kiedy coś się uda, i obłądny taniec, nocą, przy ogniu, w miejskim parku pomiędzy drzewami. Z winem i chłopakami. I długie bezsenne noce z muzyką z telefonu, kiedy powinęła nam się noga. Kiedy sami chcielibyśmy, żeby ktoś się za nami wstawił.

Umilkła. Potrząsnęła głową, jakby chciała potrząsnąć grzywką. Przejechała ręką po pomarańczowej bandanie. Uśmiechnęła się, taki uśmiech zwiastuje przeprosiny. Ale patrzyła tylko na nich tymi swoimi przezroczytymi oczami.

W końcu, po przeciągającej się chwili, odezwała się Zuzanna. Jej głos był schrypnięty, słowa jak wypowiedane po długim letargu.

— Nie mówiłaś. No. Że jesteś religijna czy coś.

— A czym tu się chwalić. Mam z Nim do pomówienia. — Z Olci zeszło ciśnienie. Znow była swobodna, figlarna. — To nie do końca to samo.

Maj, wyraźnie speszony, wstał już bez wcześniejszego animuszu.

— To może ja jednak rzeczywiście wrócę innym razem.

— Ja księdza nie wyganim. — Blondynka wzruszyła ramionami. Zuza znała ją już na tyle, żeby wiedzieć, że i jej zrobiło się głupio.

Katecheta pożegnał się i wyszedł.

— Ej no. Dziewczyno. — Spiorunowała Olcię wzrokiem. — Musiałaś? Maj wcale nie jest taki zły.

— A czy ja powiedziałam, że jest zły? To on chciał pogadać. — Zatrzepotała powiekami. Ale zaraz dodała — no, na co czekasz. Leć. Jeszcze go złapiesz na korytarzu.

— Zaraz wracam.

Zuza dogoniła księdza przed windami.

— A ją co ugryzło? — Katecheta wcisnął przycisk przywołania dźwigu.

— Nie wiem. Życie. — Zuza też czuła się nieswojo. — Proszę się nie przejmować. Olcia czasem tak ma. Religia to nie funkcja wiedzy, tylko pochodna tęsknoty.

Katecheta się zastanowił.

— Chcesz powiedzieć, że z tego się wyrasta?

W końcu się uśmiechnęli.

— Wręcz przeciwnie. Z wiekiem to się wzmacnia.

— Wybacz, że przeszkodziłem. Nie umiałem cię złapać w szkole. Po prostu. Chciałem ci podziękować. To działa.

— Słucham?

— No wiesz. To działa.

Piknęła podjeżdżająca winda. W środku nie było nikogo. Maj wystawił dłoń, żeby nie zjechała.

— Ale co konkretnie?

I wtedy sobie przypomniała, o czym rozmawiali.

— No, wiesz. W końcu się przełamałem. Na oddziale. Czasem mnie spławiają. Ale innym to się podoba, nawet jak uważają mnie za nieroba i sekciarza.

— Katecheta puścił oko. Zuza pomyślała, że to jakiś jego tik i musi nad tym zapanować, bo kiedyś będzie miał kłopoty, zwłaszcza jeśli trafi do pracy z ministrantami. — I to nie tylko starszym paniom.

Maj wsiadł, wcisnął przycisk, odwrócił się do Zuzanny.

— Muszę już lecieć. Ale nie martw się. Pomodłę się za was.

Popatrzyła na niego jak na wariata.

— Spokojnie. Nic się nie bój. Na świecie. — Wyszczrzył się za zasuwającymi się drzwiami.

* * *

Siedzieli na rampie. Przemarznięci. Ale nie chciało im się wracać. Do domów, do obowiązków. Do życia. Jeszcze przez chwilę. Znów uderzyła zima. Ostro wiało.

Zuza wyciągnęła papierosa z resztek, które zostały w pudełku.

— A ty wciąż nie palisz?

Staszak wzruszył ramionami. Na widocznej stąd stacji zatrzymał się pociąg. Ludzie zaczęli wysiadać, wsiadać. Ktoś pomógł samotnej matce wnieść do przedziału wózek.

— No dobra. To o co w tym chodzi? Wciąż mi nie powiedziałeś.

— E tam. Nie zrozumiesz. To zresztą głupie.

— To głupie, czy nie rozumiem. Czy ty mi przypadkiem właśnie czegoś nie zasugerowałaś?

Staszak wstał, wcisnął dłonie do kieszeni, przeszedł się po rampie. Wyciągnął baton wysokoenergetyczny, rozpakował, spojrzał krytycznie na Zużę, czy aby jej nie poczęstować, ale nie, paliła w najlepsze, i zaczął gryźć słodką masę.

— Już dobrze. Co się wściekasz. Boks trenuję.

— Boks? Długo?

— Będzie ze dwa lata.

Zuza też wstała. Od kamienia ciągnęło jak z zamrażarki. Oparła się plecami o ścianę.

— To nie wiesz, że to jest niebezpieczne?

— A co nie jest. Kuzyn wybił zęba na treningu ping-ponga. Przewrócił się na stół normalnie.

Dziewczyna zmieniła kąt natarcia. Strzepnęła popiół. Rzeczywiście ją to zainteresowało.

— No dobra, ale w sumie dlaczego boks? Nie mogłeś popływać? To takie, nie wiem. Zwierzęce? Nieludzkie, w sensie. Widziałeś Gołotę? Rozumiesz, co on do ciebie rozmawia? No właśnie.

Staszak się zdecydował. Ale na nią nie patrzył. Pociąg odjechał i wszystko przed nimi wydawało się takie spokojne i zwyczajne. Dopchnął batona i przełknął, prawie go nie gryząc. Papierek szeleścił mu w dłoniach.

— To słuchaj. Tylko się nie śmieję. Wiesz. Niezbyt dobrze zniosłem gimnazjum. Jak szedłem do pierwszej klasy liceum, to jakbym trafił do innego świata. Było lepiej, ale i tak miałem kłopoty z zasypianiem, lęki jakiegoś kurewskiego, nadciśnienie, niestrawność. Za mostkiem to mnie bolało jak starego dziadka, jakbym co rano miał zawał.

— I co, zrzuciłeś nadwagę? — zażartowała. Choć wiedziała, co to znaczy, kiedy nie możesz zasnąć i przewracasz się w łóżku aż do rana.

— Nadwagę? — Staszak zaczerwienił się potwornie, jakby przyłapała go nago z siostrą, zakonną. Zuza wciąż uważała, że to jednak urocze. — Nigdy nie ważyłem więcej niż dziś. Tak naprawdę przez ostatni rok jeszcze nabrałem ciała.

— Więc?

— No to słuchaj dalej. Jezu. Co za kompletny brak cierpliwości. Google już kompletnie zgwałciło ci zdolność koncentracji.

Walnęła go z całej siły w ramię.

— Au. No dobra. No więc przeszedłem i psychologa, i leki uspokajające, i jakieś dziwne terapie, na które ciągalili mnie rodzice. Potem trochę biegałem,

grałem w piłkę, pływałem. Bo powiedzieli, że pomoże. Nie było źle, dobra, spoko. Nawet pomagało. Ale. Dopiero jak poszedłem na boks, na trening, ale wiesz, taki do całkowitego spierdolenia, do urzygania, takiego sprucia, że po wszystkim miałem mroczyki przed oczami i nie umiałem zawiązać butów, tak mi ręce latały, wszystko to ustało. Może nie do końca, ale. No wiesz. Jest dobrze.

— Boże. — Zuza wydmuchała dym, zgasiła papierosa o poszarzałą zaprawę między cegłami. — Jakie to superpatriarchalne. Naprawdę? Chcesz mi powiedzieć, że jak zacząłeś dostawać po mordzie, albo bić innych, jeszcze lepiej, to nagle odeszła od ciebie rozpacz czarna?

— Mówiłem, że nie zrozumiesz.

— Wszystko zaakceptowałeś, że wszystkim się pogodziłeś? Że umrzesz, że umrą wszyscy, których kochasz, pokochasz i kochałeś. Tak że na końcu zostanie tylko kilka zapomnianych blizn i wzruszenie ramion. I nikt, kurwa, nawet po nich nie zapłacze? Ani jedna zmarszczka więcej nie pojawi na obojętnym obliczu świata.

Staszak schował papieraek po batonie do kieszeni, przejechał ręką po przydługich włosach, odruchowo podrapał pokryte krostami czoło. Uśmiechnął się krzywo jak pokonany plemienny czempion na wiecznym wygnaniu, szkolny celebryta, który utracił władzę.

— Z niczym się nie pogodziłem. Poza tym to wszystko jedno, czy bijesz, czy obrywasz. Nie o to w tym chodzi. Nie o to w tym chodzi mi.

— Więc wytłumacz. Nie, spokojnie. Naprawdę jestem ciekawa.

Popatrzył w bok.

— Czasem. Czasem myślę, że gdybym tam umarł, właśnie w ten sposób, nie stałoby się nic aż tak straszego. Że mógłbym tak odejść. W ringu. W walce. Bijąc i broniąc się do utraty tchu. Choćby na kolanach. Że tak byłoby prawie dobrze.

Odwrócił się do Zuzanny nagle bardzo zawstydzony. Jakby powiedział coś, o czym w towarzystwie się nie opowiada.

— Ty naprawdę jesteś wariat — powiedziała, ale Staszak nie zobaczył w jej oczach wyrzutu. Po prawdzie, Zuza się uśmiechała. Ale inaczej niż zwykle. Dopiero później zrozumiał, że to wielki smutek. — Ty to wiesz, jak zaimponować dziewczynie.

— Oj, przestań. Bo następnym razem będę z tobą rozmawiał tylko o fejsbuku, nowych aplikacjach i o tym, że się w piątek totalnie najebałem.

— To ty zakładasz, że będzie jakiś następny raz? Marzyciel. Albo naiwniak. Zależy, w której epoce chciałabym cię spławić.

Staszak wzruszył kościstymi ramionami. Uśmiechnął się, tylko nieco mniej nieporadnie niż przed chwilą. Zuzanna podniosła plecak, pociągnęła chłopaka za rękaw.

— Dobra, spadamy. Bo nam tutaj tyłki poprzyymarzają do ściany.

* * *

Tego dnia po raz pierwszy zaprosiła go do mieszkania. Zanim rodzice wrócą z pracy. Tego dnia kochali się po raz pierwszy. Bolało, ale nie aż tak. Wcale tak dużo nie milczeli.

Przed wyjściem, już w drzwiach, Staszak pochylił się nad Zużą, wygiął te swoje chude pająkowate plecy, popatrzył jej w oczy i nie odwrócił spojrzenia, nie zawstydził się, nie uśmiechnął, jakby zamierzał się z czegoś tłumaczyć. Aż jej ścisnęło serce.

Nie powiedział nic, ale Zuzanna widziała, co pomyślał. Tego akurat nie musiała sprawdzać w na wpół rozwiązanych krzyżówkach i w internetowym spamie.

* * *

Akcje Forum Miłośników Sztuki Współczesnej zataczały coraz szersze kręgi. Coraz bardziej jej się podobały. Zuzanna do perfekcji opanowała sztukę nocnego wymykania się z mieszkania, wracała ze szkoły o umówionej porze, żeby nie wzbudzać podejrzeń, dla zyskania czasu poza domem zapisała się nawet na dodatkowe zajęcia z rysunku i fotografii. Rodzicom się spodobało. Uznali, że dorasta.

Tymczasem ciężko pracowała. Zaczęło się od lekcji odwagi.

— Otóż właśnie. Bo tego trzeba się nauczyć — tłumaczył jej Chefe, kiedy już w południe przebiegli całe miasto, obklejając obskurne klatki schodowe reprodukcjami *Rozstrzelania powstańców madryckich*, i w końcu zostali sami.

— Czego niby?

Popatrzył na nią jak na młodszą siostrę, kolejny raz. Nie podobało jej się to bardziej, niż gdyby patrzył na nią jak na idiotkę. Skrzywiła się. Zauważył.

— Działania. O widzisz? Czemu na ten przykład nie powiedziałaś mi, żebym się pierdolił? Skoro tak pomyślałaś.

Spaliła raka i wzruszyła ramionami.

— No więc właśnie. Bo to, jak obwód łapy, nie przychodzi samo.

Przystanęli przed budką z zapiekankami. El Chefe wziął największą, Zuza podziękowała. Przechodnie patrzyli na nich jak na terrorystów po szczególnie

udanej akcji, umorusanych, zgrzanych, roześmianych. Gładko ogolony i krótko ostrzyżony troll mówił z pełnymi ustami:

— Ale musisz być przygotowana. Bo kiedy rozpoczniesz trening, będziesz miała wrażenie, że świat ci się bezrozumnie przeciwstawia. Tak samo przypominasz sobie o grawitacji, gdy zaczynasz podnosić ciężary. Zareagujesz na niesprawiedliwość, będziesz się potem obawiać, że taka sama przydarzy się tobie. Powstrzymasz uniesioną do ciosu rękę, będziesz się bała, że ta sama dłoń zamierzy się na ciebie, dziś, jutro. Każdego dnia, kiedy zapomnisz za siebie popatrzeć. Pomożesz, a zaczniesz oczekiwać na niezасłużoną karę.

Szli, uspokajając oddechy. El Chefe parował z ust rozgrzaną w piekarniku bułką, jakby gryzł ławę, sztygar koboldów z urban fantasy na zimowych wakacjach. Zuza nie zapytała, czy się nie poparzył. Słuchała, trochę zażenowana. Że mówił o tym tak otwarcie. Chłopak nie zwracał na to uwagi. Mówił, wyjaśniał. Fedrował dalej:

— To nie będzie przyjemne, ale też to cię nie pokona. Musisz tylko pamiętać, że ta droga to ścieżka, którą idziesz sama. Zawsze też możesz się z niej wycofać. Ale jeśli tak, lepiej zrób to, zanim zasmakujesz w odwadze. Potem już tak łatwo nie da się zawrócić. Nie dlatego, że coś ci w tym przeszkodzi. Tylko że do siebie z podniesioną głową szybko można się przyzwyczaić.

Przystanęli na światłach, El Chefe wyrzucił otłuszczoną podstawkę prosto pod nogi emeryta w berecie pasującym, jak ulał, do kombatanta. Popatrzył staruszkowi wyzywająco w oczy, niższy o głowę, szerszy dwa razy. Dziadek zebrał się w sobie, chrząknął. Potem zwrócił młodemu uwagę. El Chefe skurczył się, zaczerwienił na życzenie, przeprosił. Kiedy się schylał, żeby podnieść papier, uśmiechał się samymi oczami.

Zuza się pożegnała, skręciła w swoją stronę.

— Mhm. Fajnie to wszystko brzmi — rzuciła na odchodnym. — Ale teraz powiedz to dyrowi w ogólniaku. Albo mojej mamie. Przecież nikt w ten sposób nie żyje, nawet jeśli tak mu się wydaje.

Ale kiedy Forumowicze zaproponowali jej, żeby odpaliła w autobusie bombę kasetonową ze śmiechem, zgodziła się bez wahania.

Wybrała linię podmiejską, długą, bez częstych przystanków. Autobus w sobotę, w południe, jedynie z kilkunastoma osobami na pokładzie. A potem stanęła przy środkowych drzwiach, wyciągnęła smartfona, włożyła do uszu słuchawki. Odpaliła rzeczywiście jakieś głupie filmiki, uznając, że za pierwszym razem bez dopingu sobie nie poradzi. Ściśnięty żołądek bolał, serce łomotało jak w klubie, wśród

basów i naspidowane. Z wyschniętym gardłem, jasnymi zygzakami przed oczami, zaczęła się w końcu śmiać.

Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Z oczami wbitymi w migający ekran. Przecież gdyby na kogoś spojrzała, przejrzała się w jego zdziwieniu, padłaby trupem, tyle wiedziała. W końcu zanosiła się śmiechem na całe gardło, tak jak w domu przed lustrem, kiedy trenowała. Po chwili pół autobusu śmiało się z niej i wraz z nią, ktoś zrobił jej nawet zdjęcie, ale nie zabołało. Kiedy wyszła, spocona jak maratończyk, z roztelepanymi dłońmi i miękkimi kolanami, czekając na autobus powrotny, uśmiechała się do siebie już nie w ramach zadania. Kilku pasażerów grzecznie się z nią pożegnało. W drodze powrotnej spięła się i choć nie było wcale łatwiej, powtórzyła całą akcję.

Gdy się już ociepliło, kilka razy nocą myli całym zespołem auta. Uczniowie szkół średnich w ich grupie dostali za zadanie podejść do najcichszej dziewczyny w klasie, do najbardziej zakompleksionego chłopaka, i porozmawiać z nimi normalnie, długo, po lekcjach. A potem zasugerować im to i owo, obniżyć ton głosu, nachylić się, szeptać przy skórze, przypadkowo pokazać ramięczko stanika. Niech sobie wyobrażają. Inni chodzili po podzielonych na sektory osiedlach i w skrzynki pocztowe bloków, domków jednorodzinnych i kamienic wrzucali ręcznie wypisane karteluszkę, zdobione kaligraficznymi zawijasami, żeby nikt ich nie przegapił, nie wyrzucił razem z resztą analogowego spamu. „To miasto pachnie jak mięso smażone w piekło. Czterdziestoletni przechodnie wciąż węższą i patrzą wściekle”. „Kaszle w bramie stara skoda, a teściowa gna po schodach. Kaloryfer jak renifer trzeszczy niczym sam Lucyfer”. „Witaj, grozo, witaj, podziemny świecie! Ty, najgłębsze piekło, nowego władcę przyjmij, co ma umysł nieujarzmiony przez miejsce ni czas”.

Raz się przebrali, wyszli w miasto w łachmanach, żeby zaczepiać bezdomnych, śmiać się z nimi w bramach, włóczyć wspólnie po działkach. Żebrali z umazanymi twarzami, żeby nikt z sąsiadów ich nie rozpoznał, a potem pili ćpoka, wódkę zmieszaną z wodą gazowaną, żeby szybciej szła do głowy, jedli ciepłą zupę w tanich barach mlecznych, mówili o rodzinach i wzbudzali żal, wspomnienia i wściekłość. Potem z nimi walczyli. Czasem pozwalali się pobić, ale zawsze w uczciwej walce, też uderzając i szarpiąc, też przeklinając i płacząc po szczególnie dotkliwym ciosie.

Zuzanna w końcu nie wytrzymała:

— Po co to robimy? Przecież to, nie wiem. Okrutne?

El Chefe nie zaprzeczył. Siedzieli już tylko we dwójkę na oparciu ławki w opuszczonym parku, za piętnaście minut mieli się rozejść. Rano do szkoły.

Chłopak zdrapywał właśnie zaschłą krew spod nosa.

— Żeby przypomnieli sobie, co to znaczy stanąć nad pokonanym przeciwnikiem. Żeby znów poczuli, jak to jest wziąć życie w swoje pięści.

— Ale to nieludzkie. Przecież oni potem płaczą.

— Czasami sama miłość nie wystarcza.

Aż w końcu, po kolejnym ze spotkań, Zuzanna usłyszała o GRZE. Na Forum odblokowano jej ukryty temat, przekazano dodatkowe hasła, wciągnięto w ranking. Poznawała zasady. Za co przysługuje największa liczba punktów. Po co przeprowadzane są akcje. Że seks nie jest punktowany ani wyżej, ani niżej. Że nie ma ułatwień. Na czym mogą polegać zadania.

Sprawdziła najstarsze ze zarchiwizowanych wpisów. Większości nicków nie rozpoznała. Kojarzyła za to niektóre akcje, tylko nie wiedziała, że to forumowe wyzwania. Wymazany różową farbą napis na murze Urzędu Pracy „A jeśli Włóczykij też uciekał przed własnym losem?”, do tej pory go widywała. Znane z miejskich plotek zwierzątka orgiami stawiane na biurkach stażystów w korporacyjnej przestrzeni otwartej. Wśród papierowych żyraf i słodkoroźców trafiały się geometryczne zwłoki hydry, cielska smoków, łeb Meduzy ze splątanymi papierowymi włosami-wężami. Akcja stawiania bałwanów przypominających smutne zombi naprzeciwko okien parterowych mieszkań. Pisali o tym nawet w gazecie, policjanci strasznie się wściekali.

— No okej — dopytywała El Chefe, na mieście, po szkole, po akcjach. Często przez komunikator forumowy, kiedy już się odpowiednio dużo naczytała. — Ale czemu takie zadania? A nie po prostu wybijanie okien. Czy my jesteśmy ministrantami?

— To akurat proste. Okna już wybijaliśmy. I było za łatwo. Zanim znaleźliśmy to forum. No to podkreśliśmy potem na *level hard*.

— Za łatwo?

Krasnolud przyjął ton tłumaczącego oczywistości menedżera na spotkaniu inicjującym nowy projekt:

— Dobro jest trudniejsze od zła. Choćby dlatego, że tymczasowe. Tylko zło potrafi być stałe, nieodwracalne. Jak kalectwo. Śmierć. Ząb złamany na dyskotecę. A cud, wyleczenie z choroby, nagięcie praw świata, żeby ci się udało, nie gwarantuje, że nie zepsujesz się znowu. I dalej. Żeby przeprowadzić dobre zadanie, trzeba przewyciężyć entropię, wykonać jakąś pracę. Dobro rzadko jest przypadkowe, gdy tymczasem zło w zasadzie cały czas dzieje się przez przypadek. Które z rodziców zaplanowało sobie, że jego toksyczne zachowanie po latach wróci u dzieciaków hardkorową traumą? Namówiłaś chłopaka, żeby wyszedł z tobą do

klubu, i coś pękło mu w głowie. Czy tak to zaprojektowałaś? Dlatego dobro jest bardziej wartościowe. Nie ma w tym żadnej magii. Jak każdy towar na deficycie, kiedy popyt przekracza podaż. A zło może czynić każdy. Tym większe, im mniej się starając.

Zastanowiła się.

— No dobrze. A, no wiesz. W sumie głupio mówić. — Poczula się, jakby miała opowiadać o seksie. Ale nie, o seksie byłoby łatwiej. — Co na to wszystko Bóg? Kościół jakiś?

— Słucham? — Aż się jej przyglądał. — Dziewczyno. O czym ty mówisz, ogarnij się. Nawet jeśli Bóg istnieje. Jeśli pojawia się w świecie. To nie może być tym światem. Gdyby nim był, byłby też katastrofą ekologiczną, epidemią gorączki krwotocznej, wielkim wymieraniem. Strzelaniną w szkole. Tsunami. Jeśli miłość potrzebuje jakichś przymiotników. Że jest prawdziwa, boska, wyjątkowa, nie z tej ziemi. To znaczy, że co to za miłość? Co to za wolność, którą trzeba trzymać w klatce przepisów, zastrzeżeń, objaśnień?

Odpuściła. Nie wiedziała nawet, czy o to go właśnie zapytała.

— Więc dla ciebie to tylko zabawa?

— To GRA, cukierczku. Nie myl pojęć. Traktujemy ją bardzo poważnie. Nie chcesz GRAĆ? Twoja sprawa.

Wpadali na siebie w piątkowy wieczór, pod knajpą, kiedy ona już wracała do domu, trzymając się godziny policyjnej wyznaczonej przez starych, a przydymiony El Chefe dopiero się wtaczał w gwar szkła i brzęk zwierzeń.

— Największy bonus można nabić, kiedy przekonasz do dołączenia do GRY kogoś innego — szeptał, chwiejąc się pod krzakiem i dopinając rozporek. On też nieustająco ćwiczył się w odwadze. — Nie u nas, na Forum, Miłośnicy Sztuki Współczesnej to już są ludzie przekonani. Sąsiada. Przyjaciółkę. Nauczyciela. To zdarza się bardzo rzadko.

— Księdza? — spróbowała, kilka kroków dalej zwrócona w stronę sodowego światła z ulicznych lamp.

El Chefe zaśmiał się szczerze. Przelotnie na nią zerknął.

— Czemu nie. Może być nawet katabasa.

Innym razem w końcu nie wytrzymała.

„El Chefe? Ty to założyłeś?” — napisała.

Chłopak długo nie odpowiadał.

„Forum? No coś ty. Ja do nich też dołączyłem. Tylko teraz jestem najstarszy stażem”.

„A więc. No wiesz. Kto” — zająknęła się. Ugryzła w język, wyłamała palce i spróbowała jeszcze raz. — „Nigdy się nie zastanawiałeś?”.

„Oczywiście, że się zastanawiałem. A co my tu wszyscy robimy na co dzień?” — odpowiedział, jakby to coś wyjaśniało. Więcej tego tematu z nim nie poruszała.

Ale później stało się coś dziwnego. Siedziała przed kompem długo w noc. Powieki same opadały. Już miała wyłączyć laptop, ale jeszcze wstąpiła na Forum. Licznik na dole strony pokazywał, że nikt ze znanych jej użytkowników nie jest zalogowany. Tylko jakiś „JKMP”. Bot. Zdziwiła się. Nie znała z akcji żadnej „jego królewskiej mości”. Na Forum z ręcznym dopuszczeniem do użytkowania podobne programy reklamowe nie powinny się przydarzyć.

Na próbę otworzyła komunikator.

„Hej, jest tam kto?”.

Spojrzała na zegarek. Trzecia z minutami. Zaryzykowała.

„Kim jesteś? Słyszysz mnie?”.

Kursor na ekranie migał równomiernie, jakby kapało z kranu.

„Po co w ogóle walczyć? Po co się starać? Jak można wygrać przeciw bezradności i rozpaczy???”.

Znów nic się nie stało.

Po chwili niepewnie wklepała „Czy jesteś”, ale zanim dodała „bogiem?” i kliknęła enter, żeby posłać zdanie w ciemną noc internetów, wykasowała całe zdanie.

Zamiast tego wyszeptała:

— Co mam robić?

Ale i tym razem odpowiedź nie nadeszła. Jak można odpowiedzieć na takie pytanie?

* * *

A potem, oczywiście, świat przypierdolił jej w kły. Wszystko się wysypało.

W szpitalu Zuzanna nie pojawiała się od kilku dni. Najpierw pojechali rodziną do wujków, potem złapała katar. Ale podenerwowana była z innego powodu. Od trzech dni znajdowała się też na odwyku. Paliła za to jak smok, nawet rodzice chyba już coś podejrzewali. Tymczasem Zuza chodziła po świecie bezbronna, jak ją Pan Bóg stworzył, obnażona, nieopierzona, jak neandertalczyk w jaskini, pierwszy człowiek na sawannie, który musiał odnaleźć się w świecie, walcząc tylko zębami i pazurami. Bez telefonu. Który zostawiła w domu, wyłączony, wyciszony, żeby ćwiczyć mięsień duszy w ramach jednego z forumowych zdań. Czuła się,

jakby go zdradziła. Zamordowała. Nawet ze Staszakiem miała się spotkać dopiero pod wieczór, po treningu. Porozmawiać. W realu.

Zaciśnięte dłonie wbiła głęboko w kieszenie kamizelki bez rękawów, pilnując się, żeby za często nie skubać skórki przy kciuku. W powietrzu czuło się już nadchodzącą wiosnę, w człowieku wierciło się zwierzę, w norze zimy tęskniące za światłem. I pewnie dlatego zorientowała się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy stanęła przed pustą salą. Olci nie było za uchylonymi drzwiami. Rzeczy też już zdążyli zabrać.

Zuzanna nie upadła, nie osunęła się po ścianie, nic z podobnych melodramatycznych reakcji. Choć wiele razy tak sobie to wyobrażała. Przecież od początku wiedziała, jak to się musi skończyć. Nawet się nie rozplakała. Tylko coś tak bardzo ścisnęło ją w piersi, że to już, pieczęć została złamana, a potem zalała ją taka fala gorąca, żalu płynnego jak roztopiona skała. Jakby już nigdy nic. Jakby już nigdy nie miała. Złowiła jeszcze spojrzenie pani Żanetki, stojącej daleko w korytarzu, podświetlonej przez białe słońce przedzierające się zza chmur, przeświecające przez okno. Dopiero wtedy coś ukłuło Zuzę w kąciku oczu, ale zacisnęła powieki, do bólu. Żeby tylko nie. Tak jak sobie obiecała.

Odwróciła się i wybiegła. Zbyt przerażona, żeby podejść do pielęgniarek i porozmawiać. Żeby usłyszeć to, czego usłyszeć nie chciała. Że już się dokonało.

* * *

Nawet nie zauważyła, nigdy nie zauważysz, kiedy miasto wyciągnęło do niej swoje wylane chłodną chityną asfaltu odnóża. By ją utulić. Przyjąć jak swoją. Betonowe totemiczne maski kamienic z fasetkowymi oczami szyb, na najwyższych piętrach układających się w geometryczne znaki, nieodgadnione, spoglądały uważnie, zimne jak odległa gwiazda albo przemrożony kamień. Ludzie wokół w nerwowym tańcu owadów, które ktoś rozbawił na rozpalonej blasze. Białe cyrkowe światło rozkręcające się w źrenicy, niczym szpilka zanurzona w fosforze, bardzo cienka i bardzo ciepła, rozkoszna lobotomia dla lalek. Nie myślała, nie szukała, nie broniła się. Zuzanna zataczała kręgi po trasach znanych i mniej znanych. Słuchała, skoro wzrok został jej odebrany. Jak w tętnicznym huku krwi, powietrza i miarowych, spowolnionych eksplozji serca z elektrycznym trzaskiem nucą swą tęskną pieśń fajerwerki pastelowych światel. Jakby ktoś odpalił jej w głowie kolorową racę.

Ocknęła się pod szkołą. Gdzie już na nią czekały.

Kryształowe drzazgi uśpione w wygaszonych oknach. Zęby w uśmiechach ostatnich wychodzących uczniów. Chyba nawet dostrzegła tamte dwie. Tak dziwnie

na nią spoglądały. Przepalony olej skwierczący na neuronach, piękne wystrzały grozy, rozbłyskujące stroboskowymi uderzeniami.

* * *

Po powrocie do domu zaraz zakopała się w łóżku. Taka ogłuszona, roztrzęsiona. Zmaltretowana. Nie dotarła nawet na spotkanie ze Staszakiem. Żeby tylko zapaść w noc. W chłód i ciemność. Nie myśleć. Odpłynąć. Rodzicom powiedziała, że to chyba grypa. I rzeczywiście męczyła się, kotłowała pod kołdrą, jakby coś ją odpychało, stawiało opór. Nie chciało wpuścić. Jak gdyby zasypianie to była ciężka i wymagająca precyzyjnego skupienia praca.

Ale gdy już zasnęła, sen pojawił się natychmiast. Kiedy tylko przepłynęła między światami.

Stała na ringu.

Archaiczne konopne liny skręcone w grube sploty, przeciągnięte pomiędzy narożnikami. Za nimi cztery wielkie kamienne misy wypełnione olejem, w których płonie ogień. Kłęby tłustego dymu biły w górę i ginęły w ciemnościach ponad głowami. Nie wiedziała, skąd to wie, ale wszystko rozumiała. Jak we śnie. Wszystkich znała. Obróciła głowę. Publiczność w cieniach. Zuzanna zadrzała. Czekala ją walka.

Za linami po przekątnej stał stary roziskrzony ifryt w czerwonych znoszonych dresach, druh jej przeciwnika jeszcze z pustynnych czasów, żywiący się manną i krwią, nieustraszony i nieobliczalny. Ponoć bardzo skuteczny jako trener agresji i ataku. Obok, rozmasowując uważnie barki zawodnika, uwijał się kulawy Jakub, z tatuażem winnego krzewu pnącym się po opalonym ramieniu, potężny mimo wieku. Musieli się widać w końcu jakoś dogadać. I jeszcze święty Paweł, z ręcznikiem przewieszonym przez kark. Suchy, kostyczny, same ścięgna i wola, nieugięty. Wpatrzony w nią i tylko w nią, jakby już była wyliczana. Zuzanna pokiwała głową. Sama chciałaby mieć w swoim teamie kogoś z podobną pogardą dla ciała, zwłaszcza kiedy zbierasz tęgi wpierdol i zastanawiasz się, czy aby właśnie nie nadszedł twój czas, może lepiej już zostać na kolanach.

Odwróciła się, poszukała wzrokiem. Za nią stał tylko pomarszczony staruszek w znoszonej czapce dokera, nowojorczyk, który pojawiał się w narożnikach wszystkich amerykańskich filmów o bokserach. Ale nie zdążyła się zdziwić, dlaczego właśnie on zjawił się w jej śnie, piekle albo raju, gdy zrozumiała swoją pomyłkę. I już się nie obawiała.

To nie był mężczyzna. Tylko prababka Maria. Malutka, przygarbiona. W dresie, nie ciemnej podomce, i z przetykanymi siwizną mysimi kosmykami

wystającymi spod włóczkowej czapki, a nie włosami spiętymi w kok, którego nigdy w życiu nie ufarbowała. Ale oprócz tego właśnie taka, jaką ją zapamiętała. Maria, która całe życie spędziła na wsi, pracowała ciężko, nigdy się nie uskarżała, która płakała w życiu trzy razy. Tak przynajmniej opowiadano.

Jeżdżąc do niej czasem z rodzicami na Śląsk, Zuza często słyszała rodzinną legendę, historię, o której teraz wiedziała, że jest prawdą. Za pierwszym razem prababcia rozplakała się w szkole. Nie, kiedy mały kotek, półślepy, wygrzebany w stogu na sianie, gdy Maria miała trzy latka, którym opiekowała się całe lato, zginął pod kołami wozu ciągniętego przez krowę, gdy nastał czas zniw. I nie, kiedy z całym rodzeństwem głodowali po zimie. Ale pierwszego dnia szkoły, do której szła taka podeksycytowana. Gdy okazało się, że nikt nie chce się z nią bawić tak, jak mu rozkaże.

Matka Marii, kobieta spracowana jak wszystkie zwierzęta pociągowe w tamtym czasie, nie skrzyczała jej, nie zezłościła się. Nie narzekała. Gdy dziewczynka wróciła do domu długą polną drogą, którą dzieci z wioski biegały po lekarza, tylko coś jej wyszeptała ze złością. Jak chcesz żyć uczciwie, nie możesz sobie pozwolić na łzy. I od tego czasu Maria już się nie uskarżała.

Drugi raz zapłakała siedem lat po drugiej wojnie. Nie wcześniej, kiedy wychodziła za męża. Nie, kiedy rodziła pierwszą dwójkę dzieci. Nie, kiedy czerwonoarmiści zabierali jej Gerarda. I nawet nie wtedy, kiedy mąż wrócił w końcu ze Wschodu, zostawiwszy tam w kopalniach zdrowie i pot wylany w obcą ziemię.

Stanął na progu, jak nieznany człowiek. Taki wychudzony. Zarośnięty jak dzikus. Złachany. Zrobiła mu wtedy porządnej jajecznicy na słoninie, skroiła cały bochen chleba, naparzyła zbożowej kawy. Wykąpała, ostrzygła. Jadł tak powoli, tak długo, jakby bał się, że nie dotrzyma do końca posiłku, zabije go sam zapach. Mało wtedy rozmawiali. Do wspólnego łoża, stygnącego przez tyle lat, kładli się razem, ale Maria nisko opuszczała koszulę nocną. Gerard dostał swoją pocerowaną piżamę.

Obudziła się nad ranem. Przed świtem. Jeszcze ciemno. A myślała, że to ona najwcześniej wstawała. Na bosaka przeszła do kuchni. Gerard już nie spał. Rozpalił ogień pod piecem, naniósł wody. Właśnie kroił chleb, dla niej i dla dzieciaków. Maria się przeraziła. Jakby zaraz miało mu się coś przytrafić.

— Bój się Boga, chopie. Dyć ty się musisz wyspać, dychnońć trocha. Tylaś się przeca narobił. Nacierpiol.

Gerard uśmiechnął się, na klęczkach dokładając w płomienie połupane szczapki. Pobrużdżona twarz z widocznymi bliznami odmrożeń nie wygładziła się,

ale w tej jednej chwili wyglądała prawie ładnie.

— Dej mi pokój, Marika. Wiele lot jeszcze mogą przespać? Niy chca już stracić ani pół dnia wiynicy. Poszołbych furt, jakbyś mie tak pedziała. Zrozumioł bych to. Dziękuj ci, żeś na mie czekała.

Zaciągnęła go wtedy do łóżka, zsunęła koszulę przez głowę, kazała mu się rozbierać. Bezwstydnie. Aż Gerard spojrział na nią, zdumiony, ale nie zmiygowwała się. Jakby znów mieli kilkanaście lat i wymknęli się wieczorem na schadzkę. Kochali się, krótko, gwałtownie, mąż i żona, a Gerard roztropnie nie zapytał, czy coś ją boli, choć Maria cały czas płakała, nawet gdy już zacisnęła zęby, przyspieszył jej oddech. Ale nie odwróciła wzroku, nie zacisnęła powiek. Potem pogłaskała męża po policzku, ubrała się i poszła mu pomagać.

Trzeci raz po twarzy pociekły jej łzy, o czym opowiadano w rodzinie podczas urodzin, chrztów i kolejnych pogrzebów, które zdawały się omijać tylko prababcie Marię, kiedy urodziła się Zuzanna. Jako pierwsza z jej prawnuczek, chłopcy byli już wcześniej. Kiedy, mimo niepewnych protestów, ujęła małe zawiniątko w twarde dłonie. Ale nikt tak naprawdę nie wiedział, czemu upodobała sobie właśnie ją.

Dziewczyna rozglądnęła się jeszcze raz. Włosy miała zaplecione w krótki, wygodny warkocz. Jasną stronę widowni zajmowały milczące Trony, Potęgi i Chóry. Ambrozja w ciszy perliła się w smukłych kryształach kieliszków. Na stronie Ciemnej kłębiły się węże, behemoty, szatany. Potężne lewiatany jak splecione z dymu i ognia rzuconego na dach zamieszkanego domu, górujące ponad wszystkimi, o bezkształtnych lustrzanych twarzach. Demony w drogich garniturach. Z pięknymi sukkubami u boku. O uśmiechach najedzonych drapieżników. Rozkrzyczane, komentujące, rozdokazywane. Z pustymi spojrzeniami jak cięcie zardzewiałym żelazem. Obie grupy w takim samym napięciu wyczekujące, kiedy się zacznie.

Podszedł do niej sędzia. Bezoki serafin wielki jak posąg, o zaciśniętych marmurowych ustach, o trzech parach skrzydeł upchniętych pod elegancką koszulą, bielszą nad śniegi, delikatnie skropioną hyzopem. Na długie palce pianisty o licznych owadzich stawach, niespotykanych u istot uwikłanych w *hyle*, nałożył gumowe rękawiczki. Gdyby padła na niego choć kropla świętej krwi, mógłby spłonąć z rozkoszy. Sprawdził, czy rękawice Zuzy są dobrze zawiązane.

I wreszcie on, On. Trzymający się wciąż prosto mimo wieku, masywny, ale nie zwalisty, o ciele zapaśnika mocującego się z Goliatem. Wygolony na głacę, z bujnym siwym wąsem i kępkami białych włosów na wyraźnie zarysowanej klacie.

Ostatnie sekundy. Maria skinęła, żeby Zuzanna się zbliżyła. Podała jej przemyty wodą z plastikowej butelki ochraniacz na zęby.

— To tylko życie, walcz — powiedziała poważnie. Ale Zuzanna nie zrozumiała, czy mówiła o tym, co może zyskać, czy stracić.

Zabrział gong. Z daleka dobiegały dźwięki cytry i harfy.

Bóg ruszył pierwszy do natarcia. Ręce trzymał wysoko, szeroko rozstawione, na modłę helleńskich pankratiastów. Zamiast wołowych rzemieni maczanych w żywicy, pięści ochraniały mu proste skórzane rękawice. Na lewej ktoś wypisał „Plaga”, na prawej „Wojna”. Bóg walczył czysto, poruszał się niespiesznie, cały czas wyprostowany. Nie był nazbyt szybki, ale nacierał nieubłaganie, jak morze albo inny żywioł, którego nie bał się ujarzmić. Bił mocno i podstępnie, zwłaszcza prawicą, gromowładną.

Kiedy kolejny lewy sierp na wątrobę wyminął jej łokieć i doszedł celu, Zuzie odcięło prąd. Przeciwnik wyczuł słabość, ruszył do ataku. Ale Zuzanna wiedziała. Znała z treningów. Jakby sobie przypomniała.

Że najważniejsze, to zawsze nacierać pierwsza. Oddać cios. Bić seriami. Bo jeśli chcesz, żeby przeciwnik przestał atakować, samemu musisz go zatrzymać. Nikt nie przerwie natarcia, jeśli wyczuje, że ledwo się słaniasz. Po wyjątkowo silnym uderzeniu musisz się wyprostować, wzruszyć ramionami. Pokazać, że to jeszcze nie koniec. Że jeszcze masz wystarczająco dużo pary. A jak trafiłaś, nie przestawaj uderzać. Dopiero ostatnia sekunda kończy sparing.

Kontroluj oddech. Różnicuj siłę ciosów, nie podpalaj się. Walkę wygrywa głowa, później nogi, na końcu ręce. Trzymaj się nisko w kolanach, broda przy ciele, oczy na przeciwniku. Pamiętaj, że więcej błogosławieństwa jest w dawaniu niż braniu, co jest maksymą miłosiernych Samarytan i bokserów, którzy urodzili się do walki. Nigdy nie opuszczaj gardy.

Wywinęła się, powstrzymała Boga mocnym prawym prostym na tułów. Przed oczami zatańczyły jej mroczki, ale uśmiechnęła się tylko, wyszczerzyła, wypychając ochraniacz. No, chodź. Bóg odpowiedział jej tym samym. Ale nie ruszył do ataku. Nabrał respektu. Zatańczyła na nogach, zyskała chwilę na oddech. I znów zaczęli balet.

Kilka Bożych prostych doszło, Zuza się zachwiała. Zeszła pod prawym sierpem, który urwałby jej głowę, gdyby trafił. Bóg stracił równowagę, źle przeniósł ciężar ciała, i Zuza od razu wyprowadziła kontrę między rękawicami. Weszła w półdystans, uderzyła dwoma krótkimi podbródkowymi, raz i raz, licząc, że któryś z nich ominie blok, drugi ominął, na ostatek, już odskakując, poprawiła lewym prostym ponad prawym opuszczonym barkiem Boga. Niezbyt silnie, ale

żeby pokazać, że jeszcze nie czas na nią. Żeby Pan Zastępów, Rydwan Chwały, nie pchał się z rękami.

Kiedy zabrzmiał gong, pot zalewał Zuzannie oczy, krótki oddech palił. Prababka Maria podsunęła jej stołek, otarła ręcznikiem czoło i górną wargę. Zuza nawet nie zauważyła, które uderzenie rozbiło jej nos. Poczowała na karku worek z lodem.

Bóg odszedł do swojego narożnika. Nie usiadł, tylko zabijał rękawicę o rękawicę, Wojna niespiesznie uderzała o Plagę i Plaga o Wojnę. Patrzył na Zuzannę, uśmiechał się spod szczeciniastego wąsa i wysuwał z ust ochraniacz. Też dyszał ciężiej niż na początku, ale widać było, że ma jeszcze sporo krzepy, że takie starcie to dla niego nie pierwszozna. Był dobrze przygotowany.

Z nosa ciekła Mu jasnoczerwona strużka. Któryś z przerażonych archaniołów chciał ją przetrzeć, zatamować krwotok, ale ruchem lewej brwi, tej litościwej, Bóg zabronił mu się do siebie zbliżyć. To była dopiero pierwsza runda. Cieszyła go ta walka. Krew na twarzy Boga i człowieka wyglądała tak samo.

Ale w przerwie Zuzanna nie zdołała odpocząć. Te wszystkie pytania. Uświadomione i nieświadomione. Krążące jej pod czaszką w rytm dudniącej krwi. Które zawsze chciała sformułować i te, nad którymi nigdy się nie zastanawiała. Skoro miała Go tak blisko. Czemu ich po prostu nie zadać.

Jak choćby co to za Stworzenie, że wszystkiemu, co związane z życiem, trzeba w ciągu życia zaprzeczyć. Zaprzeczyć się każdego z otrzymanych darów. Jak nazwiesz wolność, jeśli możesz wybierać tylko to, co ci wskażą. I co to za zbawienie, jeśli otrzymasz je tylko wtedy, jeśli nie popełnisz w życiu błędów, przed bramami Raju staniesz święty i nieskalany. Co to za łaska, na którą trzeba harować latami. Albo po co zostaliśmy stworzeni w ciałach. Skoro każde ich użycie grozi, kurwa, sankcjami? Seks, używki, przemoc. Dopuszczalne tylko wtedy, kiedy obwarowano je świętymi prawami. Chyba nie po to poznaliśmy odwagę, żebyśmy żyli w niewoli. Lub żebyśmy się bali. Nie po to entuzjizm, żeby ludzie stronili od działań. Nawet jeżeli na końcu wiążą się z koniecznością przegranej. Całe życie jak walka. Byle tylko nie dać się przyłapać. Że jesteś człowiekiem.

Gong przywitała z ulgą. Ruszyła przed siebie. Cały czas nacierała.

Po przebudzeniu Zuzanna długo leżała ze wzrokiem wbitym w sufit. W końcu pęcherz wygrał. Kiedy przemywała twarz, ochłonęła już na tyle, żeby kontrolować oddech. Choć czuła się, jakby pół nocy harowała. Szczeka i lewy bok bolały ją jak po zderzeniu z kowadłem. Co za durnowaty sen. Kiedy później go sobie racjonalizowała, wiedziała, że to tylko wydarzenia z ostatnich dni splątały się w jedną całość.

Ale Staszak miał rację.
To w ringu. To było coś. Spodobało jej się.
Do wyplucia płuc. Do ostatka.

* * *

Po południu się przełamala. Wiedziała, że i tak jej to nie minie.

Pierwszy raz od Zajścia nie poszła do szkoły. Cały dzień włóczyła się po mieście, odwiedzała stare kąty, teraz obce, chłodne, jakby wylądowała w cudzym domu, tylko dla niepoznaki urządzonym jak ten, który znała. Wreszcie skręciła do szpitala. Niech jej to powiedzą prosto w twarz. Niech zostanie usłyszane. Najgorsze było to, że życie płynęło dalej.

Zaraz na korytarzu Zuzannę przywitał Igor.

— Wiesz już, co się stało? — odezwał się. Do niej. Zuzę замуrowało.

Pierwszy raz słyszała jego głos. Spokojny, nieco zachrypnięty. Ładny.

A potem zbladła jeszcze bardziej.

— O Jezu, nie, nie. — Wielkolud zamachał rękami. — Dziewczyno. Boże, jak to zabrzmiało. Przepraszam. Z Olgą wszystko w porządku.

Jak to powiedział. Olgą.

— To znaczy. To znaczy, no wiesz. Jest po operacji. Miała zapaść. Zdecydowali się amputować jej stopę. Rodzice się zgodzili. Kiedy spała. Potem ją przenieśli na obserwację. Ale czuje się nieźle. Biorąc pod uwagę to, jak można się czuć w takiej sytuacji. Jeśli chcesz, to pogadaj z pielęgniarkami. Albo od razu sam cię do niej zaprowadzę.

Z Zuzy zeszło powietrze.

Jakby ktoś rozpuścił ją w garnku, ulepił kości z miękkiego wosku i teraz skręcał je, rozciągał, ugniatał. Dźwięki docierały jak przez kłęby pary. Tak dobrze. Nawet jeśli białe plamki przed oczami.

Dała się potulnie zaprowadzić.

— Nienawidzę was. Nienawidzę. Nienawidzę. Jak bardzo. Ja.

Drzwi do sali Olci były uchylone. Zuza zatrzymała się w pół kroku, nie weszła. Potwór spuścił głowę. Olcia szlochała.

— Nienawidzę. Jak mogliście mi to zrobić? Boże jedyny. Tyle razy mówiłam. Że jak się zgodzicie. To. Że jak to zrobicie, to nie zostanie mi już nic. Z tego, jaką jestem. Jaką byłam. O Boże. Jak ja was.

Matka stała przy łóżku. Taka poszarzała, skurczona. I uśmiechnięta. Jakby przepraszała i jednocześnie przepraszała za to, że przeprasza. Ojciec siedział obok córki. Wziął dziewczynę za rękę i nie puścił, nawet gdy się wyrывała. Dopiero

teraz Zuzanna zobaczyła, że to mocny mężczyzna. Stary, nie za wysoki. Z brzuszkiem. Siwawy. Ale w tej chwili nie wyglądał na gryzipiórka zza biurka. Tylko jak ktoś, kto wie, że choć to nie będzie przyjemne, zdoła unieść zbyt duży ciężar nałożony mu na barki.

Zuza stłumiła ukłucie zazdrości, przełknęła kulę w gardle. Ale już pomyślała. Też chciałaby być tak kochana.

— Nie rozumiesz? Olu. Naprawdę? — zachrypiał. — Przecież o to w tym wszystkim chodzi. Od początku chodziło. Dlatego się zgodziliśmy. Że teraz możesz nas nienawidzić. Ile tylko zechcesz. Przez całe życie. Tak długie, jak tylko się da. Przez całe lata. I jeśli nie dostanę już nigdy nic więcej. Jeśli się do mnie nie odezwiesz. Nie szkodzi. Bo będę wiedział, że możesz. Gdzieś tam. Tyle mi wystarczy.

* * *

Najprawdopodobniej obudziła się w nocy i wiedziała, że to koniec. Wstała.

Przed snem widocznie nie wyłączyła laptopa, wciąż była zalogowana na swoją skrzynkę. Sprawdziła. Do folderu ze spamem przyszedł tylko jeden mail, który nie był spamem. Nadawca nieznany. W temacie „Odwrócony dekalog Korwina”, jakaś polityczna agitka dla nastolatków. Ale nie dała się nabrać. Otworzyła. W środku znajdował się jedynie link. Kliknęła i została przekierowana.

Strona miała bardzo prymitywny wygląd. Tymczasowy. Zuzanna wiedziała, że nie powisi tu długo. Że jeśli wejdzie na nią jutro, kiedy się obudzi, przywita ją error 404, about: blank. Tymczasem przebiegła wzrokiem kolejne linijki. Bez wyjaśnienia, bez opisu. Jakby wynotowała je sama.

Nie odwracaj oczu.

Nie uciekaj.

Nie myśl, że uda ci się uniknąć.

Ale się nie bój.

Płacz.

Nie zapominaj się śmiać.

Żyj.

I nigdy, kurwa, się nie poddawaj.

Umrzesz.

Ale nie dzisiaj.

Zuza uśmiechnęła się i wytarła łzy. Przeczytała tekst raz, drugi. Trzeci. I jeszcze raz. Żeby zapamiętać. Żeby nie zapomnieć. Potem zamknęła komputer, położyła się i coś jej się śniło, ale nie zapamiętała co. Stwierdziła tylko, że obudziła się wypoczęta, lekka, nawet jeśli trochę obolała. Jakby bezpowrotnie coś utraciła.

Wiedziała, że to pożegnanie.

* * *

W szkole jeszcze przed lekcjami próbowała złapać Staszaka. Kiedy tuż przed wyjściem w końcu przypomniała sobie o telefonie, gdy ożywiła uśpione urządzenie, na ekranie pojawiły się jej powiadomienia o nieodebranych wiadomościach, cyfrowy wyrzut sumienia. Od Olci. Od Staszaka. Z blondynką postanowiła spotkać się po szkole. Na żywo. Ale chłopakowi odpisała natychmiast.

Po pierwszej lekcji w końcu na siebie wpadli. Staszak wyglądał na wkurzonego, ale mówił spokojnie.

— Boże, dziewczyno. Co się z tobą działo? Ale się zestrachalem.

— Z Olcią — zaczęła, ale nie wytrzymała. Po twarzy pociekły jej łzy.

— No, już. Cholera. — Spróbował ją nieporadnie przytulić, nigdy nie był w tym dobry. Zuza otarła ze złością twarz, mimowolnie się uśmiechnęła.

— Dobra, człowieku, bo pomyślą, że mnie molestujesz.

— To co, pogadamy po lekcjach?

— Po lekcjach. Na rampie?

Skinął głową i skrzywił się, kiedy zaterkotał dzwonek. Zuzanna popchnęła chłopaka w ślad za innymi znikającymi w klasach uczniami. Sama przesiedziała na zajęciach, jakby brodziła w stygnącej lawie.

Na dworze grzało słońce. Kiedy w porozpinanej kurtce przyszła na rampę, była sama. Musiała poczekać. Poczekała. Zapaliłaby, ale uświadomiła sobie, że nie ma już papierosów.

Staszak oddychał szybko, gdy się pojawił. Pewnie przebiegł całą trasę. Wyciągnął małą wodę mineralną i pił łąpczywie, oparty o murek.

— Zapnij się lepiej, wariacie. Przeziębisz się.

Wzruszył ramionami.

— Jak mężczyzna choruje, to jakby niedomagał król i królestwo całe.

— No właśnie. Treningi opuścisz.

To go przekonało. Zawinął się w długą kurtkę, jeszcze zimową, schował butelkę do plecaka odłożonego pod ścianę. Odetchnął.

— No dobra, Zuza, mów. Co jest grane?

Dziewczyna zaczęła skubać skórę przy kciuku. Delikatnie ujął ją za rękę.

— Przestań. Paskudnie to potem wygląda. — Drugą dłonią przejechał po odrastających włoskach nad jej uchem. I zaraz cofnął ją, przestraszony, jak zareaguje. — Martwisz się o maturę? Kuratora?

Więc mu opowiedziała. O Olci, o szpitalu. O Forum też wspomniała, czemu nie. Jak ma się przed nim rozbierać, niech zobaczy ją całą.

Kiedy skończyła, Staszak wyciągnął drożdżówkę z dżemem i zaczął żuć. Przysiadł na zimnej krawędzi podestu, zwiesił nogi. Dziewczyna usiadła obok, po turecku.

— Słuchaj, Zuza. Wiesz, że kiepski ze mnie mówca. Nie chcę, żeby zabrzmiało to jak banał. Ale na moje oko w roku są tylko dwa dni, kiedy nie musisz nic robić. Za to nieustannie się nimi martwisz. To wczoraj i jutro. Przez pozostały czas trzeba po prostu żyć. To trudne, ale nie tak trudne, jak ci się wydaje. Nic innego nie umiemy, jak się tak nad tym zastanowić.

— Staszek?

— No?

— Raczej ci się nie udało.

Pokiwał przepaszając głową, ale uśmiechnął się bez skruchy.

— Że Coelho? Wiedziałem.

Siedzieli w ciszy. Na stację przyjechał pociąg i odjechał. Tyłki zdrętwiały im od zimna. W końcu Zuza zaczęła mówić. Skórka przy kciuku nie tylko szczypała, ale krwawiła już widocznie. Dziewczyna nie przestawała jej jednak drapać.

— Wiesz, co się wtedy stało? W szkole? Czekaliśmy na wuef. I ta Ewelina. No wiesz. Te dziewczyny znowu zaczęły jej dokuczać. Że ma takie obciachowe ciuchy. Ten powyciągany polar, jakby w nim spała. Że buty, bielizna, że telefon. A ona nie tylko była biedna, ale też głupiutka. Zamiast im powiedzieć, żeby się odpiardoliły prosto w dupę, jeszcze próbowała się przypodobać. Zaprzyjaźnić. W nowej, kurwa, szkole. Jakby rzeczywiście wierzyła, że jak ją tam zgwałcą przez łeb, to naprawdę zostaną kumpelami. I tak cały miesiąc, łaszcząc się, przymilając. Jak zbity pies. Kiedy tylko nią pomiatały. To w końcu nie wytrzymałam. A później. Wiesz, co się później stało.

Zorza migoczących świateł, elektryczna słodycz w żyłach, lekkość jakby duch wyzwolił się w końcu z ciała. Jakbyś na chwilę wyswobodziła się z imadła.

Chłopak milczał. Podjęła.

— Nienawiść do oprawców jest zrozumiała, łatwo ją skanalizować. Ukierunkować. Ale do ofiar? Jak komuś powiedzieć, żeby się otrząsnął? Żeby zrozumiał, że skurwielstwa nie można się bać? Że ciosy bolą nie tylko na początku,

ale tak samo odczuwa się potem swędzenie blizn na duszy. Jeśli nie zrobisz nic, pozwolisz sobą pomiatać. Nie podejmiesz żadnego działania.

Powstrzymała się przed wsadzeniem kciuka do buzi.

— Bo wiesz, co jest najgorsze. Że właśnie wtedy. Przez ten jeden moment. Kiedy ją tłukłam. Tak strasznie mi się podobało.

Staszak zeskoczył z rampy. Zrobił kilka kroków, kopnął w podrdzewiałe tory. Wrócił.

— Wiesz w ogóle, co się z nią dalej stało? Z tą Eweliną.

Zuza się zawstydziła. Nigdy się tym nie interesowała.

— Przeniosła się do ekonomika. Mam tam kolegę, razem trenujemy. Słyszał. No wiesz, o tym, co się stało. Ponoć w nowej szkole dziewczyna jest dalej szarą myszką, ale nikt jej raczej nie gnębi. No #tyleprzeżyła, #siedzinaniejprokurator. Mówił, że znalazła nawet chłopaka, niezłego emoświra, co czyta Blake'a i słucha pagan metalu. Dobrali się jak w więzieniu.

— Jak ty i ja. — Uśmiechnęła się.

— Lepiej. Zobaczysz, będą jeszcze z tego jaja.

Wdrapał się z powrotem na betonowy podest, wyciągnął wodę, wziął łyk. Zuza też wstała.

— To co ja mam niby robić?

— A bo ja wiem? — Chłopak odwrócił się do słońca, zmrużył oczy. Wzruszył ramionami. — Masz prawie osiemnaście lat. Zdobądź jakiś fach, którego nie będziesz się brzydzić. Pracuj tak, żebyś czuła satysfakcję, kiedy będziesz odpoczywać. I odpoczywaj tak, żebyś chciała wracać do pracy. Trzymaj przy sobie tych, których kochasz, ale i wybaczaj tym, których nie lubisz. Ty też nie będziesz przez wszystkich uwielbiana. A dalej to już rób, jak wiesz i rozumiesz. Nie daj się oszukać cynizmowi świata. Chyba na tym polega ta zabawa.

— Długo nad tym myślałeś?

Staszak wyszczerzył się jak ktoś, kto właśnie wymyślił wysoką piątkę.

— Chodź, zjemy coś. Głodny jestem normalnie.

— Czy ty właśnie zaproponowałeś mi romantycznego kebsa na mieście?

— Oj tam zaraz romantycznego. Ciała muszą nabrać, poświęć się dla sprawy.

Podnieśli plecaki i ruszyli przed siebie. Chłopak spróbował wziąć ją za rękę i Zuza w końcu mu pozwoliła, choć tylko na chwilę. Uznała, że nawet nastoletni desperaci muszą mieć jakieś zasady.

— Po prostu przy mnie bądź, a wtedy wiem, że nie będziemy się bać. Kiedy będę leżał obok ciebie. I takich nas znajdą za milion lat, ci goście z kosmosu, z zielonymi czółkami. I obsypią nas kwiatami. Jakbyśmy wciąż tylko spali.

* * *

Zostawiła Staszaka pod drzwiami szpitala. I tak miał wieczorem trening. Obiecała sobie, że kiedyś w końcu też tam pójdzie. Na początek popatrzeć.

Sama weszła po schodach. Bała się, ale nie bała się już tego strachu. Nowy pokój, w którym leżała Olcia, był pusty, ale Zuza dostrzegła na stoliku kwiaty, na łóżku kolorowe czasopismo. Inne dziewczyny z sali powiedziały, że blondynkę zabrano na zabieg. Zuzanna odszukała Igora.

— Cześć.

— O, cześć. Dobrze, że jesteś. — Chłopak odłożył mop do wiadra, wytarł dłonie w fartuch. — Olcia mówiła, że pewnie mnie w końcu znajdziesz. Dziś to chyba nie będzie za bardzo do życia. No wiesz. Ale najlepiej wieczorem sama do niej zadzwoń. W każdym razie miałem ci powiedzieć — chrząknął — cytuję, że jesteś głupia dzida. Kto to w dzisiejszych czasach telefon gubi. Koniec cytatu.

Zuza się zarumieniła.

— A w ogóle to Olcia ma nadzieję, że wszystko z tobą w porządku. Nie dzwoniłaś.

— Głupia sprawa. — Zuza umilkła, kiedy obok po korytarzu przeszło kilka osób. Instynktownie podeszła kilka kroków bliżej okna, bliżej światła. — Kiedyś ci wytłumaczę. Powiedz jej, że jak tyle już nie pisałam, to wolałam przyjść sama. — Zmieniła temat. — Bo wy. No wiesz. Jesteście razem?

Igor wbił swoje wielkie łapska w kieszenie fartucha, spróbował się uśmiechnąć mięsistymi wargami, a minę miał skazańca, który wciąż nie może uwierzyć, że egzekucję odwołano.

— No chyba. Na to wygląda. — Podniósł głowę, wielki szczęśliwy dzieciak z watą cukrową w ręku. — Fajnie, nie? Że mnie, taka dziewczyna.

— No, fajnie.

Pomilczeli, ale inaczej niż ze Staszakiem. Dziewczyna chrząknęła skrzepowana.

— Wiem, że to głupie. Ale jak ty się w ogóle nazywasz?

— Adrian.

— Zuzanna.

Wyciągnął rękę, potrącając mopa, złapał go w ostatniej chwili, oparł o ścianę. Ucisną jej dłoń mocno, po męsku. Powoli kończyły im się tematy. Zuza już miała się żegnać. Ale się przełamała.

— Muszę cię o coś zapytać. Sory. Ale za co tu jesteś? W sensie, że co przeskrobałeś. Tyle pracujesz. Też z kuratorium? Bo chyba nie jesteś pielęgniarzem.

— Za niewinność — spróbował zażartować.

Odwrócił się do okna, potarł czoło wielką piąchą. Zuzanna nie naciskała. Adrian wzruszył ramionami.

— Mój młodszy brat tu leżał. O pięć lat. Mariusz. Kiedy żył, prawie go nie znałem. Różnica wieku, inne zainteresowania. — Uśmiechnął się smutno, jakby powiedział o pół zdania za szczerze. Zuzanna znała ten grymas, już się go nauczyła. Jakby czasem było to wszystko, co mogłeś zrobić, kiedy pomyślisz o życiu. — Kiedy umarł, okazało się, że bardzo go kochałem. Więc. Oto jestem. Niezły frajer, nie? Czasem coś trzeba tu zrobić, to pomagam. O, na przykład w ogrodzie. Przecież to często ostatnie miejsce, na które patrzą ci wszyscy ludzie. Więc jak mogliby oglądać coś brzydkiego?

Zuza nie odpowiedziała. Obiecała sobie, że dziś też nie będzie płakała. Adrian puknął w szybę, odwrócił się, zająknął. Rozmowa między nastolatkami przypominała partię na różne odmiany wstydu. Kto kogo zaszachuje, kto pierwszy się przełamie.

— Słuchaj, to ja też miałbym pytanie — zaczął szybko, żeby skończyć, zanim zabraknie mu odwagi. — Trochę się już znacie. Możesz mi powiedzieć, co Olga we mnie widzi? To głupie. Ale przy niej czuję się taki, bo ja wiem. Niezdarny? Jak smutny fiut jakiś.

Udała, że się zastanawia. Ale znała odpowiedź. Ona też to dostrzegła, już dawno.

— Przegrywasz, otrząsas się, podnosisz, nie rozpamiętujesz tego, co się nie udało, żyjesz dalej, aż do kolejnej klęski. Niejeden na twoim miejscu już dawno by się poddał, nie umiał znowu stanąć. Wpadł w depresję, przystroił szyję paskiem, uciekł w dopalanie czy inne przyjemności wieku dojrzewania. Jeśli to nie jest sposób na to, jak żyć godnie, to ja już sama nie wiem, co nim jest. Jeśli to nie jest esencja człowieczeństwa, to nie wiem, co można by nią nazwać.

— Daj spokój — obruszył się. Ale jednocześnie rozpozgodził. — Nie popadajmy w przesadę. Smutny fiut, ot co. Mówię ci.

— O fiuta to ty już się może nie martw. Akurat Olcia jest w stanie coś zrobić w tym temacie.

Popatrzyli na siebie, Zuzanna i Adrian, mrugnęli w tym samym czasie, a potem uśmiechnęli porozumiewawczo. Po chwili rzeli już, jakby w piątkowy wieczór znaleźli dwie stowy przed wejściem do pubu. Pani Żanetka, spiesząc się gdzieś korytarzem, pokiwała im palcem, ale bez przygany. Wreszcie Zuza się pożegnała.

Wieczorem, już w domu, napisała wiadomość do Olci. Najwyżej nie odpisze.

„Dałam Staszakowi, ale siara...”.

Ale SMS przyszedł od razu. Jakby blondynka czekała.

„Good girl! Witamy po właściwej stronie mocy :-)))”.

Zuzanna usiadła wygodnie na łóżku, wysoko podciągnęła skrzyżowane nogi. Szykowała się na długą sesję z telefonem.

„No i wy? No wiesz. Z Adrianem”.

„Adrian. Prawda, że ładnie? Kto by się spodziewał”.

Aparat wibrował w dłoni krótkimi sygnałami. Na stoliku obok parowała herbata. Dziewczyna zamierzała później poczytać, ale na razie rozgięty tom leżał obok, grzbietem do góry. Jakaś dostojewszczyzna *young adult* z wyszukiwarkowej polecanki, rozmowy o duszy nieśmiertelnej rozpisane na nastolatki.

„Wiesz, że powiedział, że mnie będzie teraz nosił na rękach? Najlepsze, że on wcale nie żartował. Uwierzysz? Co za głupek. Wariat. Jak jakiś tyranozaur z wąsami”.

Pisały. Zuza nie widziała twarzy przyjaciółki. Wiadomościom nie towarzyszyły żadne emotikony. Ale wiedziała, że dziewczyna płacze.

* * *

Dziś po lekcjach szła do Staszaka. Najpierw mieli się trochę wspólnie pouczyć, później pewnie zajrzą do książek. Dlatego po południu starannie wybrała bieliznę. Potem przez długą chwilę przymierzała ubranie. Kiedy sobie to uświadomiła, uśmiechnęła się z powątpiewaniem. Ale kontynuowała. Lekko podkreśliła oczy kredką i malowniczo się rozczochrała. Włosy nad uchem już jej odrosły, wiedziała, że czas udać się do fryzjera.

Na oknie schły koszulki z wymalowanymi przez nią nowymi wzorami. Steampunkowa ośmiornica z nitowanymi goglami, hipsterskie transformersy sączące przy stoliku porządnie spienioną latte, dokładna reprodukcja atletycznego Stworzyciela z Kaplicy Sykstyńskiej wyciągającego dłoń w stronę smartfona, bardzo kolorowa. Nie była z nich zadowolona, ręka już jej zardzewiała. Ale uznała, że żywcem jej nie wezmą. Po Zajściu podniosła zresztą ceny, ale ludzie i tak pchali się do niej jak po wentylatory w piekle, na świątecznej wyprzedaży. Zastanawiała się, czy dałaby sobie radę w studiu tatuażu.

Kiedy wyszła z pokoju, namierzył ją ojciec. Siedział przy stole w kuchni, rozwiązywał krzyżówkę. W tle cicho szemrało radio ze złotymi przebojami.

— Odrobiłaś lekcje? Wiesz, kiedy masz wrócić? Pytałaś matki, czy możesz wyjść? Żebym nie musiał powtarzać.

Zuzanna spadała. Ale zwalczyła pokusę rezygnacji. Jeszcze nie dziś. Biała igła bólu ukłuła ją za okiem i powoli zaczęła się rozkręcać ognistą spiralą. Najbliższe godziny będą najgorsze. Tyle bólu, którego człowiek nie jest w stanie wchłonać,

przetrawić. Jednak już postanowiła. Być może nie da się nauczyć spadać. Ale zanim się roztrzaskasz, warto spróbować nauczyć się latać.

Ojciec milczy wyczekująco nad czarno-białą kratką. Taki zwyczajny, bezbronny. Słaby. Jakby zastygł nad blatem na potrzeby tej sceny. Zuza obraca w ustach ostrokanciaste „nie”, jak zawleczka z odbezpieczonego granatu na końcu języka, odgryziony fragment żyłki, cukierek z rozłuczonego szkła. Słowo smakuje niczym krew z pokaleczonej wargi. Takie słone. Gorzkie. Dziewczyna odkłada torbę. Uśmiecha się szeroko, drapieźnie. Wybiera drogę trudniejszą.

Siada naprzeciw ojca i zmusza go, żeby na nią popatrzył. Zuza nie odwraca wzroku, wytrzymuje zdziwione spojrzenie.

GRA.

— No więc słuchaj. Tato. Wiem, że to dla ciebie niełatwe. Ale. Skup się. Wyobraź sobie, że jest taka gra. Nazwijmy ją grą w dobro.

I zaczyna tłumaczyć.



powergraph

sklep.powergraph.pl

pełna oferta wydawnictwa